

R.D.WINGFIELD

FROST i BOŻE NARODZENIE

Przełożyła Agnieszka Lipska-Nakoniecznik

WSTĘP

TELEFON ALARMOWY 999 ROZDZWONIŁ SIĘ TUŻ PRZED północą. Po drugiej stronie odezwał się drżący głos starszego mężczyzny, tak cichy, że ledwo słyszalny. Facet sprawiał wrażenie śmiertelnie przestraszonego.

- Policja? Nazywam się Powell. Dzwonię z Mead Cottage na Exley Road. Na litość boską, jak najszybciej przyślijcie tu kogoś. W moim domu jest włamywacz. Ja... - W tym miejscu nastąpiło przerażone sapnięcie, a potem szept zmienił się w krzyk. - Nie! Proszę, nie!

Z daleka dobiegły odgłosy szamotaniny, a potem w słuchawce zapadła głucha cisza.

Mimo ciężkich warunków panujących na drogach wóz patrolowy zjawił się pod wskazanym adresem w ciągu trzech minut. Wciąż jeszcze ślizgał się po oblodzonej nawierzchni jezdni, gdy dwaj policjanci, Evans i Howe, popędzili co tchu w stronę wejścia. Niewielki dom zalewała powódź światła, a na śniegu widniał odcisk czyichś butów, prowadzący w stronę otwartego okna na parterze z tyłu budynku. Śladów powrotnych nie było. Włamywacz wciąż przebywał w środku.

Dwaj mężczyźni postanowili się rozdzielić. Evans załomotał do drzwi wejściowych, podczas gdy Howe zaszedł od drugiej strony, gotów do błyskawicznej akcji na wypadek, gdyby udało się wykurzyć napastnika.

Powoli zbliżył się do otwartego okna, bo wewnątrz dostrzegł jakieś poruszenie. Zamarł, zbierając siły do skoku, ale w tym samym momencie ciemna sylwetka wychyliła się na zewnątrz. To był jego kolega, wstrząśnięty i blady jak śmierć.

- Ambulans! Szybko! Cholera, dzwoń po ambulans!

Na środku maleńkiego pokoiku, zasypanego przez śnieg wpadający przez otwarte okno, na kanapie siedział skulony właściciel domu, a laska służąca mu do podpierania się spoczywała na jego kolanach. Wydawał się zupełnie nie zwracać uwagi na to, co działo się dookoła.

- Musiałem to zrobić... On by mnie zabił... Musiałem to zrobić... - Bezbarwnym głosem powtarzał w kółko te same słowa.

W pokoju panował straszny bałagan - poprzewracane krzesła, sterty rozrzuconych papierów, kabel telefoniczny wyrwany ze ściany... Na podłodze obok kanapy spoczywała jakaś skurczona postać, wciąż dająca słabe oznaki życia. Z głębokiej rany na głowie sączyła się krew, a klęczący obok Evans starał się zahamować jej upływ. Usłyszawszy kroki Howe'a, podniósł wzrok.

- Ten sukinsyn po prostu do niego strzelił - powiedział. Powell wciąż ścisnął w rękę lugera; nie protestował, kiedy Howe sięgnął po broń, a potem ostrożnie zabezpieczył.

- On albo ja - wymamrotał.

- Co, do diabła, pan sobie myśli? - warknął Evans. - To oficer policji! Strzelił pan do policjanta!

Oficer policji? Howe pochylił się, żeby spojrzeć na twarz nieszczęśnika. Na pierwszy rzut oka gość wydał mu się całkiem obcy. Stara, poszarzała twarz, naznaczona piętnem śmierci. A potem zauważył szalik... Znajomy, wilgotny, rdzawoczerwony szalik, teraz przesiąknięty krwią. To było niemal nie do uwierzenia, ale człowiekiem leżącym na podłodze - włamywaczem - okazał się nie kto inny, jak inspektor Frost we własnej osobie... Detektyw inspektor Jack Frost.

- On się tutaj włamał - poskarżył się Powell. - Próbował mnie zabić!

Wstał z trudem i podpierając się laską, pokuśtykał do okna, żeby coś pokazać.

- Spójrzcie tylko!

Drewniana rama okna została rozłupana w miejscu, gdzie ktoś starał się podważyć ją nożem. Nóż leżał na podłodze. Nóż Frosta. Na zewnątrz śnieg powoli zasypywał ślady stóp. Stóp inspektora. A podręczny zestaw wytrychów, który Frost zawsze nosił przy sobie, teraz wisiał smętnie u zamka sekretarzyka.

Dwaj policjanci popatrzyli po sobie. To po prostu nie mieściło się w głowie. Detektyw inspektor Jack Frost w swoim czasie robił różne głupie rzeczy, ale coś takiego...? Jak, do diabła, mogło do tego dojść?

Okazało się, że to długa historia. Wszystko zaczęło się cztery dni wcześniej, kiedy Joan Uphill, prostytutka, nadaremnie czekała na powrót swojej ośmioletniej córki ze szkółki niedzielnej.

NIEDZIELA

NIEDZIELA (1)

BYŁO PASKUDNE, GRUDNIOWE POPOŁUDNIE, KILKA MINUT PO czwartej. Do Wigilii Bożego Narodzenia zostało jeszcze dziesięć dni. Na zewnątrz dzień przedwcześnie się zestarzał i zmienił w noc, a zapowiadający opady śniegu wiatr grasował po ulicach, ale tu, w środku, w sypialni, za ciężkimi kotarami w kolorze burgunda, panował rozkoszny półmrok. Trzy żeberka elektrycznego kominka promieniowały ciepłem, grzejąc dwie nagie, przytulone do siebie postacie, które leżały w łóżku.

- Dobrze ci było? - obojętnie spytała kobieta.

- Świetnie - odpowiedział mężczyzna, gapiąc się w sufit. Nie patrzył na nią. Nigdy nie patrzył na nią, kiedy kończyli się kochać.

Każdego kolejnego tygodnia uprawiał seks w coraz brutalniejszy sposób. Okładał ją pięściami, tłukł z całej siły i wbijał paznokcie w miękkie, uległe ciało. Sprawiał jej ból. Ale teraz wydawało się, że nie ma to dla niego najmniejszego znaczenia. Spuścił stopy na podłogę i sięgnął po swoje ubranie, skromnie odwracając się do niej plecami.

Zwykle bywał punktualny, ale dziś spóźnił się o całą godzinę. O tej porze powinna już stać pod szkółką niedzielną i czekać na Tracey. Poganiała go w myślach; z ledwo skrywaną niecierpliwością patrzyła, jak niezgrabne palce guzdrzą się przy zapinaniu guzików. Czy celowo robił to tak powoli? Wiedział przecież, że ona musi wyjść po Tracey i że dziecko nie powinno wracać samo po ciemku, bo to niebezpieczne. Co prawda szkółka niedzielna mieściła się w budynku na drugim końcu ulicy, ale latem na ludzi w miasteczku padł blady strach, bo podobno jakiś mężczyzna częstował dzieci cukierkami i próbował zwabiać je do swojego samochodu.

W końcu - już w spodniach i dzięki temu pełen godności - zawiązał krawat i odwrócił się w jej stronę. W milczeniu zaciągała się papierosem, z góry wiedząc, co zaraz usłyszy. Zawsze padały te same słowa.

- Nie jestem pewien, czy uda mi się wpaść w przyszłym tygodniu. - Wsunął węzeł krawata pod rzadką bródkę.

- Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku, ale nie mogę umawiać się na sto procent.

Machinalnie skinęła głową i przywołała na usta wymuszony uśmiech. W każdą niedzielę mówił, że nie jest pewien, co będzie w następnym tygodniu, ale potem po prostu przychodził. Wiedziała o tym i on także wiedział; o określonej godzinie znów stanie pod jej drzwiami i naciśnie kciukiem dzwonek, ukradkiem rozglądając się po ulicy jak zbiegły z więzienia skazaniec.

Nie powiedział jej nawet, jak ma na imię. Po tygodniach intymnej znajomości знаła każdy cal kwadratowy jego skóry, ale nie miała pojęcia, kim był, co robił ani skąd przychodził. Oczywiście mogła snuć pewne domysły. Miał trzydzieści cztery, może trzydzieści pięć lat. Wyglądał na urzędnika i przypuszczalnie wciąż mieszkał z mamusią. Pewnie był dobrym synem, z całego serca kochającym matkę, którą ośmielał się opuszczać tylko raz w tygodniu w niedzielne popołudnia... „Muszę wyskoczyć na chwilę, mamuniu. Niedługo wracam”. „W porządku, synku. Tylko uważaj na siebie. Wszystkiego dobrego”.

W każdą niedzielę był tutaj, dokładnie o tej samej porze. Jedynie dzisiaj zdarzył się wyjątek, bo coś tam pokręciło się z pociągami. W każdą niedzielę. Zawsze wszystko odbywało się zgodnie z wyćwiczonym w najdrobniejszych szczegółach rytuałem, który nie

podlegał żadnym modyfikacjom. Najpierw uprzejma pogawędka nad filiżanką herbaty, demonstracja dobrych manier - nie ośmielił się usiąść, dopóki ona stała, zawsze rzucał się, żeby otworzyć przed nią drzwi - a potem sypialnia... W sypialni nagle przeistaczał się w zwierzę, w dzikie, okrutne zwierzę... I wreszcie, odwracając się skromnie, w pośpiechu wciągał na siebie ubranie, a potem padały pożegnalne słowa: „Nie wiem, co będzie w przyszłym tygodniu”.

Teraz mężczyzna otworzył portfel i wyjął trzy dziesięciofuntowe banknoty. Podniósł wysoko rękę - tak żeby mogła je zobaczyć - po czym złożył na pół i wsunął do czarno-białej wazy Wedgwooda, która stała na obramowaniu kominka. Zareagowała na ten gest krótkim skinieniem głowy, co miało oznaczać podziękowanie.

Zawsze sam szedł do drzwi, jakby pilno mu było wymknąć się z jej domu, żeby w ciemnościach wieczoru ukryć swoją hańbę. Westchnęła z ulgą, gdy wyszedł, wypuszczając w ślad za nim wielki kłęb dymu z papierosa. Miał w sobie coś, co sprawiało, że w jego obecności czuła się niewyraźnie... wystraszona. Ale on już odszedł. Mroczny cień przestał zakłócać radość dnia.

Przeciągając się leniwie, podniosła się z łóżka. Na moment zatrzymała się przed wielkim lustrem w garderobie, żeby podziwiać swoje piękne, nagie ciało. Na widok siniaka na ramieniu i wyraźnego czerwonego znaku w miejscu ugryzienia zmarszczyła brwi. W jednym miejscu skóra została uszkodzona. Trzydzieści funtów to za mało za coś takiego, pomyślała. Będzie zmuszona powiedzieć mu o tym w przyszłym tygodniu.

Chryste, która to godzina! W życiu nie uda się jej wszystkiego ogarnąć! Dochodziła czwarta dwadzieścia pięć, a dzieciaki kończyły zajęcia w szkółce niedzielnej o czwartej trzydzieści. Na pewno nie zdąży. Zresztą nic strasznego się nie stanie. Po prostu Tracey będzie musiała wrócić na własną rękę. To tylko dzisiaj, pocieszała się w myślach, a poza tym Tracey nie musi iść daleko. Zaledwie z jednego końca ulicy na drugi.

Posprzątała sypialnię i w pośpiechu wygładziła na łóżku zmiętą narzutę, a potem szybko ubrała się i wyłączyła kominek elektryczny, który stygnąc, wydawał agonalne jęki i dziwne pobrzękiwania. Wreszcie po raz ostatni spojrzała na sypialnię. Żadnych oczywistych śladów winy, pomyślała, ale mimo to w powietrzu wisiał oskarżycielski, lekko kwaśny zapach męskiego potu. Otworzyła okno i ciepło panujące w pokoju momentalnie zostało zdławione poprzez hausty nieprzyjemnego, grudniowego chłodu. Na piętrze domu naprzeciwko stała ubrana choinka - wysoka jodła, udekorowana szklanymi bombkami i połyskującym sznurem kolorowych lampek. Trzeba będzie rozejrzeć się za jakimś drzewkiem dla Tracey, pomyślała.

Z drugiego końca ulicy doleciały okrzyki i hałasy - to więźniowie ze szkółki niedzielnej wreszcie odzyskali wolność. Dzieciaki wysypywały się przez otwarte drzwi, więc wyciągnęła szyję i wyteżyła wzrok, żeby cokolwiek zobaczyć w szybko zapadającym zmroku. Wkrótce powinna dostrzec Tracey.

Pierwsza fala uczniów minęła jej dom. Tracey nie było wśród nich, ale nic dziwnego. Zawsze wlekła się w ogonie.

Potem nastąpiła krótka przerwa i po chwili do jej uszu dotarły podekscytowane głosiki, które wśród „ochów” i „achów” wyrażały zachwyty na widok pięknie oświetlonej choinki.

W końcu nadciągnęła grupa maruderów. Ta dziewczynka na samym końcu to z pewnością Tracey. Ale nie... Z bliska wydawała się znacznie starsza. Wreszcie ulica opustoszała. Żadnych dzieci. Cisza.

Nagle zorientowała się, że drży. Zamknęła okno i zaczęła rozcierać gęsią skórkę na nagich przedramionach. Ale to nie przez zimno trzęsła się jak w febrze i szczękała zębami. Sprawił to miękki, świszczący strach o wilgotnych wargach, który szeptał jej wprost do ucha, że Tracey nie wróci do domu. Na pewno nie dziś wieczorem. Ani w żaden inny dzień.

NIEDZIELA (2)

NIEDZIELA NA POSTERUNKU POLICJI W DENTON WYGLĄDAŁA dokładnie tak samo jak każdy inny dzień, ponieważ ludzie upijali się i tłukli w drobny mak szyby w knajpach. Mężowie i żony walczyli do upadłego, rozwalając szczęśliwe dotąd rodziny, ich sąsiedzi zaś dzwoniли ze skargami, że hałas przeszkadza im oglądać telewizję. Niezawodne alarmy antywłamaniowe uruchamiały się całkiem przypadkowo, a buńczuczni kierowcy z pewnymi siebie minami przynosili polisy ubezpieczeniowe, które kazano im dostarczyć po drobnych stłuczkach spowodowanych ubiegłej nocy. Oprócz tego zdarzały się włamania do domów i napady na łatwowieczne starsze damy... Słowem, dzień jak co dzień.

Sierżant dyżurny Johnnie Johnson przemarzył do szpiku kości, bo szpara pod wahadłowymi drzwiami wpuszczała do środka lodowaty wiatr, który bez przeszkód hulał po całym holu. Cholerny kaloryfer, niezbyt wydajny nawet w swoich najlepszych czasach, zapowietrzył się do tego stopnia, że nawet kopanie go z całej siły nie przynosiło pożądanych efektów. Nagle zabrzączał telefon na biurku. Po drugiej stronie odezwał się podniesiony głos komisarza Mulletta.

- Tak jest, sir. - Johnson usiłował uspokoić przełożonego. - Wszystko jasne. Właśnie wysłałam po niego samochód... Nie, sir, tak się składa, że dziś jest wyjątkowo spokojnie. To chyba przez tę pogodę.

Przez pogodę! Mówcie sobie, co chcecie na temat zimna na dworze - sierżant zatupał mocno, żeby krew szybciej zaczęła krążyć w zlodowaciałych palcach u stóp - ale z pewnością właśnie dlatego przestępcy wykazywali dziś tak niewielką aktywność. Osobnicy tego pokroju nie mają szacunku dla szabasu, za to w taką noc jak dziś nawet najbardziej zatwardziały kryminalista woli siedzieć we własnym domu przy ciepłym kominku.

Sierżant zdecydował, że w tej sytuacji może na kilka minut porzucić biurko zgłoszeń, i potruchtał na drugą stronę holu do pokoju zwierzchnika.

- Czy mamy kogoś, żeby pojechał odebrać z dworca tego nowego koleśia? Stary dzwonił przed chwilą w tej sprawie.

Kontroler zerknął w rozkład dyżurów.

- Able Baker cztery może po niego pojechać, sierżancie... Ale o co tu chodzi? Czemu mamy z honorami witać jakiegoś wszawego gnojka, który przyjeżdża tu odgrywać pieprzonego detektywa?

- Ponieważ przypadkiem tak się składa, że ten wszawy gnojek jest bratankiem szefa policji - wyjaśnił sierżant. - A nasz stary, poczciwy dowódca dobrze wie, gdzie stoją konfitury.

Wyraźnie zwlekał z powrotem na swoje stanowisko. W pokoju operacyjnym było znacznie cieplej niż w przewiewnym holu.

- Zdarzyło się coś ciekawego?

- Nie, sierżancie... Jest spokojnie... Cholernie spokojnie... Na pewno przez tę pogodę.

Z holu dobiegł dźwięk telefonu, ale Johnson nie musiał pędzić, żeby go odebrać. Posterunkowy Lambert właśnie wrócił z przerwy na lunch. Dzwoniła jakaś kobieta, której córka nie wróciła do domu ze szkoły niedzielnej.

Pociąg wyjeżdżający z Londynu na prowincję o trzeciej czterdzieści pięć zwolnił, wchodząc w ostatni zakręt przez wjazd na stację w Denton. Wagon przechylił się i zmięte wydanie niedzielnej gazety zsunęło się z kolan Clive'a Barnarda na podłogę. Palcami wytarł parę wodną z szyby i próbował wyrzucić na zewnątrz, ale napotkał tylko mroczne odbicie własnej twarzy - dwudziestotrzyletniego mężczyzny o jasnych włosach i z nosem, który wyglądał tak, jakby został źle złożony po złamaniu.

Któryś ze współpasażerów popukał go lekko w kolano. - Zaraz będziemy w Denton.

Clive podziękował lekkim skinieniem głowy i zabrał się do ściągania walizki z półki - tej samej walizki, którą dziś rano pakował w olśniewającym, stołecznym Londynie, zaledwie siedemdziesiąt kilka mil stąd. Naprawdę trzeba mieć cholernego pecha, żeby dostać przeniesienie do jakiejś pieprzonej dziury, w dodatku tuż przed świętami Bożego Narodzenia!

Już wcześniej miał okazję widzieć to miejsce i ten raz całkowicie mu wystarczył. Denton samo w sobie było uroczym miasteczkiem, w którym odbywały się jarmarki, pełnym domów w stylu króla Jerzego i chodników brukowanych kocimi łbami, ale żelazna ręka postępu wybrała to właśnie miasto jako obiekt specjalnego traktowania. Denton wyznaczono do prezentacji projektu tak zwanego Nowego Miasta - zostało powiększone, zmodernizowane, przebudowane i zrujnowane. Żeby wybudować połowę nowych osiedli, zrównano już z ziemią całe akry okolicznych farm i wycięto lasy. Na ich miejscu stanęły nowoczesne, czyste i łatwe w obsłudze domy, a do ich zasiedlenia ściągnięto tłumy nowożeńców-ciułaczy. Potem wzniesiono fabryki, dzięki którym wspomniani nowożeńcy stali się niewolnikami monotonnego zajęcia polegającego na płaceniu czynszu, spłacaniu rat za lodówkę i kolorowy telewizor, i zarabianiu na koszty utrzymania samochodu, który codziennie zawoził ich do pracy...

Jak dotąd udoskonalająca ręka postępu nie tknęła starej, handlowej części miasta, ale nie znaczyło to, że wyrok został odwołany - jedynie odroczone jego wykonanie. Widocznie planiści zostawiali sobie ten smakowity kąsek na sam koniec.

Posterunek policji w Denton mieścił się na Starym Mieście i był właśnie tym posterunkiem, na który w przejmujący zimnym poniedziałkowy poranek, dokładnie o dziewiątej rano, miał się zgłosić detektyw posterunkowy Clive Barnard, w którego portfelu spoczywała bezpiecznie nowiutka legitymacja służbowa.

Nikt inny nie wysiadał na stacji w Denton. Drzwi przedziału zatrzasnęły się, zanim pociąg - któremu najwyraźniej spieszyło się do odjazdu - z głuchym dudnieniem ruszył ku innemu, bardziej ekscytującym celom. Clive patrzył, jak tylne światła nikną w oddali, i czuł, że w jego sercu wzbiera gorycz za pozostawienie go w tak żalnym miejscu w chłodny i nieprzyjazny niedzielny wieczór.

Kontroler z rozdzierającym ziewnięciem wyciągnął rękę po bilet, nie zadając sobie przy tym trudu, żeby podnieść wzrok znad stron „Sunday Mirror”. Clive dźwignął swój bagaż i wszedł do hali biletowej, kiepsko oświetlonej i o tej porze zupełnie pustej. Co prawda obiecano mu, że ktoś będzie tu na niego czekał, ale czego można się spodziewać po ludziach mieszkających w takiej dziurze? Nagle Able Baker cztery z piskiem hamulców zatrzymał się przy krawężniku, a migający na dachu radiowozu kogut wyrzucał Clive’owi te niegodne wątpliwości. Kierowca, posterunkowy Jordan - wysoki, szczupły dwudziestosześcioletek z czarnymi wąsami - otworzył tylne drzwi i kciukiem pokazał, żeby Clive wskakiwał do środka. Potem szybko przedstawił siebie i swojego kolegę, posterunkowego Simmsa, faceta z twarzą okrągłą jak księżyc w pełni. Krótka ceremonia dobiegła końca i wóz z szarpnięciem oderwał

się od krawężnika, kierując się w stronę kwatery przeznaczoną dla Clive'a. Boże, cóż to za lodowate przyjęcie, pomyślał z niechęcią. Miał nadzieję, że współmieszkańcy okażą się trochę serdeczniejsi.

- Co się stało z twoim nosem? - spytał Simms po kilku minutach niezręcznej ciszy.

Nos został złamany pierwszego dnia służby, kiedy Clive wyszedł na miasto w pieszym patrolu. Próbował odgrywać rolę rozjemcy w sporze pomiędzy dwoma podchmielonymi awanturnikami i na jego nieszczęście skończyło się na tym, że obydwaj postanowili mu przyłożyć.

Simms tylko chrząknął, słysząc te wyjaśnienia.

- Ja tam zawsze pozwalałam im się bić do ostatka, a potem biorę do aresztu tego, który zwyciężył. To co prawda oznacza, że muszę chować się za rogiem, póki nie skończą, ale przynajmniej mam nos w jednym kawałku...

Znów nastąpiła chwila nieprzyjemnej ciszy.

- A jakże się miewa szanowny stryjaczek? - Simms wreszcie wydusił z siebie najważniejsze pytanie.

Clive westchnął. No tak, teraz przynajmniej było wiadomo, skąd się wzięła ta początkowa wrogość. Powinien był przewidzieć, że rodzinne koneksje mogą przysporzyć mu kłopotów, zwłaszcza w kontaktach z takimi prostakami. W Londynie koledzy traktowali to jako znakomity żart. Trochę nabijali się z niego, ale każdy wiedział, że Clive ciężko zapracował sobie na stopień detektywa posterunkowego i że nigdy nie spodziewał się specjalnych względów ani nie mógł liczyć na żadne ulgi. Ale tutaj, w tym zapyziałym zakątku świata, był uważany za impertynenta, za rozpieszzone dziecko z wielkiego miasta, które zawsze może liczyć na pomoc wpływowego krewniaka.

- Czy masz na myśli szefa policji? - zapytał z niewinną miną.

Simms doskonale udał zaskoczenie.

- Ach, więc to on jest twoim stryjem? Och, to oczywiście tłumaczy zbieżność nazwisk...

- ...jak również fakt, że musiałem zapieprzać po ciebie, zupełnie jakbym był jakimś cholernym szoferem - dorzucił Jordan, jednocześnie trąbiąc na psa, który właśnie zamierzał przejść przez jezdnię. - Nie mogliśmy przecież wymagać, żeby bratanek szefa policji jechał autobusem jak zwykły śmiertelnik...

- Lepiej postawmy sprawę jasno - parsknął wściekle Clive. - Wcale nie prosiłem, żeby ktoś po mnie wychodził, a jeśli sądzicie, że mogę liczyć na przychylność stryja, to

zapewniam, że w pierwszej kolejności poprosiłbym go o przeniesienie dokądkolwiek, tylko nie do tej śmierdzącej, zapadłej dziury!

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, ale napięcie nieco zelżało. Dwaj mężczyźni w mundurach wymienili pospieszne spojrzenia.

- Powiedziałaś „śmierdząca, zapadła dziura”? - spytał Simms. - W takim razie musiałeś bywać tu wcześniej.

Wyciągnął z kieszeni pudełko papierosów i poczęstował. Atmosfera wyraźnie się ociepliła.

- Masz rację, Clive - kontynuował, a Clive z przyjemnością zauważył, że po raz pierwszy wypowiedziano jego imię. - To miejsce to naprawdę zapadła dziura... a właściwie półtorej dziury. Była kiedyś małą dziurą, ale potem ktoś wpadł na pomysł, żeby ją rozbudować, i teraz mamy wielką dziurę!

- Wcale nie jest taka zła - zaproponował Jordan, kiedy czekali na zmianę świateł, choć w zasięgu wzroku nie było żadnego pojazdu. Nie tylko przestępcy woleli zostać w domu w taką pogodę.

- Jak się domyślam, moim przełożonym będzie detektyw inspektor Allen - zauważył Clive. Teraz starał się strząsnąć popiół do przepelnionej popielniczki. - Jaki on jest?

- Krótko mówiąc, to skurwysyn - mruknął Simms. Jordan okazał się bardziej wielkoduszny.

- Nie jest taki zły... Co prawda ma bzika na punkcie prowadzenia dokumentacji. Robi to po swojemu, a tobie nie wolno za bardzo odbiegać od jego standardów. Pamiętaj, że ma dość cięty język i że lubi wyżywać się na tych, co za wolno pracują. Mój obecny tu kolega i przyjaciel niestety miał okazję przekonać się o tym na własnej skórze...

- A co powiecie o komendancie posterunku, panu Mulletcie?

- Komisarz Mullett jest zarozumiałym, nadętym dupkiem, który w dodatku na niczym się nie zna - odpowiedział Simms.

I znowu Jordan zaprzeczył.

- Facet ma pewne wady, ale ogólnie jest w porządku. Jak długo nosisz mundur?

- Dwa lata.

Jordan uśmiechnął się od ucha do ucha. Nikt nie mógł być brany pod uwagę przy rekrutacji do wydziału kryminalnego, dopóki nie przesłużył co najmniej dwóch lat w służbach mundurowych. Clive zaliczył niezbędne minimum.

- I co, pewnie nie możesz się doczekać, kiedy się go pozbędziesz?

- No wiesz, wstąpiłem do policji z jedną myślą - żeby kiedyś pracować w wydziale kryminalnym. Nie bierzcie tego za brak szacunku, ale dla mnie praca detektywa jest kwintesencją pracy policjanta.

Jordan wjechał na rondo i zakręcił w lewo.

- Mnie tam nigdy byś nie namówił na zmianę roboty - oświadczył. - Nie ma to jak być mundurowym. Proszę zauważyć, że kiedyś były całkiem inne czasy. A potem ktoś doszedł do wniosku, że taki gość chodzący przy krawężniku musi być gruby, niezgrabny i powolny jak żółw - tak jak mój obecny tu kolega - i że elita z wydziału kryminalnego może go wykorzystywać jedynie do pilnowania drzwi, żeby niepowołane osoby nie przeszkadzały w prowadzeniu śledztwa. Ewentualnie można kazać mu przynieść herbatę, odnieść z powrotem resztę i bez szemrania pracować we wszystkich godzinach, jakimi dobry Bóg zechciał nas obdarzyć, ale to wszystko...

- Teraz jest dokładnie tak samo - wymamrotał Simms.

- Tylko że możemy szemrać. Jordan prychnął z rozdrażnieniem.

- Wiesz dobrze, że jest całkiem inaczej. Teraz jesteśmy samodzielnym zespołem i oczekuje się od nas odrobiny inicjatywy. Założę się, że przez jeden dzień wykonujemy więcej podstawowej pracy śledczej niż przeciętny detektyw z kryminalnego przez miesiąc. Poza tym w przeciwieństwie do nich pracujemy w stałych godzinach.

- Hej, wygląda na to, że to całkiem porządna robota.

- Simms się uśmiechnął. - Chyba się przyłączę.

Odwrócił się do Clive'a.

- Nie wiem, do czego przywykłeś w mieście, ale obawiam się, że twoja kwatery będzie raczej obskurna. W obecnych czasach ciężko jest znaleźć coś przyzwoitego - a my, mundurowi, zawsze dostajemy to co najlepsze, jak zresztą można się spodziewać.

Clive właśnie miał coś odpowiedzieć, kiedy Simms zeszytniał, pstryknął palcami, żeby byli cicho, i pokręcił gałką, żeby zwiększyć głośność radia.

Dyspozytor w Denton wzywał Able Baker cztery.

Simms zgłosił się na wezwanie, podając pozycję radiowozu. Mieli natychmiast skierować się pod numer dwadzieścia dziewięć na Vicarage Terrace i przeprowadzić rozmowę z panią Joan Uphill, która właśnie zgłosiła, że jej ośmioletnia córka, Tracey Uphill, od czwartej trzydzięci nie wróciła do domu po zajęciach w szkółce niedzielnej.

Zanim jeszcze Simms zdążył potwierdzić przyjęcie polecenia, Jordan zakręcił w miejscu i popędził z powrotem, w stronę Vicarage Terrace.

*

Próbowała już we wszystkich możliwych miejscach - dzwoniła albo szła tam. Potem włóczyła się po ulicach, nawołując Tracey, podczas gdy wiatr unosił jej włosy i trzepotał połami rozpiętego futra. Nie zamierzała zapuszczać się tak daleko, ale gdzieś z oddali doleciał do niej słaby, ledwo słyszalny szmer dziecięcych głosików, który przyciągnął ją jak błędny ognik. Jeszcze jeden zakręt, potem następny... W końcu zmęczenie zmusiło ją do zatrzymania się. Lecz kiedy stukot jej kroków zamarł na pustej ulicy, szmer dziecięcych głosów przeobraził się w niewyraźne pogwizdywanie wiatru, niezależnie od tego, jak bardzo wytrzymała słuch.

Zapędziła się stanowczo zbyt daleko. Co będzie, jeśli Tracey wróci akurat teraz i nie zastanie jej w domu? Strach sprawił, że przyspieszyła kroku. Nogi od połowy łydek aż do ud dosłownie pękały z bólu, ale mimo to zmuszała się, żeby iść coraz szybciej. W końcu dotarła do domu, ale na zewnątrz nikt nie czekał. Ani śladu Tracey. Zawołała ją, ale w odpowiedzi usłyszała jedynie smutne zawodzenie wiatru. Weszła do środka i nie zdejmując futra, przykucnęła przy telefonie, żeby jeszcze raz zadzwonić do przyjaciółki córki. Inne matki, których dzieci bezpiecznie wróciły do domów, teraz starały się ją uspokoić.

- Nie ma powodu do niepokoju, pani Uphill. Tracey wkrótce wróci, przekona się pani. A teraz proszę mi wybaczyć... Herbata stygnie...

Wreszcie wykonała ostatni telefon i znów nie pozostało jej nic do roboty. Dom, bardziej pusty niż kiedykolwiek, wydawał się dziwnie odmieniony, jakby dopasowywał się do faktu, że mieszkające w nim dziecko nigdy tu nie wróci. Nagle poczuła się wyczerpana, zagubiona, bezradna. Nie było ani jednej osoby, do której mogłaby teraz się zwrócić - żadnych przyjaciół, krewnych... Zupełnie nikogo. Pochyliła się i oparła rozpalone czoło na chłodnej obudowie telefonu. Ze słuchawki dobiegał beznamiętny komunikat: „Policja - wybierz 999”.

Odruchowo wykręciła podany numer. Operator połączył ją z posterunkiem policji w Denton. Było sześć minut po siódmej wieczorem.

Telefon odebrał posterunkowy Ronald Lambert, dwudziestotrzyletni, nieżonaty młodzieniec z okazałą brodą.

Była to trzydziesta ósma rozmowa, jaką przeprowadził od momentu przyjścia na służbę, czyli od godziny drugiej po południu. Nienawidził pracy przy biurku. W holu panował przeraźliwy chłód, tym dotkliwszy, że Lambert właśnie wrócił z ciepłutkiej kantyny. Czekając na zgłoszenie dzwoniącej osoby, zanotował w dzienniku czas. Dziewiętnasta zero sześć. Dzwoniła jakaś kobieta, która najwyraźniej znajdowała się na granicy rozstroju nerwowego. Z początku w ogóle nie mógł zrozumieć, co mówiła. Coś o jakiejś dziewczynce i

o szkółce niedzielnej. Z cierpliwością zrodzoną z długiej praktyki poprosił, żeby powtórzyła wszystko od początku, tylko wolno i wyraźnie.

- Moja córeczka nie wróciła do domu... Szukałam jej wszędzie... Wszędzie..

Dyspozytor najpierw postarał się ją uspokoić, a potem systematycznie wyciągnął z niej wszystkie istotne szczegóły.

- Mówi pani, że powinna być o czwartej trzydzieści? Należało wcześniej nas powiadomić... Proszę się nie rozłączać.

Za jego plecami znajdował się ruchomy panel łączący hol z pokojem dyspozytora. Jednym ruchem przesunął ściankę. Posterunkowy Philip Ridley, który właśnie rozmawiał o czymś z sierżantem, podniósł na niego pytający wzrok.

- Mam na linii panią Uphill spod numeru dwadzieścia dziewięć na Vicarage Terrace. Jej ośmioletnia córka, Tracey Uphill, wyszła ze szkółki niedzielnej przy parafii Świętego Bazylego i dotychczas nie wróciła do domu. Matka bardzo się niepokoi.

Vicarage Terrace. Ridley nie potrzebował spoglądać na mapę, żeby wiedzieć, że ta ulica znajduje się w okręgu C - jednym z dwóch obsługiwanych przez policyjny wóz Tango Charlie jeden. Ale Tango Charlie jeden właśnie został wezwany do bijatyki między mężem a żoną, określanej mianem „awantury domowej”. Kogo jeszcze mamy? - pomyślał. Ach, jest jeszcze wóz patrolowy Able Baker cztery. Chłopcy nie mieli nic ważnego do roboty, oczywiście poza odwiezieniem na kwaterę cennego bratanka szefa policji. No cóż, facet będzie musiał trochę poczekać. Nikomu nie stanie się krzywda, jeśli ta nadęta świnia dla odmiany pojedzie popatrzeć sobie, jak wygląda prawdziwa policyjna robota.

Pstryknął przełącznikiem na nadajniku i wywołał Able Baker cztery. Głośnik zatrzeszczał i zaraz odezwał się głos Simmsa.

- Tak, dyspozytornia? Vicarage Terrace? Możemy być tam za cztery minuty.

Po drugiej stronie ruchomego panelu posterunkowy Lambert odsunął dłoń, którą dotąd zakrywał mikrofon.

- Pani Uphill? Przepraszam, że musiała pani czekać. Proszę zostać w domu, wóz patrolowy już do pani jedzie. I proszę się nie martwić, na pewno ją znajdziemy.

Odłożył słuchawkę na widełki i zasunął panel, a potem - tak samo jak dyspozytor, każdy w osobnym pomieszczeniu

- zanotował w dzienniku przyjęcie wezwania i usiadł, żeby czekać na następny telefon. Na razie niedziela zapowiadała się dość monotennie. Sierżant doszedł do wniosku, że warto skorzystać z tej chwili spokoju i zrobić sobie przerwę na herbatę.

*

- Bardzo mi przykro! - wrzasnął Jordan, przepychając wóz patrolowy przez labirynt bocznych uliczek, zatłoczonych przez parkujące tam samochody. - To zajmie nam trochę czasu. Może lepiej by było, żebyśmy cię gdzieś podzucili?

Clive pokręcił głową. Wcale nie spieszyło mu się na kwaterę. Tak czy owak postanowił resztę tego nudnego wieczoru spędzić tutaj, tym bardziej że była dopiero siódma. Jeśli chłopcy nie będą mieć nic przeciwko temu, to chętnie pojedzie z nimi na miejsce wezwania.

- Będziesz mógł nam pokazać, w którym miejscu popełniamy błędy - zauważył Simms, notując coś w dzienniku.

Samochód włókł się wzdłuż Vicarage Terrace, szukając wśród pograżonych w mroku ganków numeru dwadzieścia dziewięć. To nie powinno potrwać dłużej niż kilka minut. Zazwyczaj zagubiony dzieciak i policja zjawiali się w tym samym momencie - dzieciak po to, żeby najpierw dostać w skórę, a następnie zostać przytulony, a policja po to, żeby wysłuchać słów usprawiedliwienia. Potem padało sakramentalne: „A teraz przepros pana policjanta”, na co ów zwykle reagował w jeden sposób: „Po to jesteśmy, szanowna pani. To dobrze, że wszystko skończyło się w ten sposób”.

Zazwyczaj... Ale nie zawsze.

- To chyba tutaj! - zawołał Simms, wskazując na dom. Jakby dla potwierdzenia tych słów drzwi otworzyły się szeroko i jakaś nastolatka zaczęła wymachiwać rękoma jak szalona.

Dwaj mundurowi wysiedli z wozu i nałożyli czapki z daszkiem, które zdejmowali, gdy wsiadali do auta. Simms zabrał ze schowka na rękawiczki notatnik i długopis i upewnił się, że ma przy sobie własny odbiornik radiowy. Clive szedł z nimi, zachowując pełen szacunku dystans. Nie mógł oderwać oczu od dziewczyny stojącej w wejściu do domu, od jej blond włosów o lekko popielatym odcieniu i od prostej wełnianej sukienki w kolorze lawendy, która miękko opływała zaokrąglone kształty młodego, dziewczęcego ciała. To musi być siostra zaginionej dziewczynki, wywnioskował. Była po prostu fantastyczna - niewinna, nieskalana niczym piękność, którą widywał w najdzikszych, erotycznych fantazjach.

Nagle Jordan zwrócił się do niej per „pani Uphill”! Czy to możliwe, żeby to dziecko miało ośmioletnią córkę? Ale ona nie była dziewczyną, tylko dwudziestoczteroletnią kobietą, chorą ze zmartwienia.

- Tak, to ja jestem Uphill. Czy znaleźliście ją? - W jej głosie brzmiała ledwo powstrzymana histeria.

Jordan uśmiechnął się ze współczuciem i lekko pokręcił głową.

- Jeszcze nie, pani Uphill. Proszę dać nam szansę, dopiero przed chwilą otrzymaliśmy wezwanie. Moglibyśmy wejść do środka?

Poprowadziła ich do obszernego salonu, bogato umeblowanego i wyłożonego boazerią z drewna różanego, gdzie na podłodze pysznił się kosztowny dywan w kolorze złamanej bieli. Oprócz szerokoekranowego telewizora znajdował się tam prawdziwy bar - zupełnie jak w pubie - z kontuarem i beczką z piwem.

Usiedli w obitych kremową skórą fotelach, chciwie wciągając w nozdrza zapach bogactwa. Simms zadawał większość pytań i od razu zapisywał odpowiedzi.

- Na początku muszę panią trochę ponudzić, pani Uphill. Interesują nas pewne szczegóły. Kiedy widziała pani córkę po raz ostatni? Przez budynkiem szkoły niedzielnej? Rozumiem... Czy zaprowadziła ją tam pani osobiście? Dobrze. Która to mogła być godzina?

Kiedy Simms wyciągał z pani Uphill niezbędne wiadomości, Clive trochę rozejrzał się po pokoju. W tym domu nie brakowało pieniędzy, nawet świeżo upieczony detektyw mógł od razu to zauważyć. Obfitość wszelakich dóbr dosłownie rzucała się w oczy. Ale gdzie, do cholery, podziewał się mąż? Nikt ani słowem nie wspomniał o jego istnieniu. Być może ta zachwycająca kobieta była wdową, a może rozwódką. O cokolwiek chodziło, jedno wydawało się pewne - pan Uphill zatroszczył się o byt żony. Półki za barem uginały się od najwymyślniejszych trunków; pudełka z papierosami - z filtrem albo bez, do wyboru - były wypełnione po brzegi. Wystarczyło wymienić ulubioną markę. Na kontuarze leżały grube cygara ze złoto-czerwonymi obwódkami... Słowem, mnóstwo różnych atrakcji dla mężczyzny, ale ani śladu męskiej obecności. Wzrok Clive'a przesunął się na twarz dziewczyny. Słuchała uważnie słów Simmsa. Jej lekko rozchylone wargi sprawiały wrażenie wilgotnych, a pozbawiona makijażu cera wydawała się bez skazy. Clive poczuł narastające podniecenie i natychmiast je zdławił, strofując się w duchu za te sprośne myśli, godne jakiegoś maniaka seksualnego. W takiej jak ta chwili... Ta biedna, bezradna istota... Och, gdyby tylko mógł jakoś ją pocieszyć, dodać jej otuchy...

Tymczasem Jordan i Simms kontynuowali przesłuchanie. Na tym etapie nie ma jeszcze powodu do paniki, przekonywali. Trzy godziny to niewiele dla dzieciaka, który po prostu mógł gdzieś zabłądzić. Prawdopodobnie dziewczynka zawędrowała dalej, niż zamierzała, i nie umiała znaleźć drogi powrotnej. Należy postawić wszystkie patrole w stan gotowości, a w ciągu godziny mała znajdzie się w domu. Ale wtedy spojrzenie Clive'a powędrowało w kierunku okna, niezasłoniętego ciężkimi kotarami. Na zewnątrz rosnące obok latarni drzewo skręcało się i drżało, wstrząsane podmuchami coraz silniejszego wiatru. Co będzie, jeśli nie uda się jej szybko odnaleźć? W tym wypadku pogoda stanowiła prawdziwe

zagrożenie. W nocy temperatura gwałtownie spadnie poniżej zera, więc jeśli dziewczynka wciąż przebywała na dworze, do tego w nieodpowiednim stroju...

Zdecydował się przerwać kolegom.

- Pani Uphill, jak Tracey była ubrana, kiedy wychodziła z domu?

Dwa nieprzyjazne spojrzenia skierowały się ku niemu, kiedy pani Uphill gwałtownie odwróciła się, jednocześnie odsuwając z twarzy pasemko blond włosów.

- W taki gruby, niebieski płaszczyk z szalikiem...

- Najmocniej przepraszam, że się wtrącam... - wycedził Jordan, obrzucając Clive'a mało życzliwym spojrzeniem

- ...ale już otrzymaliśmy od pani tę informację. Nie mamy czasu, żeby pytać dwa razy o to samo.

No tak, pomyślał Clive. Od razu wiadomo, gdzie moje miejsce. Ale na myśl o tym, że dziecko wyszło z domu w ciepłym ubraniu, poczuł w sercu ulgę. Taki drobiazg mógł zdecydować o życiu albo śmierci.

- Czy ma pani fotografię Tracey? - zapytał Simms.

- Chcemy mieć pewność, że przyprawimy właściwą dziewczynkę.

Słyszając ten żart, zmusiła się do słabego uśmiechu, a potem szybko zaczęła przeglądać zawartość szuflady. Przez pośpiech jej palce wydawały się całkiem niezdarne. Po co te wszystkie pytania? - myślała z trwogą. Czy nie mogą po prostu wyjść na miasto i zacząć szukać? I czemu jest ich aż trzech? Czy dwóch nie mogło od razu zabrać się do roboty, podczas gdy trzeci zadawałby te wszystkie głupie pytania? Wreszcie znalazła jakąś fotkę. Clive rzucił okiem ponad ramieniem Simmsa i ujrzał kolorową fotografię uroczego dziecka, równie pięknego jak matka i z takimi samymi włosami w popielatym kolorze, które lśniły w promieniach słońca.

Simms nabazgrał coś na odwrocie fotografii, założył nakładkę na pióro i znacząco popatrzył na Jordana. Ten od razu zrozumiał, o co chodzi.

- Jeszcze jedna rzecz, pani Uphill. Musimy przeszukać dom.

Zaczęli od górnego piętra i powoli posuwali się w dół. Nie znaleźli zupełnie nic, ale przeszukanie było absolutnie niezbędne. Wiele razy zdarzało się, że zaginione dziecko siedziało w szafie albo jakimś schowku, podczas gdy legiony policjantów przeczesywały ulicę po ulicy... Dla dzieciaka był to znakomity żart, choć kilka lat wcześniej zdarzył się straszliwy wypadek. Po tygodniach intensywnych poszukiwań z udziałem setki ochotników, po przeczesaniu przez nurków okolicznych rzek i zbiorników wodnych, oficer policji przyszedł do domu zaginionego dziecka i zwrócił uwagę na niedużą skrzynkę. Jej wielkość

wskazywała na to, że w środku mieszczą się książki albo zabawki. O wiele za mała, pomyślał, ale mimo to zajrzał do środka. I znalazł ciało. Chłopiec wcisnął się do skrzynki i opuścił wieko; zamek zaskoczył, zamykając go w pułapce, a wewnątrz prawie wcale nie było powietrza... Tyle tygodni poświęcono na daremne poszukiwania, podczas gdy chłopiec cały czas był w domu. Ale Tracey z pewnością nie było.

Wrócili do salonu, gdzie pani Uphill siedziała skulona na fotelu i bezmyślnie darła jedną papierową chusteczkę po drugiej. Kiedy Jordan się odezwał, nawet nie podniosła głowy.

- Niczego nie znaleźliśmy, pani Uphill, ale proszę nie odchodzić od telefonu. Jak tylko czegoś się dowiemy...

Bez słowa skinęła głową.

- I oczywiście proszę od razu nas powiadomić, jeśli Tracey wróci do domu, dobrze? Znów ten sam gest.

Jordan wzruszył ramionami, a następnie dał znak pozostałym, żeby szli za nim. Tuż przy drzwiach Clive odwrócił się raz jeszcze. Ta dziewczyna wyglądała tak żałośnie, tak bezbrinnie i samotnie...

- Czy jest ktoś, kto mógłby z panią zostać, pani Uphill? Ktoś z rodziny, może jakaś przyjaciółka?

Piękne oczy spojrzały na niego, ale nie dostrzegł w nich emocji.

- Nie mam żadnych przyjaciółek... Ani żadnej rodziny... - Uśmiechnęła się gorzko. - Ale dziękuję panu.

Jordan popukał go w ramię i kciukiem wskazał drzwi wejściowe. Pani Uphill wyciągnęła następną chusteczkę z pudełka.

Kiedy znaleźli się w samochodzie, Simms podał przez radio szczegóły dotyczące wyglądu dziewczynki, żeby centrum operacyjne mogło przekazać je wszystkim wozom patrolowym. Dyspozytor polecił mu odwiedzić Clive'a na kwaterę, a potem wrócić na posterunek z fotografią zaginionej.

Samochód powoli przeciskał się po własnych śladach przez wąską, boczną uliczkę i wkrótce znalazł się na głównej drodze.

- No cóż, może skorzystajmy z twojego wielkomięjskiego doświadczenia - zakpił Simms. - Jaką ewentualność powinniśmy brać pod uwagę?

Clive wzruszył ramionami.

- Moim zdaniem jest trochę za wcześnie na wyciąganie wniosków. Dzieciak w każdej chwili może wrócić do domu.

Nagle przypomniał sobie pytanie, które od dłuższego czasu nie dawało mu spokoju.

- A gdzie się podział ojciec tej małej? To znaczy mąż pani Uphill?

W lusterku wstecznym dostrzegł pełen politowania uśmiezek Jordana.

- Ona nie jest mężatką, Clive. Zwracamy się do niej per „pani” jedynie przez uprzejmość.

Clive zmarszczył brwi.

- Więc skąd ma tyle pieniędzy? Fotel, na którym siedziałem, musiał kosztować przynajmniej czterysta funtów, jeśli nie więcej.

Simms odwrócił się na fotelu.

- Dam ci pewną wskazówkę. Ona sama jest dla siebie i szefem, i pracownikiem, a forsa, którą miałaś okazję podziwiać w jej salonie, została zarobiona w sypialni.

Dostrzegł we wzroku Clive’a kompletny brak zrozumienia i nie wytrzymał.

- Chryste, czy ty naprawdę jesteś taki tępy, czy tylko udajesz? Ona jest dziwką, kurwą, prostytutką! Daje dupy za kasę, rozumiesz?

Clive aż zaniemówił ze zdumienia pomieszanego z niedowierzaniem. Boże, tylko nie to! Nie ona, nie to niewinne dziecko! Dlaczego tak łatwo przyszło im do głowy, że właśnie o to chodzi?

- Mam nadzieję, że cię to nie zaszokowało - kontynuował Simms. - Pewnie w Londynie nie ma takich niegodziwych kobiet, prawda? Wiem, to trochę nieprzyzwoite, ale widzisz, to miasteczko chyli się ku upadkowi. Będzie całkiem inaczej, przekonasz się, jak wreszcie pobudują te salony do gry w bingo. - Zerknął na Jordana w nadziei, że zobaczy uznanie na twarzy kolegi, ale kierowca siedział z ponurą miną, pogrążony we własnych myślach.

- Przepraszam - powiedział w końcu - Coś mi się przypomniało. Chodzi o szkółkę niedzielną.

- Świętego Bazylego?

- Tak. Pamiętasz, jakie kłopoty mieliśmy z nią w lecie?

- Cholera! - zaklął Simms. - Faktycznie! Jakiś facet wabił cukierkami dzieci do swojego samochodu. W końcu nie udało się nam go namierzyć, mam rację?

- Masz rację - potwierdził Jordan. - Nie udało się.

Zakręcił kierownicą i samochód zjechał z głównej szosy w wąską uliczkę, otoczoną z obu stron segmentami mieszkalnymi.

- No to jesteśmy na miejscu.

To właśnie była Sun Street. Kwatera Clive'a mieściła się pod numerem dwudziestym dziewiątym, w szeregowcu, który niczym się nie odróżniał od sąsiednich domów. Kiedy wyjął z bagażnika walizki i pożegnał się, zasłona w oknie na parterze rozsunała się i snop światła wślizgnął się pomiędzy nierówności chodnika. Clive patrzył, jak wóz patrolowy rusza w dalszą drogę, i nie drgnął, aż ciemność połknęła światła auta. Wtedy poczuł się samotny i opuszczony, dokładnie tak samo jak dzisiejszego wieczora musiała się czuć tamta kobieta. W końcu odwrócił się, postawił bagaże na chodniku i zapukał do drzwi.

PONIEDZIAŁEK

PONIEDZIAŁEK (1)

KOMISARZ MULLETT, KOMENDANT POSTERUNKU DENTON, zatrąbił ostrzegawczo i ostrożnie skierował swojego nowiutkiego błękitnego jaguara na zatłoczony policyjny parking. Kilka minut po ósmej rano w zimny i ciemny poniedziałkowy poranek parking powinien być oazą przestrzeni i spokoju, upstrzoną jedynie kilkoma dziwacznymi samochodami należącymi do nieszczęśników z porannej zmiany, ale dziś był po brzegi wypełniony przez podobne do siebie pojazdy: wojskowe ciężarówki, wypożyczone busiki, kantynę na kółkach przysłaną z kwatery głównej oraz dwa nieduże wany, których Mullett nie rozpoznał na pierwszy rzut oka. Dopiero gdy z ich wnętrza dobiegło żałosne skomlenie i rozdrażnione poszczekiwanie, zorientował się, że przyjechali przewodnicy psów.

Wyglądało na to, że całe towarzystwo jest już w komplecie.

Mullett pozwolił sobie na uśmiech satysfakcji. Przyjechać o tak wczesnej porze i przekonać się, że wydane wczoraj późno w nocy telefoniczne rozkazy zostały wykonane co do joty... To doprawdy jak najlepiej świadczyło o sprawności jednostki i umiejętnościach szefa. Nagle uśmiech zamarł mu na ustach i zmienił się w pełen irytacji grymas, kiedy przekonał się, że jedna z ohydnych wojskowych ciężarówek zajęła miejsce przeznaczone dla jego samochodu. Czy ci idioci nie potrafią czytać? Wielki Boże, przecież na asfalcie było wyraźnie namalowane wielkimi, białymi literami: „Zarezerwowane dla komendanta” i jego ludzie omijali to miejsce z należyтым szacunkiem. Gotując się z wściekłości na głupotę szoferów armii, wcisnął się w pierwszy kawałek wolnej przestrzeni, jaki udało mu się znaleźć - pomiędzy ścianą a wynajęty autobus, który przywiózł policjantów z sąsiedniego okręgu. Za późno zorientował się, że wycofanie się stąd będzie wymagało pewnej zręczności, jeśli nie chce zarysować lśniącego błękitnego lakieru na nowiutkim samochodzie.

W okropnym nastroju złapał leżącą na tylnym siedzeniu teczkę z czarnej skóry, w ostatniej chwili przypominając sobie o ostrożnym otwarciu drzwi, żeby nie uderzyć w mur, a

następnie zaczął przeciskać się w labiryncie pojazdów do bocznej uliczki, którą mógł dostać się do głównego wejścia na posterunek. Co prawda tylne wejście znajdowało się bezpośrednio przy parkingu, ale królowie i książęta nie korzystają z tylnych wejść, i tak samo nie czynią tego komendanci posterunków.

Umundurowany funkcjonariusz pełniący służbę w holu wyprężył się jak struna i zgrabnie zsalutował. Mullett odpowiedział krótkim skinieniem głowy i energicznie ruszył przed siebie, po drodze zauważając, że policjant zdążył już podnieść słuchawkę, żeby uprzedzić sierżanta o jego przybyciu.

Triumfalne wejście do biura zostało czasowo powstrzymane przez jedną ze sprzątaczek, która pechowo wybrała ten właśnie moment, by wylać wiadro wody ze środkiem dezynfekcyjnym na kamienną posadzkę. Mullett chrząknął znacząco, a wtedy kobiecina rzuciła się ze szczotką i ścierką, żeby zrobić mu ścieżkę przez środek kałuży. Odgarniała wodę z takim zapalem, jakby szykowała dla Mojżesza przejście przez Morze Czerwone, jak to zdarzyło się w innym, istotnym dla historii momencie.

Biuro Mulletta było jedynym luksusowym, pełnym przepychu pomieszczeniem w całym budynku, pamiętającym jeszcze epokę wiktoriańską. Ściany gabinetu wyłożone zostały panelami z fornirowanego drewna jak w sali konferencyjnej, podłogę zakrywał gruby dywan od Wiltona w jasnoniebieskim kolorze, a na środku pyszniło się okazałe biurko, godne dyrektora korporacji i wykonane z błyszczącego mahoni. Mullett za cholerę nie rozumiał swoich kolegów z innych wydziałów, którzy przechwalali się skromnym wyposażeniem własnych gabinetów, w ten sposób zmniejszając wartość wysokiego stanowiska, jakie zajmowali. W przemyśle wyżsi stopniem pracownicy mieli przywileje wpisane do kontraktów, więc czemu w policji miałyby być inaczej?

Otworzył szafę, sprytnie ukrytą za jednym z paneli, i powiesił w niej uszyty u londyńskiego krawca płaszcz. W dużym lustrze ujrzał swoje odbicie i to od razu przywróciło mu dobry humor. Doprawdy, własny wygląd mógł zaaprobować bez najmniejszych zastrzeżeń: wysoka, wyprostowana sylwetka, błyszczące, ciemne włosy starannie rozdzielone przedziałkiem, władcze spojrzenie, starannie przycięte wąsy i świeża cera, świadcząca o zdrowiu i dobrych warunkach życia. Wszystkie te cechy podkreślał nieskazitelnie skrojony mundur ze lśniącoymi guzikami i odprasowanymi kantami spodni oraz buty, które również dobrze mogły służyć za lustro. W wieku czterdziestu dwóch lat Mullett wyglądał raczej na odnoszącego sukcesy maklera giełdowego niż na komisarza policji, który sprawuje kontrolę nad obszarem o powierzchni trzydziestu ośmiu mil kwadratowych, zamieszkanym przez sto tysięcy ludzi.

Drzwi szafy zamknęły się i na powrót wyglądały jak jeden z paneli. Nagle coś przykuło jego wzrok. Na biurku, przyciśnięta rogiem notatnika, leżała biała koperta, na której czerwonymi literami napisano: „Ściśle poufne”. Mullett rozciął brzeg koperty nożem do papieru, wsunął na nos okulary w rogowej oprawie i zaczął czytać. W miarę jak zagłębiał się w treść, jego wzrok stawał się coraz twardszy. W końcu opadł na krzesło i zaczął czytać jeszcze raz.

Ten list oznaczał dla Mulletta jedno - kłopoty. Była to skarga na jednego z podległych mu oficerów, detektywa inspektora Jacka Frosta.

Uderzył zaciśniętą pięścią o lśniący mahoniowy blat. Niech diabli wezmą tego faceta; od samego początku były z nim same kłopoty. Gdyby tylko mógł, to natychmiast, choćby jutro, pozbyłby się go ze swojej jednostki. Sprawdził na zegarku, która godzina. Za chwilę powinien zacząć odprawę. Frost będzie musiał poczekać. List został starannie złożony wzdłuż pierwotnych zagięć, schowany z powrotem do koperty i umieszczony na wierzchu w zamykanej na klucz szufladzie biurka.

Zadzwoił po pannę Smith, sekretarkę, ale oczywiście o tej godzinie jeszcze nie było jej w pracy. Mullett zwykle pracował między dziesiątą a osiemną trzydzieści. Dziś wyszło inaczej - najpierw, o ósmej piętnaście, czekało go spotkanie z podwładnymi, a potem, o dziewiątej, miał się zgłosić na służbę bratanek szefa policji... Mullett uśmiechnął się z satysfakcją. Nie ma nic złego w tym, że właśnie na jego rejon będzie zwrócone czujne oko starego człowieka, zwłaszcza biorąc pod uwagę przyszły awans... Te przyjemne przemyślenia przerwało delikatne pukanie do drzwi. W drzwiach pojawił się Bill Wells, sierżant pełniący służbę na porannej zmianie.

- Ach, sierżant Wells... Wejdźcie. Siadajcie.

Wells przycupnął na brzegu fotela. Wyłożone kosztownym drewnem biuro Mulletta zawsze go onieśmiewało. Ten łysiejący mężczyzna o smutnej twarzy miał trzydzieści osiem lat, od siedemnastu lat pracował w policji, z tego przez ostatnie sześć w randze sierżanta. Stracił już nadzieję, że kiedykolwiek uda mu się zostać inspektorem.

Mullett pochylił się do przodu.

- Jak sądzę, w sprawie tej dziewczynki nie dowiedzieliście się niczego nowego?

Smutna twarz sierżanta posmutniała jeszcze bardziej.

- Nie, sir.

- Upłynęło już szesnaście godzin, sierżancie. To o wiele, o wiele za dużo.

- Szesnaście godzin ciemności, sir. Do poszukiwań potrzebne jest dzienne światło.

Mullett niechętnie skinął głową i wyjrzał przez okno, jakby chciał sprawdzić prawdziwość słów sierżanta. Teraz było już wystarczająco jasno, ale około czwartej po południu zapadnie zmierzch. Jednak przy odrobinie szczęścia do tego czasu dzieciak już dawno będzie w domu. Komisarz załatwił jeszcze jedną lub dwie mniejsze sprawy przedstawione przez sierżanta, a potem sięgnął po teczkę, żeby udać się na odprawę. Nawet na moment nie zapomniał o liście, który leżał schowany w szufladzie.

- Sierżancie, czy detektyw inspektor Frost jest w sali odpraw?

- Nie, sir - odparł Wells, odstawiając krzesło z powrotem pod ścianę. - Jeszcze nie przyjechał.

Typowe, pomyślał Mullett. Wszyscy inni zdołali dotrzeć na czas, ale Frost... Maskując krzywym uśmiechem swój gniew, westchnął głośno.

- No cóż, w takim razie będziemy musieli zacząć bez niego.

Z tymi słowami ruszył w kierunku drzwi, ale wówczas Wells odchrząknął znacząco.

- Sir, czy będę potrzebny panu na odprawie?

To pytanie było retoryczne. Już wcześniej zapowiedziano Wellsowi, że jego obecność nie jest konieczna. To było niezwykle bolesne, ale wcale go nie zdziwiło. Nie miał wątpliwości, że to Mullett blokował jego awans, a wykluczenie z zebrania było jasnym sygnałem, iż dowódca zamierza dalej trzymać go na dotychczasowym stanowisku.

Mullett wyczuł urazę w głosie sierżanta i pospieszył z wyjaśnieniami.

- Chętnie dałbym panu ten awans, sierżancie, ale niestety nie mogę. Muszę mieć tutaj kogoś, komu mogę zaufać, bo tylko wtedy ten posterunek będzie działał jak należy. A to przypomina mi, że mam dla was ważne zadanie.

Sierżant Wells popatrzył na niego z pełnym nadziei oczekiwaniem.

- Proszę szepnąć słówko naszym kolegom z armii, żeby nie parkowali na moim miejscu. Jedna z ich cholernych ciężarówek stoi dokładnie tam, gdzie nie powinna, a nie wierzę, żeby kierowca nie zauważył znaku.

Obdarzył sierżanta uspokajającym uśmiechem i zniknął za drzwiami, pozostawiając Wellsa przy pustym biurku „funkcjonariusza wyższego szczebla”, żeby poklął sobie pod nosem.

Sala odpraw była wypełniona do ostatniego miejsca. Przyniesiono dodatkowe krzesła, ale i tak paru spóźnialskich musiało stać z tyłu.

Gęsta chmura dymu papierosowego snuła się po całym pomieszczeniu, podobnie jak mgła na Baker Street. Gdy tylko komendant pojawił się w drzwiach, niski pomruk nerwowych rozmów ucichł i wszyscy jak jeden mąż zerwali się na równe nogi.

- Dzień dobry, panie i panowie. Dobrze was widzieć w tak licznym gronie. Proszę usiąść.

Ci, którzy przezornie zajęli sobie krzesła, wykonali polecenie. Mullett rozejrzał się dookoła, jednocześnie wyjmując z teczki jakieś dokumenty. Znał większość tych ludzi, bo stanowili trzon jego jednostki; niektórzy musieli zrezygnować z wolnego dnia, żeby móc tutaj przyjść. Z ponurą satysfakcją zauważył, że nie ma wśród nich detektywa inspektora Frosta. Należało jeszcze uprzejmie skinąć głową w stronę oficerów armii; ich ludzie, włączając w to kretyna, który uzurpował sobie prawo do jego miejsca na parkingu, zgromadzili się w kantynie na piérzcie i teraz raczyli się kanapkami i herbatą. Ci dwaj kolesie w kącie z pewnością byli przewodnikami psów z policyjnych hodowli w Rushfield, ale kim do diabła mógł być facet o czerwonej twarzy, który uśmiechał się teraz do niego? Och tak, to detektyw sierżant z sąsiedniego okręgu; jego dowódca zgodził się wypożyczyć część swojego przepracowanego personelu do poszukiwań Tracey Uphill.

- Nie będę was długo trzymał. Jak widać, nie brakuje nam rąk do pomocy, za co ogromnie jestem wdzięczny, ale brakuje dziennego światła. Dziewczynka zaginęła ponad szesnaście godzin temu. Jeśli ktoś z was słuchał dziś rano prognozy meteorologicznej, to wie, że możemy spodziewać się załamania pogody. Sami rozumiecie, że byłoby dobrze znaleźć ją względnie szybko. Przyznaję, że to nie jest łatwe zadanie. W naszym okręgu jest mnóstwo lasów i jezior, jest kanał, zwirownia, parę opuszczonych domów, place budowy... Słowem, tysiące miejsc, gdzie można ukryć porwane dziecko. Dlatego musimy działać metodycznie i nie liczyć na łut szczęścia. Z tego powodu wyznaczyłem do tej operacji detektywa inspektora Allena. Od tej chwili to on obejmuje dowództwo, a ja wycofuję się i oddaję mu głos.

Ten żart wywołał na sali kilka wymuszonych chichotów i zmianę pozycji na niewygodnych, drewnianych krzesłach. Mullett demonstracyjnie przesiadł się na miejsce pozostawione dla niego przy końcu pierwszego rzędu. Oparł podbródek na splecionych dłoniach i zmarszczył brwi, jakby chciał tym zasygnalizować, że pilnie będzie przysłuchiwał się wszystkiemu, co detektyw Allen ma do powiedzenia.

Allen był chudym, żyłastym i nieprzyjemnym w sposobie bycia mężczyzną o przeredzających się włosach i posępnej twarzy, w której uwagę zwracały wąskie, zawsze zaciśnięte usta. Jego poczucie humoru nigdy nie przekroczyło granic zgryźliwego sarkazmu. Zimny i kompetentny, ogólnie był znieawidzony jako człowiek, lecz podziwiany jako pierwszorzędny detektyw. Teraz wyciągnął kościsty paluch w stronę ściany i szturchnął rozwieszoną tam mapę okręgu.

- Podzieliłem cały obszar na sektory. Zaczniemy od najbardziej prawdopodobnych obiektów w pobliżu miejsca zamieszkania dziecka, a stamtąd będziemy się przesuwać dalej. Jak słusznie zauważył nasz dowódca, to dość trudny teren do przeszukania, więc musimy być diabelnie systematyczni i dokładni. Po zakończeniu pracy każdy zamelduje się w centrum operacyjnym i osobiście zda mi raport. I nikt nie przejdzie do nowego sektora, jeśli nie wydam pozwolenia, zrozumiano? Zerknął na zegarek.

- No cóż, czas działa na naszą niekorzyść, więc będę się streszczał. Po prostu powiem, jakimi siłami będziemy dysponować. Oprócz was możemy mieć do dyspozycji żołnierzy, bo dostaliśmy z dowództwa wojskowego obietnicę przysłania kolejnych stu ludzi. Oprócz tego mamy kilku cywilnych ochotników i jeśli zajdzie potrzeba, możemy zaapelować o zgłaszanie się następnych. Szef oddziału straży pożarnej zobowiązał się wesprzeć nas mniej więcej tuzinem swoich ludzi, poza tym na dziewięć ma się stawić kilkoro szóstoklasistów z miejscowej szkoły... Jak widzicie, będzie was wystarczająco dużo, żeby bez przerwy wchodzić sobie w drogę. W takich warunkach łatwo spieprzyć całą sprawę, tak więc chyba jasne, czemu kazałem zaspokajać moje megalomańskie zapędy i robić dokładnie to, co mówię.

Przerwał dla zaczerpnięcia oddechu i dokładnie w tej samej chwili zadzwonił telefon. Wszystkie głowy odwróciły się w kierunku aparatu, żeby zmiażdżyć go spojrzeniem, ale on znów się odezwał - przejmująco i zgrzytliwie.

Mullett zmarszczył brwi.

- Kazałem nie przełączać tu żadnych rozmów - powiedział z irytacją.

Telefon zadzwonił raz jeszcze.

- Na litość boską, niech ktoś wreszcie go odbierze! - ryknął Allen. - Inaczej nigdy nie da nam spokoju!

Detektyw sierżant poderwał się z miejsca i podniósł słuchawkę. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- To szef policji, sir - oznajmił, pospiesznie przekazując słuchawkę Mullettowi. - Ten ujął ją z należnym szacunkiem, podczas gdy wszyscy obecni udawali, że absolutnie nie mają zamiaru podsłuchiwać.

- Dzień dobry, sir... Nie... Jeszcze nie, ale z pewnością ją znajdziemy... Tak jest, sir, współpraca w najszerszym zakresie... Nie sądzę, żeby na tym etapie była nam potrzebna jakaś pomoc. - W tym miejscu Mullett rzucił pytające spojrzenie na inspektora Allena, ale ten zdecydowanie pokręcił głową. Na razie wszystko wskazywało na to, że szukający będą sobie

deptać po piętach. - O czym pan mówi, sir? Och tak, to wspaniale. Bardzo dziękuję, sir... Tak, to doprawdy cudowna wiadomość. - I telefon wrócił na swoje miejsce na stoliku pod ścianą.

- Przed chwilą dzwonił do nas szef policji - powiedział Mullett takim tonem, jakby zwiastował powtórne nadejście Chrystusa. Na moment zamilkł, żeby waga tej informacji miała szansę do wszystkich dotrzeć. - Dostaniemy helikopter.

Rozległy się podekscytowane szepty i paplania, a oczy inspektora Allena zaślniły. Jeśli z helikopterem nie uda się im odnaleźć tego dzieciaka... Ale lepiej wrócić do zebrania.

- W porządku, panie i panowie. Przyznaję, to wielka pomoc, ale nie rozwiąże wszystkich problemów. Helikopter nie przejrzy za nas rur ściekowych ani wysypisk śmieci. Do tego potrzeba wyszkolonych policjantów. Przy wyjściu każdy z was otrzyma przydział do początkowego sektora. Czy są jakieś pytania?

Jedną ręką uniosła się wysoko. Któryś z ludzi z Rushfield.

- Czy dobrze zrozumiałem, że matka tej małej jest prostytutką?

- Owszem. - Na twarzy Allena nie drgnął ani jeden mięsień. - Co prawda nie wspominała o nagrodzie, ale przypuszczam, że ten, kto znajdzie dzieciaka, może liczyć na specjalne względy...

Po sali przebiegł szmer sprośnych dowcipów. Człowiek z Rushfield poczekał, aż fala wesołości opadnie, po czym mówił dalej.

- Pytam, bo zastanawiałem się, czy może któryś z miejscowych pedofilów nie doszedł do wniosku, że niedaleko pada jabłko od jabłoni... Że jaka matka, taka córka, no rozumie pan...

Allen pociągnął nosem.

- To słuszna uwaga, ale już została sprawdzona. Moi ludzie przyjrzeni się wszystkim znanym dewiantom w naszym okręgu. Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania? Dobrze. W takim razie ruszajcie... Powodzenia.

PONIEDZIAŁEK (2)

DETEKTYW CLIVE BARNARD OTRZYMAŁ ROZKAZ, ŻEBY ZGŁOSIĆ SIĘ na służbę do komisarza Mulletta na posterunku policji w Denton w poniedziałek, dokładnie o dziewiątej rano. Jak mu powiedziano, komisarz ma bzika na punkcie punktualności, więc na wszelki wypadek Clive postanowił dać sobie dużo czasu. Nastawił budzik na siódmą piętnaście i wcześniej położył się do łóżka. Ale sen jakoś nie chciał przyjść. O czwartej rano Clive wciąż jeszcze przewracał się z boku na bok; łóżko było nierówne, koców zbyt mało, by zatrzymać chłód, a myśli krążyły wokół blondynek o popielatych włosach i zaginionych dzieci. W

dodatku jakiś cholerny zegar na wieży kościelnej odmierzał tę bezsenność, z sadystyczną dokładnością wybijając upływające kwadransy.

Wyczerpujący sen, w który wreszcie udało mu się zapaść, był tak głęboki, że budzik mógł ochrypnąć z wysiłku, a on i tak by go nie słyszał. Zaspał i gdyby gospodyni nie zaczęła walić w drzwi dwadzieścia po ósmej, pewnie spałby jeszcze dłużej.

Na śniadanie zabrakło czasu; teraz wszystko odbywało się w dzikim pędzie, żeby uniknąć hańby związanej ze spóźnieniem się na odprawę, i to od razu pierwszego dnia. Najpierw pobieżne golenie za pomocą golarki elektrycznej. Wyszło niezbyt perfekcyjnie, ale efekt był zupełnie zadowalający, bo jasna bródka znikła bez śladu. Teraz wystarczyło włożyć nowiuteńki garnitur w czerwone prążki, kupiony w malutkim sklepiku przy Carnaby Street i przeznaczony specjalnie do pracy w wydziale kryminalnym. Bez przerwy powtarzano mu, że w tej branży odpowiednie ubranie ma kluczowe znaczenie. Noś kiepskie ciuchy, a będziesz dostawał kiepskie zadania, podczas gdy markowy strój może ci zapewnić coś znacznie lepszego. Tak więc Clive kupił ten garnitur, choć kosztował go całe sto siedem funtów - o wiele więcej niż zwykle. Traktował ten wydatek jako inwestycję, a poza tym co mu szkodziło pokazać tym kmiotkom z Denton odrobinę londyńskiego szyku?

Otworzył walizkę, żeby wyjąć jasnoniebieską koszulę, schowaną pod masą książek z dziedziny prawa. Clive postanowił bowiem wykorzystać wolne chwile na uzupełnienie wykształcenia w tym zakresie. Był zdecydowany w jak najkrótszym czasie dostać się na sam szczyt, a przekonał się, że większość młodszych wiekiem oficerów ma za sobą studia prawnicze. Zresztą co można robić w tym na pół umarłym miasteczku w długie zimowe wieczory? Clive miał zamiar czytać mądre książki, zwłaszcza że nie mógł liczyć na towarzystwo jakiejś uroczej kobietki, która delikatnymi paluszkami wodziłaby po krawędzi niezwykle seksownego, krzywo zrośniętego po złamaniu nosa.

Około ósmej czterdzieści pięć pusty żołądek zaczął się dopominać o swoje prawa, ale Clive biegł już w górę Bath Hill, popychany podmuchami lodowatego wiatru. Po drodze zastanawiał się, czy odnaleziono już Tracey Uphill. Jak na tak wczesną godzinę, na ulicach było stanowczo zbyt dużo policji, pomyślał. Minęły go trzy wozy patrolowe.

Bath Hill kończyła się na Market Square, gdzie stał następny funkcjonariusz i z zainteresowaniem oglądał drzwi prowadzące do banku. Clive obrzucił go przelotnym spojrzeniem. Większość sklepów była wciąż zamknięta, a wielka choinka ustawiona w pobliżu publicznych toalet kołysała się miarowo, grzechocząc łańcuchami z kolorowych lampek. Clive przeciął na ukos brukowaną kocimi łbami jezdnię, żeby dostać się na Eagle Lane, która prowadziła prosto na posterunek policji.

Wreszcie dotarł do celu; przed nim wznosił się solidny budynek z czerwonej cegły, z połyskującą niebieskawo lampą zawieszoną nad wahadłowymi drzwiami, które prowadziły do holu. Zawieszony na ścianie zegar wskazywał dokładnie ósmą pięćdziesiąt cztery. Udało się, pomyślał Clive, z trudem chwyając powietrze. Znajomy zapach środków dezynfekcyjnych, pasty do podłóg i gotowanego jedzenia natarł na niego ze wszystkich stron. Podeszedł do stanowiska dyżurnego funkcjonariusza, gdzie przy telefonie siedział łysiejący sierżant o smutnej twarzy.

Bill Wells, pełniący dziś służbę od szóstej rano do drugiej po południu, ugrzązł przy biurku, ponieważ dyżurny posterunkowy, młody policjant o nazwisku Stringer, na moment skoczył do kantyny, żeby zjeść śniadanie. Wells zgodził się popilnować wejścia aż do jego powrotu, czego wkrótce gorzko pożałował. Ze też ten cholerny telefon musiał zadzwonić akurat teraz! Po drugiej stronie siedziała jakaś głupia baba i bez ładu i składu bredziła coś o nastolatkach, którzy dwa tygodnie temu potłukli jej szybę w oknie. Właśnie zdecydowała się złożyć doniesienie i teraz chciałyby się dowiedzieć, co policja zamierza zrobić w tej sprawie. Podmuchał zimnego powietrza, który wpadł do środka przez zewnętrzne drzwi, poderwał leżące na biurku papiery, ale sierżant zgrabnie przytrzymał je łokciem i podniósł głowę, żeby zobaczyć, kto przyszedł. Przed nim stał jakiś młody gość w zgrabnym paltocie i z zakrzywionym po złamaniu nosem. Wyglądał wystarczająco wyniośle, żeby być Kimś Ważnym, więc Wells na moment zakrył dłonią słuchawkę.

- Zaraz się panem zajmę, sir - powiedział.

Clive skinął głową. Miał nadzieję, że skoro już udało mu się na czas dotrzeć na posterunek, to nie spóźni się na spotkanie z komendantem tylko dlatego, że sierżantowi zachciało się akurat gadać przez telefon. Wielkimi krokami przechadzał się po holu, oglądając wiszące na ścianach obwieszczenia. Zaginione Osoby, Ograniczenia w Poruszaniu się w Związku z Chorobą Szalonych Krów i - szczególnie lubiany przez wszystkich - plakat informujący o Zagrożeniu Stonką Ziemniaczaną.

Ciężkie palto było dość niewygodne, zsunął więc je z ramion i przerzucił przez rękę. Potem kątem oka dostrzegł własne odbicie w przydymionej szybie drzwi wahadłowych i stanął jak wryty.

Nowy garnitur! Śmiechu warte!

W przyciemnionym świetle małego sklepiku wydawał się gustowny i skromny, a nawet - do pewnego stopnia - zgodny z nowoczesnymi trendami w modzie, ale tu, w posępnie mrocznym holu posterunku policji, ta nowoczesność dosłownie kłuła w oczy. To była

oczywista pomyłka i zupełna klęska, a Clive nie miał już czasu, żeby wrócić na kwaterę i przebrać się. Skurczył się w sobie i schował w najciemniejszym kącie.

Posterunkowy Stringer wrócił do swoich obowiązków z żołądkiem wypchanym smażonym bekonem, fasolką, herbatą i dwiema kromkami chleba. Ze szczerym spojrzeniem i świeżo ogoloną, uczciwą twarzą bardziej wyglądał na ucznia szóstej klasy niż na funkcjonariusza policji. Uśmiechnął się uprzejmie do Clive'a, przypatrując mu się z niemym pytaniem w oczach.

- Zaraz się zajmę tym panem - syknął sierżant, nie przerywając rozmowy ze zdenerwowaną niewiastą. Młody funkcjonariusz odruchowo wzruszył ramionami i opierając się o antyczne, czarne biurko Underwooda, zaczął pisać zaległy raport.

W końcu sierżant z trzaskiem rzucił słuchawkę na widelki. Potarł obolałe ucho, po czym z uniżoną grzecznością zwrócił się do Clive'a.

- W czym mogę pomóc, sir?

Clive zrozumiał, że sierżant omyłkowo wziął go za jakąś ważną osobę. Zaraz potem przyszło mu do głowy, że nie będzie zbyt przyjaźnie usposobiony, kiedy dowie się, że płaszczył się przed najniższym z najniższych - świeżo upieczonym detektywem, na którego czole wciąż znać było ślad po hełmie. Szybkie wyjaśnienie sytuacji wydawało się absolutnie niezbędne.

- Prawdę mówiąc, sierżancie, jestem detektywem posterunkowym...

Na pierwszej sylabie słowa „posterunkowy” uśmiech sierżanta zastygł, w drugiej wyraźnie się zmniejszył, a przy trzeciej zniknął zupełnie. Powiedzenie „grymas wykrzywił mu twarz” równie dobrze mogło zostać wymyślone na użytek tej właśnie chwili. Clive, nie zważając na nic, brnął dalej:

- ...nazywam się Barnard. Mam zameldować się u komisarza Mulletta dokładnie o dziewiątej.

A więc to był Barnard. Ten pieprzony dupek, któremu wszystko się udaje, bo ma stryja na stanowisku, podczas gdy ludzie po siedemnastu latach cholernej służby, ale bez wpływowych krewnych... Wells wykręcił się do tyłu, żeby zerknąć na zegar wiszący na ścianie. Za minutę dziewiąta. Szkoda. Byłoby przyjemnie zwymyślać go za niepunktualność.

Następny powiew zimnego powietrza rozrzucił papiery na biurku, kiedy do holu wpadł jakiś mężczyzna w mundurze wojskowym.

- Zebranie? - warknął.

- Trzecie drzwi po lewej stronie, sir - powiedział sierżant, ale mężczyzna już był w drodze. Wells z powrotem skierował uwagę na swoją ofiarę.

- Ach tak, Barnard... Teraz sobie przypominam. Bratanek szefa policji, jeśli się nie mylę? Powinienem był rozpoznać cię po tym złamanym nosie.

Clive ugryzł się w język i nic nie odpowiedział, tylko wpatrzył się w punkt tuż nad łysiejącą głową sierżanta. Wells przesunął spojrzenie niżej... i wtedy to zobaczył...

- Wielki Boże! Gdzieś ty kupił to чудо? Clive spłonął rumieńcem.

- W Londynie.

- W Londynie? Ostatni raz widziałem coś podobnego, kiedy oglądałem Maksa Millera. A ile kosztował? Clive odetchnął głęboko.

- Sto siedem funtów. Sierżantowi opadła szczęka.

- Sto siedem funtów za coś takiego?! Weź sobie do serca dobrą radę, Barnard, i nigdy nie noś tego za dnia, bo w okolicy mieszka kilka osób o słabych nerwach.

Rozbawiony do łez własnym poczuciem humoru i na nowo w nie najgorszym nastroju Wells kciukiem wskazał drewnianą ławkę pod ścianą, co miało stanowić zaproszenie.

- Komendant jest chwilowo zajęty. Powiem ci, jak będzie miał czas.

Clive usiadł. Ławka była twarda jak diabli. Nikt nie zakładał, że czekanie na posterunku policji powinno się odbywać w komfortowych warunkach. Nad jego głową wisiał instruktaż dotyczący metod rozpoznania stonki, a naprzeciwko czarna tablica w drewnianej ramie, zatytułowana „Okręg Denton - statystyka wypadków”. Na tablicy znajdowały się kolumny, w których kredą zaznaczano liczbę wypadków, jakie przydarzyły się w danym miesiącu, i liczbę ofiar śmiertelnych w zestawieniu z analogicznym okresem roku ubiegłego.

Clive siedział i czekał. Ławka wydawała się coraz twardsza, a garnitur coraz bardziej krzykliwy. Wtedy do wnętrza wtargnął następny lodowaty podmuch. Wahadłowe drzwi łomotnęły w ścianę, a do holu wpadło jakieś parszywe indywiduum w brudnej kurtce przeciwdeszczowej i pogniecionych spodniach, wlokące za sobą szalik w kolorze rdzawoczerwonym. Na oko facet miał czterdzieści lat z dużym okładem, różową, upstrzoną piegami i zniszczoną przez zbyt długie przebywanie na dworze twarz, z której spoglądały ciepłe, niebieskie oczy, a sam szczyt czaszki wieńczyła okrągła łysinka, otoczona wianuszkiem puszystych jasnobrązowych włosów. Podeszedł prosto do tablicy, wziął do ręki kredę i dopisał jeden do liczby wypadków.

- O co chodzi, Jack? - zainteresował się Wells, z niepokojem śledząc te poczynania.

- Walnąłem w kufer czyjś auto, kiedy wjeżdżałem na parking - wyjaśniło indywiduum. - Jakiś kretyn wepchnął się na moje miejsce... Czyj jest ten pieprzony jaguar, co?

Wells momentalnie zrobił się biały jak płótno.

- Jack, chyba nie masz na myśli błękitnego jaguara? Nie wjechałeś w niego, prawda? Bo widzisz... To jest samochód komisarza Mulletta. W dodatku całkiem nowy... Odebrał go w sobotę.

Niechlujny gość wydawał się całkiem niewzruszony.

- Mulletta? Tak rano, o tej godzinie? Przestań gadać bzdury, bracie. O tej porze Mullett przewraca się na drugi bok i drapie się po dupie... - Nagle poczuł jakiś zapach. - O cholera... Albo przypalił się mięsny pudding na obiad, albo to Mabel gotuje swoje gacie.

- Jack, mówię serio - upierał się sierżant. - To naprawdę jest samochód Mulletta. Przyjechał na odprawę w sprawie poszukiwania tego zaginionego dzieciaka. Zresztą wczoraj wieczorem dzwoniło do ciebie w tej sprawie. Niedawno Mullett o ciebie pytał.

Mężczyzna zatrzymał się, a potem grzmotnął się pięścią w czoło.

- Odprawa! Cholera jasna, całkiem o niej zapomniałem! Sierżant, który wyraźnie znajdował upodobanie w nieszczęściu innych, próbował go pocieszyć.

- Nic nie szkodzi, Jack... Po tym, jak roztrzaskałeś mu nowiuteńki samochód, opuszczenie odprawy raczej nie zrobi wrażenia, tego możesz być pewien. Bardzo uszkodziłeś tego jaguara?

Mężczyzna zastanowił się.

- Nie bardzo... Lekko puknąłem w tylny błotnik. Ledwo można to zauważyć. Tylny światło trochę popękało, a poza tym jest parę zadrapań i wgnieceń... Szkoda, że był taki całkiem nowy... - Podciągnął wyżej swój paskudny szalik. - Posłuchaj, Bill, nie widziałeś mnie tutaj, zgoda? Jeszcze nie przyjechałem. Teraz idę schować swój samochód za rogiem na sąsiedniej ulicy. - Po tych słowach czmychnął w boczny korytarz.

- Kto to był? - zainteresował się Clive.

- Detektywie posterunkowy Barnard - odparł sierżant z przesadną grzecznością. - To był detektyw inspektor Jack Frost.

Detektyw inspektor? Ten niechlujny facet miałby być inspektorem? Clive nagle poczuł się znacznie lepiej, myśląc o swojej zawodowej przyszłości. Jeśli tacy włączędzy mogli dochrapać się stanowiska inspektora...

Nagle zadzwonił telefon. Stringer przerwał stukanie na maszynie do pisania i odebrał. Przez chwilę słuchał, a następnie skrawkiem munduru zasłonił mikrofon.

- Sierżancie, to komendant. Pyta, czy inspektor Frost już przyjechał.

- Powiedz mu, że nie - odparł sierżant Wells. - Ale jest tu pewien dżentelmen w garniturze za sto siedem funtów, który pragnie się z nim zobaczyć.

*

- Wpuść go - warknął Mullett, rzucając słuchawkę na widełki. Koperta z napisem „Ściśle poufne” wylądowała z powrotem w szufladzie biurka. Pomyśleć, że jeszcze przed chwilą miał nadzieję, że najpierw odbędzie nieprzyjemną rozmowę z inspektorem Frostem, a dopiero wtedy zobaczy się z tym nowym... W desperacji pokręcił głową. Jak można dowodzić posterunkiem policji, kiedy ma się na służbie takich ludzi jak Frost? W dodatku teraz, w związku z zaangażowaniem inspektora Allena w poszukiwania zaginionej dziewczynki, Mullett będzie zmuszony oddać bratanka szefa policji - prawdziwego bratanka - pod wątpliwą opiekę inspektora Jacka Frosta. To mogło popsuć dosłownie wszystko. Prawda, komisarz miał słabość do tego obwiesia, ale nigdy nie musiał z nim pracować ani godzić się z jego zatrwającymi zaniedbaniami. Nie spotykał się na co dzień z niewybaczalnym bałaganem, jaki Frost robił w biurze, z jego obszarpanym ubraniem, nienawiścią do papierkowej roboty i w ogóle całego systemu, nie wspominając o szwankującej bez przerwy pamięci... Ale czemu ma służyć to wyliczanie? Niepotrzebnie sam się podnieca. Dopóki szef policji ma zaufanie - aczkolwiek, trzeba przyznać, fatalnie ulokowane - do inspektora Frosta, dopóty Mullett będzie ukrywał przed nim prawdziwą naturę tego człowieka.

Mullett, podobnie jak Clive, należał do gatunku ludzi oddanych karierze i był zdecydowany za wszelką cenę piąć się w górę, aż w wybranej profesji osiągnie sam szczyt. Zaczął pracę w policji od stopnia posterunkowego i - zgodnie z nakreślonym uprzednio planem - pracowicie i z uporem torował sobie drogę do kolejnych stanowisk, z łatwością zdając wszystkie niezbędne egzaminy. Tak samo jak Clive w wolnym czasie zaliczył kurs prawa i teraz był dyplomowanym adwokatem.

Miał talenty przywódcze i organizacyjne i choć sporo trudu go kosztowało, zanim udało mu się zwrócić na siebie uwagę odpowiednich ludzi, to przed trzema laty otrzymał awans na komisarza razem z funkcją komendanta posterunku w Denton. Dla niego był to prawdziwy kamień milowy i odskocznia do lepszego życia. Za kilka lat ten budynek miał zostać rozebrany, żeby umożliwić dalszy rozwój miasta, a wtedy powinni przeprowadzić się do nowoczesnej, właśnie budowanej siedziby, która mogła pomieścić o wiele więcej ludzi. Ktokolwiek będzie wówczas komendantem, otrzyma awans i może się spodziewać świetlanej przyszłości, kiedy zastępca szefa policji odejdzie na emeryturę.

Mullett zaplanował sobie, że to właśnie on zostanie tym zastępcą. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak łatwo jest wypaść z łask, kiedy człowiek znajduje się blisko szczytu, jednak był przekonany, że jemu się to nie przytrafi. Wszelkie decyzje i działania, jakie podejmował, służyły jednemu - promocji własnej osoby - choć czasem zdarzało się, że nie były najlepsze dla posterunku, którym dowodził. Ale posterunek jakoś przeżyje, natomiast jeśli chodziło o

niego... Jeden fałszywy krok mógł kosztować utratę ciężko zapracowanej pozycji zawodowej. Z tego powodu obecność bratanka szefa policji wydawała się prawdziwym darem niebios. Co prawda szef stanowczo twierdził, że nie chce, żeby chłopak miał jakiegokolwiek przywileje, ale Mullett i tak wiedział, jak ma to rozumieć. Barnard będzie rekomendowany do awansu wyłącznie z powodu własnych zasług. To pewnie zmartwi kilku ludzi Mulletta, którzy mieli na koncie większe zasługi niż ten żółtodziób, ale niestety taki jest świat. Poza tym zawsze można liczyć na następny raz.

Tymczasem mógł sobie pogratulować dowodzenia niezłym posterunkiem, w którym służyło paru naprawdę wspaniałych ludzi; morale i dyscyplina były bez zarzutu, a liczba przestępstw stale spadała. Gdyby tylko można było wykluczyć z ich grona detektywa inspektora Frosta...

Pukanie do drzwi przerwało te rozważania.

- Ach, detektyw posterunkowy Barnard... Witam w Denton. Proszę siadać, proszę siadać!

Clive zamrugał na widok wyłożonego boazerią gabinetu komendanta. Przepych tego pomieszczenia pasował do reszty budynku mniej więcej tak jedwabna łąka do worka z gnojem. Łatwo się domyślić, na co wydawano dość ograniczone środki przeznaczone na utrzymanie posterunku.

Karierowicz Barnard wymienił uścisk dłoni z karierowiczem Mullettem. Każdemu z nich spodobało się to, co zobaczył. Komendant wcisnął guzik ukryty pod blatem biurka, w przylegającym biurze odezwał się dzwoneczek i po chwili w drzwiach zjawiała się panna Smith, niezwykle kompetentna sekretarka. Na tacy niosła dzbanek z kawą i dwie filiżanki z cieniutkiej chińskiej porcelany, zarezerwowane dla najważniejszych gości.

Mullett nalał kawy do obydwu filiżanek i właśnie z miną świadcząca o uznaniu dla wybornego aromatu podnosił kawę do ust, kiedy jego wzrok spoczął na garniturze Clive'a. Zamrugał z niedowierzaniem, wsunął na nos okulary do czytania i spojrzał jeszcze raz.

- Hmm. Eeee... - Musi to zgrabnie rozegrać, bo a nuż garnitur został wybrany przez stryja. - Przypuszczam, że reszta waszego bagażu jest w drodze, a w nim jakiś... hmm... bardziej odpowiedni strój?

- Tak jest, sir - skłamał Clive.

Komisarz rozpromienił się i uśmiechnięty podniósł filiżankę do ust.

- Przejrzałem wasze akta... Naprawdę imponujące. Widzę, że zaczęliście studiować prawo, i uważam, że nie mogliście wybrać lepiej. Jeśli to do czegoś wam się przyda, chętnie

pożyczę wam książki *Criminal Pleading and Practice* Archibalda lub *Criminal Costs* Greena, albo wiele, wiele innych...

- Bardzo dziękuję, sir. - Clive'a gorzko żałował, że do kawy nie dodano kilku biskwitów. - Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę pracę pod kierownictwem pana Allena.

Mullett sposepniał. Odstawił filiżankę na spodeczek i wsypał jeszcze jedną łyżeczkę cukru.

- Ach tak... Niestety, obawiam się, że nastąpiła drobna zmiana planów. Inspektor Allen odpowiada za operację poszukiwania zaginionej dziewczynki. To dość poważna, szeroko zakrojona akcja. Oczywiście o niczym nie wiecie.

Ale Clive wiedział, jak zrobić wrażenie.

- Ma pan na myśli małą Tracey Uphill, sir? Byłem wczoraj wieczorem w domu jej matki razem z kolegami z Able Baker cztery.

- Naprawdę? I to jeszcze zanim oficjalnie do nas dołączyliście? To właśnie lubię u podwładnych - wrażliwość i intelekt. Ale teraz sami rozumiecie, że inspektor Allen nie będzie mógł w najbliższym czasie poświęcić wam czasu, więc ustaliłem, że chwilowo waszym bezpośrednim przełożonym będzie inny doświadczony członek naszego zespołu - detektyw inspektor Jack Frost.

Och, nie! Tylko nie ten włóczęga w brudnym nieprzemakalnym płaszczu!

- To bardzo doświadczony detektyw. - Mullett patrzył na wskroś przez Clive'a na ponurą Eagle Lane rozciągającą się za oknem. - Wiecie... W zeszłym roku przeżył osobistą tragedię... Jego żona... To było bardzo oddane sobie małżeństwo... Coś strasznego. Ale to zniósł. - Mullett wyraźnie posmutniał, a jego głos zmienił się w konspiracyjny szept. - Rak. Nic nie można było zrobić, absolutnie nic. Okropna sprawa...

Clive z posepną miną skinął głową, jednocześnie mrucząc coś ze współczuciem.

- Jak powiedziałem, inspektor Frost bardzo to przeżył. Nie można się spodziewać, że taka tragedia nie pozostawi żadnych śladów. Oczywiście, być może to mój błąd, że tolerowałem pewne wybryki...

Podniósł nierdzewny nóż do papieru i pukał ostrzem w otwartą dłoń, rozpaczliwie szukając w pamięci jakichś zasług inspektora, które mógłby teraz wymienić.

- Jestem pewien, że inspektor Frost będzie mógł wiele mnie nauczyć - powiedział Clive bez przekonania.

Mullett wyraźnie się ucieszył.

- O tak! Czasami wystarczy samemu zobaczyć, jak nie należy postępować. To pozwala uniknąć wielu wpadek. Oczywiście nie sugeruję, że wszystko, co robi inspektor

Frost, jest niewłaściwe i niezgodne z regulaminem... - Doszedłszy do wniosku, że zapuścił się na stanowczo zbyt głęboką wodę, zmienił kurs na bardziej obiecujący. - Czy często macie okazję widywać się ze stryjem?

Odpowiedź Clive'a utonęła w przeraźliwym, wibrującym hałasie, który wprawiał w drgania cały budynek. Obydwaj podbiegli do okna i wyciągnęli szyje w stronę nieba.

Maszyna właśnie zniknęła za dachem trzykondygnacyjnego budynku, który stał po przeciwnej stronie ulicy. Obiecany helikopter.

*

Detektyw inspektor Frost odwrócił głowę, śledząc lot śmigłowca, którego dudnienie dotarło na Market Square. Frost szedł w stronę wejścia do Bennington Bank, gdzie stójkowy i mały, przysadzisty sierżant z wydziału kryminalnego badali ślady świadczące o próbie włamania. Przykucnęli przy drzwiach, zwróceniem tyłem w kierunku nadchodzącego inspektora, i żaden z nich nie usłyszał zbliżających się kroków. Frost zatrzymał się. Opięty ciasnymi spodniami tyłek tłuszciocha z kryminalnego stanowił pokusę nie do odparcia. Frost starannie wycelował serdelkowaty paluch.

- I co, trafiłem w środek?

Reakcja była natychmiastowa. Gość z kryminalnego podskoczył, jednocześnie obracając się wokół własnej osi. Jego małe, świńskie oczka rzucały piorunujące spojrzenia. Spasował, ale na widok Jacka Frosta cała wściekłość wyparowała bez śladu.

- Och, to ty, Jack! - Z udawanym oburzeniem odwrócił się w stronę stójkowego, który przypatrywał się całej scenie, uśmiechając się od ucha do ucha. - Widziałeś, na co ten czort sobie pozwala?

Frost popatrzył z troską na własną dłoń.

- Na przyszłość wolałbym, żebyś reagował nieco spokojniej, Arthur. O mało co nie złamałeś mi palca. A teraz zabierz stąd to swoje brzuszysko i pozwól, że sam rzucę okiem...

Ciężkie, drewniane drzwi prowadzące do banku nosiły ślady świeżych wyżłobień. Wszystkie znajdowały się w pobliżu zamka, jakby ktoś usiłował wcisnąć coś pomiędzy skrzydło a framugę.

Frost wyprostował się i podrapał po głowie.

- Wiesz, Arthur, coś mi tu nie pasuje. Gdybyś chciał się włamać do banku, to raczej nie przez główne wejście, zgadzasz się? Nawet taki ćwok jak ja o tym wie.

- Moim zdaniem to jednak wygląda na próbę włamania - upierał się tłusciutki sierżant, Arthur Hanlon. Wyglądem i sposobem bycia przypominał małego, wesołego Pickwicka i cały świat odnosił się do niego przyjaźnie.

- Nie, Arthurze - zdecydowanie sprzeciwił się Frost. - Włamywacze nie są tak głupi, a nawet jeśli by byli, to i tak nie my byśmy mieli szczęście na nich trafić. Pomaszerowaliby na komisariat w Bridgely i wyśpiewali wszystko jak z nut.

Posterunek w Bridgely, ukochane dziecko kwatery głównej, miał najniższy wskaźnik przestępstw i największą wykrywalność w całym hrabstwie.

- Pewnie dzieciaki - zasugerował stójkowy, który nie lubił gadać po próżnicy.

Frost zastanowił się.

- O której godzinie zauważono te ślady?

Stójkowy przejrzał raport pozostawiony przez kolegę z poprzedniej zmiany.

- O czwartej rano, sir.

- A kiedy ostatni raz wszystko było w porządku?

- O pierwszej pięćdziesiąt sześć. Frost włożył ręce do kieszeni.

- No to wszystko jasne - powiedział, wciągając głęboko powietrze. - Do zdarzenia doszło między drugą a czwartą rano, a o tej porze dzieciaki nie wałęsają się w pobliżu banków. Za bardzo są zajęte czytaniem komiksów pod kołdrą albo uprawianiem zbiorowego seksu. Bawiłeś się w takie rzeczy, Arthurze, kiedy byłeś dzieckiem?

Arthur zachichotał i potrząsnął głową.

- No coś ty. Uważałem się za szczęściarza, jeśli zdarzyło mi się uprawiać seks więcej niż sześć razy w ciągu nocy. Jakież odciski?

- Miliony, łącznie z odciskami paluchów faceta, który robił te drzwi.

- Boże, ciebie naprawdę trudno zadowolić... A to mi przypomniało, że nie zapytałem, jak żona i dzieci. Pewnie nie mogą doczekać się świąt, co?

- Tak, Jack, wielkie dzięki. - Hanlon się rozpromienił.

- Ale jak uważasz, co powinniśmy zrobić z tym figlem?

- Wskazał na drzwi.

- Zapomnij o tym, Arthurze. Poproszę sierżanta z posterunku, żeby kazał swoim chłopcom mieć oczy otwarte. Będą musieli wysypiać się po zakończeniu służby... Uważaj, policja!

Wóz patrolowy wypadł z Eagle Lane i z piskiem opon zatrzymał się tuż przed wejściem do banku. Człowiek w mundurze wyskoczył zza kierownicy i pobiegł w ich kierunku.

- To ten tłuscioch, panie policjancie - oznajmił Frost, chwytając Hanlona za ramię. - Próbował włamać się do banku. Niech pan sam obejrzy ślady.

Kierowca uśmiechnął się z szacunkiem.

- Na posterunku wybuchła panika, sir. Komendant życzy sobie pilnie pana widzieć.

*

Rozmazana plama rdzawej czerwieni pędem przemknęła przez ulicę.

Sierżant Wells odetchnął z ulgą, kiedy zdyszany inspektor wtoczył się do środka i słaniając się na nogach, głębokimi haustami próbował chwycić powietrze.

- Na śmierć zapomniałem o tym starym skurwielu, Bill. Wells polizał czubek ołówka i udawał, że zapisuje w dzienniku godzinę przyjścia kolegi.

- Po otrzymaniu pouczenia aresztowany odparł: „O cholera, zupełnie zapomniałem o tym starym durniu”.

Następny powiew zimnego powietrza wtargnął do środka, kiedy wahadłowe drzwi uchyliły się - tym razem po to, żeby wpuścić zasuszonego obdartusa w wojskowym płaszczu, za dużym o kilka rozmiarów i sztywnym z brudu. Powłócząc nogami, jakby miał pokaleczone stopy, włókł się w stronę biurka, a za nim ciągnęła się gęsta chmura potwornego smrodu.

Jak na komendę nosy sierżanta i inspektora Frosta drgnęły, a następnie zmarszczyły się w nieprzyjemnym grymasie.

Łachmyta, który spowodował tak przykre doznanie węchowe, stał teraz przy biurku i czarną od brudu pięścią łomotał w blat.

- Gdzie jest mój cholerny funt? - spytał piskliwie. - Cholera, piękna rzecz, kiedy nawet policja kradnie, co?

Sierżant posterunkowy odsunął się do tyłu i cofał się dopóty, dopóki nie zatrzymała go ściana, a następnie przemówił rozważnym tonem eksperta, który przekazuje swojemu uczniowi instrukcje, jak unieszkodliwić bombę.

- Sam, odsuń się i broń Boże nigdzie nie siadaj. Niczego nie dotykaj. Po prostu zostań tam, gdzie jesteś... I niezależnie od tego, co masz zamiar zrobić, absolutnie się nie ruszaj! W ten sposób będziemy musieli zdezynfekować tylko to jedno miejsce. - Z tymi słowami zaczął się energicznie wachlować, używając w tym celu dziennika.

Stary włóczęga popatrzył na niego. Miał przekrwione, załzawione oczy, osadzone głęboko w zniszczonej twarzy, porośniętej nie goloną od kilku dni szarawą szczecinę.

- Nic nie szkodzi, że sobie trochę poklniesz - mruknął. - Gdzie moja forsa?

Wells podniósł wysoko rękę.

- Posłuchaj, Sam - zaczął z anielską cierpliwością. - Kiedy chłopcy cię zgarniali, miałeś przy sobie sześć pensów. Sześć pensów to nie jest funt. Funt to taki kawałek papieru z głową królowej i ty nie miałeś przy sobie niczego takiego. Miałeś sześć pensów i dostałeś je z powrotem, kiedy cię stąd eksmitowaliśmy. Nikt nie wziął od ciebie ani pensa za naszą

gościnność ani za to, że narzygałeś na czyściutką, świeżo posprzątaną podłogę. Możesz to zatrzymać na podatki. - Sierżant odwrócił się do Frosta. - Aresztowaliśmy go za włóczęgostwo, picie denaturatu i sikanie na pomniki na przykościelnym cmentarzu.

Stary człowiek podniósł głowę w nowym przypiływie oburzenia.

- Wcale nie byłem tak bardzo naprany, kiedy mnie zgarnialiście! Miałem przy sobie funta i sześć pensów! Ten zasrany gliniarz włożył wszystko do takiej koperty, a kiedy mi ją oddano, funta nie było!

Wells spróbował jeszcze raz.

- Funta w ogóle tam nie było, Sam. Nawiasem mówiąc, przeliczyliśmy pieniądze, a ty podpisałeś, że wszystko się zgadza. Mamy twój śmierdzący jak wszyscy diabli krzyżyk na pokwitowaniu potwierdzającym odbiór pełnej sumy sześciu pensów.

Popękane wargi zwinęły się, ukazując zbrązowiałe pieńki zepsutych zębów.

- Nigdy nie podpisywałem żadnego pokwitowania.

- Sam, być może krzyżyk został sfalszowany, ale smród był autentyczny i rozpoznawalny. Za bardzo opileś się denaturatu, stary, i nie miałeś zielonego pojęcia, co robisz.

- Wiedziałem akurat tyle, ile powinienem. A teraz chcę dostać mojego funta.

- Właściwie to skąd miałeś taką kupę kasy, Sam? - zainteresował się inspektor Frost. - Mam nadzieję, że nie handlowałeś swoimi wdziękami, co?

Sam okręcił się wokół własnej osi, a Frost podskoczył pod sufit, kiedy fala odoru popłynęła w jego stronę.

- Ja... Ja znalazłem tę forszę - odparł Sam buntowniczo, ale jego wzrok wyraźnie umykał przed spojrzeniem Frosta.

- No to uznajmy, że teraz ją zgubiłeś - mruknął sierżant. - Łatwo przyszło, łatwo poszło.

W spojrzeniu Sama tliła się nienawiść.

- Ten młody gliniarz ją podwędził.

Sierżant posterunkowy wyciągnął spod blatu opasy rejestr i rzucił na biurko.

- W porządku, Sam. To bardzo poważne oskarżenie. Rozumiem, że chcesz wnieść skargę.

Zniszczoną twarz wykrzywił grymas wściekłości. Przekrwione oczy płonęły nienawiścią, kiedy Sam patrzył to na sierżanta, to na Frosta, jak szczur osaczony przez dwa teriery.

- Nie ma co, cholernie by mi to pomogło. I tak byście łgali jak pieprzone psy.

Z powrotem pokuśtykał na świeże powietrze. Trzeba było dobrych trzydziestu minut przy otwartych na oścież drzwiach i oknach, żeby aromat Sama się ulotnił.

- Trzeba wiedzieć, jak dawać sobie radę z takimi skurwielami - rzekł zadowolony Wells, z powrotem chowając rejestr. - Czy on myśli, że ktokolwiek chciałby wziąć te cholerne pieniądze po tym, jak wycierał w nie swoje brudne paluchy?

Zabrzączał wewnętrzny telefon i Wells szybko podniósł słuchawkę.

- Och. Tak, sir. On już idzie.

Szalik w kolorze rdzawoczerwonym mignął mu przed oczyma i znikł w korytarzu prowadzącym do biura Mulletta.

*

- To są cele - oznajmił posterunkowy Keith Stringer, który został odkomenderowany do oprowadzenia nowego kolegi po całym budynku.

Clive chrząknął.

- No wiesz - wyjaśnił Stringer. - Tu trzymamy aresztowanych, dopóki nie zostaną przewiezieni do sądu. - Popchnął żelazne drzwi. - A to jest specjalna cela dla pijaków - z rurą kanalizacyjną, tak żeby można było spłukać węzłem nieczystości...

W końcu Clive dał upust swojemu zniecierpliwieniu.

- Posłuchaj, chłopie, już parę razy zdarzyło mi się oglądać posterunek od środka. Jak długo służysz w policji?

- Trzy miesiące - odpowiedział z dumą młody człowiek.

- A ja ponad dwa lata... W dodatku w jednym z najgorszych rejonów Londynu. Zdążyłem zapomnieć więcej, niż ty kiedykolwiek się nauczyłeś, więc nie mędrkuj, tylko pokaż mi, gdzie co jest.

Stringer zaczerwienił się po uszy.

- Przepraszam. Chciałem tylko pomóc. - Natychmiast rozchmurzył się, bo drzwi prowadzące do oddziału więziennego stanęły otworem i na zewnątrz wyszedł jakiś człowiek w mundurze.

- Och, Harry... To nasz nowy kolega, Clive Barnard z Londynu. Clive - to Harry Dobson.

Dwaj mężczyźni wymienili uścisk dłoni. Dobson miał mniej więcej tyle lat co Clive i był przystojnym młodzieńcem z kręconymi włosami i niewinnym wyrazem twarzy.

- Co, młody Keith wtajemnicza cię w arkana sztuki?

- Coś ty, przecież on wszystko wie - odpowiedział Keith. - Nie mam mu co pokazywać.

- Chciałbym pracować w Londynie - rozmarzył się Dobson. - Wyświadczyć mi przysługę, Keith, i chodź ze mną po śniadanie dla aresztantów. Co prawda powinni sami przysłać je na dół, ale wiesz, że w związku z poszukiwaniami tej dziewczynki mamy straszny kłopot ze znalezieniem ludzi do pracy.

- W porządku - zgodził się Keith. - A jak tam aresztowani? Można ich na chwilę zostawić?

Dobson podrapał się po brodzie.

- No cóż... Mam wrażenie, że tak. Co prawda ten gość w ostatniej celi zachowuje się trochę dziwnie. Na przemian wrzeszczy albo łka... Moim zdaniem to wariat, jeśli chcecie wiedzieć, ale teraz jakoś przycichł. Clive, bądź tak dobry i rzuć na nich okiem, dopóki nie wrócimy. To nie powinno zabrać nam wiele czasu.

Bez czekania na zgodę wymknęli się na zewnątrz.

Clive patrzył za nimi. Co to za porządki panują na tym posterunku? Tak po prostu odeszli i zostawili aresztowanych bez dozoru? Na porządnie zorganizowanym posterunku policji, na przykład w Londynie, taka rzecz byłaby nie do pomyślenia. Człowiek odpowiedzialny za cele powinien czekać na miejscu, aż przyniosą mu jedzenie.

Lepiej sprawdzę, co robią aresztanci, pomyślał. Kroki Clive'a zadudniły na kamiennej posadzce, a znajomy, wilgotny zapach uryny wykręcił mu nos. Pierwsze dwie cele były wolne i prowadzące do nich drzwi stały otworem, ale następna okazała się zamknięta na cztery spusty. Zerknąwszy przez wizjer, ujrzał jej lokatora: na pryczy pod ścianą leżał jakiś młody gość o przyszczatej twarzy i długich, przetłuszczonych włosach i z obojętną miną gapił się w sufit. Chyba wyczuł, że ktoś mu się przygląda, bo nagle wyciągnął w stronę judasza dwa palce.

Dalej znajdowała się kolejna wolna cela, a potem ta dla pijanych - z pochyłą podłogą i kratką zakrywającą wylot rury kanalizacyjnej. Przynajmniej tak mu się wydawało. Potem przypomniał sobie aresztanta, o którym wspomniał Dobson - tego z odchyleniami psychicznymi, który siedział w celi na końcu korytarza.

Drzwi były zamknięte, a wewnątrz panowała cisza - złowroga cisza. Clive przycisnął oko do judasza. Nagle serce uderzyło mu mocniej, a potem na chwilę w ogóle przestało bić. Na wysokości oczu ujrzał zwisającą bezwładnie parę nóg, która w groteskowy sposób kołysała się na boki.

Człowiek zamknięty w tej celi powiesił się.

Clive napał całym ciężarem na drzwi, ale oczywiście zamek nie ustąpił. Co za idioci! Cholerni idioci! Zostawili go na straży, ale zabrali klucze! Wrzasnął ile sił w płucach. Głos

odbił się echem, ale nikt się nie pojawił. Facet z poprzedniej celi walił teraz w drzwi i krzyczał, żeby mu powiedzieć, co się stało.

Czując wzbierającą w żołądku falę mdłości, Clive pędził po wykładanym kamieniami korytarzu, aż wypadł z bloku aresztantów. Ujrzał sierżanta posterunkowego, który właśnie wychodził z pomieszczenia z napisem Sala Przesłuchań, ale zabrakło mu tchu w piersiach, żeby wyjaśnić, o co chodzi. Wyskrzeczwał coś bez ładu i składu i pociągnął sierżanta za rękaw, żeby zmusić go do zrobienia czegoś. Czegokolwiek. Kiedy Wells zorientował się, co Barnard usiłuje powiedzieć, cała krew odpłynęła mu z twarzy. Porwał z gabloty na ścianie zapasowy pęk kluczy i popędził w stronę cel. Pospiesznie wsadził klucz do zamka, ale wówczas drzwi stanęły otworem.

Clive wszedł do celi za sierżantem. Na pryczy siedzieli Stringer z Dobsonem i zaśmiewali się do rozpuku, a u sufitu na kawałku liny wisiała para męskich spodni, dokładnie wypchanych słomą.

Sierżant uśmiechnął się pobłaźliwie.

- To jeden z najstarszych policyjnych kawałów, synu. Chyba wiesz o tym, skoro bywałeś już wcześniej na różnych posterunkach.

PONIEDZIAŁEK (3)

KOMISARZ MULLETT CZERPAŁ SADYSTYCZNĄ PRZYJEMNOŚĆ ze zmuszania Frosta do czekania. Kiedy inspektor wsunął się zgarbiony do jego gabinetu, jak zwykle miał na sobie ten okropny płaszcz nieprzemakalny z wystrzępionymi rękawami i śmieszny, porozciągany szalik, a jego maniery cechowała bezczelność.

- Pan życzył sobie mnie widzieć, sir?

Żadnych przeprosin, wyjaśnień... Absolutnie nic.

Mullett nawet nie pofatygował się, żeby podnieść wzrok znad korespondencji, tylko machnął ręką w stronę krzesła. Celowo przeciągał podpisywanie listów; czytał je z wystudiowaną starannością, a potem długo i dokładnie osuszał każdy podpis.

Czuł, że Frost z niecierpliwością wierci się na krześle. Dobrze. Demonstrowanie niezadowolenia przez przełożonego oraz celowe ignorowanie obecności delikwenta w celu upokorzenia go przynosiło oczekiwany efekt. Pióro Mulletta poruszało się teraz w ślimaczym tempie, żeby torturę uczynić jeszcze bardziej nieznośną.

Frost wiercił się coraz częściej.

Mullett pisał coraz wolniej.

Wreszcie w ciszy rozległ się trzask zapalanej zapalniczki.

Zapałki? Mullett pociągnął nosem. Obłoczek dymu delikatnie musnął pióro i popłynął w poprzek biurka. Pełen zdumienia wzrok Mulletta pobiegł za nim.

Nie do wiary. Frost palił papierosa. Bez pytania o pozwolenie - które i tak spotkałoby się z lodowatą odmową - palił w najlepsze i rozparty na krześle wymachiwał zabłoconym buciorem. Na widok miny przełożonego uśmiechnął się rozbijająco.

- Kiedy będzie pan gotów, kom...

Mullett skrzywił się. Nienawidził, kiedy zwracano się do niego per „kom”. Wszyscy o tym wiedzieli - wszyscy z wyjątkiem Frosta.

- Odłóż tego papierosa - warknął z taką srogością, że papieros wypadł Frostowi z ust i wylądował na błękitnym dywanie Wiltona. W powietrzu rozszedł się swąd przypalonej wełny. Frost zdeptał brudnym butem kupkę popiołu, dzięki czemu udało mu się rozetrzeć resztkę tytoniu i spalone włosie na sporej powierzchni dywanu. Przesunął krzesło, żeby zakryć płamę, i powtórnie uśmiechnął się do Mulletta.

- Pan chciał mnie widzieć, sir?

Jak tylko Frost sobie pójdzie, Mullett kucnie, opierając się na dłoniach i kolanach, i z bliska obejrzy uszkodzenia. Na razie musiało mu wystarczyć gniewne spojrzenie, którym mierzył Frosta od stóp do głów.

- Chciałem pana widzieć już ponad pół godziny temu. Pan kazał mi na siebie czekać, inspektorze.

- Bo musiałem zajrzeć do banku Bennington. Ktoś zepsuł im drzwi wejściowe.

- Na pańskim miejscu uważałbym, że wezwanie komendanta posterunku powinno mieć priorytet. W dodatku nie było pana na odprawie!

Frost teatralnym gestem grzmotnął się otwartą dłonią w pokryte piegami czoło.

- Odprawa! Sir, na śmierć o niej zapomniałem! Mullett wyciągnął z szuflady kopertę.

- Dostałem list ze skargą na pana, inspektorze. - Z tymi słowami rozłożył notatkę. - Od komisarza Gibbonsa z policyjnego Centrum Szkolenia...

Pozbawione wyrazu spojrzenie Frosta świetnie zamaskowało ulgę, jaką poczuł na dźwięk tego nazwiska. Chodziło o względnie mało ważną sprawę. Jakiś czas temu poproszono go - jako doświadczonego oficera - o przygotowanie referatu dla rekrutów i udzielenie im kilku wskazówek, które mogły okazać się pomocne w wybranym zawodzie.

- Słyszałem, że opowiadał im pan głównie o tym, jak kombinować z wydatkami na służbowy samochód - warknął Mullett.

- Wspomniałem o tym mimochodem, sir.

- Mimochodem czy nie, ale właśnie o tym pan mówił, kiedy komisarz Gibbons wszedł na salę wykładową. Naprawdę było mi wstyd, gdy czytałem tę notatkę. Na szczęście napisał do mnie prywatnie, jako przyjaciel, i nie wysłał kopii listu do kwatery głównej. Jestem w najwyższym stopniu zaniepokojony pańskimi wyczynami, Frost. Dziś miałem okazję rzucić okiem na pańskie biuro i szczerze mówiąc, byłem wstrząśnięty. Ten bałagan, ten skandaliczny nieporządek... I przypadkiem odkryłem, że raport, o który dopominają się władze hrabstwa, nie został jeszcze ukończony.

- Ach tak. Rzeczywiście, muszę się do niego zabrać. Czy coś jeszcze, sir?

Tak, coś jeszcze. Mullett zbierał siły do głównego ataku.

- Czy w Centrum Szkolenia był pan w tym właśnie ubraniu?

W odpowiedzi Frost opuścił wzrok i popatrzył ze zdziwieniem na swój strój.

Komisarz ostrożnie przyglądał wąsy, zupełnie jakby były przytwierdzone za pomocą niewidzialnego kleju kiepskiej jakości.

- Komisarz Gibbons myślał, że przyszedł pan w roboczym ubraniu, w którym zwykle pracuje pan w ogrodzie...

Frost poderwał się na równe nogi.

- Co za cholerny impertynent!

- To wcale nie jest impertynencja, inspektorze! Już od pewnego czasu zamierzałem porozmawiać z panem na temat pańskiego wyglądu. Ten nieprzemakalny płaszcz to po prostu wstyd. A spodnie - kiedy ostatni raz były prasowane? Natomiast co do pańskich butów...

Frost szybko schował nogi pod krzesło.

- Za pozwoleniem, sir, moim zadaniem jest rozwiązywanie zagadek kryminalnych, a nie włączanie się po krawcach w charakterze manekina!

Mullett westchnął ciężko i z powrotem opadł na krzesło. No powiedzcie, w jaki sposób trafić do takiego człowieka? Bardzo ostrożnie, wyjaśniając wszelkie zawiłości i zwracając uwagę na potencjalne niebezpieczeństwa, powiedział Frostowi o bratanku szefa policji.

*

Sierżant Wells otworzył na oścież drzwi prowadzące do biura inspektora Frosta.

- Właśnie tutaj będziesz pracował, Barnard.

W środku panował potworny nieład. Clive ujrzał malutkie, obskurne pomieszczenie - dwa biurka, które całkowicie ginęły pod stertą papierów, szafę na akta z niedomykającymi się drzwiami i wieszak. W dodatku panował tam straszny upał, bo znajdujący się pod oknem wychodzącym na parking ogromny grzejnik z żelaza emitował niesamowite ilości ciepła.

Ścienny kalendarz wciąż pokazywał poprzedni miesiąc, a bezładne stosy dokumentów i otwartych akt zaścielały podłogę wyłożoną brązowym linoleum.

Wells stanął na jedynym kawałku linoleum wolnym od wszechobecnego bałaganu.

- Będziesz musiał tutaj trochę posprzątać, Barnard. Jak widzisz, papierkowa robota nie należy do ulubionych zajęć inspektora.

Clive zaniemówił. Czegoś takiego nie tolerowano by w Londynie nawet przez jeden dzień.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadł Frost. Jego oczy błyszczały z wściekłości.

- Niech diabli porwą tego cholernego skurwysyna! Sierżant posterunkowy uśmiechnął się wyrozumiale i mrugnął w stronę Clive'a.

- Co jest, Jack, właśnie wyszedłeś od komendanta?

- Miałem ochotę powyrywać mu te pieprzone wąsiki, włoszek za włoskiem. - Frost dostrzegł na swoim biurku świeżą notatkę, rzucił na nią okiem, a potem prychnął z pogardą i zwinął ją w kulkę. Minęła kosz o dobre sześć cali, tym samym dołączając do innych śmieci walających się po podłodze. - Słyszałeś najnowsze wieści? Mam robić za mamkę jakiegoś zasmarkanego gnojka, który przypuszczalnie jest nieślubnym synem szefa policji!

Wells uśmiechnął się od ucha do ucha i kciukiem wskazał Clive'a.

- Nie synem, Jack, tylko zasmarkanym bratankiem. A oto on we własnej osobie.

Frost rzucił się przeproszać, ścisnąć dłonie i częstować papierosami.

- Nie zwracaj na mnie uwagi, synu. Zwykle tak się nie zachowuję - jedynie wtedy, kiedy pogłaszcze mnie pod włos jakiś zarozumiały bydlak w okularach w rogowej oprawie i owłosieniu w miejscu, gdzie inni mają usta. Lepiej nie wspominajmy jego imienia.

Sierżant posterunkowy chrząknął znacząco. Ostatecznie w ich gronie był nowicjusz, który niekoniecznie musiał znać stosunki panujące na posterunku. Frost natychmiast zrozumiał aluzję.

- Tak, tak, masz rację, Bill. Powiniennem wpoić temu pełnemu optymizmu młodzianowi szacunek dla rangi, choć sam wcale go nie czuję. Cholerny dupek!

Dopiero wtedy zauważył garnitur Clive'a.

- Sto siedem funtów - oznajmił sierżant Wells z pełną powagą.

Brwi Frosta powędrowały w górę. Przez chwilę poplamionymi tytoniem paluchami międlili miękki materiał, aż w końcu potrząsnął głową.

- Synu, za taką forszę mogłeś sprawić sobie coś porządnego. A jeśli chodzi o pracę, to kryterium jest dość proste: nigdy nie wkładaj garnitur, którego byłoby ci żal, jeśli przypadkiem jakiś pijaczyna obrzyga go od góry do dołu.

Clive zachował obojętną minę, ale czuł rosnące obrzydzenie. Proszę bardzo, zabawiajcie się moim kosztem, wy wsiowe dupki, myślał. Jeszcze zobaczymy, kto będzie się śmiał ostatni.

Frost, który na każdą okazję miał w zapasie spory zestaw mało wyszukanych dowcipów, już opowiadał jakąś historię z początków swojej kariery w wydziale kryminalnym.

- Kupiłem sobie ten garniturek w Fifty Shilling Tailors i od razu pierwszego dnia, gdy go włożyłem, jakiś mały, tłustawy pijaczyna pochylił się w moją stronę i zostawił na nim cały swój lunch. Naturalnie przyłożyłem mu kolanem w jaja, aż się biedak zwinął. Chciałem dać mu do zrozumienia, że zachował się niestosownie, ale garnitur już nigdy nie wyglądał tak jak przedtem.

- Rzeczywiście, Jack - odparł Wells z niewzruszoną miną. - Chyba nadszedł czas, żeby oddać go do pralni.

Twarz Frosta rozpromieniła się uśmiechem.

- To śmieszna rzecz, że wspomniałeś o moim ubraniu, Bill. Nasz ukochany komendant właśnie mnie poinformował, że wyglądam jak szmaciarz. Przypuszczam, że mój płaszcz faktycznie kiepsko wypada w porównaniu z kreacją za sto siedem funtów.

- Mój garnitur także nie wzbudził w nim wielkiego uznania - przyznał Clive.

- Jeśli tak powiedział, synu, to chyba się zmuszę, by mi się spodobał.

Mówiąc to, Frost cały czas skubał coś na prawym policzku.

Clive przyjrzał mu się z bliska. Prawy policzek! Nie zauważył tego przedtem. Cały policzek pokrywały blizny. Biała ściągnięta tkanka bliznowata tuż pod okiem. Clive złapał się na tym, że się przygląda i zaraz potem odwraca wzrok.

Telefon stojący na biurku zadzwonił. Co prawda schowany był gdzieś pod stertą papierów, ale Frost, ciągnąc za sznur, zdołał jakoś wydobyć go na powierzchnię. W milczeniu wysłuchał lapidarnej wiadomości od inspektora Allena - Frost natychmiast ma się stawić w jego biurze. Klik. Żadnego „proszę”, jedynie kilka suchych słów. Frost z powrotem zagrzebał telefon w papierach.

- To kolejny skurwiol, którego nienawidzę! Wiesz co, synu? Możesz przecież pójść ze mną. Będziesz miał okazję zobaczyć, jak wygląda prawdziwy detektyw.

Prawdziwy detektyw był chudy, żylasty i kwaśny jak cytryna, a na domiar wszystkiego w jego zimnym biurze o wypolerowanej na błysk podłodze aż cuchnęło

uporządkowanym profesjonalizmem. Na sterylnie czystym biurku stały dwa pojemniki - ten z napisem „dokumenty przychodzące” był pusty, drugi zaś po brzegi wypełniały notatki i instrukcje napisane schludnym, czytelnym pismem detektywa Allena.

Na widok Frosta wchodzącego z kimś jeszcze Allen zmarszczył brwi, ale dowiedziawszy się, że jest to bratanek szefa policji, zmusił się do lodowatego uśmiechu. Jak tylko odda Tracey Uphill pod opiekę matki, weźmie tego nowego pod swoje skrzydła. Jako człowiek całkowicie oddany karierze Allen świetnie wiedział, że jego nominacja na głównego inspektora zostanie wkrótce ogłoszona, a on sam pragnął w ciągu roku otrzymać awans na detektywa komisarza. W ten sposób dogoniłby Mulletta. W wyścigu do objęcia dowództwa nowej, powiększonej jednostki nie będzie startował wyłącznie jeden koń, jak lekkomyślnie wyobrażał sobie obecny komisarz.

Teraz Allen z animuszem potrząsał ręką Clive'a i jednocześnie skinieniem głowy zapraszał gości do zajęcia miejsc.

- Zdaje się, Frost, że nie było cię dziś rano na odprawie? - mruknął, ubierając to zdanie w formę pytania.

- Nie, Allen - odparł zapytany z promiennym uśmiechem. Zapalił papierosa, a zapalkę upuścił na lśniące czystością linoleum. - Po prostu zapomniałem.

Allen poderwał się z krzesła, podniósł zapalkę i wrzucił do pustego kosza.

- Dziękuję - powiedział pogodnie Frost.

Gospodarz wziął kilka głębokich oddechów i wrócił na miejsce.

- Ta dziewczynka... Chcę, żebyś zaraz tam pojechał i zadał matce jeszcze kilka pytań. Coś mi tu nie pasuje. Gdyby zaginęła bezpośrednio po wyjściu z domu, pewnie do tej pory już byśmy ją znaleźli.

- Zawsze istnieje możliwość, że ona sama załatwiła tego dzieciaka - zasugerował Frost.

Clive uśmiechnął się z politowaniem na te oburzające przypuszczenia. Durniu, gdybyś tylko zobaczył tę kobietę... Ale inspektor Allen wydawał się tego samego zdania co kolega.

- Owszem. Właśnie chcę, żebyś to sprawdził. Musisz trochę tam powęszyć, bo rewizja przeprowadzona zeszłej nocy znacznie odbiegała od standardów.

- W porządku. - Frost rozprostował nogi i wyciągnął następnego papierosa.

Oczy Allena zwęziły się w dwie szparki.

- Powiedziałem „zaraz”! - warknął.

Właśnie tak należy traktować takich leniwych nicponi jak Frost, pomyślał Clive, kiedy inspektor zerwał się na równe nogi.

- Moje gratulacje - rzucił Frost. Allen nie krył zaskoczenia.

- Z jakiej okazji?

- Podobno dostałeś awans na głównego inspektora. - Jeszcze nie - odparł Allen.

- Och, a ja myślałem, że już - powiedział Frost i z powrotem usiadł, żeby spokojnie dokończyć papierosa.

Frost zabrał Clive'a do centrum operacyjnego, żeby wziąć dla niego radio. Niestety, dyżurny funkcjonariusz niechętnie odniósł się do pomysłu rozstania z kolejnym urządzeniem.

- Wziął pan już dwa, sir - powiedział do Frosta. - I żadnego z nich pan nie oddał - dodał, wskazując podpisy w książce odbioru ekwipunku.

- Mam coś pilnie załatwić dla inspektora Allena - oświadczył Frost, z werwą składając kolejny podpis. - Dostaniesz z powrotem swoje radio dziś po południu. Na pewno. Obiecuję.

Porwał radio z półki i popchnął Clive'a w kierunku wyjścia, zanim pełniący dyżur posterunkowy zdążył cokolwiek wykrztusić.

Samochód inspektora - szary, ubłocony po dach morris 1100 - stał ukryty w bocznej uliczce. Zapowiadał się zimny dzień, więc Frost opróżnił fotel pasażera z zakurzonych kaloszy i kilku pożółkłych egzemplarzy „Daily Mirror”, a następnie wślizgnął się do środka i przełączył dmuchawę na najwyższą moc. Potem popchnął kluczyki w kierunku Clive'a, tym samym dając mu do zrozumienia, że dziś to on będzie robił za szofera.

Inspektor Frost należał do tego rodzaju nawigatorów, którzy krzyczą „w prawo”, kiedy samochód właśnie minął właściwą ulicę. Nie zwracał sobie głowy śledzeniem trasy i Clive co chwila musiał z całej siły wdeptywać hamulec albo ostro skręcać, przez co złożone na tylnym siedzeniu kalosze bez przerwy spadały na podłogę.

W końcu wyjechali z miasta i teraz znajdowali się na krętej, wyboistej drodze prowadzącej na wschód wzdłuż opuszczonych, żałośnie wyglądających pól, nieuprawianych i zarośniętych zielskiem - które przymusowo zostały wykupione od właścicieli pod przyszłą ekspansję nowego miasta.

Po prawej stronie ujrzeli jedną z grup poszukiwawczych, która wolno i systematycznie sunęła przed siebie. Ludzie długimi kijami szturchali wyrosnięte krzaki, a nad ich głowami w powietrzu wisiały chmury pary wodnej. Frost przechylił się i nacisnął klakson. Na ten dźwięk któryś z poszukiwaczy odwrócił się i pomachał na powitanie, ale zaraz wrócił do swojego zmudnego zajęcia. Najwidoczniej nawet z tej odległości opryskany błotem morris był łatwy do rozpoznania.

Frost oparł się wygodnie o zagłówek fotela i wskazał Clive'owi rozległą polanę, na której wyrzucający z siebie kłęby spalin buldożer wyrywał z ziemi pniaki ściętych drzew.

- Mówię ci, synu, kiedyś tutaj rósł ogromny las... Prawdziwy las, z ptakami, wiewiórkami i mnóstwem innych zwierzątek. W czasach mojej ognistej młodości wiele razy zabierałem tu jakąś skromną, drżącą ze strachu damę, żeby pod osłoną gałęzi udzielić jej lekcji anatomii.

Na samo wspomnienie westchnął głęboko.

- Oczywiście, ostatni raz zdarzyło się to wiele, wiele tygodni temu. Och, synu, tam powinniśmy byli skręcić w lewo! W porządku, przecież możesz odrobinę się cofnąć. Jeszcze... jeszcze... masz mnóstwo miejsca.

*

Joan Uphill czekała na nich na schodach. Na gładkiej twarzy nie było śladu makijażu, a popielate włosy zostały ściągnięte do tyłu i związane w koński ogon zwykłym, czarnym sznurowadłem. Łatwo mogła być wzięta za dziecko, dopóki człowiek nie podszedł bliżej i nie zobaczył zmarszczonej ze zmartwienia twarzy i oczu podpuchniętych od płaczu i z braku snu. Kiedy usłyszała zatrzymujący się na podjeździe samochód, była pewna, że przywieziono Tracey, dopóki nie otworzyła drzwi i nie przekonała się, że w aucie siedzą tylko dwaj mężczyźni. Proszę, proszę, myślała ze strachem, niech to nie oznacza, że zaraz usłyszę coś strasznego.

Nieporządnie wyglądający mężczyzna w szaliku uśmiechnął się do niej uspokajająco.

- Niestety, pani Uphill, nie mamy dla pani żadnych wiadomości. Chodzi jedynie o zadanie kilku dodatkowych pytań, które być może ułatwią poszukiwania.

Poprowadziła ich do salonu. Pomimo atmosfery przygnębienia widok zgrabnych pośladek opiętych cienkim materiałem spodni wywołał w obu panach mocne zainteresowanie o czysto seksualnym charakterze.

Frost usadowił się w fotelu i przez dobrą minutę skubał bliznę na prawym policzku, zanim zdecydował się zacząć. Będzie musiał wytrącić z równowagi tę kobietę, a nienawidził denerwować i tak już zdenerwowanych ludzi. Pytanie, które powinien jej zadać, brzmiało mniej więcej tak: „Pani Uphill, czy zamordowała pani swoją córkę, a ciało ukryła gdzieś w domu? Jeśli tak, proszę nam o tym powiedzieć, żebyśmy mogli wezwać z powrotem tych biednych skurczybyków, którzy teraz w zimnie przeczesują okoliczne tereny”. Jednak zamiast tego powiedział coś całkiem innego.

- Czy ma pani jeszcze inne pomysły, dokąd mogła pójść Tracey? Sprawdziliśmy wszystkie wymienione przez panią miejsca.

Odgarnęła w tył kosmyk włosów, który uporczywie opadał na czoło.

- Gdyby tak było, zadzwoniłabym na policję.

- A może posprzeczała się pani z dzieckiem? Może był jakiś powód, dla którego Tracey chciała uciec z domu?

- Nie. Zresztą mówiliśmy już o tym zeszłej nocy. Frost podniósł się z fotela.

- Chcielibyśmy przeszukać dom, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Przecież dom już był przeszukiwany wczoraj wieczorem.

- Dzieciaki potrafią być wcielonymi diabłami, pani Uphill. Być może mała wróciła do domu, ale po cichu, żeby się schować.

- Na pewno nie ma jej w domu. - Joan Uphill objęła się ramionami, jakby chciała się rozgrzać, choć w pokoju panowało przyjemne ciepło, a ogarniający ją chłód pochodził z jej wnętrza. Lekki, dziergany na drutach sweterek podjechał wyżej, ukazując nagą skórę w kremowym odcieniu. Wyglądała na przestraszone, samotne dziecko i Clive nagle zapragnął otoczyć ją ramionami... Nie tylko po to, żeby dodać jej otuchy.

- Nie możemy tu tkwić przez cały pieprzony dzień, synu - warknął Frost na widok jego miny. - Zaczniemy od góry i będziemy posuwać się w dół.

Na piętrze znajdowały się dwie sypialnie i łazienka. Zdecydowali się zajrzeć najpierw do większej z nich. Grube zasłony skutecznie blokowały dostęp dziennego światła. Clive pstryknął włącznikiem i różowy blask zalał ogromne łóżko małżeńskie. Nie było uporządkowane, a na poduszce leżała zwinięta cieniutka koszula nocna z żółtego jedwabiu. Piramida na wpół wypalonych papierosów w popielniczce świadczyła o nieprzespanej nocy.

We dwóch dokładnie przeszukali pokój, odsuwając toaletkę i zaglądną pod łóżko. Potem Clive otworzył suwane drzwi prowadzące do garderoby i nagle wstrzymał oddech. Na odgłos przerażonego sapania Frost rzucił się w jego kierunku, ale okazało się, że to tylko lalka. Kosztowna, wielkości dziecka lalka o blond włosach, która miała być gwiazdkowym prezentem dla Tracey. Clive zmełł w ustach jakieś przekleństwo, Frost zaś udał, że nic się nie stało.

- Cholera, synu, ta pieprzona laleczka naprawdę wygląda jak żywa, co? - zauważył łagodnie.

Garderoba była sporych rozmiarów, ale poza wiszącymi na wieszakach ubraniami nie znajdowało się tam nic ciekawego. Tylko całe mnóstwo drogich ciuchów.

Frost odsunął zasłony i wyjrzał na Vicarage Terrace. Stąd bez przeszkód można było dojrzeć plebanię i szkółkę niedzielną, która mieściła się przy końcu ulicy. Co mogło się przydarzyć dziecku, które wyszło ze szkółki? Powoli odwrócił się w stronę pokoju, a jego wzrok powędrował w górę...

- Psiakrew!

Clive poszedł w jego ślady. Na suficie wisiało olbrzymie lustro, ustawione dokładnie tak, by widać było w nim odbicie osób leżących w łóżku. Detektyw posterunkowy poczuł w ustach nagłą suchość, gdy wyobraził sobie przyćmione światło czerwonej żarówki i nagą Joan Uphill, wijącą się na łóżku w miłosnej ekstazie, z włosami rozsypanymi na poduszce...

- To musi być kurewska robota wyczyścić coś takiego.

- Głos inspektora Frosta, jak zwykle mocno stojącego na ziemi, wdarł się przemocą w te rozkoszne rozmyślania.

- No, chyba że ona każdemu kochankowi wkłada w dupę miotełkę z piór - dodał po chwili namysłu.

Druga sypialnia bez wątplenia należała do dziecka. Ściany wyłożone zostały tapetą z motywem Toma i Jerry'ego, a dziecięce motywy zdobiły abażur i drzwi pomalowanej na biało szafy. Na ławeczce pod oknem siedziały rzędem lalki, spoglądając na małe, starannie zasłane łóżeczko właścicielki. Mały kaloryfer emitował przyjemne ciepło, lecz mimo to w pokoju wiało chłodem... i pustką.

Frost przypadkowo uchylił drzwi szafy i na podłogę posypała się kaskada zabawek. Znalazł wśród nich jo-jo; natychmiast postanowił zademonstrować swojemu uczniowi kilka zabawnych sztuczek, a Clive usiłował ukryć pogardę, jaką wzbudzały w nim infantylne rozrywki inspektora.

Wreszcie Frost rozplatał sznurek z palca i upuścił jo-jo na szczyt stosu zabawek.

- Wiesz co, synu, ty przeszukaj łazienkę tak, jak cię tego nauczono w Londynie, a ja tymczasem wsadzę te zabawki z powrotem do szafy.

Przestronną łazienkę, z wanną w kolorze mandarynki, toaletą i umywalką, można było przeszukać błyskawicznie, lecz Clive nie miał zamiaru pozwolić, żeby inspektor wytknął mu jakiegokolwiek zaniedbania. Szafka łazienkowa na oko wydawała się śmiesznie mała, ale zajrzał także i tam. W środku były kosmetyki, woda kolońska, talk kosmetyczny, płyn do kąpieli, a także golarka elektryczna. Odkręcił pudełeczko z talkiem i wciągnął w nozdrza podniecający zapach perfum Joan Uphill, a następnie odstawił je na miejsce i zamknął szafkę. Jedynym względnie podejrzanym miejscem była szafa, w której krył się przewód wentylacyjny. Clive otworzył drzwiczki i zajrzał do środka. Większość miejsca zajmował zbiornik na ciepłą wodę i drewniane półki, na których leżały rzeczy do prasowania. Jednak Clive w Londynie nauczył się dokładności. Wysunął parę półeczek z drewnianego stelaża i włożył rękę na tył zbiornika tak głęboko, aż uwieźnia między nim a nagą, chropowatą ścianą. Tam niczego nie było, mógł za to ręczyć głową. Przestrzeń ponad cylindrem? Jeszcze więcej półek i więcej ubrań.

Otrzepując garnitur z ceglanego pyłu i pajęczyn, zawołał do inspektora, że niczego podejrzanego nie znalazł.

Frost, w rozpiętym płaszczu, niespiesznym krokiem wszedł do środka i rozejrzał się dookoła.

- Nie ma bidetu? W takim razie chyba musi wrzucać pety do kibla, co?

Wrzucił niedopałek, który zgasł skwiercząc, a potem opuścił deskę, usiadł na niej i zapalił następnego papierosa, rozglądając się ukradkiem.

- Szybko się z tym uporałeś, synu. Moje gratulacje.

W tonie jego głosu było coś, co sprawiło, że Clive zaczął się mieć na baczności. Czyżby coś pominął? Oczywiście, że nie. Jak mógłby pozwolić sobie na coś takiego? Jednak wciąż czuł się niepewnie.

Frost wypuścił kłęb dymu.

- Chyba nie miałeś wielkiego kłopotu z odkręcaniem tego panelu pod wanną, chłopcze?

Clive jęknął w głębi duszy. Miał ochotę skopać sam siebie. Wanna obłożona była panelami z plastiku, przykręconymi do wewnętrznych listewek. To miejsce było tak oczywistą kryjówką, że Clive w pośpiechu je pominął. Ale ten parszywy śmierdziel natychmiast je zauważył.

Frost uśmiechnął się wyrozumiale i wręczył Clive'owi śrubokręt, który wygrzebał w przepastnych kieszeniach płaszcza.

Śruby stawiały początkowo opór, ale szybko ustąpiły. Clive odkręcił je, jedna po drugiej, prosto w nadstawioną dłoń inspektora, a następnie po kolei zdjął panele i oparł je o ścianę. Przestrzeń w środku wydawała się wystarczająco duża, żeby ukryć dwa albo trzy ciała, ale był tam jedynie kurz, resztki wiórów i mokra plama w miejscu, gdzie przeciekała rura odpływowa.

- Nic tu nie ma, sir. Frost rozpromienił się.

- Kiedyś za obudową wanny znalazłem łup z sześciu włamań. Wiedzieliśmy, że gość ukrył to w łazience. Jeden z naszych dzielnych chłopców posunął się nawet do tego, że włożył rękę głęboko do sedesu. Nie powiem ci, co znalazł, ale z pewnością nie było to nic ciekawego. I wtedy, co niestety rzadko się zdarza, wpadła mi do głowy genialna myśl. Odkręciłem panele i rzeczywiście, za nimi schowane były przedmioty warte ponad dwanaście tysięcy funtów... Świetna kryjówka, nie sądzisz? Chciałbym, żeby inni włamywacze też wykazywali się takim sprytem i bystrością umysłu. To pierwsze miejsce, do jakiego zaglądam, ale od tamtej pory nie udało mi się znaleźć nawet złamanego pensa.

Na schodach błysnęło światło i doleciało stamtąd pobrzękiwanie filiżanek.

- Tutaj, pani Uphill! - zawołał Clive.

Na widok zdjętego panelu stanęła jak wryta, z niedowierzaniem przyglądając się Clive'owi, który klęczał przy wannie.

Wiedziała.

Wiedziała, że nie szukali żywego dziecka. Sprawdzali, czy nie schowano tam ciała.

Ręce Joan Uphill zadrżały. Filiżanki zabrzęczały mocniej, więc Frost delikatnie odebrał tacę i podał ją Clive'owi.

- Myślicie, że ona nie żyje? - wyszeptała. Frost nie odpowiedział. - I że to ja ją zabiłam? Moją córeczkę?

Frost wygładził postrzępiony koniec szalika.

- Pani Uphill, podczas służby w policji widuje się mnóstwo paskudnych rzeczy. Byłaby pani zdziwiona, gdyby pani wiedziała, do czego ludzie potrafią być zdolni. Zabijają własne dzieci. Mili, normalni ludzie. Są kochającymi rodzicami udanych pociech, a potem nagle je mordują. Kiedyś matka odprowadziła do drzwi wychodzącego do pracy ojca, pocałowała go na pożegnanie, a potem utopiła w wannie troje dzieci. Oczywiście okazało się, że była chora psychicznie. Następnie jak gdyby nigdy nic wyszła do sklepu, kupiła słodycze dla całej trójki, a kiedy wróciła do domu, nie mogła zrozumieć, gdzie dzieciaki się podziały. Nie sądzę, żeby akurat to przydarzyło się w pani, ale musimy sprawdzić każdą ewentualność, nawet za cenę zranienia pani uczuć.

Zapadła cisza. Nawet Clive czuł się głęboko poruszony. Potem Joan Uphill odwróciła się i stukając obcasami, zaczęła schodzić na parter. Słyszeli jej stłumiony szloch.

- Zastanawiam się, czy mogła ukryć ciało w przewodzie wentylacyjnym - rzekł Frost.

Ty gruboskórny dupku, pomyślał Clive, a na głos powiedział:

- Już sprawdziłem, sir.

Frost przyjął to wyjaśnienie bez komentarza i z zadumaną miną popijał herbatę.

- Hmm... Całkiem niezła. Jeśli na dodatek po wszystkim ona częstuje cię taką herbatą, to bez wątpienia cały interes jest wart trzydzieści funtów, które bierze za swoje usługi... A teraz, synu, weź krzesło i chodź za mną. Znalazłem jeszcze jedno miejsce, które aż się prosi o przeszukanie.

Coś, co Clive pominął. Tuż za drzwiami łazienki w suficie znajdowała się kłapa prowadząca na strych. Mocne światło latarki ślizgało się po krokwiach. Walizka. Wystarczająco duża, ale stanowczo zbyt lekka. Clive ściągnął ją na dół tylko po to, żeby się

przekonać, że w środku znajdują się dziecięce ciuszki i kłębek białej, puszystej wełny. Leżały tu od dłuższego czasu. Prawie od dziewięciu lat.

- Zawsze marzyliśmy o dzieciach... - mruknął Frost. - Moja żona i ja. Ale ona nie mogła ich mieć.

Przytrzymał krzesło, kiedy Clive schodził ze strychu, a następnie wyciągnął z kieszeni jakiś paperek i podał detektywowi posterunkowemu.

- Znalazłem to w pamiętniku Tracey.

Clive spojrzał i szeroko otworzył oczy ze zdumienia. To, co usłyszał przed chwilą od Frosta, zupełnie nie miało sensu.

- Jak to? W jej pamiętniku, sir?

Odpowiedzią było poważne skinienie głową.

Clive trzymał w ręku niewyretuszowane czarno-białe zdjęcie nagiej dziewczynki, siedzącej na przykrytej materiałem skrzynce, pochylonej w tył i opartej na rękach. Zidentyfikowanie modelki wydawało się niemożliwe, ponieważ górna część fotografii została oddarta, lecz mimo to widać było końce miękkich, ciemnych włosów, opadających na ramiona. To zdjęcie wywoływało raczej obrzydzenie niż erotyczne podekscytowanie, choć poza nagością dziewczynki nie było w nim nic pornograficznego.

Frost wysupłał zdjęcie spomiędzy palców Clive'a i podniósł do nosa.

- Powąchaj to, synu... Kwaśny utrwalacz. Amatorzy nigdy nie obrabiają zdjęć tak dokładnie jak profesjonaliści. Smród tiosiarczanu sodowego zawsze da się wyczuć.

Jeszcze raz uważnie przyjrzał się fotografii.

- Ta plamka w górnej części lewego ramienia... Według ciebie co to może być?

Clive przysunął się do otwartych drzwi łazienki, żeby przy lepszym świetle jeszcze raz rzucić okiem na zdjęcie.

- Jest niezbyt wyraźna, sir. To może być znamię.

- Tak, ja też tak uważam. - Frost wyciągnął papierosa z ust, wrzucił do toalety i nacisnął spłuczkę. - Ciekawe, kto to może być... I skąd Tracey to wytrasnęła.

- Czy przypadkiem to nie jest...? - Clive wolał nie wypowiadać tego na głos, więc tylko wskazał w dół schodów.

- Wielki Boże, nie! - Schował fotografię do kieszeni. - Ale tak czy inaczej, mam zamiar jej to pokazać. Ostatecznie pracuje w tym biznesie, więc może rozpozna modelkę po pewnych... hmm, wystających częściach ciała. A najpierw musimy sprawdzić, ile trupów udało się jej zakopać w ogrodzie z tyłu domu. Nie sądzę, żebyście zajrzeli tam wczoraj wieczorem.

Clive szybko powiedział, że ogród został sprawdzony.

- No tak, poświeciliście trochę latarkami? - prychnął Forst z pogardą. - Poza tym wszyscy szukali żywego dziecka na powierzchni ziemi, a nie śladów po niedawnym kopaniu.

Ogród składał się w większej części z wybetonowanego patio, do którego przylegał niewielki kawałek trawnika. Rosło na nim kilka krzaków róż, ale ziemia pod nimi była zbita i z pewnością nikt w ostatnim czasie jej nie ruszał. Frost dziabnął parę razy w trawnik, żeby przekonać się, czy nie jest zrobiony z darni, która mogła być zdjęta i ułożona z powrotem dla ukrycia pod nią grobu, ale przekonał się, że trawa wyrosła z nasion. Posadzka na patio również wydawała się nieskazitelna. W kącie stała sporych rozmiarów skrzynia na śmieci, do której także zajrzeli. Wzdłuż domu biegła betonowa ścieżka, prowadząca do bramy. Po drodze sprawdzili metalową klapę, która zakrywała dostęp do rur kanalizacyjnych. Kłapa była ciężka jak diabli, ale zdesperowani ludzie, którzy chcieli ukryć ciało, mogli znaleźć wystarczająco dużo siły, żeby ruszyć ją z miejsca.

Frost podrapał się w nieogolony podbródek.

- Znienawidzisz mnie za to, synu, ale twój garnitur mimo młodego wieku musi przygotować się na szokujące przejścia. Czy będziesz tak łaskaw pogmerać trochę tam w dole?

Czekaj, skurczybyku, kiedyś nadejdzie mój dzień, myślał Clive, przywołując na twarz szeroki uśmiech. Był zdecydowany nie okazać zdenerwowania, żeby nie dać satysfakcji temu bubkowi. Przycupnął nad studzienką, a strumień światła z latarki rozjaśnił nieco bulgoczące okropności.

Poza oczywistymi rzeczami nie było tam nic szczególnego. Clive zignorował raczej mało dowcipne żądanie inspektora, żeby sprawdzić, czy gdzieś tam nie widać resztek papierosów, niedawno splukanych w kiblu.

Z powrotem przesunęli pokrywę studzienki, a potem chwilę poszperali w okolicach garażu, gdzie stał mini cooper należący do pani Uphill. Frost z każdą chwilą wydawał się tracić zainteresowanie dla tego, co robili, i poganiał Clive'a, zanim ten cokolwiek zdążył skończyć. Parter domu przejrzeni bardzo pobieżnie, a kiedy Clive chciał zajrzeć do niewielkiej szafy pod schodami, inspektor się nie zgodził.

- Daj sobie spokój, synu - prychnął ze zniecierpliwieniem. - Na pewno jej tam nie ma.

No cóż, to pan jest tu szefem, powiedział w myślach Clive i poszedł za Frostem do salonu, gdzie siedziała młoda matka i niewidzącym spojrzeniem wpatrywała się w plastikowe polana elektrycznego kominka.

- Nie ma jej tutaj, pani Uphill - odezwał się Frost. - Jak pani sądzi, może zabrał ją jej ojciec?

Nawet nie podniosła głowy.

- Nie jestem zamężna - odparła.

- Wiem, pani Uphill, ale mimo to każde dziecko ma jakiegoś ojca.

Na ustach Joan Uphill pojawił się bolesny uśmiech, przez co jej twarz zrobiła się prawie brzydka.

- Zgadza się. Jakiegoś. Ostatni raz widziałam go, zanim jeszcze Tracey się urodziła, a konkretnie w dniu, w którym przekazałam mu tę wspaniałą nowinę, że spodziewam się dziecka. Właśnie wtedy zdecydował, że nie ma ochoty dłużej mnie widywać. Cóż to za niezwykle zbieg okoliczności, prawda?

- Czy przysyła jakieś pieniądze na utrzymanie małej? - spytał Clive.

Wstała, żeby wziąć papierosa z pudełka stojącego na obramowaniu kominka.

- Dostałam jednorazowo jakąś tam kwotę od jego rodziców. Chętnie zapłaciliby każdą sumę mieszczącą się w granicach rozsądku, żeby się upewnić, że ich biedny, zbłąkany syn nie zwiąże się z taką wyuzdaną suką jak ja i z jej bachorem. A on był dla mnie pierwszy i poza nim nie było nikogo.

Ciszę, jaka zapadła po tych słowach, przerwał dopiero Frost, skrobiąc się po prawym policzku, który najwyraźniej go swędział.

- Rozumiem, że nigdy nie próbował się z panią skontaktować?

Pokręciła głową.

- Jeśli w ogóle o mnie myśli, to pewnie ma nadzieję, że już nie żyję. Nigdy nie zadał sobie trudu, żeby się dowiedzieć, czy ma córkę, czy syna, ani czy przypadkiem nie umarłam przy porodzie.

Clive poczuł, że mógłby zadusić tego drania gołymi rękoma. To zdarzyło się osiem lat temu. Nie mogła być wówczas nikim innym niż zwykłą uczennicą, zaledwie piętnasto - lub szesnastoletnią. W dodatku pewnie była dziewicą. Na samą myśl o tym nienawiść pomieszała się w jego sercu z zazdrością i zawiścią.

Frost koniecznie chciał dowiedzieć się, jak się ten gość nazywa i gdzie mieszka, więc Joan znalazła adres w jakimś starym pamiętniku. Clive wyciągnął notes, żeby zrobić stosowne zapiski. Tamten chłopak nazywał się Ronald Conley i mieszkał w Bristolu. Podarował jej ten pamiętnik przed ośmioma laty - na czystej stronie widniało starannie wykaligrafowane zdanie: *Mojej ukochanej Joan od Rona*, a potem rząd uśmiechniętych serduszek. Co za dwulicowy skurwiel, pomyślał Clive.

- Intryguje mnie pewna rzecz, pani Uphill... - zaczął Frost.

Popatrzyła na niego pytającym wzrokiem.

- Dlaczego nie odebrała jej pani ze szkoły niedzielnej?

Wyciągnęła z pudełka papierosa i starała się go zapalić. Ta prosta czynność zdawała się całkowicie pochłaniać jej uwagę.

- To całkiem proste pytanie. Jeden z naszych kolegów zamienił kilka słów z dyrektorem szkoły niedzielnej. Powiedział, że zawsze pani ją odbierała, zimą i latem, w słońce albo w deszcz. Wczoraj był jedyny dzień, kiedy pani tego nie zrobiła. Dlaczego?

Joan gwałtownie wyciągnęła z ust papierosa.

- Czy pan uważa, że sama nie robię sobie wyrzutów z tego powodu? - wybuchnęła. - Myślałam, że da sobie radę. Ten jeden, jedyny raz nie poszłam po nią...

Wtedy jej gniew zamienił się w żal i cała zatrzęsała się od spazmów i powstrzymanego płaczu. Clive uniósł się na krześle, gotów podejść, żeby ją pocieszyć, ale ostrzegawcze spojrzenie Frosta usadziło go na miejsce.

Nagle Frost chwycił szlochającą kobietę za ramię.

- Proszę mnie posłuchać. Zeszłego lata pewien mężczyzna kręcił się koło szkoły niedzielnej i próbował molestować wychodzące stamtąd dzieciaki. Pani świetnie o tym wiedziała, bo od tej pory zawsze pani po nią przychodziła. Przychodziła pani nawet wtedy, kiedy świeciło słońce. Ale wczoraj, mimo że było zupełnie ciemno, pomyślała pani, że córka może wrócić sama. Dlaczego?

Wywinęła się z uścisku twardej dłoni i wrzasnęła na niego:

- Zostaw mnie w spokoju, ty skurwysynu!

Zaraz potem zakryła twarz dłońmi i rozszochała się na dobre. Między zaciśniętymi palcami pociekły gorące łzy. Frost brutalnie oderwał jej ręce od twarzy i przysunął się bardzo blisko.

- Mam w dupie pani uczucia, pani Uphill! Interesuje mnie jedynie to, żeby pani córka cała i zdrowa wróciła do domu, a od pani mam prawo oczekiwać pomocy, a nie ataków jakiejś pieprzonej hysterii! Pytam raz jeszcze, dlaczego nie poszła pani po nią?

Odkoczyła, jakby uderzył ją w twarz.

- Bo ja... Ja byłam z mężczyzną.

Frost rozpromienił się i z powrotem usiadł na krześle. Jego głos był teraz przyjazny i niemal wesoły.

- Z kimś, kto odwiedza panią regularnie? Skinęła głową.

- Spóźnił się?

Osuszyła łzy jedną z ostatnich chusteczek, jakie zostały w pudełku, a następnie zmięła ją w dłoni.

- Tak. Zwykle wychodził o trzeciej trzydzieści, dzięki czemu miałam mnóstwo czasu, żeby odebrać Tracey. Ale wczoraj powiedział, że jego pociąg się spóźnił czy był odwołany, czy coś takiego... Kiedy przyjechał, dochodziła już trzecia trzydzieści.

- A o której zwykle przyjeżdżał? - Frost, który miał pamięć dziurawą jak sito, zerknął na ukos przez pokój, żeby przekonać się, czy Barnard wszystko notuje.

- O drugiej trzydzieści.

- Proszę nam podać jego nazwisko i adres. Pokręciła głową.

- Obawiam się, pani Uphill, że musi pani to zrobić - nalegał Frost. - Wiem, że panie składacie przysięgę, że będziecie chronić dane klientów, ale...

- To nie tak - przerwała. - Nie znam jego adresu ani nie wiem, jak się nazywa. Kazał mówić do siebie „Bob”, ale oni zwykle nie podają prawdziwych imion.

- O której wyszedł wczoraj?

- O czwartej dwadzieścia pięć. Ale co to ma wspólnego z Tracey?

- Pewnie nic, ale wyszedł stąd właśnie wtedy, kiedy ona kończyła zajęcia w szkółce niedzielnej. Mógł ją widzieć. Proszę go opisać.

- No cóż, nosi brodę...

Myśli Frosta zakotłowały się. Broda! Facet, który próbował zwabiać dzieciaki do samochodu... On także nosił brodę.

Opis, jaki podała pani Uphill, był dokładny - bardzo dokładny - łącznie ze wspomnieniem o bliźnie po operacji wyrostka robaczkowego. Gość miał trzydzieści cztery, może trzydzieści pięć lat, był jasnym szatynem, nosił brodę i miał piwne oczy. Sądząc z innych rzeczy, jakie udało jej się zaobserwować, musiała widzieć go w najróżniejszych niezwykłych sytuacjach, zdecydował Frost.

Kiedy Clive z zapalem skrobał piórem po papierze, inspektor wyjął z kieszeni fotografię.

- Czy jest to ktoś, kogo pani zna, pani Uphill? Przypatrzyła się z uwagą.

- Nie.

- Znaleźliśmy ją w pokoju Tracey, wetkniętą między kartki książki.

Twarz Joan zastygła w grymasie niedowierzania. - W pokoju Tracey? Nie mogliście przecież...

- Czy to jedno z pani zdjęć? Rozumiem, że panie musicie mieć pod ręką różne podniecające gadzety, na wypadek gdyby trzeba było pomóc klientowi przygotować się do działania, że tak powiem.

- Nigdy nie musiałam uciekać się do takich metod - warknęła ze złością.

- W takim razie może Tracey znalazła gdzieś tę fotografię

- powiedział Frost, chowając ją z powrotem do kieszeni.

- Dla dzieciaka pewnie nie miało to żadnego znaczenia. No cóż, bardzo dziękujemy za pomoc. Jak tylko uda się nam czegoś dowiedzieć...

Joan patrzyła, jak wychodzą i zacierają w stronę samochodu. W oknach sąsiednich domów poruszyły się zasłony.

- Co za cholerne, wścibskie bydlaki! - prychnął Clive.

- Nikt nie pofatyguje się, żeby przyjść tutaj i spróbować ją pocieszyć. W Londynie człowiek nie mógłby się ruszyć, bo co chwila jakaś sąsiadka wpadałaby, żeby zrobić herbatę.

Frost z roztargnieniem patrzył przez szybę na postać stojącą przy wejściu do domu.

- Gdybym miał na zbyciu trzydzieści funtów, synu, to pewnie poprosiłbym cię, żebyś poczekał tu na mnie z włączonym silnikiem przez jakieś pięć minut... - powiedział, drżąc z zmię. - Psiakrew, ale ziąb. Pośpiesz się z tym ogrzewaniem.

Clive przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Wracamy na posterunek, sir?

Żadnej odpowiedzi. Frost siedział pogrążony w myślach, a potem nagle drgnął, jakby coś wyrwało go z transu.

- Powiedz mi, synu, czemu, do diabła, ktoś mógłby chcieć włamać się do banku przez drzwi frontowe, i w dodatku o trzeciej nad ranem.

- Ech? - Clive zupełnie nie rozumiał, co to ma wspólnego z Tracey Uphill.

- Ktoś tego ranka próbował podważyć łomem drzwi banku Bennington na Market Square. Zastanawiam się dlaczego?

- Może żeby siłą dostać się do środka, sir? - zasugerował Clive takim tonem, jakby zwracał się z wyjaśnieniami do kompletnego idioty.

Frost prychnął z pogardą.

- Przez główne wejście? Przez centralne drzwi? Clive spróbował jeszcze raz.

- A może chodziło o uszkodzenie drzwi? Może ktoś miał jakąś urazę do tego banku?

Ale inspektorowi to wytłumaczenie wydało się równie mało wiarygodne.

- Więcej szkody byś narobił, gdybyś im naszczał do środka przez skrzynkę na listy. No cóż, życie miewa swoje małe tajemnice... Ale na co czekasz, synu? Zawracaj i jedziemy z powrotem tą samą drogą.

Barnard wykonał polecenie.

- Dokąd jedziemy, sir?

- Spróbujemy odszukać tego szczęściarza z brodą, blizną po wyrostku i biletem okresowym na niedzielne przejazdy koleją.

- A jak zamierza pan to zrobić? - Clive nie miał zamiaru ustąpić;

Frost uśmiechnął się z wyższością, poprawiając jednocześnie szalik.

- Skoro ten gość przyjeżdża tu pociągiem, to chyba należy zacząć od złożenia wizyty na stacji kolejowej. Powiem ci, którądy masz jechać.

Minęli ciemny, posępny budynek. Frost wskazał kciukiem w jego kierunku.

- To właśnie jest plebania i szkółka niedzielna. Kościół jest dalej, z tyłu.

- Wygląda trochę jak śmietnik, sir.

- Taak... Moja żona pochowana jest na przykościelnym cmentarzu.

Przez dłuższą chwilę jechali w niezręcznym milczeniu, aż w końcu Frost zdecydował się je przerwać.

- Masz jakieś plany na święta, synu? - Jeszcze nie wiem, sir.

- Ja w pierwszy dzień świąt jestem na służbie. Możesz przyjść ze mną, jeśli chcesz.

Chryste Panie, pomyślał Barnard, już raczej wolałbym, żeby wypadły mi wszystkie zęby. Ale głośno powiedział coś całkiem innego.

- Być może będę musiał pojechać z wizytą do stryja.

- No cóż, niech nikt nie mówi, że ci nie proponowałem. - Frost westchnął. - O rany, na tamtym skrzyżowaniu powinniśmy byli skręcić w prawo.

PONIEDZIAŁEK (4)

NA PLACYKU PRZED STACJĄ STAŁA JEDNA JEDYNA TAKSÓWKA, ale jej kierowca ulotnił się bez śladu. Clive zaparkował przy krawężniku i obaj mężczyźni wysiedli. Niebo zaczynało się już ściemniać, a od rana wiatr wyraźnie przybrał na sile.

Poczekalnia przy kasach także świeciła pustkami, na peronach nie było żywej duszy, a bileter i bagażowy po prostu gdzieś przepadli.

- Zupełnie jak w *Tajemnicy „Mary Céleste”* - zamruczał Frost, prowadząc Clive'a obok barierki do pomalowanych na oliwkową zieleń drzwi, na których widniał napis „Wejście służbowe”. Z wewnątrz dochodził delikatny szmer pomieszanych głosów. Inspektor ostrożnie przekręcił gałkę, a potem zniemacka otworzył drzwi na całą szerokość.

- W porządku! Niech nikt się nie rusza!

W małym pomieszczeniu wisiał smród dymu tytoniowego, za długo parzonej herbaty i potu. Cztery głowy odwróciły się w kierunku drzwi. Mały, całkiem łysy mężczyzna, który trzymał w ręku ogromnych rozmiarów kubek pokryty brązową emalią, pierwszy rozpoznał intruza.

- To ten cholerny szpicel! - zawołał z entuzjazmem. - Nie potrafi złapać najgłupszego kanciarza, ale za to zapach herbaty wywącha na milę. Wchodź, Jack - dorzucił z uśmiechem.

Wcisnęli się do środka. Teraz siedzieli tam w sześciu, a wewnątrz było naprawdę bardzo duszno. Oprócz detektywów znajdowali się tam trzej nieobecni na swoich stanowiskach pracownicy stacji - kasjer, czyli łysy facet z kubkiem herbaty, gruby konduktor, który ssał zaślinionego, skręconego domowym sposobem papierosa, oraz młody, niezgrabny chłopak w dżinsach i kolejarskiej czapce wepchniętej na proste, postrzępione włosy, który przyuczał się na bagażowego. Czwarty mężczyzna nosił okulary w rogowej oprawie i uśmiechał się promiennie. Był to zaginiony kierowca porzuconej przed dworcem taksówki, który wpadł odwiedzić kumpli i napić się herbaty.

Natychmiast wyciągnięto skądś dla gości dwa wyszczerbione kubki i po zdmuchnięciu z nich warstwy kurzu napełniono mocnym, kleistym płynem.

Frost przedstawił Clive'a jako młodego, niezwykle bystrego asystenta, który przybył wprost z Londynu.

- Właśnie robimy objazd Denton, bo chcę mu pokazać, gdzie są miejskie toalety - wyjaśnił. - Nie ma nic gorszego dla gliniarza, niż zostać przyłapanym na sikaniu do rynsztoka, kiedy gdzieś go przypili.

Wskazał palcem w stronę lepiącego się od brudu okna.

- Gdybyś kiedyś znalazł się w pałacej potrzebie, synu, to pamiętaj, że kibel jest na końcu peronu. W lecie znajdziesz go łatwo, bo dookoła latają stada much. Te leniwe sukinsyny zarabiają na kolei bająnskie sumy, ale zamiast wziąć się do sprzątnięcia, całymi dniami popijają herbatę.

- Po prostu boimy się tam zajrzeć, bo podobno w zeszłym tygodniu zaszczyciłęś go swoją obecnością - odgryzł się łysy kasjer. - A tak w ogóle, to co cię do nas sprowadza?

Frost przełknął potężny łyk herbaty.

- Byliście tu wczoraj po południu? - spytał. Wszyscy przytaknęli.

- Szukam faceta z brodą w wieku około trzydziestu pięciu lat, który co niedzielę przyjeżdża do Denton mniej więcej o drugiej po południu, a wraca w okolicach czwartej.

Gruby konduktor zaniósł się kaszlem, na skutek czego obsypał służbową kamizelkę popiołem z papierosa.

- Chyba go pamiętam, chociaż niezbyt dokładnie - powiedział.

- Ma jasnobrązowe włosy? - spytał ktoś. - Ciemny płaszcz i szalik?

Frost odwrócił się dookoła. To był taksówkarz.

- Zabieram go stąd w każdą niedzielę, dokładnie o drugiej piętnaście. Jest punktualny jak szwajcarski zegarek... Z wyjątkiem wczorajszego dnia. Wczoraj spóźnił się o godzinę. Mówił, że pociąg, którym jeździ, został odwołany.

Frost z zadowoleniem zatarł ręce.

- Dokąd go zawozisz?

- Zawsze w to samo miejsce - na górny odcinek Church Lane.

Inspektor miał ochotę uściskać sam siebie. Church Lane znajdowała się z poblizu Vicarage Terrace i różowego sufitu z lustrem pod numerem dwudziestym dziewiątym.

- To właśnie ten facet, o którego mi chodzi. - Frost z powrotem odwrócił się w stronę kolejarzy. - Wiadomo, skąd przyjeżdża?

- Dokładnie nie wiadomo, ale jedyny pociąg, który wczoraj odwołano, to ten o pierwszej czterdzieści siedem z Cranford - odparł bagażowy. - On zatrzymuje się na wszystkich stacjach.

- Racja - poparł go kasjer. - Podobno maszynista nie zgłosił się do roboty. Następny pociąg przyjechał o drugiej czterdzieści siedem.

- Mam! - zawołał gruby konduktor. - Taki facet z brodą! Teraz go sobie przypominam.

Dał nura pod stół i wyciągnął stamtąd sporych rozmiarów puszkę, w której niegdyś były biskwity firmy Huntley and Palmer. Teraz służyła do przechowywania niedużych paczuszek z biletami zebranymi od podróżnych. Konduktor grzebał w nich przez chwilę, aż w końcu odnalazł przedarty na pół zielony kartonik i podał Frostowi.

- To jego bilet - oświadczył.

Była to połówka taniego biletu z określoną datą powrotu z Lefington - małej wioski położonej dwanaście mil od Denton.

Nagle rozległo się potężne uderzenie i po chwili drzwi stanęły otworem, a do środka wdarł się jakiś jegomość w meloniku, z sumiastymi wąsami i czerwoną od gniewu twarzą. Wściekłym wzrokiem obrzucił zebrane przy herbacie towarzystwo.

- Do cholery, czy ktoś z was nie powinien przypadkiem siedzieć w kasie? Czekam już od dobrych pięciu minut.

- Już idę - powiedział łysy uspokajającym tonem i popędził za zdenerwowanym klientem.

- Strasznie upierdliwi są ci pasażerowie - zauważył Frost. - Wyobrażają sobie, że kolej została stworzona wyłącznie po to, żeby służyć ich wygodzie. No cóż, dobrze, że udało się natrafić na jakiś ślad. Wiemy przynajmniej tyle, że nasz gość przyjeżdża z Lefington. Pamiętajcie, o której zwykle wraca?

Gruby konduktor podrapał się po głowie.

- Wsiada do tego o czwartej trzydzieści trzy, ale przysięgłbym, że wczoraj go nie było.

- Bo się spóźnił o godzinę - przypomniał Frost. - O której jest następne połączenie?

- O piątej trzydzieści trzy, ale tym pociągiem także nie pojechał. Mieliliśmy tylko jedną pasażerkę - kobietę.

- Ledwo co się oplaca utrzymywać tę zapyziałą stacyjkę, co? - prychnął Frost. - W takim razie który pociąg udało mu się złapać?

Bagażowy wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Kończymy robotę o szóstej - dodał, zatraskując drzwi, żeby ułatwić dalszą rozmowę.

Ale Frost dowiedział się już wszystkiego, czego potrzebował. Lefington było niedużą miejsciną i kasjer na stacji powinien rozpoznać poszukiwanego, jeśli tylko dostanie dokładny rysopis. Ciekawe, co ten facet robił po wyjściu z domu pani Uphill? Najwyraźniej nie spieszyło mu się, żeby skorzystać z drugiej połówki biletu. Jednak przede wszystkim trzeba go odszukać. Jak tylko wrócą na posterunek, prześle dalekopisem polecenie pododdziałowi w Lefington i każe im zająć się tą sprawą.

Jakiś pociąg zagrzecotał na torach i pomknął w swoją stronę. Kolejarze sprawdzili czas na zegarkach, a potem z uznaniem pokiwali głowami. Pociąg nadjechał o czasie.

Frost zorientował się, że nie powiadomił inspektora Allena o szczegółach rozmowy z panią Uphill. Kurczę, pomyślał, jak nic będą kłopoty.

- No dalej, synu, rusz się. Robota czeka.

Clive, który właśnie usłyszał od bagażowego, że ma bajeczny garnitur, dopił kilka ostatnich łyków herbaty i zapiął płaszcz.

Frost kilkoma zdecydowanymi ruchami okręcił szalik wokół szyi, a potem otworzył drzwi. Na zewnątrz było zimno. Bardzo zimno.

*

Około czwartej zrobiło się już za ciemno, by kontynuować poszukiwania i inspektor Allen, jak zwykle rozsądnie, aczkolwiek niechętnie, wydał polecenie zakończenia akcji tego

dnia. Usiadł samotnie przy stoliku w kącie kantyny, gdzie z sufitu zwisały zielono-złote świąteczne dekoracje, i patrzył na zziębniętych, zmęczonych ludzi, którzy ustawiali się w kolejce po szklankę mocnej, gorącej herbaty. Szum cichych, pełnych przygnębienia rozmów utonął w syku czajnika elektrycznego i brzęczeniu szklanek i sztućców.

Allen był tak samo zmęczony i wyczerpany jak tamci. Coś mu nie pasowało. Powinni byli dzisiaj znaleźć tego dzieciaka. Jutro trzeba będzie ściągnąć dodatkowe posiłki i rozszerzyć obszar poszukiwań, a to oznaczało, że musi od nowa wszystko zorganizować i starannie dopracować szczegóły, i to jeszcze dziś, zanim skończy pracę. Od siódmej rano był na nogach, a widział, że będzie miał sporo szczęścia, jeśli uda mu się dotrzeć do łóżka przed północą. Poza tym czuł się chory. Nic nie jadł przez cały dzień, ale na myśl o posiłku robiło mu się niedobrze. W kantynie panował niesamowity zaduch. Do diabła, gdzie się podział ten niekompetentny matoł, Frost? Od chwili gdy przed lunchem Allen zlecił mu przesłuchanie pani Uphill, Frost nie raczył się odezwać. I pomyśleć, że ten gnojek był inspektorem, tak samo jak Allen, który na własnych barkach dźwigał wszelkie strapienia i całą odpowiedzialność za akcję poszukiwawczą, i na którego spadłyby gromy, gdyby cokolwiek poszło źle.

Nagle w kolejce rozległ się gromki wybuch śmiechu. Dopiero teraz dostrzegł Frosta, jak zwykle ubranego w brudny nieprzemakalny płaszcz. Inspektor w mało wybredny sposób zaczepiał kobietę nalewającą herbatę. Nawet nie przyszło mu na myśl, żeby przyjść złożyć raport, tylko popędził prosto do bufetu!

O nie, tego już za wiele, pomyślał Allen. Zerwawszy się od stolika, jak huragan wtargnął między czekających ludzi i szarpnięciem głowy wskazał drzwi, a potem wypadł na zewnątrz. Zatrzymał się na korytarzu, żeby poczekać na Frosta. Po chwili Frost wyszedł, po drodze wpychając do kieszeni zwinięty w kłębek szalik, a ten nowy koleś, Barnard, deptał mu po piętach jak cień.

- Co za szczęście, że cię widzę! - zawołał z promiennym uśmiechem. Ku swemu zdumieniu Allen przekonał się, że Frost ani trochę się nie wstydzi. - Zaraz wszystko ci powiem... Dzięki temu nie będę musiał nic pisać.

Allen nie wytrzymał. Czy ten dureń spodziewał się, że on, Allen, zgodzi się na przekazywanie ważnych informacji na korytarzu?

- Napiszesz wszystkie cholerne szczegóły na porządnej kartce papieru i przyniesiesz mi do biura, zrozumiano? - wybuchnął. - Poza tym, gdzieś się podziewał, do cholery, przez cały ten czas?

- Och, przepraszam! - zawołał Frost, nieco zdziwiony tym gniewnym tonem. Nie bardzo rozumiał, czemu inspektor Allen nagle stał się tak drażliwy, choć musiał przyznać, że faktycznie nie wygląda zbyt dobrze. - Pani Uphill dała nam pewną wskazówkę i musieliśmy sprawdzić ten ślad.

Oczy Allena zapłonęły.

- Ty cholerny durniu! Nikt ci nie kazał sprawdzać żadnych śladów! Miałeś wracać i złożyć raport! Czemu po prostu nie wykonujesz poleceń?!

- A ty czemu się nie wypchasz? - odpalił Frost. - Zaraz napiszę ten raport, skoro tak ci na nim zależy, ale przedtem muszę łyknąć jakąś dobrą herbatkę.

Nagle rozległ się trzask. To Allen wyciągnął rękę, chwycił Frosta za ramię i szarpnął z całej siły, Frost zaś zacisnął pięści, aż zbieleły mu kostki, a w jego wzroku pojawił się niebezpieczny błysk.

Boże, pomyślał Clive, zaraz zaczną się bić. Modlił się, żeby jakiś starszy oficer przypadkiem zjawiał się w korytarzu, zanim sprawy wymkną się spod kontroli. I w ogóle jak należało się zachować w podobnej sytuacji? Czy powinien próbować ich rozdzielić, czy patrzeć w inną stronę i udawać, że nie dzieje się nic szczególnego?

Rzeczywiście, nic szczególnego się nie działo. Allen zbladł jak ściana, wstrzymał oddech i zgiął się wpół, a jego twarz wykrzywił grymas bólu, który rozdzierał mu żołądek.

Frost natychmiast zapomniał o gniewie.

- Dobrze się czujesz, chłopie? - spytał z troską. Wtedy Allen wyprostował się jak gdyby nigdy nic, choć czoło miał mokre od potu.

- Chyba zjadłem coś nieświeżego. To minie.

Nagle nogi ugięły się pod nim i musiał chwycić się ściany.

- Pomogę ci dojść do biura.

- Nie. Dam sobie radę. - Inspektor Allen natychmiast wziął się w garść. - Czego się dowiedziałeś od pani Uphill?

Uważnie wysłuchał tego, co Frost miał mu do powiedzenia. Tak, zdaniem Allena fotografia nagiej dziewczynki nie miała związku ze sprawą, za to osoba brodacza wydawała mu się niezwykle interesująca.

- Chcę od razu wiedzieć, jeśli nadejdą jakieś nowiny z Lefington. Poza tym życzę sobie, żeby napisany na maszynie raport jeszcze dziś wieczorem wylądował na moim biurku.

Z tymi słowami żwawo potruchtał w stronę schodów. Niedawna niedyspozycja minęła bez śladu.

- Nie zapłaciłbym nawet połowy tej ceny za jakiś cholerny awans - dobrotliwym tonem oznajmił Frost, spoglądając na Clive'a, który popchnął wahadłowe drzwi prowadzące do kantyny. Jednak zanim zdążyli dotrzeć na koniec kolejki, mały megafon nad drzwiami zazgrzytał metalicznie.

- INSPEKTOR FROST PROSZONY DO TELEFONU.

Aparat wisiał na korytarzu. Dzwonił dyżurny z pododdziału w Lefington, żeby przekazać same dobre wieści. Kasjer na dworcu na podstawie opisu nie tylko rozpoznał poszukiwanego, lecz także odnalazł jego formularz w sprawie wydania biletu okresowego. Znajdował się tam pełny adres, imię i nazwisko zainteresowanego. Brodacz nazywał się Stanley Farnham, był dyrektorem szkoły średniej i codziennie dojeżdżał do Cranford, gdzie uczył angielskiego.

Frost nagryzmolił adres na spodzie pudełka po papierosach i rozplątał się w podziękowaniach, pochwałach i obietnicach rewanżu. Gdy odwrócił się do Clive'a, jego twarz pulsowała pełnym radości oczekiwaniem, zupełnie jak u kota, który zauważył, że drzwiczki do klatki kanarka stoją otworem.

- Nie ma czasu na herbatę, synu - zawołał. - Musimy jak najszybciej dopaść tego jegomościa z brodą!

Wyszarpnął z kieszeni szalik i niedbale owinął dookoła szyi.

- Sir, czy nie zapomniał pan poinformować o tym inspektora Allena? - spytał Clive z niepokojem.

- Ależ oczywiście, że go poinformuję! Ma kompletnego fioła na punkcie poszanowania własnej, czcigodnej osoby, choć naprawdę nie wiem, skąd się wzięła ta obsesja. Ostatecznie jesteśmy równi rangą.

Na tarczy wewnętrznego telefonu wybrał numer biura Allena, ale po drugiej stronie odezwał się głos detektywa sierżanta George'a Martina - zastępcy inspektora.

- Och, witaj, George - zaćwierkał Frost radosnym głosem. - Czy jakimś nieszczęsnym zrzędzeniem losu twój szef jest przypadkiem w biurze? Co? Pojechał do domu się wykapać? No cóż, w samą porę... Posłuchaj, jak wróci, możesz mu powiedzieć, że udało się zidentyfikować stałego klienta pani Uphill, więc pojechalibyśmy go przesłuchać. Nie, wcale nie uważam, że najpierw powinienem zapytać o pozwolenie. On lubi, jak ludzie wykazują inicjatywę. Czy co zrobiłem? Statystykę przestępstw? Chryste, czy teraz jest na to czas? Że jak? Powinienem to oddać w zeszłym tygodniu? Brawo! Dzięki za podpowiedź. Zajmę się tym, gdy wrócimy.

Odwiesił słuchawkę i odwróciwszy się do ściany, zaklął cichutko. Niech piekło pochłonie te cholerne statystyki. Muller pilnował jak diabli, żeby dotarły na czas do kwatery głównej, a przygotowywanie ich było zwykłą stratą czasu. Oczywiście, jeśli ktoś ma biuro tak zorganizowane jak inspektor Allen, to nie ma problemu; po prostu idzie i wyciąga z akt odpowiednie liczby. Ale jeśli w dokumentach panuje bałagan, a biuro przypomina jeden wielki śmietnik...

- Jak tylko wrócimy, synu, weźmiemy się do tych pieprzonych statystyk przestępstw. To będzie dla ciebie niezła zaprawa.

Ale gdy dotarli do samochodu, inspektor zorientował się, że zostawił na biurku paczkę papierosów i Clive, kipiąc z oburzenia, że potraktowano go jak chłopca na posyłki, został oddelegowany w celu jej przyniesienia.

Nieład panujący w biurze Frosta przyprawił go o dreszcz przerażenia. W międzyczasie dostarczono nową partię dokumentów i ułożono na tych, które już wcześniej piętrzyły się na biurku inspektora, dla bezpieczeństwa przytrzymując stos szklaną popielniczką. Dość interesująco wyglądał leżący na samym wierzchu arkusz grubego papieru listowego o przyciętych równo brzegach, zabazgrany pochyłym pismem w jasnozielonym kolorze. Clive usiadł na krześle, żeby obejrzeć go z bliska, ale właśnie w tej chwili do biura wtargnął posterunkowy Keith Stringer ze styczniową listą dyżurów.

- Co, już zdążyłeś wskoczyć na miejsce szefa? - Uśmiechnął się od ucha do ucha, dokładając do piętrzącej się góry papierów kolejną kartkę.

Clive postanowił nie przyznawać się, że tym razem wyznaczono mu haniebne zadanie przyniesienia papierosów, i szybko zmienił temat.

- Myślałem, że twoja zmiana kończy się o drugiej.

- Wziąłem nadgodziny. Przez tę operację poszukiwawczą są pewne kłopoty kadrowe, a ja potrzebuję pieniędzy.

- Powiedz mi coś - poprosił Clive. - Jak uważasz, o której on mnie wypuści?

- Nie bardzo rozumiem...

Clive sprawdził godzinę na zegarku.

- Jestem na służbie prawie od ośmiu godzin. Mamy jechać do jakiejś pieprzonej dziury, żeby przesłuchać jakiegoś faceta, co przypuszczalnie zajmie następne kilka godzin, a stary już mi zapowiedział, bym po powrocie przygotował się na przyjemną sesję przygotowywania statystyki przestępstw. Jak się go słucha, człowiek mógłby pomyśleć, że to dopiero początek dnia.

Uśmiech Keitha wyraźnie się poszerzył.

- Nikt ci niczego nie mówił o Froście? To kapitalny gość i wszyscy tu za nim przepadają, ale nigdy nie wie, kiedy przestać. Odkąd umarła mu żona, nie ma po co wracać do domu, więc łatwo zapomina, że ktoś inny może mieć dom. Mówię ci, chłopie, będziesz miał szczęście, jeśli uda ci się wylądować w domu przed północą. Frost pierwszy przychodzi i ostatni wychodzi, więc lepiej na jakiś czas zapomnij o seksie.

Z tymi słowami położył na biurku rozkład dyżurów i wycofał się z biura.

Clive zawrzał gniewem. Północ! No cóż, kto jak kto, ale on nie zamierzał się z tym godzić; pierwsza rzecz, jaką rano zrobi, to pójdzie w tej sprawie do Mulletta. Ale nagle zdał sobie sprawę, że nie mógł tego zrobić. Ostatecznie był bratankiem szefa policji i wszyscy powiedzą, że to właśnie dzięki niemu może liczyć na specjalne względy.

Gdzie są te cholerne papierosy? Z furią szarpnął za szufladę biurka. Jak na złość wysunęła się bez trudu, a cała jej zawartość wylądowała na podłodze. Clive zaklął jak szewc. Musiał klęknąć w swoich nieskazitelnych spodniach i pozbierać to, co upadło.

- Niech diabli wezmą tego drania - mruzczał, upychając w szufladzie niepotrzebne nikomu śmieci. Fatalnie się złożyło, że musiał spędzić cały dzień w towarzystwie nieokrzesanego gbura, i nie zamierzał marnować w ten sam sposób połowy nocy.

Jedną z rzeczy, które wypadły na brązowe linoleum, obudziła w nim ciekawość. Niebieskie pudełko wielkości pudełka papierosów, ze złotym herbem na wierzchu... Wewnątrz coś grzechotało, więc uchylił wieko i zerknął do środka. Na wyściółce z granatowego aksamitu leżał jakiś medal w kształcie krzyża, przymocowany do ciemnoniebieskiej wstążki. Być może była to nagroda za długoletnią służbę. Na krzyżu widniała inskrypcja: „Dla Jacka Edwarda Frosta”.

Clive wcisnął pudełko z powrotem do szuflady, znalazł papierosy i popędził do samochodu.

*

Stanley Farnham rzucił na stolik w przedpokoju zeszyty z ćwiczeniami, które zabrał do domu, żeby wystawić oceny, i schylił się po leżące na wycieraczkę listy. Były dwa: jeden to miesięczny wyciąg z operacji przeprowadzonych przy użyciu karty kredytowej Barclaysa, drugi zaś... Czuł, że jego serce zaczyna bić mocniej. Powiesił płaszcz w szafie i zerknął raz jeszcze na list. Koperta sprawiała wrażenie mocno wypchanej. To musiał być zamówiony w zeszłym tygodniu katalog. Nie ruszając się z przedpokoju, niecierpliwym ruchem rozerwał kopertę i wyszarpnął jej zawartość. Tak... Na okładce widniał tytuł *Gadżety i środki wspomagające*. Farnham szybko przewracał kartki. Potem, w wolnej chwili, poświęcił temu znacznie więcej uwagi, ale teraz po prostu musiał rzucić okiem, żeby sprawdzić... co to jest.

Ze środka wypadła lista cen środków antykoncepcyjnych, we wszystkich możliwych rodzajach, kolorach i walutach. Rozdrażniony odsunął ją na bok. Widok cen kondomów byłby chyba równie podniecający, pomyślał ze złością. Ulotka reklamująca książkę *Pozycje seksualne*. No, to wydawało się o wiele ciekawsze...

Ostrzegawczy dzwonek w jego głowie rozległ się na ułamek sekundy przedtem, zanim zadzwieczał dzwonek u drzwi wejściowych.

Okręcił się wokół własnej osi, a zawartość koperty o mało co nie wypadła mu z rąk. Za matowymi szybkami drzwi frontowych majaczyły niewyraźnie dwa cienie.

Na ten widok serce podeszło mu do gardła. Koperta! Schował do niej katalog i szybko wepchnął do płytkiej szuflady stojącego w przedpokoju stolika.

Dzwonek odezwał się raz jeszcze, a po nim nastąpiło donośne pukanie.

- Kto tam? - zawołał z przerażeniem.

- Policja.

Policja! O Boże... To chyba niemożliwe, żeby sprawdzali jego pocztę? Chociaż... Kiedy w zeszłym tygodniu listonosz wręczał mu tamten pakunek, na jego ustach błąkał się podejrzenie chytry uśmieszek, tego był prawie pewien.

Założył łańcuch na drzwi i ostrożnie je uchylił. Nie zamierzał podejmować ryzyka. Zdarza się czasem, że pewni ludzie podający się za oficerów policji...

- Czy pan Stanley Farnham? Przykro nam, że zawracamy panu głowę. Jesteśmy z wydziału kryminalnego w Denton. Czy może pan wpuścić nas do środka?

To mówił starszy z dwóch mężczyzn - niebudzący zaufania typ w wyświechtanym płaszczu i z paskudną blizną na twarzy. Drugi, o wiele młodszy, miał na sobie krótki paltocik i garnitur prosto od krawca, za to jego nos wyglądał tak, jakby jego właściciel niedawno brał udział w jakiejś bójce. Dobrana para zbójów, nie ma co! Farnham z ulgą przypomniał sobie, że na szczęście zablokował drzwi łańcuchem.

Zażądał okazania legitymacji, najwyraźniej sprawiając tym pewną przykrość facetowi z blizną na policzku. Przez całą wieczność zdawał się grzebać w wyjętych z kieszeni podniszczonych dokumentach, za to ten młodszy bez wahania zaprezentował portfel i otworzył go jednym pstryknięciem kciuka. Na nowiutkiej, nieskazitelnej legitymacji było napisane, że jej posiadacz nazywa się Clive Barnard i jest detektywem posterunkowym. Wreszcie ten drugi także znalazł odpowiedni dokument.

- Jeśli koniecznie chce pan zobaczyć... Przepraszam, ale jest niezbyt schludny... - powiedział.

Farnham zdjął łańcuch, a potem szybko minął stojący w przedpokoju stolik i poprowadził gości do salonu.

- O co chodzi? Dopiero co wróciłem ze szkoły. Detektyw Frost zdjął szalik, powiesił go na oparciu krzesła i usadowił się wygodnie. Barnard podziękował za krzesło. Wolał postać.

- Ładne mieszkanie. - Wzrok inspektora wędrował wokół gustownie urządzonego pokoju, zatrzymując się na abstrakcyjnych drzeworytach, regałach uginających się pod ciężarem książek, płycie Michaela Tippetta *Knot Garden*, leżącej na talerzu adaptera... - Ładne i nieduże... Trochę musieliśmy poczekać, zanim podszedł pan do drzwi, prawda?

To oskarżenie wymknęło się tak niespodziewanie, że Farnham nie zdążył przygotować stosownej odpowiedzi. - Ja... Ja coś robiłem... Byłem zajęty... Inspektor przyglądał mu się twardym wzrokiem.

- Z ilu pomieszczeń składa się pańskie mieszkanie?

- Pomieszczeń? Och... Ten pokój, sypialnia, kuchnia i łazienka.

- Czyli jest wystarczająco duże. - Frost z aprobatą skinął głową. - Nie ma sensu mieć większego mieszkania niż potrzeba... Czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że mój kolega z Londynu trochę się tu rozejrzy? To nie powinno potrwać długo.

Jakiś nerw na twarzy Farnhama zadrgał spazmatycznie. Czego mogli tu szukać? Chyba mu odbiło, że zamówił przesyłkę z takimi materiałami. Ma się rozumieć, że część pism wyraźnie omijała obowiązujące w tym kraju prawo... Zwłaszcza ostatnia broszura mogła łatwo uchodzić za przykład pornografii. Dzięki Bogu, że nie zdążył postawić jej na półce! Inspektor nie odrywał wzroku od jego twarzy, zupełnie jakby widział ten cholerny, pulsujący rytmicznie nerw. No cóż, nie miał zamiaru ułatwiać im zadania. Będą musieli siłą zawlec go na szafot.

- Owszem, mam coś przeciwko temu. Nie będę odpowiadał na żadne pytania bez konsultacji z moim prawnikiem.

Frost przyjął tę deklarację z dobrotliwą obojętnością.

- To bardzo mądrze z pana strony. Proszę więc do niego zadzwonić. Mamy mnóstwo czasu.

Wyraźnie bawili się z nim w kotka i myszkę. O Boże, a co będzie, jeśli to chodzi o tę drugą sprawę? Ale oni nie mogli o tym wiedzieć. Pokój nagle zrobił się bardzo ciasny, a Farnham poczuł się tak, jakby ktoś zapędził go w kąt. Chciał biec, uciekać stąd jak najszybciej. Teraz już wiedział, czemu młodszy detektyw wciąż stał. Własnym ciałem blokował dostęp do drzwi, w ten sposób odcinając jedyną drogę wiodącą na zewnątrz.

Farnham zrozumiał, że dał się schwytać w pułapkę. Nagle doszedł do wniosku, że zwykłe nabieranie oddechu przychodzi mu z coraz większym trudem. Inspektor wciąż bacznie mu się przyglądał.

- Panie Farnham, czy dobrze się pan czuje?

- Tak, oczywiście, że tak...

Boże, jak gorąco. Panujący w pokoju zaduch dosłownie zwał z nóg. Farnham poluzował krawat.

- Chyba nie ma pan nic do ukrycia, zgadza się?

- Do ukrycia? Oczywiście, że nie! A dlaczego... O co właściwie chodzi?

- Panie Farnham, czy zna pan Joan Uphill?

Serce na moment przestało mu bić. Z całą pewnością policja nie mogła wiedzieć o tych potajemnych wizytach.

- Uphill? - Wykrzywił się w udawanym skupieniu. - Niestety, nie mogę sobie przypomnieć...

- Vicarage Terrace, numer dwadzieścia dziewięć, Denton... Trzydzieści funtów za wizytę, w cenę wliczona herbata...

Udało mu się zachować kamienną twarz.

- Bardzo mi przykro, ale nie znam tej pani. Frost podniósł się z krzesła i poprawił szalik.

- W takim razie lepiej niech pan zadzwoni do swojego prawnika. Chcielibyśmy skonfrontować pana z tą kobietą. Ona twierdzi, że był pan u niej wczoraj po południu. W świetle tego, co pan nam powiedział, złożyła fałszywe zeznania, więc im szybciej wyjaśnimy tę sprawę...

Farnham próbował zapalić papierosa, ale zapalniczka odmówiła posłuszeństwa. Frost wyjął z kieszeni własną zapalniczkę i cierpliwie poczekał, aż gospodarzowi przestaną trząść się ręce.

- W porządku, znam panią Uphill - powiedział drżącym głosem. - Co się jej przydarzyło?

- A czemu miałyby się jej coś przydarzyć?

- Wiecie przecież, panowie, że takie kobiety często padają ofiarami różnych zbrodni. Ale kiedy od niej wychodziłem, była cała i zdrowa. - Papieros przykleił mu się do warg i oderwał kawałeczek delikatnej skóry. Farnham poczuł na języku słony smak krwi.

- Tu nie chodzi o matkę. Sprawa dotyczy córki pani Uphill.

- Tracey?

- Zna ją pan?

- Widziałem ją raz czy dwa. Co się z nią stało?

- Z pewnością wie pan, co się z nią stało. Pisali o tym we wszystkich gazetach na pierwszej stronie.

- Tu jest pańska dzisiejsza prasa - odezwał się po raz pierwszy młody detektyw. Gazeta leżała na stoliku do kawy.

- Możliwe, ale jeszcze jej nie czytałem.

Frost wyciągnął po nią rękę i zaraz zmarszczył czoło. Krzyżówka znajdująca się na samym końcu została rozwiązana. Pokazał ją Farnhamowi, pytająco unosząc brwi.

- Tak, krzyżówki rozwiązuję w czasie śniadania - wyjaśnił Farnham. - Ale aż do wieczora nie patrzę na pierwszą stronę ani nie czytam tego, co jest w środku.

Frost odwrócił gazetę, rozłożył ją i podał Farnhamowi. Nagłówek i fotografia znajdowały się w połowie strony. Policja szuka zaginionej dziewczynki. Usta Farnhama poruszały się lekko, gdy przebiegał oczyma treść artykułu.

- Wielki Boże... To coś okropnego. Nigdy bym nie przypuszczał... - Zamilkł na ułamek sekundy. - Myślicie, że ona jest tutaj? Czy dlatego chcecie przeszukać moje mieszkanie?

Poczucie ulgi wydawało się wręcz przytłaczające.

- Proszę bardzo, szukajcie! Nie mam nic do ukrycia.

Inspektor skinął głową i Clive wysunął się z pokoju. Frost z powrotem usiadł na krześle.

- Wyszedł pan od pani Uphill mniej więcej o wpół do piątej. Czy spotkał pan Tracey, która właśnie o tej porze wracała ze szkoły niedzielnej?

- Nie spotkałem jej, ale ją widziałem.

Frost podskoczył i pochylił się do przodu. Farnham ją widział! Nareszcie znaleźli kogoś, kto widział dziewczynkę po wyjściu ze szkoły.

- Gdzie pan ją widział?

- Szła ze szkoły niedzielnej.

- W stronę domu?

Farnham zassał jeszcze więcej słonej krwi.

- Nie. W przeciwnym kierunku. Była z nią jakaś kobieta.

Frost wiercił się na krześle. Powinni byli dowiedzieć się o tym znacznie, znacznie wcześniej. Jak tylko dotrą do samochodu, przez radio przekaże tę wiadomość Allenowi.

- Czy potrafiłby pan opisać tę kobietę?

- No coż... Tak naprawdę to niespecjalnie starałem się ją zapamiętać. Spieszyłem się, a poza tym już robiło się ciemno. Pamiętam, że była średniego wzrostu i miała na sobie białe futro.

Białe futro? To już było coś.

- Tak mniej więcej, ile miała lat?

- Nie mam pojęcia.

- Widział pan, dokąd szły?

- Nie. Dość szybko je wyprzedziłem. Szczerze mówiąc, wołałem, żeby Tracey mnie nie zauważyła. Zresztą bardzo mi się spieszyło, jak już wspomniałem.

- Dlaczego pan się spieszył?

Każde kolejne pytanie ściśle łączyło się z poprzednią odpowiedzią, ale teraz także jego mózg pracował na zwiększonych obrotach. Farnham w lot zrozumiał, że dworzec kolejowy został już sprawdzony i obaj detektywi świetnie wiedzieli, że nie wyjechał z Denton pierwszym pociągiem.

- Musiałem odwiedzić ciotkę. Ma mniej więcej siedemdziesiąt osiem lat i mieszka w parterowym domku na osiedlu seniorów w Southern Housing Estate. Zaprosiła mnie na herbatę.

Inspektor pociągnął nosem.

- Widzę, że niedziele są dla pana nieprzerwanym ciągiem przyjemności. Najpierw pani Uphill, potem herbatka u ciotuni... Chciałbym poprosić o jej adres, jeśli nie ma pan nic przeciw temu.

Farnham był wyraźnie zaskoczony.

- Chyba nie ma pan zamiaru tam jechać i jej denerwować? Moja ciotka jest leciwą damą i od dawna ma kłopoty z sercem.

- Proszę pana, starsze damy o słabych serduszkach są moją specjalnością... Nie musi się pan niczego obawiać.

Frost naskrobał adres na jakimś strzępku papieru znalezionym w kieszeni, a potem znowu zajął się wyszarpywaniem dziury w bliźnie na policzku. Wyraźnie coś nie dawało mu spokoju.

- Panie Farnham, czy ma pan samochód? - Nie.

- Czerwony samochód? - Nie.

- Jakiś czas temu na policję wpływały doniesienia o mężczyźnie z brodą, który jeździ czerwonym samochodem i próbuje zwabiać do auta dzieciaki wychodzące ze szkółki

niedzielnej. - Mówiąc to, świdrował wzrokiem nieszczęsnego Farnhama. - Czy kiedykolwiek miał pan samochód?

- Tak, kiedyś. Jednak nie było mnie stać na jego utrzymanie.

- Ach tak... Czerwone samochody są kosztowne w eksploatacji. Pański wóz był czerwony, zgadza się?

- Nie! - wrzasnął Farnham.

- W takim razie nie ma się pan czego obawiać - oznajmił Frost mało przekonującym tonem. Potem wstał i przeciągnął się. - Lepiej pójde zobaczyć, co tam porabia mój detektyw posterunkowy.

Barnard był w łazience. Jego marynarka wisiała na drzwiach, a on zakasał rękawy do łokci. Panel od wanny łatwo dał się zdjąć, to za nic nie chciał wpasować się z powrotem. Wreszcie z pomocą Frosta i kilku solidnych uderzeń Clive'owi udało się umieścić go na właściwym miejscu.

- Obawiam się, że można mieć pewne zastrzeżenia co do jakości wykonania... - powiedział Farnham.

- Proszę tak nie mówić! - zawołał z oburzeniem Frost. - Kolega zapłacił za niego sto siedem funtów!

W końcu przesłuchanie dobiegło końca i obaj detektywi wyszli z mieszkania. Farnham obserwował ich zza zasłoniętych firanek, dopóki samochód Frosta nie zniknął za zakrętem. Wtedy bezwładnie osunął się na krzesło, błagając Boga, żeby jakoś zapobiegł spotkaniu tych panów z jego ciotką. Nigdy już nie dotknę żadnej kobiety, przysięgał, nie zamówię żadnego świńskiego katalogu, ale błagam Cię, Boże, nie dopuść do tego.

PONIEDZIAŁEK (5)

DETEKTYW INSPEKTOR ALLEN POTARŁ ZACZERWIENIONE OCZY i znów skoncentrował się na leżącej przed nim kartce papieru, ale teraz widział jedynie rząd zamazanych nazwisk. Powoli wracała mu ostrość widzenia. Po chwili bez trudu mógł przeczytać, że wszystkie matki, które wczoraj czekały na swoje dzieci przed szkółką niedzielną, zostały odnalezione i przesłuchane, lecz ani jedna nie przypominała sobie tajemniczej kobiety w białym futrze. Allen odłożył kartkę na tacę z napisem „dokumenty wychodzące”, wydając przy tym pełne satysfakcji prychnięcie. Wcześniejszy sceptycyzm okazał się absolutnie uzasadniony. Kobieta w białym futrze po prostu nie istniała. Została na poczekaniu wymyślona przez tego Farnhama. Facet po prostu starał się odwrócić od siebie podejrzenia, a ten dureń Frost bez wahania przełknął te rewelacje.

Nawiasem mówiąc, gdzie się podział Frost? Już od dawna powinien być na miejscu. Allen nagle zwinął się w paroksyzmie bólu, a tętno w skroniach zaczęło walić jak młotem. Czuł się fatalnie, naprawdę fatalnie... W kieszeni płaszcza powinno być jeszcze kilka tabletek aspiryny. Wstał, żeby je przynieść, ale wystarczyły dwa kroki, żeby w żołądku rozpętało się piekło. Krzyknął, bo potworny ból ogarnął całe jego ciało. Nagle pokój zaczął wirować w szaleńczym tempie, a huk w uszach stawał się coraz głośniejszy i głośniejszy.

Detektyw sierżant Martin usłyszał jakiś trzask i bez namysłu wtargnął do gabinetu swojego szefa. Allen leżał nieprzytomny na wyłożonej błyszczącym linoleum podłodze.

Martin zadzwonił do Mulletta ze szpitala. Lekarze zdecydowali się zatrzymać Allena na obserwacji, bo jego stan budził pewne obawy, jakkolwiek prawdopodobnie chodziło o zakażenie jakimś rodzajem wirusa. Próbkę krwi i pozostałe testy zostały już wykonane, ale nie można było powiedzieć nic pewnego, dopóki inspektor nie zostanie przebadany przez specjalistów, co miało nastąpić następnego dnia o niewiadomej porze.

Mullett odłożył słuchawkę i w zamyśleniu zabębnił palcami o blat mahoniowego biurka. Czy Allen nie mógł wybrać sobie bardziej dogodnej pory na chorowanie? Ktoś inny musi zostać wyznaczony na dowódcę operacji, ale kto? To smutne, lecz w jego oddziale wyraźnie brakowało odpowiednich ludzi. Detektyw sierżant Martin, zastępca Allena, mógłby dać sobie radę, ale niestety był zaledwie sierżantem. Gdyby Frost wykazywał jakiegokolwiek zdolności w tym kierunku, problem przestałby istnieć, ale nie wykazywał, więc nie było nad czym się zastanawiać.

Mullett podrapał się po podbródku, a potem go olśniło. Oczywiście, kwatery główna hrabstwa! Tam zawsze kręciło się mnóstwo detektywów narzekających na brak zajęć. To naprawdę wstyd, że w tym samym czasie w tak wielu wydziałach brakowało odpowiednich kadr. Wystarczy, że zadzwoni i poprosi o przysłanie tutaj jakiegoś starszego stopniem oficera... A jeśli uda mu się ściągnąć tu kogoś sensownego, nie pozwoli mu odejść, nawet kiedy Allen wróci do swych obowiązków.

Lecz przeprowadzenie tego planu będzie wymagało pewnej strategii. Musi dotrzeć z wnioskiem na sam szczyt - do samego szefa policji. Mullett wygładził mundur i przyczesał dłonią lśniące włosy. Kiedy wreszcie poczuł, że jego prezencji nie można nic zarzucić, podniósł słuchawkę i wybrał numer prywatnego mieszkania Starego.

- Ogromnie mi przykro, sir, że muszę pana niepokoić o tak skandalicznej godzinie, bo któż, jeśli nie pan, zasługuje na odrobinę relaksu i odpoczynku... Pyta pan o mnie, sir? Och, ja wciąż siedzę w biurze. Obawiam się, że my, komendanci, nie możemy liczyć na odpoczynek.

- Tutaj pozwolił sobie na dobroduszny i pełen skromności śmiech, a potem wyjaśnił, co się stało z Allenem. - To oczywiście oznacza, sir, że muszę wyznaczyć kogoś innego do kierowania śledztwem w sprawie zaginięcia Tracey Uphill.

Teraz zawiesił głos, pozwalając Staremu na przedstawienie propozycji, na którą on, Mullett, zgodzi się z entuzjazmem.

- No cóż - odezwał się szef policji po chwili milczenia. - W tej chwili w hrabstwie nie mamy nikogo wolnego... Ale o tym pan przecież wie.

- Oczywiście - przytaknął gorliwie Mullett.

- Ale nie rozumiem, w czym problem. Ma pan przecież inspektora Frosta. Szczerze mówiąc, byłem zaskoczony, że nie wyznaczył go pan do tego zadania w pierwszej kolejności. To naprawdę doskonały fachowiec.

- Faktycznie, nie mógłbym znaleźć nikogo lepszego. - Mullett jęknął. - Bardzo się cieszę, że jesteśmy tego samego zdania. Zaraz poproszę do siebie Frosta i wyznaczę go na dowódcę operacji.

Odłożył słuchawkę, po czym kilka razy powtórzył w myślach całą rozmowę, starając się dociec, gdzie popełnił błąd. Wreszcie wziął się w garść i wybrał numer biura inspektora Frosta.

*

- Gdzie jest Jack Frost?

Clive podniósł wzrok znad sterty papierów, w których myszkował w poszukiwaniu szczegółów potrzebnych do przygotowania statystyki przestępstw.

Przed nim stał umundurowany sierżant - facet około czterdziestki o szczerzej twarzy, wysmaganej przez wiatr i spalonej słońcem, którą ozdabiały fantazyjnie podkreśnione do góry rzadkie wąsiki.

- Został wezwany do komendanta, sierżancie. Jestem jego asystentem i nazywam się...

- Wiem, kim jesteś, chłopie - uciął krótko sierżant. - Wystarczy spojrzeć na ten odpicowany garniturek i złamany nochal. Jesteś bratankiem szefa policji, zgadza się?

Clive od razu się zjeżył.

- Owszem, ale tak się składa, że mam również nazwisko. Detektyw posterunkowy Barnard.

- A ja jestem Johnson. Johnnie Johnson, sierżant posterunkowy.

No tak, na każdej ośmiogodzinnej zmianie musiał być sierżant.

Johnson oparł się wygodnie o szafę z aktami.

- No i jak ci się pracuje ze starym Jackiem, co?

- Nie jestem przyzwyczajony pracować dla idiotów - wypalił Clive wciąż urażony do żywego, ale zaraz zrobiło mu się głupio, że pozwolił sobie na tak nietaktowną uwagę, aczkolwiek nie można mu było zarzucić braku szczerości. Zdrętwiał, czekając na naganę, która niewątpliwie musiała nastąpić, ale ku jego zdumieniu sierżant uśmiechnął się wyrozumiale.

- Miałeś farta, Barnard. On być może jest idiotą i skończonym kretynem, ale wierz mi, nie mogłeś trafić lepiej. Połowa ludzi tutaj kombinuje z całych sił, żeby dostać awans, i z trudem drapie się na szczyt bez oglądania się na to, kogo depcze po drodze. Ale Jack Frost jest inny. On zna swoje ograniczenia i niczego nie udaje. Nigdy nie przyłapiesz go na tym, że usiłuje cudze zasługi zapisać na własny rachunek... Jeśli zaczniesz pracować dla inspektora Allena, wkrótce będziesz dokładnie wiedział, o czym mówię.

Ale Clive pozwolił sobie na następną krytyczną uwagę.

- Frost jest gruboskórny i nieczuły. Rozmawialiśmy z kobietą, której dziecko zaginęło i prawdopodobnie nie żyje, a jemu tylko jedno było w głowie. Jak wyszliśmy, gadał wyłącznie o tym, jak bardzo chciałby pójść z nią do łóżka.

Sierżant zaczął skręcać papierosa.

- Kłopot z Jackiem polega na tym, że zawsze głośno mówi to, co myśli. Ty pewnie myślałeś o tym samym, tyle że zachowałeś to dla siebie.

To była szczerza prawda. Clive zgarbił się przytłoczony nagłym poczuciem winy.

- Poza tym jest cholernym bałaganiarzem - dodał po chwili. - Wystarczy popatrzeć, co się dzieje w jego biurze. - Palcem wskazał na walające się wszędzie papiery. - A tak nawiasem mówiąc, co to za medal leży schowany w szufladzie biurka? Nie znam go. To musi być nagroda za wieloletnią służbę... Chyba niemożliwe, żeby dostał odznaczenie za jakieś zasługi.

Sierżant ze skupieniem polizał pokryty klejem brzeg papierosa, rzucając przy tym na Clive'a pełne politowania spojrzenie.

- Jesteś na służbie dwa lata, Barnard, i już zdaje ci się, że o wszystkim wiesz. Dwa lata temu ta informacja była głównym tematem wiadomości i znalazła się w nagłówkach wszystkich liczących się gazet. Ten medal, który Frost trzyma schowany w niebieskim pudełeczku, tak żeby nikt go nie widział, to Order Świętego Jerzego.

Clive otworzył usta ze zdumienia i zaraz je zamknął.

- Order Świętego Jerzego? - wychrypiał.

- Tak... Cywilny ekwiwalent Krzyża Wiktorii... Właśnie on go dostał, ten cholerny bałaganiarz, jak raczyłeś go określić.

Żaden z nich nie usłyszał kroków Frosta, który zbliżał się korytarzem. Nagle drzwi stanęły otworem.

- Cholerny bałaganiarz? - Inspektor jak burza wpadł do pokoju. - Ktoś tutaj musi mówić o mnie!

Ze swobodą i nieukrywaną radością przywitał się z sierżantem, ale czerwona jak burak twarz Clive'a nie uszła jego uwagi.

- Nasz uroczy gbur Johnnie Johnson! Gdzieś się podziewał, draniu? Nie widziałem cię od dobrych kilku tygodni.

- Musiałem wyjechać, Jack - odparł sierżant. - Do pracy wróciłem w niedzielę w nocy.

- Tak po prostu wyjechałeś i zostawiłeś robotę? A kto w tym czasie brał łapówki, co? Widzę, że już zdążyłeś zawrzeć znajomość z moim asystentem, Josephem w Odblaskowym Garniturze. A jak tam twoja urocza i niezwykle seksowna żona?

- Jak zwykle urocza i jak zwykle seksowna, dzięki. Mam ci przekazać jej zaproszenie, żebyś któregoś wieczora wpadł na kolację.

- Och, Johnnie, gdzieżbym śmiał... Wiesz przecież, jak ona na mnie działa... Zresztą teraz już nie będzie mi wypadało spoufalać się z byle sierżantem. Właśnie przed chwilą powierzono mi kierowanie śledztwem w sprawie zaginięcia Tracey Uphill. - Triumfalnie skrzyżował ręce.

- Panu? - Clive nie krył niedowierzania.

- Tak jest, synku. Właśnie zostałem pasowany na rycerza przez naszego uroczonego komendanta w okularkach w rogowej oprawie, który jakby nigdy nie zabunkrował się w swojej starej, obudowanej drewnem kajutce. Biedny Allen podobno został zabrany do szpitala... To z pewnością szok po zażyciu kąpieli w wannie, jeśli chcecie znać moje zdanie.

Sierżant z aprobatą skinął głową.

- Brawo, Jack. Moje gratulacje.

- Proszę zauważyć, że razem z nominacją otrzymałem pewne rozkazy - kontynuował Frost. - Mam się trzymać z daleka od prasy i chłoptasiów z telewizji. Poza tym mam się meldować u Mulletta najrzadziej co pięć minut i nie podejmować żadnych działań bez jego pisemnej zgody. Oczywiście poza tym mam wolną rękę.

Nagle pociągnął nosem, jakby coś zwęszył.

- Chryste, Johnnie! Co ty palisz, chłopcze? Resztki własnych wąsów?

Johnnie Johnson uśmiechnął się od ucha do ucha. - Jack, Mullett nie powierzyłby ci tego zadania, gdyby uważał, że nie dasz sobie rady. Frost tylko machnął ręką.

- Daj spokój, Johnnie. On musiał to zrobić. Widzisz tu innego kandydata? - Wsadził papierosa do ust i przytknął do niego płomień zapalniczki. - Przyznaj, że gdyby nie mój Order Świętego Jerzego, wyrzuciłby mnie na zbity pysk, i to ładnych kilka lat temu.

Nagle przypomniał sobie o Clivie i wyciągnął w jego stronę paczkę z papierosami.

- Wiedziałeś, synu, że dostałem medal? - Kilka razy zaciągnął się dymem, a potem się zreflektował. - Dostałem go w samą porę. Mullett właśnie miał zamiar dać mi kopa w uznaniu dla moich kilku spektakularnych wpadek, kiedy nadszedł moment niedużego triumfu. Muszę ci kiedyś pokazać ten medal. Oni wołają, żeby człowiek dał się najpierw zabić, zanim go dostanie, ale czasem robią wyjątek, jeśli przypadkiem mają ich za dużo w zapasie.

Papieros palił się nierówno, więc wyciągnął go z ust i poślinił z jednej strony.

- Teraz jestem sławny, rozumiesz? Za każdym razem gdy pojawia się w miejscowej prasie, na przykład: „Nasz detektyw wygrywa sprawę w sądzie”, pismaki dodają jakąś niewielką notkę o moim medalu. Właśnie dlatego Mullett zmuszony jest mnie trzymać. Na tym właśnie polega siła prasy. Mullett boi się, że zobaczy nagłówki typu: „Bohaterski detektyw wylatuje z roboty. Nikczemny postępek łajdaka w okularach w rogowej oprawie”.

- Jack, to przecież on podał cię do odznaczenia - upierał się sierżant.

Frost prychnął z pogardą.

- Tylko dlatego, że ten medal miał dodać prestiżu całemu posterunkowi. Biedak zapomniał, że przede wszystkim skorzysta na tym moja skromna osoba, i założę się, że gorzko teraz żałuje, skurwiel jeden. Synu, odłóż w cholerę te papierzyska. Pójdziemy sprawdzić, co się dzieje w centrum operacyjnym.

Sierżant poszedł z nimi aż do sali przesłuchań i tam znów zaczął namawiać Frosta do przyjęcia zaproszenia na kolację.

- Zrozum, Jack, Peggy nalega...

Dopiero później Frost przyznał się Clive'owi, dlaczego nie mógł się zgodzić.

- Za bardzo Johnniego szanuję. To fajny gość i nie widzi świata poza swoją żoną, za to ona jest jakąś cholerną seksoholiczką. Wpycha człowiekowi cycki w ucho za każdym razem, gdy pochyla się, żeby podać *hors d'oeuvre*, a kiedy siada obok przy stole, czujesz, jak się ociera udem o twoje udo. W końcu ślina zaczyna ci kapać do zupy. Osobiście nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby nie chodziło o żonę Johnniego. Przypadkiem dowiedziałem się, że kiedy Johnnie idzie na służbę, kilku chłopców natychmiast zaczyna się kręcić w pobliżu ich domu. Jeśli on kiedyś się o tym dowie...

Westchnął ciężko, pozwalając, żeby Clive sam domyślił się reszty.

*

Centrum operacyjne, mieszczące się w dawnej sali rekreacyjnej obok gabinetu Mulletta, świadczyło jak najlepiej o organizacyjnych zdolnościach inspektora Allena. Zainstalowano dodatkowe linie telefoniczne, ustawiono dalekopisy, fotokopiarkę, kserokopiarke oraz głośniki do przekazywania komunikatów. Na ścianach wisiały ogromne mapy, na których na bieżąco zaznaczano dokładne pozycje wszystkich ekip biorących udział w poszukiwaniach, wozów patrolowych, pieszych i zmotoryzowanych patroli, i tak dalej. Każda przychodząca rozmowa była automatycznie rejestrowana i nagrywana na kasetę, a jedna z linii została podłączona bezpośrednio do stanowiska techników na wypadek, gdyby szybko należało zlokalizować rozmówcę. Kolorowe telewizory oraz rezerwowe czarno-białe zestawy przekazywały non stop wiadomości ze wszystkich stacji informacyjnych. W razie awarii elektrycznej prądu miał dostarczać przenośny generator. Jak zwykle inspektor Allen był przygotowany na każdą okoliczność.

Frost - jedyna osoba, której udziału w operacji Allen absolutnie nie brał pod uwagę - wkroczył do środka i bezradnym wzrokiem potoczył dookoła. Zauważywszy drobiazgową skrupulatność oraz wzorowy porządek, ku uldze obecnych zdecydował, że za wszystko nadal będzie odpowiadał asystent Allena. Wspomnianym asystentem był detektyw sierżant George Martin - powolny w wyrażaniu myśli i skłonny do popadania w głęboką zadumę osobnik, w dodatku bez przerwy ssący nieodłączną fajeczkę, co zawsze doprowadzało Frosta do szału.

Przez okrągły dzień w centrum operacyjnym aż wrzało. Linie telefoniczne wciąż były blokowane przez nieprzerwany strumień połączeń od podekscytowanych obywateli, którzy właśnie przed chwilą widzieli zaginioną dziewczynkę. Niektóre z tych doniesień brzmiały całkiem obiecująco, lecz choć zdecydowana większość wydawała się zupełnie nieprawdopodobna, wszystkie były rejestrowane i sprawdzane z należytą starannością. Z nadejściem zmroku sytuacja zaczęła się uspokajać. Telefony odzywały się jedynie okazjonalnie, a zmęczeni ludzie mogli nadgonić papierkową robotę, zjeść coś i przygotować plany na następny długi dzień. Frost podszedł prosto do George'a Martina.

- Czy komuś udało się namierzyć tę damę w białym filtrze?

Martin dmuchnął w fajkę i chmura popiołu pofrunęła w powietrze.

- Jak dotąd nie, Jack - mruknął, po czym wyjął fajkę z ust i zaczął w niej grzebać kawałkiem spinacza. - Wiesz... - dodał, pukając w ustnik, żeby pozbyć się zalegających w nim resztek - ...zastanawiam się nad czymś... Czy pani Uphill ma białe futro?

Oczy Clive'a zapłonęły.

- Chyba nie chce pan powiedzieć... - zaczął, ale Frost przerwał mu w pół zdania.

- Pani Uphill? Wiesz, to jest myśł!

Przez chwilę zastanawiał się, ale potem potrząsnął głową.

- Nie, George. Farnham na pewno widział kogoś innego. Moment wcześniej zostawił panią Uphill w łóżku, żeby przeliczyła swoje ciężko zarobione trzydzieści funtów, a sam popędził galopem do ciotuni na herbatkę... A to mi o czymś przypomina. - Wyciągnął wskazujący palec w stronę Clive'a. - Musimy sprawdzić tę ciotkę, synku, nie zapomnij o tym.

Znów odwrócił się do Martina.

- Powiem ci, George, co teraz musimy zrobić. Damy do prasy ogłoszenie, że szukamy pani w białym futrze.

- Już zrobione, Jack. Allen kazał mi to nadać, tylko otrzymał twój raport.

Co za skurwiel, pomyślał Frost, ale głośno powiedział coś całkiem innego.

- No wiesz, George, potraktuj to jako pewien rodzaj testu.

George uśmiechnął się z pobłażaniem i zassał fajkę, wydając przy tym kilka nieprzystojnych, bulgoczących odgłosów.

- Na twoim miejscu wezwałbym hydraulika - zauważył Frost.

Funkcjonariusze siedzący przy biurku w kącie pokoju przed chwilą skończył rozmawiać przez telefon, a teraz wymachiwał na wpół zjedzoną kanapką, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Inspektorze!

Frost niespiesznym krokiem ruszył w jego stronę.

- Dzięki, Fred, już dostałem herbatę. Chłopak uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Mam coś, co być może pana zainteresuje, sir. Jak pan wie, sprawdzamy wszystkich zbrojców seksualnych, którzy kiedykolwiek przejawiali skłonność do nieletnich. Chcemy się dowiedzieć, co robili wczoraj po południu około godziny czwartej trzydzieści.

- Boże, wiem, że jestem ciemny jak tabaka, ale nie musisz mi tłumaczyć wszystkiego, poczynając od Adama i Ewy. - Frost jęknął. - Co ci tam włożyli? Zdechłego psa?

- Pastę z piklinga, sir. - Chłopak z wyraźnym apetytem ugryzł kawałek kanapki. - Większość udało się nam namierzyć i uzyskać zeznania. - Strzepał okruszki z jakiegoś formularza zabazgranego okrągłym pismem. - Chce pan je przeczytać?

- Nie, do stu tysięcy diabłów! Gdybym miał czas na czytanie czegokolwiek, wolałbym poczytać jakąś cholerną książkę! Co jest w tych zeznaniach?

- Większość podejrzanym ma alibi, sir, i właśnie je sprawdzamy. Ale jest pewien koleś, którego nie udało się namierzyć. W dodatku nie zjawił się dziś rano w pracy. Chodzi o Mickeya Hoskinsa.

Brwi Frosta powędrowały w górę.

- Mickey Hoskins? - Gwizdnął przeciągle.

- Wóz patrolowy zajeżdżał parę razy pod jego mieszkanie, ale najwyraźniej nikogo nie było w środku. Sąsiedzi twierdzą, że pani Bousey, u której Hopkins wynajmuje pokój, pojechała do miasta po zakupy. Jednak nikt nie ma pojęcia, gdzie się podział Mickey. Nie widzieli go od wczorajszego ranka.

- Chcę, żeby ten radiowóz zaparkował na schodach prowadzących do domu mamy Bousey - warknął Frost.

- Już tam jedzie, sir... Rozkaz inspektora Allena.

Skurwiel do kwadratu, pomyślał ponuro Frost.

*

Wóz patrolowy znalazł się na miejscu o dziewiątej zero siedem. O tej porze w korytarzu świeciło się światło, a mleko zostało już wniesione do kuchni. Pani Bousey zdążyła wrócić z wyprawy do sklepu, lecz w pokoju na piętrze, który zajmował jej lokator, Mickey Hoskins, nadal było ciemno.

Tym razem kolej na pukanie wypadła na posterunkowego Mike'a Jordana. Włożył spiczastą czapkę z daszkiem i ociągając się, podszedł do wejścia. Zastukał kołatką. Z korytarza dobiegło sapanie pani Bousey, a potem drzwi otworzyły się szeroko i stęchły zapach nieświeżych wędzonych śledzi szczęśliwie umknął na ulicę.

- Tak? - zapytała malutka, przysadzista kobiecinka. Jej cienkie włosy zaczesane były do tyłu, a nieduże, głęboko osadzone oczka spoglądały podejrzliwie.

- Pani Bousey, czy Mick jest w domu?

- Nie ma go od niedzieli.

- Och, tak? - Jordan wyjął służbowy notes. - Proszę mi dokładnie opowiedzieć, co takiego wydarzyło się w niedzielę.

Zaniosła się kaszlem i dla utrzymania równowagi chwyciła za gałkę u drzwi.

- Zjadł obiad, poszedł gdzieś w cholerę i już nie wrócił.

- To dość niezwykle, prawda?

- Zapłacił za wynajem do piątku, więc czemu miałabym się martwić?

- Czy mogę rzucić okiem na jego pokój?

- Jeśli pan chce... Ale uprzedzam, że do piątku pokój jest zajęty.

Jordan poszedł za nią przez duszny, cuchnący śledziami korytarz i wspiał się po schodach wyłożonych Zniszczonym linoleum. Całe wyposażenie pokoju Mickeya składało się z łóżka, szafy na ubrania, stołu i krzesła. Na stole leżała książka w miękkiej oprawie i z jakąś niesamowitą sceną na okładce, a jako zakładka służył papierek po cukierku. Oprócz książki

na stole stało dość drogie radio, które odbierało wszystkie zakresy fal. W szafie wisiał jeden garnitur oraz pojedyncze sztuki damskiej bielizny, najwyraźniej ukradzione z jakiegoś sznura.

Jordan wyciągnął nadajnik, żeby połączyć się z centrum operacyjnym.

- To bardzo tajemnicza sprawa - orzekł Frost, kiedy George Martin przekazał mu wiadomość. - Przeleć się na dół, chłopcze, i wyciągnij z archiwum akta Mickeya Hoskinsa.

Martin machnął ręką, żeby Clive się zatrzymał, bo już wcześniej przyniósł wszystko, co potrzeba. Jako asystent inspektora Allena wiedział, że sam powinien się domyślić, co należy zrobić.

Frost przebiegł oczyma długą listę wyczynów Mickeya. Nieprzyzwoite zachowanie z miejscu publicznym, naruszenie nietykalności osobistej, udawanie lekarza, obsceniczne telefony, kradzież bielizny... Z obrzydzeniem odsunął od siebie akta i odruchowo skubnął bliznę na policzku.

- No cóż, najwyraźniej facet uwielbia się obnażać. Gdybym miał fiuta równie mizernych rozmiarów, to raczej trzymałbym go w spodniach... Tak więc teraz szukamy nie tylko damulki w białym futrze, lecz również zbiegłego zbrojeńca. A może nasza dama uciekła z ukochanym, co?

Formularz z danymi na temat Hoskinsa wrócił do rąk sierżanta Martina.

- George, trzymaj to u siebie. Ja mam dość własnych papierów. I nadaj wiadomość o Mickeyu do wszystkich patroli. Chcę, żeby jak najszybciej doprowadzono go na posterunek.

- Już to zrobiłem - odparł sierżant urażonym tonem. Dlaczego Frost uważał, że w każdej sprawie musi go prowadzić za rączkę, jakby miał do czynienia z jakimś nowicjuszem?

W tym czasie Frost starał się zachować równowagę, balansując na dwóch nogach krzesła.

- Czyli Mick opuścił mamę Bousey po obiedzie? Jeśli miałby trochę oleju w głowie, powinien wyjść stamtąd przed obiadem. Kiedyś musiałem pofatygować się po niego osobiście, żeby doprowadzić go na przesłuchanie po tym, jak zwinął z suszarni w żeńskim klasztorze trzydzieści sztuk perkalowych majtek. Pamiętam, że mama Bousey używała tego samego rondla do gotowania chustek do nosa i mięsnego puddingu... - Wzdrygnął się na samo wspomnienie. - Moim zdaniem chusteczki wyszły na tym znacznie gorzej.

Gdy tylko Martin wyszedł, krzesło Frosta runęło na podłogę. Jednym ruchem zgarnął górną warstwę dokumentów i wręczył je Clive'owi.

- Synu, znajdź na to miejsce na swoim biurku, dobrze? Na samym wierzchu leżał przycięty maszynowo papier listowy, na którym widniały słowa napisane zielonym atramentem. Clive zaczął czytać.

Old Wood Cottage, Denton

3 grudnia

Do Szefa Policji

Szanowny Panie,

Zabłąkana w otchłani dusza domaga się sprawiedliwości. Być może ziemski koroner stwierdził, że Matthew Finch popełnił samobójstwo, lecz duchy dobrze wiedzą, że został zamordowany. Ręce wdowy po nim splamione są KRWIĄ NIEWINNEGO!

Z poważaniem Martha Wendle

Clive przeczytał to jeszcze raz. Nie był pewien, czy chodzi o ponury żart.

- Dla pomyleńców mamy specjalny segregator - powiedział Frost. - Zdaje się, że w górnej szufladzie. Jeśli tam nie ma miejsca, wsadź to gównu do teczki z napisem „różne”. Ta kobieta jest cholernie niebezpieczna, zawsze wynajdzie coś, o czym musi napisać. Jest wiedźmą albo spirytystką, albo kimś w tym stylu. Według niej nikt tutaj nie umarł śmiercią naturalną, a cmentarze są pełne ofiar mordów i tylko my, biedne skurwiele, o niczym nie mamy pojęcia.

Clive nie wydawał się przekonany. Ten list został napisany z takim przekonaniem...

- A ten gość o nazwisku Finch, sir? Czy to mogło być morderstwo?

Frost wyduł wargi i przez chwilę się nad czymś zastanawiał.

- Niemożliwe. Tą sprawą zajmował się inspektor Allen, a on nigdy nie popełnia błędów. Czekał, chyba miałem pokazać ci ten medal z cyny, co?

Zaczął grzebać w niewłaściwej szufladzie i Clive już miał go poprawić, kiedy przyszło mu do głowy, że teoretycznie nie powinien mieć zielonego pojęcia, gdzie się znajduje odznaczenie. Frost nagle znieruchomiał i ze zmarszczonymi brwiami gapił się w otwartą szufladę.

- Czy przypadkiem nie pożyczalesz ode mnie pieniędzy, chłopcze? Nie? Cholernie dziwna sprawa. Powinienem mieć tutaj jakieś czterdzieści pięć pensów drobnymi. Trzymam je, bo czasem przysyłają mi z kantyny jakieś żarcie i muszę mieć czym zapłacić. Fajna rzecz, kiedy okazuje się, że twoja forsa nie jest bezpieczna nawet w jaskini lwa, co?

Zatrzasnął szufladę i spróbował w następnej.

- O, tutaj jest. - Podał Clive'owi małe pudełeczko. - Ten medal wisiał na mojej dumnie wyprężonej piersi, przypięty osobiście królewskimi rączkami Jej Wysokości... Moja żona dosłownie rozplywała się ze szczęścia, kiedy go dostawałem.

Na aksamicie spoczywał srebrny krzyż przypięty do granatowej wstęgi, z biegnącym przez środek napisem

„Za odwagę”. Clivé spytał, za co inspektor otrzymał to wyróżnienie.

Palce Frosta odruchowo powędrowały do blizny na policzku.

- To był taki typowy młody gniewny, synu. Już nie pamiętam, jak się nazywał. Napadł z pistoletem na bank Bennington po drugiej stronie ulicy. Był w raczej mało stabilnym nastroju, to znaczy sprawiał wrażenie tak naćpanego, że aż mu się z uszu dymiło. Zresztą czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach napada na bank, który położony jest tak blisko posterunku policji? W ciągu kilku sekund zjawiliśmy się na miejscu, uzbrojeni w gumowe pałki, które zapewne miały nam posłużyć do opędzania się od pocisków, gdyby facet przypadkiem otworzył ogień... Przy takiej okazji żaden gliniarz nie miałby nic przeciwko temu, żeby nosić przy sobie broń, tak jak to robią w Ameryce. Oczywiście nie jest pewne, że ktokolwiek z nas by wiedział, jak się używa tych pieprzonych pukawek.

W banku była kobieta z dzieckiem na ręku i z niemowlęciem w wózku. Ten gość wybrał ją na zakładnika i przytknął dzieciakowi pistolet do ucha, a potem popatrzył na nas w taki sposób, jakby chciał się przekonać, czy ośmielimy się podejść. Moi koledzy starali się robić jedyną sensowną rzecz, to znaczy wytłumaczyć mu, żeby okazał odrobinę rozsądku i dał się aresztować, ale on stał w miejscu, pocąc się jak świnia i przewracając oczami. Kobięcina płakała, dzieciak darł się wniebogłosy, a niemowlęciu akurat zebrało się na gruchanie. Wszyscy czuli, że faceta świerzbi ręka, że tylko czeka na to, żeby ktoś wysunął się z szeregu, bo wtedy będzie mógł sobie ulżyć i nacisnąć spust... Wszyscy, tylko nie ja. Pomyślałem, że gość blefuje, więc nie namyślając się długo, bezczelnie pomaszerowałem naprzód. Drań natychmiast zostawił dzieciaka i odwrócił pistolet w moim kierunku. Trząśł się jak galareta, a pot dosłownie lał się z niego strumieniami, z czego błyskotliwie wyciągnąłem wniosek, że broń nie jest naładowana i że wszystko, co muszę zrobić, to wyłuskać ten pistolet z jego drżących rąk.

Pierwszy pocisk trafił gdzieś w okolice żołądka i od razu diabli wzięli całą moją teorię. Wtedy okazało się, że jestem zbyt głupi, żeby się zatrzymać, więc odważnie brnąłem dalej. Następny przeszył policzek, a kolejny drasnął skórę na głowie, tuż pod linią włosów... W tym czasie zaczęło mi świtać, że chyba ktoś do mnie strzela, więc chwyciłem gościa za kark, a moi kumple podskoczyli i pałkami przekonali go, że moje postępowanie było ze wszech miar słuszne. Miałem szczęście. Pocisk skierowany w brzuch trafił w sprzączkę od paska, więc został mi jedynie wielki, krwawy siniak... Ten, który uderzył w policzek, po

prostu wszedł i od razu wyszedł... Za swój wyczyn facet dostał jedenaście lat pierdła, a ja medal.

Zabrał pudełeczko z rąk Clive'a i niedbale wrzucił do szuflady.

- Mam wrażenie, że gdzieś mi wsiąkło czterdzieści pięć pensów - dodał.

Wtedy zadzwonił telefon.

- Frost. Co takiego? Co za głupi sukinsyn! I on tylko „chciał nas powiadomić”? Masz właściwy adres? Jasne, już tam jadę razem z Błyskotliwym Harrym.

Rzucił słuchawkę na widełki.

- Jedziemy, synu. Dyrektor szkoły, do której uczęszczała Tracey, przed chwilą zadzwonił do centrum operacyjnego w sprawie Audrey Harding. Dziewczyna ma dwanaście lat, trochę więcej niż Tracey, ale mimo to bardzo się przyjaźniły. Audrey nie pojawiła się dzisiaj na zajęciach...

*

W związku z tym, że chodziło o uczennicę, Frost zabrał ze sobą policjantkę. Siedziała skulona na tylnym siedzeniu, nie odzywając się ani słowem przez całą podróż. Clive w lusterku wstecznym rzucał na nią ukradkowe spojrzenia, ale przez nasuniętą na oczy czapkę i wysoko podniesiony dla ochrony przed zimnem kołnierz nie dostrzegł niczego, co wzbudziłoby jego zainteresowanie.

- No to jesteśmy na miejscu - oznajmił Frost i auto zatrzymało się na krawężniku przed zespołem szeregowych domów w stylu wiktoriańskim.

Dziewczyna, która podeszła do drzwi, była prawdziwą seksbombą, na jej widok męskie serca zaczynały mocniej bić. Ubrana była w wytarte dżinsy i obcisły podkoszulek, opinający ciasno ponętne piersi - najwspanialsze, jakie Clive widział od wielu, wielu długich dni. Przyciągały spojrzenie jak hipnotyzujące oczy jakiegoś egzotycznego węża.

- O cholera! - wydyszał Frost, po czym dodał szybko: - Bardzo przepraszamy za najście. Jesteśmy z policji.

- Kto tam? - z głębin piwnicy dobiegł ochryply damski głos.

- Policja! - odkrzyknęła dziewczyna.

Sąsiadujące z wejściowymi drzwi otworzyły się i wyszła z nich kobieta o twarzy lalki, której zaszkodziło zbyt długie leżenie w sklepie. Na sobie miała sukienkę, która pasowałaby do osoby dwadzieścia lat młodszej.

- Pani Harding - zwrócił się do niej Frost. - Chodzi o pani małą córeczkę, Audrey...

- Co? O nią? - spytała kobieta, wskazując kciukiem na stojącą obok niej dziewczynę.

Więc to ona? Ta seksbomba była dwunastoletnią uczennicą szkoły niedzielnej?! Wyglądała na osiemnasto - lub dziewiętnastoletnią pannicę - i to pannicę dobrze rozwiniętą jak na swój wiek. Clive i inspektor popatrzyli na siebie w osłupieniu.

- Zamarzniemy na śmierć, jeśli będziemy tu stać - odezwała się pani Harding. - Proszę panów dalej.

Kołysząc biodrami, poprowadziła ich do niedużej bawialni, rozgrzanej od płomieni buchających w kominku. Na środku pokoju stała deska do prasowania. Frost rozpiął płaszcz przeciwdeszczowy, rozplatał kilka jardów szalika i dał znak Clive'owi, żeby rozpoczął przesłuchanie.

- Nie będzie panom przeszkadzało, jeśli będę prasowała? - zapytała pani Harding, ale Clive zwrócił się wprost do Audrey.

- Nie byłaś dziś w szkole, prawda?

- No i co z tego?

- Rano miała straszne bóle w klatce piersiowej - pospieszyła z wyjaśnieniami matka, nawet na chwilę nie odrywając się od żelazka. Audrey posłusznie zakasłała, żeby potwierdzić tę historyjkę.

- Proszę spróbować olejku kamforowego - poradził Frost półgłosem. - Trzeba wziąć mniej więcej pół galona...

Policjantka zduśliła nerwowy chichot, Clive zaś zmarszczył brwi. To przecież było całkiem poważne przesłuchanie. Czy ten stary dureń nie może choć raz powstrzymać się od swoich tanich żarcików?

- Chyba nie przysłali tutaj trzech policjantów tylko z tego powodu, że nie poszłam dzisiaj do szkoły, zgadza się? - spytała dziewczyna, przesuwając rękoma po piersiach w taki sposób, że Clive natychmiast poczuł ukłucie zazdrości, a Frostowi zrobiło się głupio.

- Nie. Chodzi o Tracey Uphill. Wydaje nam się, że ją znasz?

- Znam - potwierdziła dziewczyna bez wahania. - Jej matka jest dziwką.

Pani Harding ze złością uderzyła żelazkiem w deskę do prasowania.

- Być może to prawda, moje dziecko, ale ty nie masz prawa mówić o niej w ten sposób! Są tematy, których w ogóle nie powinnaś poruszać. - Pochyliła się do Frosta i poufałym tonem dodała: - Mój wujek był karawaniarzem, ale nigdy nikomu o tym nie wspominaliśmy. Pewne rzeczy lepiej jest pozostawić niedopowiedziane.

- W zupełności się z panią zgadzam - oświadczył Frost i gestem dał znak, żeby Clive kontynuował.

- Audrey, chodzisz do szkółki niedzielnej, prawda? - Ale tylko na lekcje tańca klasycznego i stepowania

- wtrąciła matka. - Wierzymy w religię i tego typu sprawy, ale nie chcemy, żeby ktoś na siłę wtlaczał nam to do głowy. Zwłaszcza w niedzielę.

- Pani Harding, Tracey zaginęła wczoraj po południu około godziny czwartej trzydzieści.

W odpowiedzi wybałuszyła oczy.

- Wiem! Ta biedna matka... To znaczy... Moim zdaniem takie kobiety są zdolne odczuwać tak samo jak inni ludzie.

- Czy Tracey była twoją przyjaciółką?

- No, powiedzmy, że trochę ją znałam - odparła dziewczyna bezceremonialnym tonem. - Ale poza szkołą nie widywałyśmy się od dobrych kilku tygodni.

- Jesteś pewna? - upierał się Clive.

- Moja córka nie kłamie - wtrąciła matka ostro, spoglądając, jak banieczka śliny przypieka się na stopce żelazka.

- Czy przychodzi ci do głowy jakiś pomysł, dokąd mogła pójść?

Audrey pokręciła głową. Podrapała się po brzuchu i ziewnęła rozziewając, jakby chciała jasno dać do zrozumienia, że cała ta sprawa zaczyna ją nudzić.

- Widziano ją w towarzystwie jakiejś kobiety w białym futrze. Czy wiesz może, kto to mógł być?

- Nie mam pojęcia. - Audrey z zainteresowaniem przyglądała się swoim pomalowanym na pomarańczowo paznokciom.

Nagle Frost znowu wtrącił swoje trzy grosze.

- Czy grywa pani w bingo, pani Harding?

Idź do diabła, pomyślał Clive z wściekłością. Co tu bingo ma do rzeczy?

Żelazko pani Harding zagłębiło się w materiale obszernego biustonosza.

- Owszem. Regularnie dwa razy w tygodniu chodzę do starego Grand Cinema. To moja jedyna rozrywka... Ale skąd pan o tym wie?

Frost wyraźnie się rozpromienił.

- Dostajemy raporty na temat pięknych kobiet, które pojawiają się w salonie gry. Poza tym tak się złożyło, że zauważyłem karty do bingo na obramowaniu kominka.

Pani Harding przywołała na usta sztuczny uśmiech.

- No proszę, faktycznie jest pan spostrzegawczy. Ma pan oczy dookoła głowy.

Mówiąc te słowa, odłożyła biustonosz na stos uprasowanych rzeczy.

- I co, miewa pani szczęście?

- Kilka razy udało mi się wygrać spore pieniądze.

- Tak czułem, że się pani udało. Poza tym czuję, że potrafi pani parzyć doskonałą herbatę.

- Ma pan ochotę? - spytała, wyłączając żelazko. - To nie potrwa nawet minuty.

Kiedy znikła za drzwiami, Frost natychmiast pochylił się w stronę pannicy.

- Hej, Fanny... Czy matka wie, że pożyczasz sobie jej piękny futrzany płaszcz?

Dziewczynka zbladła jak płótno.

- Zamknij się! - syknęła.

- Zatrzymaj panią Harding w kuchni - zwrócił się Frost do policjantki. - I zamknij drzwi.

- W porządku, Audrey - mówił dalej, gdy policjantka wyszła. - Więc jednak coś udało się ustalić. Pożyczasz futro matki bez jej zgody, tak?

- Chybaby mnie zabiła, gdyby się dowiedziała! - zawołała dziewczyna płaczliwym głosem. - Stłukłaby mnie na kwaśne jabłko! Kupiła je za forszę wygraną w bingo, prawie za trzy stowy, i poza nią nikomu nie wolno dotykać tego pieprzonego płaszcza. Nie powie jej pan, prawda? - dodała z nadzieją.

- Czy włożyłaś je wczoraj po południu na spotkanie z Tracey pod szkołą niedzielną?

- Chciałam się pochwalić tym futrem, ale nie chciałam, żeby ze mną szła.

- Nie chciałaś... Ale mimo to poszła?

- Uparła się jak oślica. Uprzedziłam ją tylko, że jak on przyjdzie, to będzie musiała się zbierać.

- Jak kto przyjdzie?

- Mój chłopak... Znaczy się, mój kumpel.

- Jak on się nazywa?

Audrey podała nazwisko, a Clive skrupulatnie je zapisał.

- Gdzie się z nim umówiłaś?

- Na polach przy Meadow Road. - I wtedy Tracey poszła do domu?

- Nie. Ta mała suka udawała, że odchodzi, ale tak naprawdę postanowiła nas śledzić. Chyba chodziło o to, żeby nas podglądać. W końcu poszliśmy do Old Wood.

- Old Wood? Dlaczego?

- Żeby się jej pozbyć, bo ona ciągle za nami lazała. Rzuciliśmy się pędem, żeby jak najszybciej dopaść tego wielkiego drzewa - tego, które rośnie przy samym jeziorze - i tam się schować. Przebiegła obok nas, a wtedy wróciliśmy na drogę i poszliśmy do domu.

- Która to mogła być godzina?
- Około wpół do szóstej. Frost zmarszczył brwi.
- Zostawiliście ośmioletnie dziecko, żeby w ciemności samo znalazło drogę do domu?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- To jej sprawa. Nawiasem mówiąc, świetnie wiedziała, jak stamtąd trafić. Zresztą z tego, co wiem, wcale nie miała zamiaru wracać do domu. Chciała się trochę pobawić na terenie plebanii.

Na terenie plebanii! Clive zapisał to w notatniku.

- Dokąd potem poszliście? - naciskał Frost.

- Do domu mojego chłopaka. Jego rodzice gdzieś wyszli na cały wieczór.

- I co tam robiliście?

- A jak pan myśli? - Błękitne oczęta mrugnęły porozumiewawczo. Pojawił się w nich jakiś nieprzyzwoity wyraz.

Drzwi do kuchni otworzyły się i pojawił się w nich dzbanek z herbatą.

- Nie powie pan mamie? - szepnęła Audrey, z powrotem zmieniając się w niewinną dwunastoletnią dziewczynkę.

- Nie, dopóki nie będę musiał... - mruknął. - Ach, herbata!

Popijali herbatę, gawędząc o tym i o owym, aż w końcu atmosfera stała się prawie rodzinna. Frost subtelnie flirtował z panią domu, aż wreszcie udało mu się namówić ją na zaprezentowanie się w białym futrze. Clive nie spuszczał oczu z młodej policjantki, która w końcu zrzuciła z siebie służbowy płaszcz i czapkę ze szpikulcem i śmiała się do rozpuku z popisów inspektora. Burza kasztanowych włosów swobodnie rozsypała się po ramionach dziewczyny. Clive musiał przyznać, że wyglądała naprawdę uroczo.

Nagle poczuł pod żebrami przenikliwy ból. Frost trącił go łokciem w bok i oczyma wskazał mu Audrey. Dziewczynka właśnie podziwiała w lustrze perfekcyjny kształt swojego prawego ramienia. Żeby lepiej je widzieć, podwinęła i tak krótki rękawek dzierganego na drutach sweterka, i wtedy Clive natychmiast zrozumiał, o co chodzi - wysoko na skórze widniało niewielkie, brązowe znamię. Znamię to widział wcześniej na zdjęciu rozebranej modelki, z którego ktoś oderwał górną część.

Gdy tylko matka wyszła, żeby odnieść do kuchni puste filiżanki, Frost chwycił dziewczynkę za rękę.

- Audrey, czy kiedykolwiek pozowałam do zdjęć bez ubrania?

- Oczywiście, że nie - odparła, ale w jej oczach pojawił się strach. Nerwowo pociągnęła w dół rękawek sweterka.

- Bóg słyszy twoje kłamstwa - mruknął, przysuwając blisko twarz do jej twarzy.

- Odpieprz się, pieprzony pedale - warknęła.

- Gówniara - zamruczał i natychmiast z uśmiechem zwrócił się do pani Harding, która właśnie weszła do pokoju. - Pytałem pani córeczkę, czy wie, co Święty Mikołaj ma w tym roku przynieść jej pod choinkę.

*

Kiedy znaleźli się z powrotem w samochodzie, Frost skontaktował się przez radio z centrum operacyjnym. George Martin powiedział, że Old Wood był przeszukany jedynie powierzchownie, bo szczegółowe oględziny zostały przewidziane na jutro rano, natomiast tereny należące do plebanii sprawdzono bardzo dokładnie.

- Hmm... - mruknął Frost, drapiąc się w nieogolony podbródek. - Lepiej zgarnij wszystkich ludzi, jakich uda ci się dopaść, i nakaż jeszcze tej nocy przeszukać las. Wiem, że po ciemku to dosyć trudne, ale jeśli ten dzieciak gdzieś tam ugrzązł, szybkość działania może mieć decydujące znaczenie.

Na zewnątrz przenikliwy wiatr powoli zmieniał się w prawdziwą zawieruchę. Clive nie potrzebował dalszych wskazówek, jak dostać się na główną drogę, więc inspektor mógł wygodnie oprzeć się o zagłówek fotela i nieco zrelaksować.

- No cóż - odezwał się po chwili milczenia. - Zastanawiam się, co dziś bardziej rzucało się w oczy: twoje wybałuszone gały czy cycki tamtej małej? Och, najmocniej przepraszam! Zapomniałem, że mamy damę na pokładzie. - Z promiennym uśmiechem odwrócił się do siedzącej z tyłu policjantki.

Odpowiedziała w ten sam sposób.

- Proszę nie zwracać na mnie uwagi.

- Opowiem ci zabawną historyjkę - powiedział Frost do Clive'a, a jemu serce zamarło z przerażenia. Miał serdecznie dość tych żalonych dowcipów. Zacisnął zęby i starał skoncentrować się na prowadzeniu samochodu.

- Miałem szesnaście lat - zaczął Frost z rozmarzeniem. - I właśnie prowadziłem się z taką laską... Pamiętam, że nazywała się Ivy Standish... Psiakrew, była z niej naprawdę ładna dupa! Pozwalała ci, bracie, na wszystko - wszystko z wyjątkiem przeklinania. Po prostu nie tolerowała najłżejszych wulgaryzmów. Dlatego jeśli drżącą ręką gmerałeś przy ostatnim guziczku jej bluzeczki i niechący wyrwało ci się „kurwa mać”, twój los był przesądzony. Z miejsca odsyłała cię do wszystkich diabłów, i to niezależnie od tego, jak bardzo byłeś

napalony. W każdym razie, żeby skrócić ten przydługi i nudny wstęp, powiem, że w niedługim czasie wypadały urodziny Ivy i jej mamusia zaprosiła mnie na przyjęcie. Szykowałem się na miłą niespodziankę, a przeżyłem totalny wstrząs. Wiesz, synu, ile świeczek stało na torcie? Jedenaście! Taki numerek mógłby kosztować czternaście lat pierdła, więc czym prędzej wsunąłem przydziałowy kawałek ciasta i szybko się stamtąd wyniosłem.

Pobożne życzenia, pomyślał pogardliwie Clive. Nie wierzył w ani jedno słowo.

Kiedy dotarli do Market Square, policjantka poprosiła, żeby ją tu zostawić.

- Czy dziś masz dyżur pod telefonem, Hazel? - zainteresował się Frost. - W takim razie powiem ci, co zrobimy. Ja wysiądę i przejdę się kawałeczek, a nasz młody Clive odwiedzi cię do domu.

Patrzyli, jak wysiadając, kuli ramiona i otula szalikiem policzki, i jak brnie pod wiatr w stronę Eagle Lane. Dopiero wtedy dziewczyna powiedziała Clive'owi, dokąd ma jechać.

- Hej, wiesz, że mieszkasz całkiem niedaleko mnie? - zawołał Clive z entuzjazmem. - A może wpadłabyś na filiżankę kawy?

Ku jego zdziwieniu Hazel od razu się zgodziła. Pewnie Frost spodziewał się niebawem ujrzeć swojego asystenta z powrotem na posterunku, ale do diabła, Clive był już na służbie prawie od trzynastu godzin i z pewnością należała mu się półgodzinna przerwa.

W pokoju było chyba zimniej niż na zewnątrz. Pospiesznie wepchnął parę monet w głodne gardło licznika, a następnie przekręcił dopływ gazu na maksimum. Dziewczyna usiadła na nieposłanym łóżku, zaciśnięte pięści schowała głęboko do kieszeni i z zainteresowaniem obserwowała jego poczynania.

- Zaraz zrobi się cieplej - powiedział i popędził do kuchni, żeby zrobić kawę. Napełnił ekspres gorącą wodą, żeby przyspieszyć sprawę, a następnie postawił go na największy palnik. - Niedługo będzie gotowa - oznajmił, powróciwszy do gościa. Hazel skinęła głową. Temperatura w pokoju wyraźnie się podniosła. - Coraz cieplej, prawda?

Znowu skinienie głową. Panienska nie należy do rozmownych, pomyślał z rozdrażnieniem, a potem zaproponował, żeby zdjęła płaszcz. Zrobiła, jak sobie życzył i z własnej inicjatywy pozbyła się również służbowej marynarki. Pełne piersi kusząco wypełniały szarobiałą koszulę.

I wtedy Clive pocałował Hazel. To był długi, niespieszny, głęboki pocałunek - najbardziej obiecujący początek, jaki przytrafił mu się od długiego czasu. Wreszcie rozdzielili się, żeby zaczerpnąć powietrza.

- Może włączę jakąś muzykę - zaproponował, pochylając się nad nią w stronę radia. Po drodze jego dłoń odruchowo musnęła jej piersi. Hazel zadrzała. Clive natychmiast otoczył

ręką jej ramiona i delikatnie przyciągnął do siebie. Jego usta spoczęły na jej ustach, a palce zaczęły rozpinać maleńkie guziczki przy koszuli z precyzją chirurga przeprowadzającego skomplikowaną operację na otwartym mózgu. Jeszcze raz oderwał się od niej dla nabrania oddechu.

Z radia dobiegał pulsujący rytm jakiejś popularnej piosenki.

- To chyba numer jeden na liście przebojów, prawda? - spytała, pochylając się do przodu, żeby mógł dosięgnąć malutkich haftek przy staniku. Automatycznie przesunął palcami po gładkiej skórze jej pleców, jego serce zaczęło uderzać w rytm melodyjnego popiskiwanego ekspresu do kawy. Wreszcie ręka Clive'a opadła na ciepłe udo dziewczyny i powoli zaczęła wędrówkę w górę...

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wtargnął inspektor Frost.

Cholera, cholera! I jeszcze raz cholera!

Hazel zasłoniła się, odwróciła na bok i w popłochu zaczęła zapinać ubranie.

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że zauważyłem światło w twoim oknie - wyjaśnił Frost, chwytając Clive'a za rękę. - Wiesz, ludzie Allena znaleźli w lesie szalik. Wygląda na to, że to szalik Tracey... Ale chyba nie miałeś nic ciekawego do roboty, prawda?

PONIEDZIAŁEK (6)

OLD WOOD, POŁOŻONY MNIEJ WIĘCEJ DWIE MILE NA PÓLNOC od Vicarage Terrace, rozciągał się na przestrzeni około czterystu akrów. Clive i inspektor Frost co chwila wpadali na siebie lub potykali się w ciemności i z uporem brnęli między smaganymi wiatrem, trzeszczącymi szkieletami drzew, żeby odnaleźć dwóch posterunkowych - tych samych, którzy trafili na porzucony szalik Tracey. Tylko przez przypadek Clive zauważył między drzewami poblask pochodni.

- Sir, to tam.

Blask ognia doprowadził ich na miejsce.

- Mówiliśmy panu, że będziemy czekać przy dębie, sir - odezwał się z wyrzutem jeden z policjantów.

- Osobiście znam tylko dwa rodzaje drzew - odparł Frost. - Małe i duże. Lepiej pokażcie, coście tam znaleźli.

Snop światła z latarki powędrował w stronę krzewu, na którego kolcach wisiał szalik. To dzięki nim skutecznie opierał się wysiłkom wiatru, który usiłował zerwać go i ponieść gdzieś w dal.

- Jak to możliwe, że nikt go nie zauważył, kiedy pierwszy raz przeszukiwaliście las? - dopytywał się Frost, miętosząc w palcach miękką wełnę.

- Sir, potrzeba wielu dni, żeby dokładnie przeszukać taki obszar... Poza tym ludzie szukali dziewczynki, żywej lub martwej. Sam pan wie, że wtedy człowiek przede wszystkim gapi się na ziemię.

- Ach tak... Czyli gdyby dziewczynka wisiała na drzewie, nikt by jej nie zauważył, tak? - zadrwił Frost. - Mimo wszystko dobrze się stało, że go nie znaleźliście, bo już zacząłem myśleć, że podwładni inspektora Allena nigdy nie popełniają błędów.

Clive'a zaciekało, w jaki sposób szalik zaplątał się między kolce. Pociągnął go ku sobie i wełna dość łatwo dała się zsunąć; gdy wykonał ten sam ruch w przeciwnym kierunku, kolce wbiły się głębiej.

- Jeśli założymy, sir, że miała na sobie szalik, kiedy zaczepiła nim o krzak, to oznaczałoby, że szła w tamtą stronę - zademonstrował swoją teorię przed Frostem. Inspektor był pod wrażeniem.

- Też na to wpadliśmy - zaraz dorzucił młodszy z policjantów, najwyraźniej zazdrosny o tego wszechwiedzącego mądralę ze złamanym nosem.

- W takim razie też dostaniecie cukierki - oświadczył Frost, po czym delikatnie odczepił szalik i wepchnął go do kieszeni.

- Dokąd prowadzi ta ścieżka? - zdążył jeszcze spytać i po chwili poślizgnął się na dróżce wskazanej przez Clive'a.

- Ostrożnie, sir! - zawołał młodszy z policjantów. Frost zatrzymał się w miejscu. Ścieżka ostro skręcała w lewo, ale gdyby ktoś uparł się i poszedł prosto, to zakończyłby spacer w mętnych otchłaniach Willow Lake.

Brzeg jeziora nie był dobrze widoczny, bo zasłaniały go kępy bujnego zielska, które rozrosło się tuż przy samej wodzie. Posuwając się zygzakami, starannie sprawdzili każdy fragment linii brzegowej, czy nie zauważą gdzieś połamanych łodyg, choć gdyby dzieciak nagle wpadł do wody, mógł nie zostawić żadnych śladów.

Clive opuścił swoją pochodnię ku czarnej, złowrogiej powierzchni jeziora. Światło wydobyło z mroku pomarszczony cienki lód. Za kilka dni wszystko zamrze na amen.

- Jutrzejszy dzień musimy zacząć od przeszukania jeziora - mruknął Frost. Poskubał bliznę, bo zimno już zdążyło się wgrzyźć w martwą, twardą tkankę. - Wiemy, że dziewczynka była w lesie, więc to nie jest żaden sukces, że udało się nam odnaleźć tutaj jej szalik... Oczywiście, jeżeli ten szalik w ogóle do niej należał. Musimy w drodze powrotnej zajrzeć do mamuśki Uphill i zapytać, czy go poznaje.

Umundurowani policjanci przestępowali z nogi na nogę i zacierali ręce, żeby choć trochę się rozgrzać.

- Inspektorze, czy możemy kontynuować poszukiwania? - zapytali w końcu.

Frost skinął głową.

- Oczywiście. Ja tymczasem postaram się skontaktować z centralą, żeby przysłali wam paru ludzi do pomocy. Wiem, cholera, że to prawie niemożliwe znaleźć cokolwiek w tych pieruńskich ciemnościach, ale następna noc na dworze mogłaby ją zabić... Jeśli już nie jest martwa.

Spojrzał w stronę jeziora i zadrżał.

*

Tym razem Clive musiał zaparkować Morrisa w głębi ulicy, bo przed numerem dwadzieścia dziewięć na Vicarage Terrace stał samochód, który na oko kosztował małą fortunę. W domu po drugiej stronie ulicy wciąż zapalały się i gasły światelka na ustawionej przy oknie choince. Nagle drzwi mieszkania pani Uphill otworzyły się i na zewnątrz wyszedł zamożnie wyglądający mężczyzna. Pomachał na pożegnanie do stojącej w wejściu smukłej kobiety, a potem wsiadł do samochodu i zniknął w ciemności.

Frost zawołał do niej, zanim zdążyła zamknąć drzwi, więc czekała na progu, podczas gdy oni żwawym krokiem zmierzali w jej kierunku.

- Klient? - zapytał Frost, wskazując głową odjeżdżający samochód.

Wzruszyła ramionami.

- Muszę przecież z czegoś żyć.

Zaprowadziła ich do salonu, gdzie w powietrzu wciąż unosił się ciężki zapach cygara, i sama wzięła papierosa ze stojącej na obramowaniu kominka papierošnicy. Nie odważyła się zapytać, co ich sprowadza, na wypadek gdyby odpowiedź była taka, jakiej najbardziej się obawiała.

Frost wydobyl szalik z przepastnych kieszeni płaszcza i bez słowa wręczył go gospodyni.

Cała krew odpłynęła jej z twarzy. Ciężko opadła na krzesło.

- To szalik Tracey - szepnęła. Wskazującym palcem znalazła małą dziurkę w splocie wełnianych nitek. - Miałam go zaszyć, ale wciąż brakowało mi czasu.

Nagle ukryła twarz w dłoniach, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Chciałabym móc płakać - powiedziała. - Chciałabym móc płakać.

- Proszę się nie załamywać, jeszcze jej nie znaleźliśmy - wyjaśnił szybko Frost i opowiedział o tym, jak Tracey poszła za Audrey i jej chłopakiem do Old Wood. - Nasi ludzie wciąż przetrząsają ten las, natomiast jutro o świcie zaczynamy zakrojone na szeroką skalę poszukiwania.

Twarz Joan Uphill nie zdradzała żadnych emocji. Ten las i jezioro były jej dobrze znane, a poza tym wiedziała, jaka pogoda panuje na dworze... Palcem wciąż grzebała w małej dziurce w szaliku córki. Obaj mężczyźni nie wiedzieli, co powiedzieć. W tej sytuacji wszelkie słowa pocieszenia wydawały się płytkie i nie na miejscu, toteż kiedy ciszę przerwał przenikliwy dzwonek telefonu, przyjęli go z ulgą.

W oczach pani Uphill zamigotał lęk. Zmusiła się, żeby wstać i przejść przez pokój do miejsca, gdzie stał telefon. W milczeniu wysłuchiwała nieznanego rozmówcy, a następnie starannie odłożyła słuchawkę na widełki.

- Czy ktoś zadzwonił po to, żeby pani naubliżyć? - domyślił się Frost.

- Dzisiaj już szósty raz.

- No cóż, na świecie jest mnóstwo bydlaków. Czy życzy sobie pani, żebyśmy przechwytywali te rozmowy?

Pokręciła głową.

- Jakoś to wytrzymuję. Proszę mi wierzyć, że nieraz zdarza się słyszeć znacznie gorsze rzeczy.

- Proszę dać nam znać, kiedy będzie pani miała dość. - Clive delikatnie podważył jej odporne palce i wysupłał spomiędzy nich szalik. Mimo to palce Joan Uphill dalej szukały małej dziurki, którą powinna była zaszyć dawno temu. Frost i Barnard sami wyszli z domu, zostawiając ją skuloną na fotelu, bezradną i samotną jak opuszczone dziecko.

Clive przekreślił kluczyk w stacyjce.

- Sir, ona nie może być teraz sama. Ktoś powinien zostać tu na noc.

- Zgłaszasz się na ochotnika? - spytał Frost. - Pożyczę ci te trzydzieści funtów, jeśli akurat nie masz gotówki.

Detektyw posterunkowy z wściekłością wziął zakręt i przez resztę drogi nie odezwał się ani słowem.

- Sierżancie, ona rozpoznała ten szalik! - wrzeszczał Frost, kiedy w pośpiechu biegli przez hall.

Służbę rozpoczęła już następna zmiana i Clive nie miał pojęcia, kim jest brodaty sierżant, który machnął ręką na znak, że wie, o co chodzi. Z ulgą przyjął fakt, że Frost nie zatrzymał się i nie zaczął ich sobie przedstawiać. W ciągu dnia poznał tyle nowych osób, że aż kręciło mu się w głowie od nadmiaru na wpół zamazanych twarzy, którym nie zawsze potrafił przyporządkować właściwe nazwisko. Na szczęście jutro znów pojawi się Bill Wells i reszta ludzi, którzy byli tu rano. Trochę przypominało to jakiś strasznie długi film, który wciąż wraca do momentu, gdy Clive wkroczył do akcji, co nastąpiło całe wieki temu...

Gdy stanęli przed drzwiami centrum operacyjnego, Frost zatrzymał się i przykładając palec do ust, nakazał Clive'owi całkowite milczenie. Delikatnie nacisnął klamkę. Dyżurny funkcjonariusz, posterunkowy Philip Ridley, siedział schylony nad mikrofonem, bo właśnie przekazywał jakąś informację do jednego z policyjnych wozów. Frost na palcach przemierzył pokój i ze złodziejską zręcznością zakradł się do kąta, gdzie składowano zwrócone po służbie nadajniki radiowe. Szybko rozejrzał się na boki, nikt go nie widział. Wyciągnął z półki rejestr, znalazł wpis sprzed paru dni o wydaniu sprzętu i z wprawą podrobił parafkę potwierdzającą zwrot. Następnie odstawił rejestr na miejsce i po cichu wysunął się z pomieszczenia. Pochylony nad mikrofonem dyżurny nie miał zielonego pojęcia, że przed chwilą ktoś złożył mu wizytę.

- Fajny z niego gliniarz, nie ma co - mruknął Frost. Chwyił Clive'a za rękę i pociągnął w głąb korytarza. - To takie drobne fałszerstwo - wyjaśnił. - Jakaś gnida rąbnęła z mojego samochodu cały zestaw. Sam rozumiesz, że nie mogłem nikomu się przyznać, więc musiałem poprawić zapisy.

Następny przystanek wypadł w centrum operacyjnym, gdzie zmęczony detektyw sierżant George Martin dopiero co kończył pisanie planu i instrukcji, które miały zostać wręczone poszczególnym ekipom następnego dnia na porannej odprawie. Pokazał je inspektorowi; Frost zrobił taką minę, jakby wiedział, o co chodzi, i pokrzykując z aprobatą, oddał dokumenty.

- George, a co z nurkami, którzy mieli przejrzeć dno Willow Lake?

Martin potwierdził, że akcja została zaplanowana na ósmą rano, po czym dodał z troską w głosie:

- Na razie udało mi się znaleźć tylko trzech dodatkowych ludzi do przeszukiwania lasu. Jak dotąd większość kolegów pracuje po dwie zmiany z rzędu.

- To ładnie z ich strony - powiedział Frost, wyciągając z kieszeni szalik Tracey z zamiarem schowania go do szafy. - Zajrzę do nich później i sprawdzę, jak sobie radzą.

Nagle Martin przerwał zapinanie palta.

- Zapomniałem ci powiedzieć, Jack, że był tu Mullett. Wrzeszczał nieludzko, bo ktoś wjechał mu na parking w tylny zderzak nowiutkiego jaguara.

Frost zrobił zatroskaną minę.

- Ho, ho! Mam nadzieję, że złapią tego drania. - Mullett zostawił ci na biurku notatkę - dorzucił Martin.

- Chryste Panie! - zawołał Frost i tym razem nie było w tym cienia przesady.

Na karteczce, zapisanej ostrym charakterem pisma komendanta, Frost przeczytał następujące słowa:

Dostałem informacje z kwatery głównej, że jeszcze nie otrzymali tegorocznych statystyk przestępstw, których przygotowanie panu zleciłem. Obiecałem, że bezwarunkowo dotrą do nich jutro z samego rana. M.

Frost opadł na krzesło.

- Co za wścibski skurwysyn! Jeśli komuś coś obiecuje, to niech sam to robi! Wyciągnąłeś te dane, synu?

Clive przypomniał, że inspektor polecił mu odłożyć na później przygotowywanie danych. Frost pociągnął nosem.

- Synu, pewnie trudno ci będzie w to uwierzyć, ale zdarzają się takie zdemoralizowane do cna jednostki, które nie przygotowują statystyk w normalny, uczciwy sposób. Oszukują i cyganią, gdzie tylko się da. - Przy tych słowach podniósł słuchawkę i zadzwonił do swojego odpowiednika z sąsiedniego posterunku.

- Cześć, Charlie, tu Jack. Nie, oczywiście, że mój zegarek nie jest zepsuty. Zgadza się, wciąż jestem w robocie, a w dodatku pracuję ciężiej niż wół. Zrobiłeś już zeszłoroczne statystyki? No i jaki był trend, w górę czy w dół? Siedem procent w górę? Boże, co za hańba, powinieneś się wstydzić! U nas? Też coś koło tego. Czy opowiadałem ci kawał o facecie, który założył się, że wypije zawartość sopluchaczki? Och... No cóż, twoje zdrowie. Na wszelki wypadek, gdybyśmy się mieli nie usłyszeć przed świętami, już teraz składam ci najlepsze życzenia.

Z pełnym triumfu uśmiechem odłożył słuchawkę.

- Liczby wskazują na siedmioprocentowy wzrost, więc musimy znaleźć zestawienie z zeszłego miesiąca i dodać do wyników siedem procent. W ten sposób jakoś wybrniemy z tej opresji. Oczywiście tak nie powinno się robić i nie wolno ci tego robić pod żadnym pozorem, no, chyba że będziesz przekonany, że uda ci się to ukryć.

Mimo to praca zabrała im całą godzinę. Co prawda wszystko mogło pójść szybciej, ale Frost, który na odwrocie starych kopert robił własne obliczenia, wciąż otrzymywał wyniki inne niż Clive i musiał sprawdzać jeszcze raz.

- Liczenie idzie mi znacznie sprawniej, jeśli z góry znam odpowiedź, do której zmierzam - wytłumaczył i polizał nalepkę z adresem zwrotnym kwatery głównej. - Która godzina, synu?

Clive otarł sen z powiek i spojrzał na zegarek.

- Dochodzi północ, sir.

Był na służbie od piętnastu godzin!

- No dobrze - odrzekł Frost. - Jeszcze kilka drobiazgów i będziemy mogli pojechać do domu.

Wsadził głowę do centrum operacyjnego, gdzie wszystkiego pilnował teraz funkcjonariusz z nocnej zmiany.

- Jadę do lasu z naszym nowym kolegą - oznajmił.

Clive skrzywił się z niechęcią. Nowy kolega! Osobiście czuł się tak, jakby dreptał za Frostem przynajmniej od dwudziestu lat.

Wiatr hulał między drzewami. Gryzł, darł i uderzał bez opamiętania, gdy przedzierali się w ciemności, starając się znaleźć ekipę poszukiwawczą. Skończyło się na tym, że ekipa odnalazła ich. Blask latarki padł prosto na ich twarze. Funkcjonariusz, który trzymał ją w ręku, dosłownie dygotał z zimna.

- Dajcie już sobie spokój - powiedział Frost. - Nie chcę, żeby wszyscy poumierali na zapalenie płuc. Nie znoszę pogrzebów podczas świąt Bożego Narodzenia. Zresztą jeśli ta dziewczynka spędziła całą noc i cały dzień na wolnym powietrzu, to z pewnością już nie żyje, więc równie dobrze możemy szukać jej ciała jutro za dnia. Pozwólmy matce odrobinę dłużej łudzić się nadzieją. Chodź, synu.

- Dokąd jedziemy, sir? - pytał Clive, gdy z powrotem znaleźli się w samochodzie.

- Do miasta.

Dzięki Bogu, pomyślał z ulgą detektyw posterunkowy. Nareszcie do domu i do łóżka.

Znajdowali się już między miejskimi zabudowaniami, kiedy zegar na kościelnej wieży wybił... pierwszą. Pierwszą godzinę kolejnego mroźnego, ponurego dnia. Ulice świeciły pustkami, okna domów były całkiem ciemne i wydawało się, że we dwóch są jedynymi ludźmi na świecie, którzy słyszą to pojedyncze uderzenie, rozbrzmiewające echem po całej uśpionej okolicy.

Wreszcie dotarli na Market Square, jasno oświetlony od wystaw sklepowych i blasku lampek na wysokiej choince stojącej obok publicznych toalet. Ale... Do wszystkich diabłów, co znowu wymyślił ten stary dureń? Inspektor ruchem ręki nakazał Clive'owi skrócić w jedną z mrocznych uliczek, które odchodziły od rynku. Jeszcze kilka ostrych skrętów w prawo i...

- Zaparkuj tutaj, synu... Tylko cicho.

Kilka ostatnich jardów auto jechało z wyłączonym silnikiem, żeby ostatecznie zatrzymać się w głębokim cieniu obok bocznego wejścia do salonu Woolwortha. Po drugiej stronie ulicy, jasno oświetlony przez wysoką lampę uliczną, wznosił się gmach banku Bennington. Frost wyłączył radio, a następnie opuścił boczną szybę. Do wnętrza auta wdarło

się lodowate powietrze. Clive zatrząsł się z zimna, przeklinając po cichu wszystkich detektywów inspektorów.

- To tylko króciutka obserwacja - zaskrzeczał Frost. - Nie powinna długo potrwać.

Jednak trwała całą godzinę - długą, mroźną godzinę, zaznaczoną dwoma uderzeniami zegara na wieży kościelnej. Inspektor zapadł głęboko w fotel, szalik owinął dookoła uszu i po chwili zaczął ciężko oddychać. Jego twarz wyglądała teraz jak twarzyczka dziecka, które właśnie zapadło w sen.

Clive zawrzał gniewem. Typowe, pomyślał. Ten skretyniały osioł zdążył zasnąć, zanim powiedział mi, na co mam zwracać uwagę.

Ale powieki inspektora nie zamknęły się całkowicie. Nagle poruszyły się, a ręka delikatnie ścisnęła ramię Clive'a.

Ktoś kręcił się przy wejściu do banku. Jakaś postać otulona w workowaty płaszcz, z twarzą ukrytą w cieniu obszernego kaptura, rozejrzała się na wszystkie strony, by sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje, a następnie spod płaszcza wydobyła długi, metaliczny przedmiot. Potem rozległo się zgrzytanie metalu o metal i głośny jak wystrzał trzask pękającego drewna.

Clive chwycił klamkę u drzwi, gotów pędzić w poprzek wybrukowanej ulicy, ale powstrzymało go zdecydowanie szarpnięcie do tyłu.

- Tylko patrz, synu... To wszystko... Patrz...

Ktoś jeszcze usłyszał hałas. Z głębi Bath Hill dobiegł tupot posterunkowego. Zaraz potem zakapturzona postać upuściła łom, który z brzękiem upadł na bruk, i co sił w nogach popędziła w kierunku najbliższej uliczki, znikając z miejsca zdarzenia, zanim przedstawiciel prawa znalazł się w pobliżu. Policjant natychmiast uznał swoją porażkę, zrezygnował z pościgu i zaczął oglądać ślady na drzwiach wejściowych banku, a potem podniósł łom i podekscytowanym tonem zaczął coś mówić do radia.

Wtedy Frost doszedł do wniosku, że zobaczył już wszystko, co chciał. Poprosił Clive'a, żeby ostrożnie wycofał się na wstecznym biegu i o drugiej piętnaście znaleźli się na Bath Hill, niedaleko kwatery Barnarda.

- Wyświadczyć mi przysługę, synu, i przez pewien czas nie wspominaj nikomu o tym, cośmy widzieli... Ach, to ty tutaj mieszkasz, zgadza się?

Clive wysiadł z samochodu, a Frost prześlizgnął się na fotel kierowcy, mrużąc pod nosem coś na temat wczesnej godziny rozpoczęcia pracy.

Pod numerem dwadzieścia sześć we wszystkich oknach było ciemno. Clive schylił się, żeby znaleźć dziurkę od klucza, a wtedy coś zimnego i miękkiego musnęło odsłonięty kark. Podniósł głowę. Padał śnieg - najpierw leniwie, a potem coraz szybciej, tworząc gęste,

wirujące zlepki płatków. Odruchowo zastanowił się, czy psy mogą być przydatne do czegoś w tak ekstremalnych warunkach, ale nie mógł sobie przypomnieć. Był tak strasznie zmęczony...

WTOREK

WTOREK (1)

...OBFITE OPADY ŚNIEGU ZNACZNIE UTRUDNIŁY POSZUKIWANIA zaginionej ośmioletniej Tracey Uphill. Rzecznik policji oświadczył, że akcja zostanie podjęta natychmiast, gdy warunki pogodowe się poprawią... Urząd Pocztowy donosi o rekordowej liczbie kartek z okazji Świąt Bożego Narodzenia... - Wyłącz to, synu.

Clive posłusznie wyłączył radio i skoncentrował się na prowadzeniu samochodu. Mrużył zmęczone oczy, żeby lepiej widzieć przez oblepioną śniegiem szybę dziwny, milczący i miękko zarysowany krajobraz. Tryskający energią Frost wyciągnął go z łóżka o siódmej piętnaście, zaledwie po pięciu godzinach niespokojnego snu, i Clive ujrzał przed sobą widmo niekończącego się maratonu kolejnego dnia.

Ostry wiatr zawiewał śniegiem niemal poziomo, kiedy więc wysiedli z auta na skraju Old Wood, odnalezienie na wpół zasypanej ścieżki okazało się nie lada wyzwaniem. Z najwyższym trudem udało im się przebrnąć odcinek dzielący ich od jeziora, a gdy dotarli do celu, od stóp do głów oblepiała ich gruba warstwa marznącego śniegu.

Nad samym brzegiem stał nieduży namiot z brezentu, który miał dać schronienie ekipie przeszukującej dno. Wiatr co chwila uderzał w dach oblodzonymi pięściami i próbował wyrwać przytrzymujące ścianki szpilki. Obaj detektywi wślizgnęli się do środka, wdzięczni nawet za tak skromną osłonę, i przykucnęli na wierzchu łodzi wiosłowej, którą w nocy ktoś przetransportował przez las. Na zewnątrz dwa śnieżne bałwany w mundurach ze stoickim spokojem rozwalaly bosakami cienki lód na powierzchni jeziora.

- To wszystko moja wina, możecie mi wierzyć! - wrzasnął Frost, starając się przekrzyczeć hałas spowodowany łopotaniem targanego przez wiatr brezentu. - Gdyby był tu inspektor Allen, na pewno świeciłoby słoneczko, w koronach drzew słyhać by było ptasie trele, a w lesie małe sarenki uganiałyby się za motylkami... A kogo to diabli niosą?

Tęga postać w ocieplanej wiatrówce z kapturem walecznie zmierzała w ich stronę. Wreszcie, schyliwszy głowę, dała nura do środka namiotu, otrząsnęła się jak pies, zasypując podłogę tonami śniegu, i ściągnęła kaptur. Spod niego wyłoniły się miękka czupryna kasztanowych włosów i pogodna, rumiana twarz, upstrzona mnóstwem piegów. Sandy Lane, czołowy reporter miejscowej gazety „Echo”, słyszał, że policja ma zamiar przeczesać jezioro, i chciał być na miejscu, gdy ciało dziewczynki zostanie wydobyte na powierzchnię. Ta

historia z pewnością zainteresuje londyńskie dzienniki, a jej autor zasłuży na wymienienie w końcówce artykułu i na honorarium, które akurat wynagrodzi wysiłek włożony w zerwanie się z łóżka bladym świtem.

Frost krzyknął z radości na widok kolegi i przedstawił Clive'a, który siedział zgarbiony, starając się nie zasnąć, jako młodego i pełnego werwy asystenta, niedawno przybyłego z Londynu.

- Mam nadzieję, że ją znajdziecie, bo trochę się namęczyłem, żeby się do was dostać - oznajmił Sandy.

- Robimy, co w naszej mocy. - Frost uśmiechnął się i odsunął z drogi, kiedy opatulony po czubek nosa starszawy policjant i wiosłarz weszli do środka, żeby wypchnąć łódkę na brzeg jeziora.

- Inspektorze, możemy zaczynać.

- W porządku, tylko starajcie się nie wpaść do wody. Własnoręcznym podpisem poręczyłem za wasze bezpieczeństwo.

W odpowiedzi usłyszał skrzypienie wiosła i łódka znikła za zasłoną z wirującego śniegu. Pozostali dwaj policjanci z mozołem posuwali się wzdłuż linii brzegowej, systematycznie dziobiąc dno długimi żerdziami, żeby ewentualnie uwolnić ciało zaplątane w wodorosty i pomóc mu wypłynąć na powierzchnię. Wiosłarz robił to samo na środku jeziora. Zdarzały się fałszywe alarmy, gdy nadgniła kłoda albo plastikowa torba pełna gnijących śmieci udawała ciało, a po wyciągnięciu bosakiem na wierzch lądowała na brzegu.

Frost beznamiętnym wzrokiem wpatrywał się w migoczącą, białą kurtynę i paląc papierosa, przysłuchiwał się pluskom wody zmieszanej ze skrzypieniem wiosła. Potem wiatr na moment wydarł dziurę w białej materii i inspektor ujrzał na przeciwnym brzegu małą chatkę, impregnowaną kreozotem. Zapytał jednego z policjantów przeszukujących brzeg, co to jest, i dowiedział się, że to należący do Klubu Wiosłarskiego Denton składzik, używany wyłącznie w sezonie letnim. Teraz stoi pusty.

- Mam nadzieję, że ktoś wpadł na pomysł, żeby tam zajrzeć?

- Tak jest, sir. Był zamknięty na kłódkę, ale dostaliśmy klucz od sekretarza klubu.

Frost przez chwilę nad czymś się zastanawiał, a potem zawiął szalik tak mocno, że omal się nie udusił, i postawił kołnierz.

- Przykro mi, synu, ale właśnie dopadło mnie jedno z moich paskudnych przeczuć.

Chatka nie była większa od ogrodowej szopy, w jakiej przechowuje się grabie, szpadle i inne tego typu rzeczy, a wysokością przypominała budkę wartowniczą. Nie miała okna, a drzwi zamknięte były na skobel i solidną kłódkę.

Wygląd skobla budził poważne zastrzeżenia. Wystarczyło jedno szarpnięcie, żeby śruby wyskoczyły z miękkiego drewna, kłódka razem ze skoblem wylądowała na ziemi.

Na twarzy policjanta malowało się niedowierzenie.

- Wcześniej to wyglądało zupełnie inaczej, sir.

Frost niecierpliwym ruchem szarpnął drzwi i zajrzał do środka. Na podłodze coś leżało. Zaklął jak szewc i cofnął się, żeby inni też mogli rzucić okiem. Wiatr wył jak potępieniec, ciskając tumany śniegu prosto w twarz skulonej postaci, która spoczywała bez ruchu na nagich, twardych deskach.

Sandy Lane pędem wybiegł z namiotu. Wioślarz natychmiast zawrócił do brzegu i dołączył do reszty. Wszyscy tłoczyli się przy drzwiach, patrząc na rozdziawioną, paskudną gębę śmierci.

Ale to nie było zaginione dziecko.

Na podłodze leżał mężczyzna w wojskowym płaszczu, za dużym na niego o kilka rozmiarów. Stary Sam - włóczęga, który wczoraj wkroczył na posterunek, domagając się zwrotu rzekomo ukradzonego funta... Zamarzył na śmierć, a sącząca się z kącika fioletowych ust strużka śliny przypominała teraz małą rzekę złożoną z lodowych kropli.

Frost schylił się i delikatnie dotknął twarzy zmarłego. Była twarda jak marmur i bardziej zimna niż pędzący śniegi wiatr, który wył z coraz większą wściekłością, ponieważ nikt nie zwracał na niego uwagi.

- Musiał wczolgać się tutaj zeszłej nocy, żeby się trochę zdrzemnąć - powiedział w końcu wioślarz. - Biedny, stary dureń.

Frost z niezwykłą pieczołowitością wycierał o płaszcz rękę, którą przed chwilą dotykał ciała.

- Teraz jest mu na pewno o niebo lepiej - zauważył, kopnąwszy pustą butelkę po winie. - Przynajmniej umarł szczęśliwy.

Sandy Lane opuścił gromadkę i truchtem powrócił do namiotu. Śmierć jakiegoś włóczęgi na pewno nie zasługiwała na wzmiankę w poważnej prasie.

Frost potrącił butem brzeg wojskowego płaszcza. Materiał zaskrzypiał.

- Uważajcie na pchły, chłopcy. Słyszałem, że mają zwyczaj uciekać ze zwłok - ostrzegł i odwrócił się w stronę wioślarza. - I co, udało się?

- Nie. Spróbujemy jeszcze raz, żeby mieć stuprocentową pewność, ale sprawdziliśmy żerdziami całe dno. Gdyby ten dzieciak gdzieś tam był, to z pewnością wypłynąłby na wierzch. W tym stawie jest o wiele mniej mułu, niż się spodziewaliśmy.

Frost pociągnął nosem.

- Nigdy nie zrozumieję, czemu ludziom chce się iść z materacami taki kawał drogi przez las, skoro bliżej jest tyle pięknych miejsc?

Jeszcze raz rzucił okiem na pomarszczoną postać na podłodze.

- Słuchajcie, chłopcy... Nie chcę być przy tym, jak znajdziecie tutaj martwego Sama. I tak jestem do tyłu z całą tą pieprzoną papierkową robotą, a ta sprawa chyba mnie dobiła. Oficjalnie znajdziecie go dopiero wtedy, gdy sobie stąd pójdę. - Na moment zamilkł. - Aha, któryś z was na ochotnika przeszuka mu kieszenie, ponieważ musimy się dowiedzieć, czy nasz Sam w ogóle miał nazwisko. Potem powiecie mi, kto to był, a ja obiecuję wystąpić o odznaczenie go Krzyżem Wiktorii.

Kiedy wchodził do namiotu, Sandy właśnie pociągał łyk z piersiówki. Frost ukradkiem zerknął w jego kierunku.

- Nie za wcześnie na takie rozrywki, co?

- Dla mnie nigdy nie jest za wcześnie, Jack - odparł, wsadzając flaszkę z powrotem do kieszeni. - Myślisz, że przez czterdzieści jeden lat powinienem był się przyzwycząić do widoku nieboszczyków?

- Czy opowiadałem ci kiedyś, jak to było z moim pierwszym umarlakiem? - spytał Frost. - To też był włóczęga. Nie żył od ładnych kilku tygodni, a akurat nadeszła fala upałów. Rada miasta dwukrotnie kazała rozkopać ulicę, bo wszyscy myśleli, że to kanalizacja tak cuchnie... No a potem go znaleźliśmy, a raczej to, co z niego zostało, kiedy szczury skończyły ucztę. Dokończę następnym razem - dodał, bo zauważył, że łódź przybiła do brzegu.

Reporter poczęstował wszystkich papierosami, a potem pochylił się do Clive'a.

- Nie daj się namówić na wysłuchanie do końca tej historyjki. Kiedy mi ją opowiedział, przez cały tydzień nie mogłem zmusić się do żarcia.

Zgrzytanie z zewnątrz oznajmiło, że łódź została wciągnięta na brzeg. Trzej zmarznięci na kość policjanci wtoczyli się do środka. Tracey na pewno nie było w jeziorze.

- Przykro mi, Sandy, że trudziłeś się nadaremnie - powiedział Frost.

- Nic nie szkodzi, Jack - odparł, zapinając kurtkę. - Może umówimy się dziś na lunch w „Crown”?

- Czemu nie?

Reporter machnął ręką na pożegnanie i znikł za zasłoną ze śniegu.

- Jeśli ktoś by nas szukał, to jesteśmy na plebanii - oznajmił Frost. - Dajcie nam pięć minut, a potem skoczcie do szopy i znajdźcie starego Sama... - Przez moment przyglądał się śnieżnej zamieci. - Nie ma to jak białe święta Bożego Narodzenia, co?

*

Plebania była sporym budynkiem utrzymanym w stylu wiktoriańskim - ogromnym i tak posępnym, że równie dobrze mogła uchodzić za koszary wojskowe. Pastor, wielebny James Bell - mężczyzna w średnim wieku, z dobroduszną i okrągłą jak księżyc w pełni twarzą - przywitał ich ciepło i serdecznie.

- Ach, inspektor Frost! Proszę wejść!

Wpuścił ich do holu o ciemnobrązowych ścianach i wysokim sklepieniu. Clive miał wrażenie, że jest tam zimniej niż na zewnątrz.

- Zapraszam do mojej pracowni, bo tam pali się w kominku - powiedział pastor, zupełnie jakby czytał w jego myślach. - Tędy, proszę.

Wprowadził gości do małego pomieszczenia wyposażonego w palenisko wystarczająco wielkie, by można tam było upiec wołu, i wykończone marmurowym obramowaniem. Na żelaznej kratce dwa kawałki węgla walczyły o życie.

- Zaraz zrobi się ciepło - pastor tryskał optymizmem. Z zapalem zaatakował pogrzebaczem ledwo tłący się ogień i po chwili skutecznie go ugasił. - O rany - mruknął. Ukląkł przed kominkiem, nabrał w płuca powietrza i potężnie dmuchnął na palenisko, ale próba wskrzeszenia nieboszczyka z góry skazana była na niepowodzenie. W końcu podniósł się z kolan, tym samym przyznając się do porażki. - Nic nie szkodzi. I tak jest znacznie cieplej niż było - oświadczył.

Na marmurowym obramowaniu kominka znajdowało się kilka zdjęć z parafialnych uroczystości. Na jednej z nich Frost dostrzegł grupę roześmianych dzieci ze szkoły niedzielnej. Zdjęcie zrobiono podczas szkolnej zabawy z okazji świąt Bożego Narodzenia. Tracey Uphill stała dokładnie w środku. Frost wziął zdjęcie do ręki i przyjrzał mu się z uwagą.

- Padre, to właśnie z jej powodu ośmieliliśmy się ojca niepokoić. - Wskazał palcem dziewczynkę. - Chodzi o małą Tracey Uphill.

Pastor usiadł za zawalonym papierzyskami biurkiem i ze smutkiem pokręcił głową.

- Och, tak. Straszna sprawa. Po prostu okropna. Nagle zamrugał z niedowierzaniem, bo zużyta zapalka wylądowała na tacce na spinacze. Frost zapalił papierosa.

- Przepraszam, padre! - zawołał z promiennym uśmiechem, jakby nie zdarzyło się nic, czego powinien się wstydzić. - Myślałem, że to popielniczka.

Zabrał zapalkę i pstryknął nią w kierunku kominka. Wylądowała całe mile dalej.

- Hej, czy stara Martha również tutaj przysyła te swoje bzdury? - Wskazał leżący na samym wierzchu list. Pełne zawijasów pismo, zielony atrament i sztywna, równo przycięta kartka papieru wyglądały dziwnie znajomo.

- Chodzi o ten list? Od naszej miejscowej jasnowidzącej? - Pastor uśmiechnął się pobłaźliwie. - Ona chce urządzić w przedsionku naszego kościoła spotkanie spirytystów. Niestety, nie możemy ot, tak sobie wybierać, komu wynająć salę, a komu nie... Nasze kwesty nie przynoszą tak wspaniałego dochodu, jak niektórzy sobie wyobrażają, a teraz wszystko jest strasznie drogie. Na przykład węgiel.

Z tymi słowami odwrócił się do kominka, żeby przeprowadzić kolejne pośmiertne badanie ognia, ale nagle zatrzymał się, jakby przypomniał mu się cel ich wizyty.

- Najmocniej przepraszam. Panowie przyszli tu w sprawie tej biednej dziewczynki. W jaki sposób mogę pomóc?

- Czy dobrze ją pan znał, pastorze?

Zapytany drgnął, jakby to pytanie sprawiło mu przykrość.

- Tylko ze szkółki niedzielnej.

Oczy Frosta zmieniły się w dwie szparki. Dlaczego zwykle, proste pytanie wywołało tak gwałtowną reakcję?

- Oczywiście, dokładnie taką znajomość miałem na myśli... Ładny był z niej dzieciak, co?

- Naprawdę? Nie zwracałem uwagi na jej urodę. - Próba potraktowania sprawy z pełną powagą obojętnością spaliła na panewce.

Clive nagle pomyślał, że obaj, Frost i wielebny James Bell, rozmawiają o Tracey w czasie przeszłym.

- Dobra prezencja to zwykła rzecz w jej rodzinie - kontynuował Frost. - Powinien pan zobaczyć matkę Tracey. Jest prostytutką, ale spodziewam się, że pan o tym wie.

- Tak - przytaknął pastor. - Wiem. Wiele razy widziałem mężczyzn wchodzących do jej domu.

Frost skinął głową.

- Za swoje usługi w niedzielne popołudnie bierze od klienta trzydzieści funtów... Jestem gotów iść o zakład, że to znacznie więcej, niż pan w tym samym czasie zbiera na tacę!

Frost był jedynym w tym towarzystwie, który roześmiał się z tego dowcipu, i śmiał się długo i głośno. Clive sprawiał wrażenie całkiem zdegustowanego, a pastor przyjął te kpiny z pełną smutku urazą. Nagle Frost umilkł, jeszcze raz zaciągnął się papierosem, a potem rzucił niedopałek mniej więcej w kierunku paleniska.

- Chcielibyśmy przeszukać plebanię, padre. Podobno nasz dzieciak miał przyjść tutaj, żeby się pobawić na terenie należącym do kościoła, ale równie dobrze mógł się wślizgnąć do budynku, niezauważony przez nikogo.

- Nie! - Pastor wydawał się zaszokowany tą niestosowną propozycją, ale Frost twardym wzrokiem spojrzał mu prosto w oczy.

- Dlaczego nie, pastorze?

- Bo dziś jest mi to nie na rękę. Lada chwila spodziewamy się paru osób... Może później?

Wyraźnie unikał spojrzenia inspektora. Frost uśmiechnął się.

- Niczego stąd nie zabierzemy, proszę się nie obawiać. Mam w domu więcej książek do nabożeństwa, niż mogę przeczytać. Dam panu znać, kiedy skończymy. Hej, zdaje mi się, że w kominku zaczęło się dymić! - zawołał, spoglądając ponad ramieniem pastora. - Na pańskim miejscu postarałbym się zachęcić go do działania.

Energicznym ruchem głowy wskazał Clive'owi drzwi i obaj znaleźli się na korytarzu, zanim wielebny James Bell zdołał wymyślić jakiś sensowny powód, żeby ich zatrzymać.

- Zimno tu jak w jakimś pieprzonym igloo. - Frost owinął ciaśniej szalik dookoła szyi.

- Odniosłem wrażenie, że nasza propozycja przeszukania plebanii nie bardzo przypadła mu do gustu - odezwał się Clive.

- Bo nie budzisz zaufania, synu. To wszystko wina garnituru. Obawiam się, że wcale nie wygląda lepiej niż ten, który miałeś na sobie wczoraj... Zaczniemy od górnego piętra i będziemy posuwać się w dół.

Z trudem wchodzili na górę. Schody kończyły się przy kolejnych schodach, a małe podesty i korytarze odchodziły w bok na każdym zakręcie klatki schodowej. Dokładne przeszukanie plebanii wydawało się naprawdę niewdzięcznym zadaniem. Nagle schody się skończyły. Nad głowami było już tylko brązowe od starości, pokryte pajęczynami sklepienie, a na wprost mroczny korytarz z mnóstwem drzwi po obu stronach, które otwierały się z przeraźliwym skrzypieniem. Obaj detektywi po kolei zaglądali do środka niewielkich, ciemnych komórek z ukośnymi sufitami, gdzie ściany pokrywały podarte, zapleśniałe tapety, a na maleńkich oknach zastygła warstwa brudu.

- W dawnych czasach tutaj sypiała służba - wyjaśnił Frost, cofając się szybko, bo podłoga zaczęła się załamywać pod jego ciężarem. - Pomyśl tylko, jak wyglądało życie tych biednych sukinsynów... Pracowali jak woły od świtu do północy, szorując, czyszcząc, opróżniając wiadra z pomyjami po szlachetnie urodzonych, a na koniec musieli wdrapywać się po niekończących się schodach po to, żeby przekimać parę godzin, zanim rankiem cała harówka zaczęła się na nowo.

Co prawda nie muszę wylewać pomyj, pomyślał Clive, ale jeśli chodzi o godziny pracy, to mój dzień prezentuje się znacznie gorzej.

Kurz i pajęczyny w komórkach na strychu najwyraźniej zalegały od wielu, wielu lat, toteż wszelkie poszukiwania miały się z celem. Detektywi zeszli piętro niżej, gdzie pokoje były większe, a kwaśny smród rozkładu mniej dokuczliwy. Pomieszczenia znajdujące się na tym poziomie wykorzystywane były w charakterze magazynów - teraz przypominały cmentarzyska rupieci, porzuconych przez niegdysiejszych beneficjentów. Clive z Frostem zaglądali do szaf i zniszczonych kufrów, z których ulatywał lekki zapach lawendy i znacznie mocniejszy smród butwiejącego płótna, bo w części kufrów pełno było starych, nienoszonych od dawna ubrań, poplamionych i nadgryzionych przez robactwo.

Ostatni pokój wyglądał całkiem inaczej. Drzwi otwierały się lekko, a smród wewnątrz przypominał raczej zatęchłą woń tabaki, podobną do tej, jaką czuć było w gabinecie pastora. W pokoju panował mrok, bo grube zasłony skutecznie odcinały dostęp dziennego światła. Frost uderzył pięścią w antyczny włącznik z brązu i naga sześćdziesięciowatowa żarówka zamigotała słabym, żalonym blaskiem. Frost podszedł do okna, odciągnął zasłony i wyjrzał na tylne ogrody domów położonych przy Vicarage Terrace, schowane pod gładką, jednolitą pokrywą ciężkiego śniegu. Z tej odległości nie potrafiłby powiedzieć, który ogród należał do pani Uphill. Wszystkie wyglądały dokładnie tak samo.

Pastor urządził sobie w tym pokoju studio fotograficzne. Gruby sznur przestarzałego elektrycznego słoneczka podłączony był do tego samego gniazdka co o wiele cieńszy przewód od lampy zdjęciowej i reflektora zawieszzonego na wysokim, metalowym stojaku. Na ścianach pełno było dużego formatu zdjęć z kościoła i okolicznych krajobrazów. W stojącej w kącie szafie znajdowały się inne akcesoria fotograficzne, między innymi statyw i wczesny model lustrzanki Rolleiflexa z dwiema soczewkami.

Jednak przede wszystkim uwagę obydwu detektywów zwrócił jakiś prostokątny, przykryty prześcieradłem mebel, który stał na podłodze na samym środku.

- To właśnie tutaj morderca ukrył ciało - wyszeptał Frost.

Clive odwinął prześcieradło. Pod spodem znajdowała się poobijana, metalowa trumna - dobrze podniszczony podróżny kufer, którego boczne ścianki wylepione zostały naklejkami z dawno nieistniejącej linii żeglugi morskiej Edwardian. Sam kufer sypał się ze starości, ale przytrzymująca wieko kłódka wydawała się całkiem nowa.

- Sprawdźmy, czy uda nam się ją otworzyć - zamruczał Frost, wyciągając z kieszeni zestaw wytrychów, który zawsze nosił przy sobie. Udało się trzecim z rzędu kluczem. Clive odrzucił wieko i zajrzał do środka, prawie przerażony tym, co obaj spodziewali się ujrzeć.

W środku były książki. Pełno książek. Kufer był wyładowany po brzegi książkami różnorodnej wielkości i objętości, ale wartość żadnej z nich nie uzasadniała wydatku poniesionego na zakup nowej, solidnej kłódki.

Wyjmowali wszystkie po kolei. Stare modlitewniki, których okładki trzymały się dosłownie na jednej nitce.

Kopia *Mr Midshipman Easy*, подарowana Mistrzowi Jamesowi Grahamowi Bellowi w podziękowaniu za dobrą pracę w Cooperley Primary School, w czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku. Kilka związanych razem tomów *The Boys' Own Paper* z przełomu wieków, które Frost przekartkował z prawdziwym zainteresowaniem.

- To może być warte ładnych parę funtów, synu. Ciekawe, czy nasz wielebny bardzo by za nimi tęsknił.

Następna warstwa kryła starsze skarby, między innymi zeszyty „Strand Magazine” z opowiadaniem o Sherlocku Holmesie i rysunkami Sidneya Pageta, na których przedstawieni byli brodaci panowie w zgrabnych dorożkach.

Za to kolejna warstwa... Nieocenzurowana wersja Fanny Hill była jedną z bardziej przyzwoitych książek. Tu znajdowały się plugawe, brudne woluminy, jakie zwykle sprzedaje się spod lady w najbardziej obskurnych sklepikach na bocznych uliczkach Soho. Motywem przewodnim kolekcji były nieprzyzwoite przygody młodych dziewcząt.

Frosta pochłonęła akcja jakiejś książeczki w miękkiej oprawie, na której okładce znajdowała się wysoka, odziana w skórzane spodenki amazonka z obnażonym biustem, smagająca batem gołą pupę jakiejś hożej dziewczoi o blond włosach. Blondynka miała na sobie uczniowską czapkę. „Co Katy robi w szkole”, zamruczał Frost, poruszając wargami w rytm odczytywanych słów, kiedy na chybił trafił odwracał kolejne strony.

Wreszcie opróżnili kufer do końca. Na dnie było znacznie więcej tego typu książek.

- W porządku, synu. Wrzuć te świństwa z powrotem. Kto powiedział, że pastory są wolni od ludzkich przywar i słabości? Tak samo jak ty czy ja miewają brudne myśli... Nawet nasz stary Mullett je miewa, choć trudno w to uwierzyć.

Niechętnie odłożył na miejsce książeczkę w miękkiej oprawie.

Gdyby Clive nie dostrzegł niewielkiego wybrzuszenia pod brązową papierową wyściółką na dnie, z pewnością ominęliby tę kopertę. W środku znajdowały się fotografie. Czarno-białe odbitki przedstawiające panią Uphill w pełnej, niczym nieosłoniętej nagości. Były tam również nagie zdjęcia przedwcześnie dojrzałej dwunastolatki, Audrey Harding. Leżała wyciągnięta w prowokującej pozie na tym samym kuftrze, okrytym białym prześcieradłem. Tym razem nikt nie oderwał górnej części zdjęć.

Frost po raz czwarty oglądał odbitki, kiedy Clive wreszcie ośmielił się zadać pytanie.

- No i co teraz, sir?

Odpowiedziało mu ciężkie westchnienie.

- Włożymy wszystko z powrotem do kufra i będziemy trzymać język za zębami. Nie rób takiej zdziwionej miny, chłopcze. Ostatecznie pastor nie popełnił żadnego przestępstwa i dobrze o tym wiesz.

Clive aż pisnął z oburzenia.

- Ta dziewczynka jest przecież nieletnia.

- Nieletnia? - Frost tylko wzruszył ramionami. - Spójrz tylko na te zdjęcia i powiedz, która część jej ciała jest nieletnia. Mamy ważniejsze zajęcia, synu, niż ciągnięcie po sądach tego biednego durnia za deprawowanie dwunastoletniej dziewczyny, która już na samym początku była o wiele bardziej zdeprawowana niż on sam. Psiakrew, pewnie mogłaby zdeprawować nawet mnie, choć to wymaga trochę zachodu.

Starannie odłożyli na miejsce wszystko, co znaleźli, ale gdy Frost próbował zamknąć kłódkę, wytrych ułamał się i został w środku. Inspektor ułożył więc kłódkę tak, żeby wyglądała na zamkniętą, i przykrył kufer prześcieradłem w nadziei, że pastor niczego nie zauważy.

Zeszli piętro niżej, ale wówczas inspektor nagle poczuł się strasznie zmęczony. Zostawił całą robotę Clive'owi, a sam oparł się o ścianę i z nachmurzoną miną palił papierosa, podczas gdy młodszy kolega starał się sumiennie wykonać swoją pracę.

Dwoje drzwi otwierało się na dużą, przestronną salę, w której znajdowała się scena, ławki i części składanych stołów, ustawione wzdłuż ścian. To właśnie tu odbywały się zajęcia szkółki niedzielnej, spotkania skautów, próby amatorskiego teatru dramatycznego i inne tego typu imprezy. Clive wszedł na scenę, znalazł zapadnię i leżąc na brzuchu, starał się latarką oświetlić mroczną przestrzeń pod spodem. Nie zdążył zamknąć klapy, kiedy na schodach załomotały zniecierpliwione kroki Frosta. Inspektor najwyraźniej nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie będzie mógł wrócić do swojego małego, przytulnego gabinetu, wypić herbatę i ponarzekać na papierkową robotę.

W końcu znaleźli się na parterze. Zapach gotującego się jedzenia zwabił obu detektywów do kuchni, gdzie kręciła się żona pastora, kobieta o niespokojnych ruchach i pięknej niegdyś twarzy, która przy lada okazji wybuchała nerwowym śmiechem. Poza tym wciąż przepraszała. Przepraszała za bałagan, za śnieg, za niedostatek ogrzewania. Przepraszała nawet za to, że przypaliła się jej patelnia. Następnie wyraziła gotowość

oprowadzenia obu panów po części mieszkalnej, a zaraz potem zaprosiła ich na lunch. Frost rzucił okiem na zawartość patelni i z pośpiechem podziękował za obie propozycje.

Mieszkanie państwa Bell okazało się wygodne i ciepłe. Ściany ozdabiały oprawione w ramki zdjęcia - spotkania skautów, puszyste kociaki z kłębkami wełny, sękaty drzewa na tle zachodzącego słońca...

- Moim zdaniem facet powinien skoncentrować się na cykaniu zdjęć gołym babkom - szepnął Frost, mrugając porozumiewawczo.

Widać było, że nie chce mu się dalej przeszukiwać plebanii. Ledwie pozwalał Clive'owi wsadzić głowę do pokoju i zaraz gonił go do następnego.

- Rozumiesz, synu, na początku jestem pełen zapału, ale mam trudności z finiszowaniem. Przynajmniej tak twierdziły moje kolejne przyjaciółki. Tylko tracimy czas. Dzieciaka tu nie ma. Na pewno. Czuję to przez skórę.

Jedynie sypialnia małżeńska wzbudziła zainteresowanie inspektora. Usiadł na łóżku i podskakując z zapalem na trzeszczącym materacu, zastanawiał się głośno, czy nocne zabawy państwa Bell wywołują podobne efekty dźwiękowe.

Na nocnym stoliczku stało oprawione w srebrną ramkę zdjęcie ślubne. Pastor, młodszy o dobrych kilka lat, stał obok swojej prześlicznej narzeczonej, która z dumną miną ścisnęła jego ramię. Wyglądała niewiarygodnie młodo, prawie jak dziecko. Była niewiele starsza od Audrey Harding.

WTOREK(2)

CLIVE Z CAŁEJ SIŁY WCISNAŁ HAMULEC I ZAKRĘCIŁ KIEROWNICĄ, żeby wpaść w kontrolowany poślizg, kiedy mały, czerwony mini wystrzelił z za zakrętu prosto przed samochód inspektora.

- Co za cholerna baba - zaskrzeczał, ścisnąc oburącz kierownicę, żeby uspokoić drżenie rąk.

Frost przywołał na usta wymuszony uśmiech.

- A już myślałem, synu, że bez zastrzeżeń akceptujesz wszystko, co ta pani robi... Nie poznałeś jej? To twoja ukochana pani Uphill. Ciekawe, dokąd jej się tak spieszy? Pewnie jakiś biedny szajbus na gwałt potrzebuje jej usług.

Na Market Square, gdzie udekorowane wystawy sklepów na próżno starały się zwabić spieszących do domów klientów, Frost przypomniał sobie, że ma czek do zrealizowania, więc poprosił Clive'a, żeby zatrzymał się przed bankiem Bennington. Clive posłusznie zjechał na bok i dopiero wtedy zauważył, że zaparkował obok czerwonego mini coopéra. Frost rzucił się chodnikiem w stronę banku, gdzie gruby sierżant - ten sam, który był tu poprzedniego dnia -

oglądał uważnie pęknięcia na drewnianym skrzydle. Na widok Frosta gwałtownie okręcił się dookoła własnej osi i rozcapierzoną dłonią osłonił tyłek.

- Już wczoraj miałem cię dość, Jack - zaprotestował.

- Daj spokój, Arthur, przecież wiem, że to lubisz - odparł Frost. - Co to jest? Kolejna próba włamania?

Tłuściutki detektyw z nieskrywanym zakłopotaniem podrapał się w głowę.

- Na to wygląda. To samo zdarzyło się w dwie poprzednie noce, w przybliżeniu o tej samej godzinie. Myślę, że koleś, który akurat będzie na służbie, powinien zmienić trasę, żeby tu na niego zaczekać.

- Świetny pomysł... Sam widzisz, Arthurze, że nie trzeba być szczupłym, żeby używać szarych komórek? Prawda, że...

Głos Frosta stopniowo zamierał, kiedy ponad ramieniem Hanlona obserwował to, co działo się w banku. Przy okienku stała pani Uphill, a kasjer kładł przed nią kolejne kupki banknotów. Frost przeprosił kolegę, wślizgnął się do środka, a potem wciśnięty w najciemniejszy kąt udawał, że z zainteresowaniem studiuje astronomiczne cyfry z mnóstwem zer, znajdujące się w sprawozdaniu z rocznego bilansu, które wisiało w ramce na ścianie. Stukot obcasów na wykładanej płytkami posadzce oznajmił, że pani Uphill właśnie wychodzi. Frost niezwłocznie popędził do okienka i machnął kasjerowi przed oczyma legitymacją służbową, a kasjer ostrożnie popatrzył najpierw w prawo, potem w lewo, aż wreszcie pochylił się w stronę inspektora i rzucił konspiracyjnym szeptem parę słów. Frost skinął głową na znak podziękowania i wrócił do auta.

W samochodzie Clive walczył ze snem.

- Jedziemy na posterunek, synu.

Clive posłusznie zawrócił i samochód zaczął podskakiwać na nierównym bruku.

- Ciekawe, chłopcze, co o tym pomyślisz - powiedział Frost po chwili. - Twoja dziewczyna właśnie wypłaciła z konta dwa tysiące funtów w pięciofuntowych banknotach.

- Dwa tysiące? - Clive gwizdnął z podziwu. - Jak pan uważa, sir, może chodzi o szantaż?

Frost zerknął na niego z politowaniem.

- Zaryzykuję obrzucenie błotem dobrego imienia twojej damy i powiem, że to raczej ona mogłaby kogoś szantażować. Nie, synu, nie sądzę, żeby o to chodziło. A może to forsa na okup?

Telefon na biurku sierżanta posterunkowego zadzwonił po raz któryś z rzędu. Sierżant wznosił oczy ku niebu, bo świetnie wiedział, czyj głos zaraz usłyszy. Mullett telefonował dziesięć minut temu.

- Wells. Nie, sir. Niestety inspektor Frost jeszcze się nie pojawił.

Mullett burknął coś ostrym tonem i w słuchawce zatrzeszczało. Sierżant odsunął ją od ucha, dopóki nieprzyjemny dźwięk nie umilkł.

- Tak jest, sir. Oczywiście, sir. Gdy tylko przyjedzie. Wszystko to słyszał już wcześniej. Do diabła, gdzie się podziewa ten cholerny Frost?

Posterunkowy Stringer, który siedział przy oknie i oglądał pokryty śniegiem parking, doniósł o powrocie syna marnotrawnego.

- Sierżancie, samochód inspektora Frosta właśnie wjeżdża na parking.

Wells zwawo okręcił się na krześle, żeby przekonać się o tym na własne oczy. Ujrzał, jak drzwi auta otwierają się i jakaś samotna postać z powiewającym z tyłu szalikiem pomyka w kierunku tylnego wejścia. Wtedy samochód wycofał się, zawrócił i zniknął za zakrętem.

- Za nim! - ryknął sierżant. - Nie pozwólcie mu uciec! Stringer rzucił się pędem przez korytarz, żeby schwytać inspektora. Po chwili wrócił z rozradowaną miną. Frost deptał mu po piętach.

- Po jaką cholereę ta cała awantura? O co chodzi? - spytał Frost. Zdjął płaszcz i otrząsnął śnieg na świeżo wysprzątaną podłogę.

- O poranną odprawę - powiedział krótko sierżant. Śmiertelnie poważny ton, którym wyrzekł te słowa, miał podkreślić powagę sytuacji.

Frost oparł się o biurko i popatrzył przerażonym wzrokiem.

- Psiakrew! Co za dureń ze mnie! Znowu wyleciało mi to z głowy.

- W dodatku to pan powinien był poprowadzić tę odprawę. Ze względu na nieobecność inspektora Allena - dodał Wells.

- Tak, tak, wiem. - Frost westchnął i wyciągnął papierosa. - Mullett przypominał mi o tym nie dalej jak wczoraj wieczorem. Podejrzewam, że musiał się zdenerwować.

- Zdenerwować? - zawołał Wells. - Dosłownie zaplawał się z wściekłości! Urządził nam tutaj istne piekło! W dodatku przyjechał na inspekcję szef policji, co tylko pogorszyło sprawę.

- Psiakrew! - zaklął Frost.

Telefon zabrzączał natarczywie, Frost cofnął się o krok, jakby ujrzał przed sobą bombę. Stringer odebrał, wysłuchał i bez słowa wręczył słuchawkę Wellsowi.

- Tak, sir, jego samochód właśnie wjechał na parking... Tak jest, natychmiast... Już idzie, sir. - Odłożył słuchawkę i ze słodkim uśmiechem zwrócił się do Frosta. - Nasz ukochany komendant zastanawia się, czy zechciałby mu pan poświęcić kilka minut swojego cennego czasu?

- Chyba powinienem przypiąć swój medal - mruknął Frost. - Mullett jest zbyt wielkim tchórzem, żeby wywalić z roboty dzielnego bohatera.

Z tymi słowami wypadł na korytarz prowadzący do jaskini Mulletta, po drodze potrącając trzech mężczyzn zmierzających w przeciwnym kierunku. Dwóch z nich było w mundurach, za to trzeci miał na sobie pognieciony garnitur i rozglądał się dookoła przerażonymi oczyma, ukrytymi za parą grubych okularów w metalowej oprawce.

- Witam, witam, witam... - zawołał Frost. - Ach, kogóż to moje oczy widzą? Popatrzcie tylko, kto zaszczycił nas swoją obecnością!

Cała trójka zatrzymała się.

- Właśnie udało się nam namierzyć naszego drogiego przyjaciela... Mówił pan, żeby koniecznie zaprosić go na posterunek na małą pogawędkę.

Mężczyzną w pogniecionym garniturze był Mickey Hoskins, który od niedzieli nie pojawił się w wynajmowanym przez siebie pokoju.

- O co chodzi? - zapiszczał żałośnie, strzelając oczyma na wszystkie strony, jakby próbował znaleźć drogę ucieczki.

- Mickey, doceniamy twoją chęć współpracy - oświadczył Frost. Otworzył drzwi pokoju przesłuchań i wepchnął aresztanta do środka. - Potrwa to dłużej niż minutkę, więc rozgość się i czuj jak u siebie w domu.

Zamknął drzwi i odwrócił się do policjantów.

- Dobra robota, chłopaki. Gdzie udało się wam go dopaść?

- W bibliotece publicznej, sir.

-W bibliotece?

- Tak, sir. Tam jest ciepło, a on chyba sypiał na wolnym powietrzu, żeby tylko nas nie spotkać. Ten śnieg wypłoszył go z kryjówki.

Frost skinął głową. Na wolnym powietrzu... Tak jak ten biedny włóczęga, Sam. Zastanowił się, czy sierżant posterunkowy już wie, że Sam nie żyje.

- Czy powiedzieliście mu, o co tym razem chodzi?

- Nie, sir.

- To dobrze. Niech się chłopak trochę spoci. Dajcie mu herbatę, a potem zostawcie samego. Teraz idę zobaczyć się z naszym droгим komendantem, który chyba zamierza poobrywać mi uszy, a z Mickeyem będę mógł pogadać dopiero, gdy skończę tamtą zabawę.

Machnął ręką na pożegnanie i skierował się w stronę gabinetu Mulletta.

Podobnie jak psy wraz z wiekiem upodabniają się do swoich właścicieli, tak samo sekretarka Mulletta nauczyła się naśladować humory szefa. Twarz panny Smith była surowa, brwi ściągnięte, a usta ciasno zasznurowane. Gdyby tylko ten nieokrzesany inspektor Frost zechciał okazać skruchę za zmartwienia, których przysporzył komendantowi, ona z pewnością postarałaby się zmienić negatywne nastawienie komendanta. Oczywiście wie, że Frost cieszy się sympatią i uznaniem kolegów, ale to oznacza, że koledzy znają go z innej strony niż ona.

Ale Frost nie zamierzał okazywać skruchy. Z rozbrajającym uśmiechem wpakował się do środka i spytał, czy święty przebywa w sanktuarium.

- Komendant Mullett już od dłuższego czasu czeka na pańskie przybycie, inspektorze - wycedziła w taki sposób, żeby Frost nie miał wątpliwości, że ona w pełni akceptuje zamiary swego szefa, a potem z wściekłością zaatakowała klawiaturę.

- Ślicznie wyglądasz, Ida, kiedy jesteś zła. Złość piękności służy - zaszczebiotał Frost, po czym miękko wpłynął do gabinetu, wprost przed boskie oblicze komendanta.

Mullett był bliski furii. Trząsł się jak osika z gniewu i upokorzenia. Poranna odprawa okazała się kompletną i całkowitą klęską. Zaczęli późno, bo przez dwadzieścia minut czekali na przybycie Frosta, a zamiast niego bez uprzedzenia zjawił się szef policji. Proszę nie robić sobie kłopotu z mojego powodu, kolego, po prostu chciałem zobaczyć, jak u was wygląda normalny dzień pracy, oświadczył. Wtedy rozległy się wymuszone śmiechy, a Mullett spocił się jak szczur, bo zaraz okazało się, że nic nie jest przygotowane. Różne raporty z czynności ekip poszukiwawczych oraz szczegółowe instrukcje dla ochotników na dzień dzisiejszy gdzieś się zapodziały. W końcu detektyw sierżant Martin znalazł je zagrzebane wśród innych papierów na biurku inspektora Frosta, ale do tego czasu większość czekających na dworze ochotników doszła do wniosku, że warunki pogodowe uniemożliwiają jakiegokolwiek poszukiwania, i rozeszła się do swoich zajęć. Tymczasem zirytowane posapywania szefa policji stawały się coraz częstsze i coraz bardziej słyszalne.

W końcu odprawa skończyła się w straszny sposób. Szef wziął Mulletta na stronę i zasugerował, że powinien sam nieco bardziej angażować się w szczegółowe przygotowanie sprawy, zamiast zostawiać wszystko w rękach podwładnych. Na pożegnanie dobił go śmiechu wartą poradą dotyczącą włączenia do śledztwa miejscowej spirytystki.

Pełen upokorzeń hańbiący poranek i całe zło, które po nim nastąpiło, było wyłączną winą tego niechlujnego, powłóczącego nogami gbura, który stał teraz przed nim. Mullett mierzył Frosta nieruchomym, zimnym spojrzeniem.

- Musieliśmy zacząć zebranie bez pana, inspektorze - wycedził. - Pańskie zebranie, pańską odprawę... Mam nadzieję, że nie miał pan nic przeciwko temu? Czekaliśmy dwadzieścia minut, na wypadek gdyby jednak zdecydował się pan nas zaszczyścić swoją obecnością, ale w końcu trzeba było zaczynać. Pewnie miło będzie panu usłyszeć, że wszyscy inni zdążyli na czas, z szefem policji włącznie.

Umilkł na chwilę, żeby się pozbierać, bo gorzkie wspomnienie upokorzenia na nowo rozpałiło w nim gniew.

Frost przybrał minę, która - jak miał nadzieję - wyrażała pełną żalu skruchę. Jednocześnie starał się sprawiać wrażenie, że słucha z uwagą, podczas gdy tak naprawdę zupełnie się wyłączył. Jasne, zasłużył na solidnego kopniaka, bo faktycznie zapomniał o tym wszawym zebraniu, ale przecież żadne wrzaski ani ryki nie naprawią tego, co się stało. Wystarczy popatrzeć na Mulletta - na jego na przemian zamkniętą albo rozdziawioną w krzyku jadaczkę i na wybałuszone ślepia, zupełnie jak u cholernej ryby, którą ktoś wyrzucił na brzeg. W każdym razie dobrze się stało, że nie było go tutaj, kiedy przyjechał szef policji. Pewnie koledzy za wszelką cenę usiłowali się podlizać - podawali mu ogień, przynosili herbatkę, zaśmiewali do rozpuku z każdego dowcipu i próbowali nawiązać błyskotliwą konwersację - podczas gdy on, Frost, musiałby siedzieć w najciemniejszym kącie, głęboko upokorzony świadomością, że ma na sobie nieprasowany od tygodni garnitur.

Tymczasem Mullett brzęczał bez ustanku, a jego twarz przybierała odcień coraz ciemniejszej czerwieni.

Psiakrew, pomyślał Frost. Bank! Skoczył tam, żeby zrealizować czek, ale na widok pani Uphill z dwoma tysiącami funtów w używanych banknotach zupełnie wyleciało mu to z głowy. Teraz miał przy sobie zaledwie kilka pensów, a przecież umówił się na lunch z Sandym Lane'em! Zastanawiał się, czy powinien zaryzykować i lekko pociągnąć Mulletta za rękaw, prosząc o pożyczenie do popołudnia kilku funtów, ale po chwili doszedł do wniosku, że to chyba nie jest właściwy moment. Mullett właśnie walił pięścią o blat biurka. Najwyraźniej dotarł do punktu kulminacyjnego swojej tyrady. Frost otworzył pomalutku uszy, dopuszczając do siebie niewielką ilość dźwięku.

- ...to nie wystarczy! A jeśli choć raz ta sytuacja się powtórzy, wystosuję osobistą prośbę do szefa policji o przeniesienie pana na inny posterunek! Czy wyraziłem się jasno?

Inspektor zwalczył nagłą potrzebę zapytania: „Przepraszam, sir, ale nie słuchałem. O co właściwie chodzi?”, bo podejrzewał, że jako jedyny w tym gronie doceniłby świetny dowcip. Zamiast tego skinął głową z najcnotliwszą i najbardziej poważną miną, na jaką zdołał się zdobyć.

Ta sztuka udała mu się w stu procentach, bo Mulletta poruszył widok skruszonego winowajcy. Biedny czort, pomyślał, nie ma siły, śmierć żony musiała być dla niego strasznym wstrząsem. Chyba najwyższy czas wyciągnąć pomocną dłoń.

- Co pan robił dziś rano?

Frost opowiedział o przeczesywaniu jeziora i rewizji przeprowadzonej na plebanii. Mullett przyglądał wężym.

- No właśnie, inspektorze, to kolejna sprawa, którą zamierzałem poruszyć. Teraz jest pan dowódcą operacji i nie oczekuję pańskiego osobistego zaangażowania w przeprowadzanie rewizji w czyichś domach. Pan winien zajmować się przygotowaniem dokumentacji i ograniczyć się do sprawowania kontroli.

- Tak jest, sir... Och, jeszcze jedno. Dziś rano pani Uphill podjęła z banku dwa tysiące funtów w pięciofuntowych banknotach.

- Naprawdę? - wykrzyknął Mullett. - Czy pańskim zdaniem są to pieniądze na okup?

- To bardziej niż prawdopodobne, sir. Wysłałem małego Barnarda, żeby czegoś się od niej dowiedział na ten temat.

- Barnarda? Pracuje u nas drugi dzień, a pan wysyła go z tak poważnym zadaniem? Powinien był pan sam tam pojechać.

- Tak jest, sir, ale ponieważ wiedziałem, że cokolwiek zrobię, będzie źle, podjąłem decyzję, że wyślę tam Barnarda, a sam stawię się na pańskie wezwanie. Nawiasem mówiąc, przed chwilą udało się nam zgarnąć Mickeya Hoskinsa. Teraz siedzi w pokoju przesłuchań. Wydaje mi się, sir, że warto poświęcić trochę czasu na zadanie mu kilku pytań, oczywiście jeśli jest to zgodne z pańskimi planami.

- To pan prowadzi śledztwo, inspektorze - oświadczył Mullett. Zupełnie zignorował złośliwość Frosta. - Eee... Jest jeszcze jedna rzecz, którą zasugerował szef policji... i którą może warto rozważyć. Powiedziałem, że to zrobimy, choć prawdę mówiąc, może się to panu wydać nieco dziwne...

Mullett sprawiał wrażenie zakłopotanego. Bawił się nożem do rozcinania papieru i umykał spojrzeniem w bok, byle nie napotkać wzroku Frosta.

- Wydaje się, że szef policji interesuje się spirytyzmem - wykrztusił wreszcie. - Czy wiedział pan o tym?

- Słyszałem, że podobno ma hysia, ale nie wiedziałem, że akurat na tym punkcie.

- Eee... No właśnie. Jego żona jest jakąś ważną personą w miejscowym kościele spirytystów. Obecnie potrafię zrozumieć tę fascynację, choć muszę przyznać, że w przeszłości pozwalałem sobie na drwiny... No ale teraz...

Teraz wiesz, durniu, że żona szefa się tym interesuje, pomyślał Frost.

- Podobno w okolicy mieszka niejaka Martha Wendle. Czy pan ją zna?

- Słyszałem o niej, sir. To zwariowane, stare krówsko... Wciąż wypisuje durne listy, że może porozmawiać z duchami, a one wskażą nam właściwy trop...

Mullett uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Inspektorze, nie powinniśmy zamykać oczu na pewne rzeczy tylko dlatego, że ich nie rozumiemy. Przypuszczalnie ona będzie umiała spojrzeć na to z innej strony, tak jak ten koleś, który pomógł holenderskiej policji.

Komisarz znalazł na biurku jakiś szczególnie interesujący przekrój słoja i teraz wodził po nim palcem.

- Szef chce... sugeruje... to znaczy, ma przeczucie, że należy się spotkać z tą kobietą. Zapytać, czy możemy liczyć na jej pomoc przy poszukiwaniach Tracey Uphill. To przecież w niczym nie zaszkodzi... I tak na razie nie ma pan żadnego tropu.

Inspektorowi szczeka opadła ze zdziwienia.

- Mówi pan serio? Mamy korzystać z pomocy jakichś pieprzonych duchów?!

Mullett z uwagą oglądał własną dłoń.

- Wiem, że to nieco... hmm... odbiega od ogólnie przyjętych standardów... Ale szef policji ma prawo mieć zachcianki, a my możemy okazać mu pewną pobłażliwość. Proszę więc kontynuować śledztwo i umówić się z tą panią, a ja... eee... - uśmiechnął się, ukazując białe zęby - przekażę wyżej, że pan osobiście się z nią zobaczy i że to spotkanie będzie dla pana absolutnym priorytetem.

Z tymi słowami podniósł się z fotela, żeby zasygnalizować, że uważa rozmowę za zakończoną. Największą sztuką było najpierw zmieszać kolesia z błotem, a następnie uderzyć w całkiem inny ton i pokazać, że tak naprawdę jest się po jego stronie. Mullett lekko uściśnął dłoń Frosta.

- Rozchmurz się... eee... Jack... To jeszcze nie koniec świata.

Wrócił do podpisywania listów, zanim Frost zdążył wycofać się z gabinetu. Po chwili z gabinetu panny Smith dobiegł okrzyk zdenerwowania, a potem rubaszny śmiech Frosta.

- Ida, co tam jest w środku?

Ciekawe, o co mu chodziło, pomyślał z roztargnieniem.

Mickey Hoskins zapalił następnego papierosa, choć tak naprawdę wcale nie miał na niego ochoty. Papieros był piekący i gorzki, a ten, którego skończył przed chwilą, napełnił mu usta kwaśnym smakiem nikotyny. Ale Mickey musiał czymś zająć ręce. Siedział zamknięty w tym cholernym pokoju od ponad pół godziny i czekał nie wiadomo na co. Oczywiście to czekanie było częścią procesu „zmiękczenia” zatrzymanego; chodziło o to, żeby człowiek zrobił się nerwowy, niepewny i bez przerwy zastanawiał się, ile tamci wiedzą. No cóż, on nie zamierzał pozwolić, żeby tak prymitywne metody okazały się skuteczne tym razem.

Jakże gorąco pragnął czymkolwiek się zająć. Czymkolwiek, byle nie siedzieć beczynnie w tym żalonym pomieszczeniu i nie wpatrywać się w nagie ściany, pomalowane na paskudny ciemnozielony kolor. Nawet małe okienko znajdowało się za wysoko, żeby coś przez nie zobaczyć. Ale przynajmniej było tu ciepło. Ci gliniarze lubili się wygrzewać, co do tego nie ma wątpliwości. Ostatnia porcja popiołu spadła na podłogę. Ile papierosów jeszcze mu zostało? Sprawdził. Cholera, tylko jeden! Tego musi zostawić na przesłuchanie. Z papierosem w ręku na pewno poczuje się różnie. Zajmie czymś ręce, a poza tym zyska czas na przemyślenie odpowiedzi, jeśli pytania staną się zbyt drażliwe.

Jak długo jeszcze każą mu czekać? Przecież nie mają prawa trzymać go tu wbrew jego woli. Nie został o nic oskarżony, więc po prostu wstanie, wyjdzie przez te drzwi i dalej, na ulicę, a te gnojki nie będą mogły nic zrobić, żeby go zatrzymać. Daje im jeszcze pięć minut i ani sekundy więcej...

Dwadzieścia minut później inspektor Frost wpadł do pokoju przesłuchań. Na sobie miał ten sam zniszczony garnitur, który Mickey pamiętał sprzed wielu, wielu lat.

- Wybacz, chłopcze, że tak długo kazałem ci czekać, ale mam na głowie tyle ważnych i niecierpiących zwłoki spraw, że twoja szacowna osoba kompletnie wyleciała mi z głowy.

Jakiś młodzieniec w mundurze wślizgnął się za inspektorem i zajął miejsce przy drzwiach. Frost usiadł na krześle naprzeciw Mickeya, który mrugał nerwowo, przyglądając mu się zza grubych szkieł okularów.

- Racja, Mickey. Przede wszystkim trzeba zapalić. Niespiesznie wyciągnął z kieszeni pudełko i nie proponując poczęstunku, wsadził papierosa do ust. Potem wyjął zza pazuchy jakąś fotografię, położył ją na stole wierzchem do dołu, a następnie podsunął w kierunku Hoskinsa.

- Odwróć ją, Mick.

Mickey przyglądał mu się podejrzliwie. Wreszcie spojrzał na biały spód leżącego przed nim zdjęcia. Ciekawe, o co tym razem chodziło?

- Co to jest?

- Odwróć i zobacz.

Hoskins delikatnie ujął zdjęcie w dwa palce i spojrział. Z kolorowej fotografii uśmiechała się jakaś dziewczynka w szkolnym wieku. Miał wrażenie, że skądś ją zna, choć nie wiedział skąd. Nagle skrzywił się. Czyżby to była jedna z jego...? Nie, naprawdę nie mógł sobie przypomnieć.

- No i jak, Mick?

- Co „jak”? To fotografia jakiegoś dzieciaka. - Mickey językiem zwilżył zaschnięte wargi.

- Czyżby w rzeczywistości wyglądała inaczej niż na tym zdjęciu?

- Skąd mam wiedzieć? Nigdy w życiu jej nie widziałem.

- On nigdy jej nie widział! - Frost wykrzyknął te słowa z takim zapalem, jakby miały one kluczowe znaczenie, a potem zwrócił się do młodego policjanta, który stenografował przebieg przesłuchania: - Posterunkowy, proszę to zanotować i koniecznie podkreślić. On nigdy jej nie widział! - Znowu odwrócił się do Hoskinsa. - Oczywiście podpiszesz to, Mick, prawda? Nie chciałbym, żeby ludzie uważali, że cię nabrałem czy coś w tym stylu. Podpiszesz oświadczenie, że nigdy nie widziałeś tej dziewczynki?

Mickey wiercił się na krześle. Frost zawsze potrafił zbić go z pantałyku.

- Być może gdzieś ją widziałem... No wie pan, nasze miasteczko nie jest duże... Mogłem gdzieś ją zobaczyć, nawet nie wiedząc, że to ona. Kto mówi, że ją widziałem? To znaczy, nie mógłbym przysiąc na Pismo Święte... - Oczy ukryte za grubymi szklami mrugały coraz szybciej. - Kiedy to niby miałem ją widzieć?

- Może w niedzielę? - zasugerował Frost. - Nie!

- Mick, pokaż mi rękę. No dalej, zbliż się. Chcę zobaczyć twoją dłoń.

Mick niechętnie wyciągnął przed siebie rękę. Nie umiał opanować drżenia, więc Frost chwycił go za nadgarstek, który zamknął w żelaznym uścisku. Mickey nagle poczuł ulgę, że w sali oprócz nich dwóch jest także posterunkowy. Gdyby Frost dorwał go na osobności, jak nic stłukłby na kwaśne jabłko.

Frost z całej siły potrząsał ręką Mickeya.

- Posterunkowy, proszę popatrzeć.

Młody człowiek podniósł wzrok znad kołnotatnika.

- Czy kiedykolwiek widział pan taką miękką, ciepłą rączkę? Proszę zwrócić uwagę na te długie, delikatne paluszki. Naprawdę masz piękną rękę, Mick. Ile razy ta ręka wsuwała

się pod dziewczęce majteczki, co? - Hoskins próbował się wyrwać, ale Frost nie zwalniał uścisku. - Ile ciepłych, młodych ud zwiedziła po drodze? No, Mick!

- Przestań! - Tym razem Mickowi udało się wyrwać rękę. Natychmiast zaczął masować białe ślady, które zostawiły palce Frosta.

- Czemu mam przestać? Czy to cię podnieca?

- Nie, oczywiście, że nie!

Zdecydowanie nadszedł czas na papierosa. Drżącymi rękoma Mick zapalił i zaciągnął się głęboko.

Frost wstał z krzesła, obszedł stół dookoła i zatrzymał się za plecami więźnia.

- Rzuciłeś się na nią w tamtą niedzielę, kiedy ją spotkałeś? Czy jej się to podobało? Czy ona ci się podobała?

Tym razem odpowiedzią był krzyk.

- Przestań mnie dręczyć! Nie widziałem jej ani w tamtą niedzielę, ani w żadną inną!

- Nie musisz na mnie wrzeszczeć, Mick - powiedział Frost niemal łagodnym tonem. - Równie dobrze możesz mówić cicho. Wiem, że od niedzieli nie pojawiłeś się w swojej kwaterze.

- No i co z tego? To chyba nie jest zabronione?

- Owszem, ale może dlatego musimy dowiedzieć się, co robiłeś od tamtej pory. No dalej, Mick. Opowiedz nam. To opowiadanie cię poruszy, przeżyjesz wszystko jeszcze raz. Opowiedz, co jej zrobiłeś?

Mickey głęboko zaciągnął się dymem, a potem z nienawiścią spojrział na swojego prześladowcę.

- Chcę skontaktować się z moim adwokatem.

- Oczywiście, Mick. Wystarczy, że wyrazisz takie życzenie. - Frost uśmiechnął się przyjaźnie. Podniósł słuchawkę, wybrał numer łączący z miastem i wręczył ją skulonemu na krześle Mickeyowi.

Mickey wziął ją, parę razy szturchnął tarczę, a potem prawie ze łzami rzucił słuchawkę na widełki.

- Wiesz dobrze, draniu, że ja nie mam adwokata! - wybuchnął. - Nie mam pieniędzy na prawnika. Tylko bogaci mogą sobie na to pozwolić.

Frost skinął głową ze zrozumieniem.

- No cóż, żyjemy w społeczeństwie pełnym niesprawiedliwości. Ale założę się, że nawet najbogatszy człowiek na świecie nie widział tylu damskich majteczek co ty... Wracając

do naszego śledztwa - chcę wiedzieć, co robiłeś w niedzielę. No mów, uracz nas swoją porywającą historyjką.

Mick zastanowił się przez chwilę, a potem powiedział, że chciałby zapalić, więc Frost poczęstował go papierosem. Mick zaciągnął się raz i drugi, a potem zaczął mówić.

- Nie wiedziałem, że ona ma coś przeciw temu. Niektórym całkiem to odpowiada. Wszystko to biorą za dobrą monetę, można rzec, że wręcz uwielbiają. Siedziała sama, więc przesunąłem się i usiadłem obok.

Inspektor zmarszczył brwi.

- Gdzie to było?

Tym razem to Mick wyglądał na zaskoczonego.

- W kinie. W Century Cinema w Lexton. Właśnie o to pan pyta, mam rację?

Frost zapewnił, że tak, jednocześnie dziwiąc się w duchu, jakim cudem ośmioletnia Tracey Uphill mogła na własną rękę dotrzeć do Lexton i znaleźć się w Century Cinema. - Więc usiadłeś obok niej i...?

- Tak. Jak już mówiłem, nie wiedziałem, że ma coś przeciw temu. Pozwoliła, żebym położył rękę na jej udzie i podsunął do góry, i dopiero wtedy podniosła krzyk. Jeśli nie chciała, to czemu nie zaprotestowała wcześniej?

- Może nie chciała stracić jakiegoś wyjątkowo dobrego fragmentu filmu, Mick - zasugerował Frost. Zaraz potem zauważył, że posterunkowy usiłuje zwrócić na siebie uwagę, więc podszedł do niego.

-Sir, ten incydent już został zgłoszony - szepnął młody człowiek prosto do ucha Frostowi. - W kinie jakiś mężczyzna próbował napastować kobietę. Zaczęła krzyczeć, a wtedy on uderzył ją w twarz, co skończyło się złamaniem nosa, i zaczął uciekać. Prawie go dopadli, bo nie mógł otworzyć drzwi wyjściowych, ale w końcu udało mu się je wyważyć. Ta kobieta ma około trzydziestu lat, sir. On nie mówi o Tracey Uphill.

Trzydzieści lat? Mick zwykle wołał o wiele młodsze ciała... Po drugiej stronie pokoju oskarżony wyteżał słuch, zastanawiając się, czego dotyczą te szept. Frost pogładził posterunkowego po ramieniu i wrócił do Hoskinsa.

- Przepraszam za tę przerwę, Mick... Kolega chciał się dowiedzieć, jak się pisze „wstrętny skurwiel”. Wiesz, że złamałeś jej nos? Dlaczego? Czy z nadmiaru okrucieństwa?

- Okrucieństwa? Okrucieństwa?! - powtarzał Hoskins, a jego podekscytowanie rosło z każdym słowem. - To ona okazała się okrutną suką. Proszę spojrzeć! - Wyciągnął przed siebie lewą rękę, żeby pokazać pokrytą bąblami, poparzoną skórę na spodniej stronie nadgarstka. -

To jej dzieło. Zaciśnęła uda, żeby moja ręka uwięzła między jej nogami, a potem przypaliła ją czubkiem papierosa! Musiałem uderzyć, żeby pozwoliła mi uciec.

Frost odruchowo podrapał bliznę na policzku.

- Bardzo brzydko, Mick. To może zrujnować ci opinię na całe życie. Pomyśl tylko, ktoś powiedział, że w kinie śmierdziało przypaloną wieprzowiną... W dodatku ta starucha miała prawie trzydziestkę na karku! Dla ciebie to prawie jak antyk, co?

Mickey wydał wargi i wzruszył ramionami.

- No wie pan, inspektorze, że jak człowieka przyciśnie, to nie patrzy na takie drobiazgi. To był seans wyłącznie dla dorosłych. Na takie filmy dzieci nie wpuszczają. W starych, dobrych czasach człowiek mógł liczyć na godziwą rozrywkę dla całej rodziny, ale dzisiaj... Same sprośności. Czyste świństwa, ot co!

Frost skinął głową na znak, że podziela tę opinię, i znów zbliżył się do posterunkowego.

- Nie spuszczaaj go z oka, synu, dobrze? Przyślę tu kogoś po te zeznania. Jeśli faktycznie o szóstej zabawiał się w Century Cinema, to raczej nie ma szans, żeby maczał swoje brudne paluchy w zniknięciu Tracey, ale mimo to musimy mieć go na oku. Tak na wszelki wypadek.

Wrócił do stołu i spojrzał na Mickeya.

- Przyślę kogoś, żeby spisał twoje zeznania, Mick. Zrobiłbym to osobiście, ale za bardzo podnieca mnie słuchanie o czyichś udach, majtkach i całej reszcie tego typu rzeczy. Chyba nie utrzymałbym ołówka w palcach. Och, lepiej to zabiorę. - Wziął ze stołu fotografię Tracey.

- Proszę zaczekać! - zawołał Hoskins. Wyłuskał zdjęcie spomiędzy palców inspektora i przez dłuższą chwilę przyglądał mu się z uwagą. - To... To jest ten dzieciak, którego wszyscy szukają, Tracey Uphill... Chyba pan nie sądzi, że ja...?

- Musiałem zapytać, Mick. Nie ma się o co obrażać.

- Ona ma tylko osiem lat. - Głos Mickeya drżał z oburzenia. - Nigdy w życiu nie tknąłem bachora, który miał mniej niż dziesięć... No cóż, przynajmniej nie robiłem tego z premedytacją.

Po wyjściu z pokoju przesłuchań Frost natychmiast złapał sierżanta posterunkowego, Billa Wellsa, który oświadczył, że z prawdziwą przyjemnością spisze zeznania Hoskinsa. Przez chwilę porozmawiali jeszcze o starym Samie, który przez długie lata mieszkał w różnych celach na tym posterunku, a który teraz spoczywał w kostnicy, sztywny i zimny, i bardziej czysty niż kiedykolwiek w całym swoim życiu.

- To śmieszne - zauważył sierżant. - Nienawidziłem tego gościa, bo śmierdział na milę i nie było w nim ani krzty dobra, ale na wieść, że nie żyje, poczułem w gardle dziwny ucisk... Nawiasem mówiąc, ten nowy koleś czeka w pańskim biurze.

Frost zmarszczył brwi. Nowy koleś? Och, oczywiście! Młody Barnard. Wysłał go przecież do pani Uphill, żeby zasięgnął informacji na temat tych dwóch tysięcy funtów. Stanowczo za dużo spraw miał na głowie. Najpierw drzwi wejściowe do banku. To go naprawdę zaniepokoiło. Potem niespodziewana śmierć starego włóczęgi. I spotkanie w pubie z Sandym Lane'em. Ale było coś jeszcze. Coś ważnego. Powinien zacząć robić notatki, choć pewnie i tak zapominałby do nich zajrzeć... Psiakrew! Tak jest, stara Martha Wendle, czarownica z lasu. Miał ją poprosić, żeby wezwała duchy i spytała, gdzie podział się tamten dzieciak. Od razu zrobiło mu się lżej na sercu, kiedy przypomniał sobie, o co chodziło. Jednak najpierw trzeba sprawdzić, co młody Barnard uzyskał od soczystej pani Uphill, jedynej piękności na wschód od Suez, której naprawdę warto było zapłacić trzydzieści funtów za jeden raz.

Czym prędzej pokłusował korytarzem do swojego biura. Ktoś musiał zostawić otwarte drzwi na zewnątrz, bo lodowaty wiatr hulał w całym przejściu. Po drodze zerknął na podwórko. Biała pokrywa nie zmniejszyła się nawet o cal. Na niebie wisiały ciemne chmury, grożące w każdej chwili dalszymi opadami. Było tak ciemno, że choć dochodziła dopiero dwunasta, wszystkie światła w budynku zostały włączone.

Frost jeszcze raz przeczytał krótki liścik.

Mam pani córkę, Tracey Uphill. Jeśli chce pani zobaczyć ją całą i zdrową, proszę zgromadzić dwa tysiące funtów w używanych pięciofuntowych banknotach i czekać przy telefonie na dalsze instrukcje. Gdyby zwróciła się pani do policji, natychmiast zabiję Tracey.

Pani Uphill dostała ten list razem z poranną pocztą. Znaczek na taniej, brązowej kopercie wskazywał, że list został nadany na poczcie głównej w Denton, na Market Square, o godzinie szóstej piętnaście poprzedniego wieczora. Wewnątrz znajdowała się kartka papieru, która mogła być stroną wydartą z uczniowskiego zeszytu do ćwiczeń, zapisana pracowicie wielkimi literami, rozmazującym się długopisem. Na początku pani Uphill gorliwie zaprzeczała, że taka przesyłka w ogóle do niej dotarła - zapewne przestraszyła się groźby zamordowania dziewczynki, gdyby porywacz zorientował się, że skontaktowała się z policją - ale Clive zdołał przekonać ją o konieczności współpracy.

- Proszę się nie denerwować, pani Uphill - powiedział.

- Musi pani nam zaufać.

Frost ostrożnie ujął brzeg kartki i spojrzał na nią pod światło w poszukiwaniu znaków wodnych, a potem rzucił ją na biurko.

- Nie ma żadnych znaków wodnych, synu... Co oczywiście nie oznacza, że gdyby były, to coś bym zrozumiał. - Odchylił się do tyłu na krześle, wyciągnął w bok ramiona i ziewnął rozdzierająco. - Lepiej przekażę to do laboratorium. Oni przynajmniej będą umieli określić, kiedy zrobiono ten papier, w której fabryce, kiedy zostało ścięte drzewo, z którego powstał, i jaki jest skład chemiczny atramentu w długopisie. Potem przekażą wszystkie odkrycia na dwudziestu stronach raportu, który jakiś biedny skurwiel będzie musiał przeczytać od deski do deski, chociaż ten raport w najmniejszym nawet stopniu nie pomoże ustalić, kto napisał ten cholerny liścik.

Clive wsunął kopertę i list do przezroczystej osłony i oświadczył, że chętnie przeczyta raport z laboratorium.

Wtedy rozległo się energiczne pukanie i do gabinetu wkroczył Mullett. Jego lśniący nowością, szyty na miarę mundur zupełnie nie pasował do bałaganu panującego w biurze Frosta.

- Chodzą słuchy, inspektorze, że pani Uphill otrzymała list z żądaniem okupu.

- Waśnie miałem iść do pana w tej sprawie, sir - gładko skłamał Frost, który absolutnie nie miał takiego zamiaru.

Okulary wylądowały na nosie komendanta. Przeczytał treść listu przez przezroczystą koszulkę i wyraził swoje zdanie.

- Myślę, że najlepiej będzie oddać to do laboratorium.

- Świetny pomysł - zachwycił się Frost. - Będiesz mógł się tym zająć, synu?

Mullett rozejrzał się w poszukiwaniu wolnego krzesła, ale wszędzie piętrzyły się stosy nieuporządkowanych dokumentów. Typowe, pomyślał. Absolutnie typowe.

- Co pan teraz zamierza zrobić, inspektorze?

- Muszę założyć podsłuch w telefonie pani Uphill, żebyśmy mogli kontrolować wszystkie przychodzące rozmowy... Jeśli więc należy pan do grona jej stałych klientów, radzę na jakiś czas zaniechać tej rozrywki.

Twarz Mulletta wyraźnie się ściągnęła. Chyba nie uważał tej uwagi za zabawną.

- Hmm... Moim zdaniem nie ma sensu robić sztywnych planów, dopóki nie będzie pan znał poleceń porywacza dotyczących przekazania pieniędzy. A wracając do tej notatki... Czy sądzi pan, że jest autentyczna? Ze ten człowiek naprawdę porwał dziewczynkę?

- Uważam, że tak - wtrącił Clive, a Mullett posłał w jego kierunku promienny uśmiech.

- Ja też tak sędzę - oświadczył, a przypomniawszy sobie, że Frost nie wyraził swojej opinii, zwrócił się wprost do niego. - Inspektorze?

Frost podrapał się w policzek.

- Pewnie się mylę, tak jak zwykle... Ale jeśli dziewczynka została porwana w niedzielę, to po jakiego czorta porywacz czekał na poniedziałkowy wieczór i dopiero wtedy wysłał list z żądaniem okupu?

- Mógł nie mieć koperty i czekać do poniedziałku, żeby ją kupić - zasugerował Clive.

- Dokładnie tak samo pomyślałem - zachwycił się Mullett. - Równie dobrze mógł nie mieć znaczków.

- Albo długopisu - dorzucił Frost.

Tym razem Mullett nie był pewny, czy była to zamierzona złośliwość, czy czysty przypadek, więc tylko posłał inspektorowi lodowaty uśmiech i wyszedł.

- Głupi sukinsyn - parsknął Frost, kiedy za szefem zamknęły się drzwi. - Wysłać do laboratorium! A on myślał, że co mam zamiar z tym zrobić? Wytrzeć sobie dupę czy jak? No dobrze, synu, skocz z tym do sali wysyłkowej, a potem powiedz koleśowi, który akurat ma służbę w centrum operacyjnym, żeby wysłał do pani Uphill technika w cywilu, który założy podsłuch na jej telefonie. Tylko zaznacz wyraźnie, że ma to być ktoś, kto nie ma na zbyciu trzydziestu funtów, bo zależy mi, żeby szybko i sprawnie wykonał swoją robotę. I wracaj jak najszybciej. Jesteśmy umówieni z Sandym na lunch w pubie.

Czekając na powrót detektywa posterunkowego, uporządkował paczkę z dokumentami, którą niedawno przyniesiono na jego biurko. Chodziło o akta sprawy, nad którą pracował inspektor Allen, dotyczące serii kradzieży w miejscowej fabryce elektroniki. Będzie trzeba znaleźć czas, żeby rzucić na to okiem, westchnął... I wtedy trafił na notatkę, którą osobiście naskrobał na odwrocie starej koperty - „Sprawdzić ciotunię. Herbata”. Przez resztę czasu do powrotu Clive’a zastanawiał się, czego do cholery mogło to dotyczyć, ale w końcu dał za wygraną.

*

- Już zamówiłem lunch - powitał ich Sandy. - Teraz powiedz tylko, co będziecie pić. Whisky?

- Lepiej ogranicz się do piwa - odpowiedział inspektor. - Niestety, nie mamy dla ciebie żadnych ciekawych informacji.

Piwo zostało przyniesione razem z curry. To nie było specjalnie dobre curry, raczej budzące wątpliwości kawałki chrząstek w pikantnym żółtym sosie, umieszczone na wyściółce z szarego ryżu.

- Ja płacę - oświadczył Sandy.

- Taką też miałem nadzieję - odparł Frost, z pełną powagi podejrzliwością przyglądając się zawartości talerza.

Wtedy reporter poruszył temat, który najbardziej go interesował.

- Słyszałem, że podobno pani Uphill podjęła dziś z banku sporo gotówki.

Clive spiorunował wzrokiem inspektora. Do wszystkich diabłów, skąd Sandy dowiedział się o tej sprawie? Frost nawet nie mrugnął; po prostu z niewzruszoną miną żuł kęs gumowatego mięsa.

- Jeśli to naprawdę curry z kurczaka, to mnie trafiły się same pazury - oznajmił posepnie.

- No wykrztuś to wreszcie, Jack - nalegał reporter. - Nie każ mi się domyślać. Wydałem na ten lunch cały dodatek do pensji. Wiesz przecież, że nie mamy takich możliwości jak wielkie londyńskie dzienniki.

Frost odsunął talerz i resztką piwa splukał wspomnienie po curry.

- Czy opowiadałem ci już o pewnym gościu, który założył się, że wypije zawartość spluwaczki?

- Tak... Co za pyszny temat do konwersacji przy stole! No mów, Jack. Ona podjęła z konta dwa tysiące funtów. Dlaczego?

- Zapytaj swojego kumpla z banku - poradził Frost, zapalając papierosa. - Przykro mi, Sandy. Jak tylko będę miał coś dla ciebie, natychmiast się dowiesz. Co prawda nie zasłużyłeś sobie na dobre traktowanie, zapraszając uczciwych ludzi na tak paskudne żarcie, ale zdradzę ci, że jutro możesz znaleźć coś interesującego w Sądzie Miejskim. Chodzi o Mickeya Hoskinsa. Napastował w kinie jakąś kobietę, a ona odwdzieczyła mu się innym rodzajem doznań, niż się spodziewał, to znaczy przypiekła mu dłoń papierosem.

Sandy rozpromienił się i natychmiast zapisał coś w notatniku.

- Co prawda to nędzny okruszek, ale do przyjęcia.

Frost pociągnął łyk piwa.

- Chciałbym, żeby herbata w naszej kantynie była tak ciepła jak ten płyn.

Potem postawił kufel na stole i trącił w bok Sandy'ego.

- Widzisz tę ptaszynkę przy barze, w płaszczu imitującym skórę lamparta? Tylko nie gap się w tamtą stronę!

Reporter ukradkiem zerknął we wskazanym kierunku.

- To Cynthia Collard - wyszeptał, a Frost skinął głową. Clive musiał niezłe wygiąć szyję, żeby przekonać się, kto wzbudził takie zainteresowanie inspektora.

Kobieta miała skórę koloru oliwkowego, jaką zwykle widuje się u brunetek. Gruby makijaż nie mógł ukryć ciemnych półksiężyców pod oczami ani płytkich zmarszczek dookoła ust i przy nosie. Nawet teraz, w wieku trzydziestu paru lat

- których większość spędziła na ciężkiej i wyczerpującej pracy - widać było po niej dawną urodę. Kobieta siedziała na barowym stołku ze skrzyżowanymi nogami i niedbale zarzuconym na ramiona tanim płaszczem, który udawał skórę lamparta, i przeszukiwała sałę zimnymi oczyma drapieźnika. Jakiś cierpiący na nadwagę jegomość z wydatnymi wąsiskami, siedzący przy stoliku w kącie, odczytał to nieme zaproszenie i skinął ręką, żeby się przysiadła. Uśmiechając się z zadowoleniem, powolnym krokiem ruszyła w jego stronę.

- To ona wciąż pracuje w tym biznesie? - spytał Frost.

- Pamiętam Cynthię z czasów, kiedy miała niezłą fantazję... Prawdziwy wulkan energii. Nigdy nie dawała człowiekowi odczuć, że musi zabiegać o jej względy, jak niektóre z miejscowych pańienek.

- To było dawno temu, Jack. Teraz zawsze bierze kasę z góry. - Sandy wysączył piwo do końca i zerknął na zegarek.

Cynthia i zażywny mężczyzna opuścili pub, mocno przytuleni.

- Mam nadzieję, że pomyślała o zabraniu drobnych, żeby wydać mu resztę z funta. - Frost się zaśmiał.

WTOREK (3)

PARTEROWY DOMEK MARTHY WENDLE STAŁ W GŁĘBI CIEMNEGO lasu i dostać się tam można było jedynie wąską, krętą ścieżką. Być może właśnie dlatego Marthę odwiedzało niewielu gości, ale ona wcale nie pragnęła towarzystwa. Co prawda bezpośrednio do domku dochodziła prywatna droga, piaszczysta i pełna wybojów, ale od reszty świata odgradzała ją żelazna brama, okręcona drutem kolczastym i zabezpieczona łańcuchami oraz solidną kłódką, która bywała otwierana jedynie wówczas, kiedy Martha wypuszczała się dokądś w swoim starym, poobijanym morrisie minor.

Frost i Clive nie mieli wyjścia; zaparkowali samochód na skraju lasu i ruszyli wijącą się ścieżką, teraz ledwo widoczną pod grubą warstwą śniegu. Wiatr ryczał, a kiedy zdarzyło im się na moment zboczyć ze ścieżki, natychmiast wpadali po kolana w lepką, zimną breję. Krótko mówiąc, była to długa, przykra i pełna potknięć wyprawa, urozmaicana co pewien czas soczystymi przekleństwami Frosta.

- Niech diabli porwą tego cholernego kretyna! - wywrzaskiwał z narastającą wściekłością pod adresem szefa policji.

Ścieżka rozwidlała się; Frost zaczekał na Clive'a, który wyraźnie zaczął zostawać w tyle.

- Idziemy w lewo! - krzyknął. - Tamta odnoga doprowadziłaby nas do Dead Man's Hollow.

- Dead Man's co? - odkrzyknął Clive.

- Dead Man's Hollow - powtórzył Frost, wskazując kciukiem mroczne zagłębienie, nad którym wisiały gałęzie chorowitych drzew, uginające się pod ciężarem mokrego śniegu. - Nie mam pojęcia, jak się to miejsce nazywa oficjalnie, ale pamiętam jeszcze z dzieciństwa, że wszyscy mówili o nim w ten sposób. Nikt z nas nie ośmielał się tam zbliżyć, choć w lecie pełno tam grzybów, a żmije, które się spotyka, są podobno wyjątkowo okazałe.

Odwrócili się plecami, na nowo stawiając czoło wiatrowi, a potem skręcili w prawo i już po chwili w polu widzenia pojawił się Old Wood Cottage. Clive spodziewał się ujrzeć coś podobnego do domku z disneyowskiej wersji *Królowny Śnieżki i siedmiu krasnoludków*, to znaczy krytą strzechą chatę i okna z małymi szybkami, ale okazało się, że głównym materiałem, z którego wzniesiona została siedziba Marthy Wendle, jest przerdzewiała karbowana blacha.

Frost załomotał pięścią do drzwi. Ze środka dobiegło skrzypienie i jakiś stukot. Drzwi uchyliły się na cal, a dwoje czarnych oczu zmierzyło detektywów podejrzliwym spojrzeniem. Wreszcie drzwi otworzyły się szerzej.

- Spodziewałam się was. Proszę wejść.

Martha Wendle miała kruczoczarne włosy, oczy, które żarzyły się jak dwa węgielki, zakrzywiony nos i wystający podbródek, wskutek czego jej twarz przypominała z profilu półksiężyc. Kilka stuleci wstecz bez wątpienia smażyłaby się na stosie razem ze swoim kotem i kijem od miotły.

Gdy tylko przestąpili próg, uderzyła w nich fala potwornego smrodu.

Frost delikatnie pociągnął nosem.

- Czy hoduje pani koty, panno Wendle?

Dookoła pętały się całe tuziny kotów - brudnych, sparszywiałych przybłądów.

- Każdy kot jest tu mile widziany - odpowiedziała wyniośle i wprowadziła gości do salonu, gdzie ze wszystkich ciemnych zakamarków spoglądały zielone, nieprzyjazne oczy.

- Proszę usiąść.

Na krześle, na którym miał usiąść Frost, spał w najlepsze tłusty, zaśliniony kocur, więc inspektor jednym zgrabnym ruchem zwałił go na podłogę, zanim kocisko zdążyło się zorientować, że ktoś usunął go z wygodnego legowiska. Krzesło Clive'a było co prawda wolne, ale poduszki nosiły ślady niedawnej kociej obecności. Ostrożnie usiadł na samym brzeżku i rozejrzał się dookoła.

- Myślę, że duchy powiedziały pani, w jakiej sprawie przychodzimy - odezwał się Frost. - Chodzi o zaginioną dziewczynkę.

Tłusty kocur zebrał się do kontrataku. Jednym susem wylądował na kolanach Frosta i pod pretekstem moszczenia się do snu zagłębił wszystkie pazury w jego udzie. Ledwie dostrzegalnym ruchem inspektor posłał intruza z powrotem na podłogę. Tym razem zwierzak usiadł i tylko mierzył Frosta nienawistnym spojrzeniem.

- Pańscy ludzie już tu byli, inspektorze. Powiedziałam, że nie zauważyłam w okolicy żadnej dziewczynki.

- Być może pani jej nie widziała, panno Wendle, ale może uda nam się namierzyć miejsce, gdzie powinniśmy jej szukać, z pomocą sił nadprzyrodzonych, o których wspomina pani w swoich uroczych i regularnie przychodzących listach.

Oczy panny Wendle zaślniły.

- W przeszłości nieraz wyśmiewał się pan ze mnie, dlaczego więc teraz miałabym panu pomóc? Frost podniósł się z krzesła i poprawił szalik.

- No dobrze. Moja wina, że trzymałem pani stronę. Szef policji uważa, że jest pani zwykłą oszustką. Musiałem walczyć jak lew, żeby zgodził się na tę próbę, ale skoro pani odmawia...

- Proszę usiąść.

Tymczasem obśliniony kocur wrócił na swoje miejsce i Frost niechętnie przysiadł mu na grzbiecie. Zwierzak pisnął przeraźliwie; bez niczyjej pomocy sam ewakuował się na podłogę. Martha Wendle pogrzebaczem poruszyła węgle na kominku.

- To niebezpieczne, o co pan prosi. Jeśli duchy będą chciały powiedzieć, zrobią to. Szukanie na siłę tego, co wołałyby usunąć z naszego zasięgu, może być... dość nieprzyjemne. Odpowiedzialność spadnie na pana, lecz jeśli pan chce, spróbuję.

Podniosła ciężki, dębowy stolik. Bez wysiłku ustawiła go między dwoma mężczyznami, a następnie przygasila knot starej, okopconej lampy naftowej, która była jedynym źródłem światła. Węgiel na palenisku osunął się, przyduszając niewielkie płomienie, i w pokoju zrobiło się ciemno i bardzo zimno. W mroku połyskiwały jedynie szmaragdowe oczy i słychać było szmer różowych języczków, przesuwających się po futrze.

Panna Wendle usiadła między nimi i ujęła każdego z nich za rękę, ściskając ją z całej siły. Jej długie paznokcie wbijały się boleśnie w ciało.

Z ciemności dobiegło dziwne rżenie, czyjś chrapliwy oddech, głęboki i miarowy, a potem dziwaczne odgłosy przypominające łkanie. Oddech panny Wendle stał się wyraźnie płytszy i szybszy. Na zewnątrz wiatr łomotał o blachę falistą. W pewnej chwili rozległ się jakiś łoskot, a potem zapadła cisza... Umilkło wycie wiatru... Ucichło szuranie kotów... Nie słychać było nawet szmeru oddechów. Głos, jaki usłyszeli, nie wydobył się z piersi siedzącej obok kobiety, której paznokcie wciąż boleśnie wrzynały im się w ciało. Wydobył się... z powietrza.

- Jest zimno... grób... śnieg... tak zimno... czaszka... kości... tak... tak bardzo... zimno...

W porządku, skarbie, pomyślał Frost, damy ci znać. Następny, proszę.

Oddech powrócił - głębszy, bardziej oszalały, jak podczas szczytowania.

- Pogrzebany... w nieoznakowanym grobie... śnieg... śmierć... śmierć...

Głos brzmiał tak upiornie, że Clive poczuł, jak włoski na karku stają mu dęba.

- Gdzie jesteś pogrzebana? - Tym razem był to głos Frosta.

- W lesie...

Oddech stawał się coraz płytszy, coraz wolniejszy. Frost powtórzył pytanie.

- W którym miejscu w lesie?

- W kotlinie... pod drzewem... w kotlinie... W Dead Man's Hollow.

- Czy to było morderstwo?

Odpowiedzią był bolesny jęk. Frost wyszarpnął dłoń z uścisku, złapał kobietę za ramiona i mocno nią potrząsnął.

- Odpowiedz, czy to było morderstwo?!

- Nie, sir! - zawołał Clive. - Jeśli zbyt nagle wyrwie ją pan z transu, może ją to zabić.

- To wtedy przeproszę - warknął Frost. - Zapal tę cholerną lampę.

Zamigotała zapalona zapałka i po chwili lampa zajarzyła się słabym blaskiem. Pokój zamrugał, jakby nagle ocknął się z głębokiego snu, i powrócił do życia. Koty ziewały, drapały się lub wylizywały futerka. Kobieta wciąż siedziała na swoim miejscu, wyprężona jak struna. Jej oczy były szeroko otwarte, choć chyba niczego nie widziała.

Frost bez ceregieli szarpnął ją za ramię.

- Panno Wendle!

Zamrugała, spoglądając na niego ze zdziwieniem.

- Kim pan jest? Ach, tak... Pan z policji.

- Kto zabił Tracey? - warknął.

- Więc ona nie żyje?

Podniosła się z krzesła i pogrzebaczem szturchnęła tłące się na palenisku węgle.

- Przed chwilą powiedziała nam pani, że Tracey jest pogrzebana w Dead Man's Hollow.

Popatrzyła na niego z cierpkim uśmiechem.

- Nie, inspektorze. To duchy mówiły, nie ja. Ja byłam w transie. One po prostu użyły moich ust, żeby wyrazić to, co chciały powiedzieć. Ja nawet nie wiem, jakie to były słowa.

- Rozumiem - odparł Frost. - No cóż, proszę więc powiedzieć tym cholernym duchom, że jeśli znajdę Tracey tam, gdzie mi wskazały, następny seans z pani udziałem odbędzie się w sali przesłuchań, bo zostanie pani oskarżona o morderstwo. Chodź, synu.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę wyjścia. Któryś z kotów wyciągnął łapę i w przelocie zahaczył go pazurem. Panna Wendle stała jak posąg, lecz gdy Clive przeciskał się między krzesłami, żeby dostać się do drzwi, kątem oka dostrzegł jej twarz, wykrzywioną paroksyzmem nienawiści. Martha Wendle była śmiertelnie przerażona.

Na zewnątrz z ulgą wciągnęli w płuca świeże, rześkie powietrze, jak marynarze okrętu podwodnego, których w ostatniej chwili cudem uratowano od śmierci przez uduszenie. Gdy ruszali w drogę powrotną, wiatr wyraźnie ucichł, jedynie od czasu do czasu dawał znać lodowatym podmuchem, że wciąż czyha na ofiary.

- Mam nadzieję, że nie złapaliśmy żadnego paskudztwa od tych zapchlonych kotów - mruknął Frost, wachając swój płaszcz. - Czy miewasz coś takiego jak intuicja, synu?

- Czasami, sir.

- A ja zawsze. Możesz mi wierzyć, ta kobieta jest morderczynią.

- Czy ma pan jakieś dowody, sir?

- Synu, masz bzika na punkcie dowodów! Wszystko, czego mi trzeba, to znaleźć podejrzanego. Zapomnij o tym pięknym frazesie, że człowiek jest niewinny, dopóki wina nie zostanie mu dowiedziona. Najpierw znajdź podejrzanego, a potem udowodnij, że ma na sumieniu dany uczynek. Niech inni ludzie się troszczą, żeby go uratować.

Kiedy znaleźli się na rozwidleniu ścieżki, Frost uniósł latarkę i oświetlił oblodzoną drogę, która wiodła do Dead Man's Hollow.

- To tutaj, synu.

Strumień światła pełznął po dziewiczym śniegu, między gałęziami skarłowaciałych drzew, które sterczały jak ramiona tonących ludzi.

- Czy będziemy tam schodzić, sir? - pytał Clive.

- Szkoda naszego cholernie cennego czasu. Nie mamy łopat.

Clive odetchnął głęboko.

- W takim razie dlaczego tu skręciliśmy?

- Bo chciałem poczuć atmosferę tego miejsca. A teraz bądź tak miły, chłopcze, i zamknij się na chwilę.

Wiatr raz jeszcze poderwał się do ataku, otrząsnął śnieg z gałęzi, a potem ucichł. Błysnęła zapalka - to Frost zapalił papierosa.

- Tego dzieciaka nie ma tutaj, synu. Clive spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Skąd pan wie, na litość boską?

- Wcale nie wiem. Czuję to. Clive prychnął z pogardą.

- Czyżby pańska słynna intuicja znów dała o sobie znać?

- Tak, synu... Moja kretyńska intuicja. Prawdopodobnie będziemy musieli przekopać ten kawałek lasu, żeby usatysfakcjonować Mulletta lub twojego szanownego stryja, ale jej nie znajdziemy.

Nagle Clive chwycił inspektora za ramię.

- Sir... Na tamtym krzaku... Proszę skierować latarkę w lewo. Czy pan widzi?

Między gałęziami trzepotało coś małego, białego i całkiem niedużego. Śnieg w tym miejscu sięgał do połowy ud, ale Clive dzielnie dojrzał do krzaka, zdjął to coś i triumfalnie wrócił do inspektora. Frost popatrzył na skarb - na mały kwadrat pokrytego woskiem papieru, pozostałość po cukierku.

- Ten cukierek musiał zostać zjedzony przez jakieś dziecko. - Clive był wyraźnie podekscytowany, jak szczeniak, któremu zdarzyło się po raz pierwszy zaaportować piłkę.

Frost podniósł oczy ku niebu.

- Papierek po cukierku! - wykrzyknął. - Hura! Duchy dowiodły słuszności swych twierdzeń. Podrzuciły nam cholerny papierek po cukierku.

Wygrzebał z kieszeni plastikową, przezroczystą kopertę na dowody i wepchnął tam papierek.

- Gdybyś nie sprawiał wrażenia tak cholernie zadowolonego z siebie, synu, pewnie wyrzuciłbym to w diabły... Jednak ponieważ i tak zbyt często daję ci zły przykład, więc pozwolę, żeby spece z laboratorium powiedzieli nam, o jakim smaku był ten cukierek i ile kosztował funt tych słodkości.

Po powrocie do auta przekonali się, że radio dosłownie poczerwieniało z wysiłku, błagając inspektora Frosta o zgłoszenie się. Inspektor westchnął głęboko i wsunął się w fotel.

- Widzisz, synu, kiedy człowiek jest atrakcyjny i miły, nie może liczyć nawet na chwilę spokoju.

Bez pośpiechu zapalił papierosa, żeby pokazać nadajnikowi, kto tu rządzi, a potem wziął do ręki mikrofon i podał, gdzie aktualnie się znajdują.

- Inspektor Frost? Rany boskie, od wieków próbujemy się z panem skontaktować! Czy może pan jak najszybciej wracać na posterunek? Porywacz zadzwonił do pani Uphill!

WTOREK (4)

SZPULA W MAGNETOFONIE ZACZĘŁA SIĘ WOLNO OBRACAĆ. NAJPIERW rozległ się syk niezapisanej taśmy, a potem...

Trrr... Trrr... Zaledwie dwa dzwonki, zanim ktoś chwycił za słuchawkę.

- Tu Denton dwadzieścia trzy czterdzieści sześć - odezwał się pełen niepokoju głos pani Uphill.

Po drugiej stronie rozległ się pisk automatu, a potem brzęk wrzucanej monety.

- Czy pani Uphill? - powiedział nieokreślony męski głos, zniekształcony przez mikrofon automatu.

- Tak.

- Czy dostała pani mój list?

- Tak... Proszę... Gdzie ona jest?

- Wszystko w swoim czasie. Czy ma pani pieniądze?

- Tak... Zrobiłam dokładnie tak, jak pan kazał. - I nikomu pani nie powiedziała?

- Nikomu.

- To dobrze, bo byłoby mi przykro, gdybym musiał spełnić swoją obietnicę. A teraz bardzo proszę uważnie słuchać...

Ale pani Uphill przerwała mu w pół słowa.

- Najpierw muszę dowiedzieć się o Tracey. Co z nią? - Wszystko w porządku, zważywszy na okoliczności...

Jest dość płaczliwa, zgadza się? Jest trochę przeziębiona i wciąż marudzi, że tęskni za mamą, ale poza tym...

- Proszę. - Teraz głos pani Uphill zmienił się w ledwo słyszalny szept. - Co mam zrobić?

- Chcę...

Nagle Frost usłyszał kliknięcie, a potem ciągły sygnał centrali. Poderwał głowę, ale detektyw sierżant Martin szybkim gestem nakazał mu milczenie. Na taśmie było coś jeszcze.

- Halo! Halo! - wołała histerycznie pani Uphill, raz po raz potrząsając aparatem. - Halo!

Niezmienny pomruk sygnału centrali trwał i trwał; wreszcie słuchawka wylądowała na widełkach, a na taśmie pojawił się szum i trzaski.

Martin nacisnął klawisz „stop”.

- To wszystko.

Frost rozplatał szalik i ułożył go na grzejniku, żeby wysechł.

- Co tam się stało? Czemu przerwano połączenie?

- Nie sądzę, żeby je przerwano, Jack. Posłuchaj uważnie końcówki nagrania.

Martin podkręcił głośność do maksimum i cofnął taśmę, a potem wcisnął „start”. W tle słyhać było jakiś ryk, trzaski i buczenie zniekształconych głosów.

- Proszę... Co mam zrobić?

- Chcę...

Klik. Sygnał centrali. - Jeszcze raz - warknął Frost.

Martin powtórzył raz jeszcze kilka ostatnich sekund nagrania.

- Chcę... - Klik.

- Chcę... - Klik.

- Chcę...

Spomiędzy zakłóceń i szumów udało się wyłowić ledwo słyszalny sygnał wozu patrolowego, który przejeżdżał ulicą obok budki telefonicznej.

- Jeden z naszych patroli przejeżdżał tamtędy akurat wtedy, kiedy ten gość dzwonił - wyjaśnił Martin, drapiąc się ustnikiem fajki. - Facet musiał się przestraszyć, że go namierzaliśmy, i dał nogę.

Frost złapał się rękoma za głowę.

- Cholerni gliniarze - wyjęczał. - Nigdy ich nie ma, kiedy są potrzebni, a kiedy nie są, zjawiają się tam, gdzie nie trzeba, i płoszą podejrzanego.

Nagle zauważył, że obecni prostują ramiona, a zaraz potem kątem oka dostrzegł błysk srebrzystych guzików.

- Witam komisarza - powiedział.

- Słyszał pan nagranie? - spytał Mullett.

- Tak jest, sir.

- I co zamierza pan z tym zrobić? Frost zwichrzył palcami włosy.

- Niech mnie diabli, jeśli wiem. Czy nasi inżynierowie potrafią wyśledzić, skąd on dzwonił?

Martin skoczył na równe nogi.

- Właśnie do tego miałem przejść, Jack... To znaczy, inspektorze Frost. Udało im się. Facet dzwonił z budki przy Eastern Highway, tuż przy skrzyżowaniu z Beehive Lane. Charlie Alpha dwa był akurat w pobliżu, więc centrum operacyjne wysłało go na miejsce w celu przeprowadzenia śledztwa...

- Charlie Alpha dwa! - warknął Frost. - To pewnie te same głupki, które wystraszyły go za pierwszym razem.

- Oni byli na służbie, inspektorze - wtrącił Mullett lodowatym tonem, jak zawsze gotów bronić dobrego imienia swoich chłopców. - Mieli pełne prawo być tam, gdzie byli.

- Ma pan stuprocentową rację, szefie - mruknął uprzejmie Frost. - To oni są solą tej ziemi.

Mullett był przekonany, że tym razem Frost pozwolił sobie na sarkazm, ale zanim zdołał obmyślić wystarczająco celną ripostę, która uwzględniała obecność osób trzecich, rozległ się brzęczyk wewnętrznego telefonu. Centrum operacyjne informowało, że zgłosił się Charlie Alpha dwa.

Frost zaszykalizował, żeby Clive włączył aparaturę głośno mówiącą.

- Halo, centrum operacyjne, tu Charlie Alpha dwa. Jesteśmy przy budce telefonicznej na skrzyżowaniu Beehive Lane i Eastern Highway. Widzimy wszystko, co dzieje się dookoła, ale w tej chwili w pobliżu nie ma nikogo.

Frost połączył się przez wewnętrzny telefon z oficerem dyżurnym i spytał, czy jest możliwe, żeby Charlie Alpha dwa dalej obserwował okolice budki, sam nie będąc widzianym. Oficer przekazał wiadomość i przez głośniki wkrótce usłyszeli odpowiedź.

- Tak. Trochę dalej przy drodze rośnie - kępa drzew. Od budki dzieli ją pewna odległość, ale mimo to widać stamtąd wszystko jak na dłoni.

- W porządku - rzekł Frost. - W takim razie niech poczekają na powrót tego faceta. Cholerny świat - zaklął głos, zanim dyżurny zdążył wyłączyć głośnik.

Frost oderwał celofan z drugiej już tego dnia paczki papierosów i puścił ją w obieg.

- Nie mamy zbyt wiele do roboty, dopóki ten gość się nie odezwie.

Martin z ponurą miną potrząsnął głową.

- Istnieją spore szanse, że tym razem pójdzie gdzie indziej.

Frost podrapał się po policzku i przez chwilę zajmował się wyłącznie wypuszczaniem zgrabnych kółeczek dymu.

- George, nie musisz być takim cholernym pesymistą tylko dlatego, że to ja jestem szefem tej operacji - odezwał się wreszcie. - Lepiej pomyśl, że szczęście się do nas uśmiechnęło. Jeśli chodzi o budki telefoniczne, to w ostatnim okresie mieliśmy doprawdy

imponującą liczbę aktów wandalizmu... Jeśli dobrze pamiętam, w ciągu kilku dni zgłoszono ponad szesnaście. Nasz gość może mieć pewne trudności ze znalezieniem innego działającego telefonu, więc dopóki Charlie Alpha dwa nie wpadnie na jakiś kretyński pomysł, na przykład nie włączy koguta, dopóty szanse złapania tego faceta na gorącym uczynku są całkiem spore.

- Po tych słowach odwrócił się do Mulletta, jakby nagle sobie o nim przypomniał. - Proszę o wybaczenie, sir. Zupełnie zapomniałem o pańskiej obecności.

Mullett wyszczerzył w uśmiechu równe białe zęby.

- W porządku, inspektorze. Chodzi o to, że lada moment spodziewam się telefonu od szefa policji, więc raczej wolałbym wiedzieć, jak panu poszło z tą Wendle.

- Och, szczerze mówiąc, to było bardzo interesujące doświadczenie. Odbyliśmy seans spirytystyczny... Zgodnie z tym, co mówiły duchy, nasz dzieciak nie żyje i jest pochowany w Dead Man's Hollow.

- Dead Man's Hollow? - wysapał Mullett, a w jego oczach zalśniło niezdrowe podniecenie. - I co? Poszedł pan tam popatrzeć?

- Tak, popatrzyliśmy na pokrywą śnieżną głębokości czterech stóp, która wyglądała dokładnie tak samo jak w każdym innym miejscu.

- Proszę natychmiast zorganizować grupę ludzi do kopania! - zawołał Mullett przez ramię, pospiesznie idąc ku drzwiom. - Ja idę dzwonić do szefa.

Kiedy drzwi zamknęły się, Frost nie wytrzymał.

- Co za kretyński pomysł! I bez tego mamy roboty od cholery! No dobrze, na odczepnego mogę zorganizować mu parę osób. Poproszę samych przyjaciół. Niech się ubiorą po cywilnemu, tylko niech włożą wysokie buty i zabiorą łopaty.

- Czy mam się tym zająć? - spytał Martin.

- Nie, George, sam to zrobię. Teraz moja kolej. - Zdjął z grzejnika parujący wciąż szalik i odezwał się do Clive'a:

- Synu, mam dla ciebie ważne zadanie. Skocz do kantyny i przynieś mi do biura dwie filiżanki herbaty. Pójdę tam, gdy tylko zamienię parę słów z sierżantem posterunkowym.

Odwrócił się i po chwili jego kroki rozległy się na korytarzu.

- Jak długo jeszcze ten głupol będzie tu rozkazywał?

- parsknął Clive.

W pokoju zapadła cisza.

- Czy pan coś mówił, detektywie posterunkowy? - Oczy detektywa sierżanta były zimne jak lód.

- W Londynie nie pracowałby nawet przez pięć minut.

- Powoli zaczynam rozumieć, dlaczego złamano ci ten cholerny nos, Barnard... A teraz idź i przynieś mu tę pieprzoną herbatę. I sprawdź, czy potrafisz to zrobić bez psioczenia.

Sierżant posterunkowy mógł odstąpić jedynie dwóch ludzi do pomocy przy kopaniu, ale gdy dowiedział się, że szef policji i komendant Mullett są zainteresowani wynikami przedsięwzięcia, od razu zaproponował jeszcze dwóch. Tak więc czterech „ochotników” zostało odesłanych z poleceniem ubrania się ciepło i zabrania z magazynów czterech łopat.

Frost wrócił do biura, żeby sprawdzić, czy jakaś dobra dusza ulitowała się nad nim i zabrała choćby niewielką część papierów, ale na biurku piętrzył się nowy stos dokumentów, przytrzymywany w miejscu przez kubek herbaty. Odruchowo wziął herbatę i leżące na wierzchu dwa prywatne listy ze stemplami miejscowej poczty, a potem oparł się o gorące żeberka grzejnika. Wkrótce z przemoczonych nogawek zniszczonych spodni zaczęły wydobywać się kłęby pary. Z roztargnieniem podniósł do ust kubek i nagle zdrzął z obrzydzenia. Herbata była lodowato zimna.

Ktoś pogmerał przy klamce. Przez szparę do środka wsunęły się dwie parujące filiżanki, a za nimi głowa Clive'a Barnarda. Barnard kopnięciem zamknął drzwi.

- Przepraszam, sir, że tak długo mnie nie było. Musiałem czekać, aż wpierv obsłużą chłopaków, którzy jadą do kopania.

Frost usiadł za biurkiem i z wdzięcznością upił łyk gorącego płynu.

- Myślałem, synu, że byłeś tu przede mną.

Zamieszał łyżeczką grubą warstwę leżącego na dnie cukru i nagle olśniło go, co oznaczała tajemnicza notatka na odwrocie starej koperty: „Sprawdzić ciotunię. Herbata”. Oczywiście - Farnham, stały klient pani Uphill. Dla kontrastu po zmudnych ćwiczeniach fizycznych za trzydzieści funtów miał wstąpić z odwiedzinami do leciwej cioteczki... Powinni sprawdzić tę historyjkę, ale tego nie zrobili. Clive będzie się musiał tym zająć, i to zaraz.

- Weź mój samochód, synu, a ja przejadę się vanem z ekipą grabarzy. Kiedy już porozmawiasz z naszą szacowną starowinką, przyjedź do Dead Man's Hollow, żeby przyłączyć się do zabawy. Założę się o każde pieniądze, że prędzej dokopujemy się do Australii, niż znajdziemy tam cokolwiek.

Nie zapomni o tej niewinnej uwadze. Kiedy nie miał racji, nie miał jej pod każdym względem.

Clive już trzymał rękę na klamce, kiedy Frostowi przyszła do głowy inna myśl.

- Wiesz co, chłopcze, ona jest pewnie stara i nerwowa, więc najlepiej będzie, jeśli zabierzesz ze sobą jakąś policjantkę. Weź tę samą co przedtem.

Clive wyraźnie pojaśniał.

- Hazel!

- Cholera! - zawołał Frost. - Nie mów, że dla odmiany raz zrobiłem tak, jak chciałeś... I nie pozwól, żeby ktoś cię przyłapał z uśmiechem na twarzy. Jeszcze gotowi pomyśleć, synu, że praca dla mnie sprawia ci przyjemność.

Kiedy drzwi się zamknęły, Frost rozerwał po kolei obie koperty, choć wiedział, że zajmuje się nimi wyłącznie po to, by jak najpóźniej zrobić to, co należało. Obie okazały się kartkami z życzeniami bożonarodzeniowymi. Rzucił je na biurko, a potem zacisnął zęby i otworzył górną szufladę po prawej stronie. Serce w nim zamarło, gdy ujrzał to, co spodziewał się zobaczyć.

Ktoś energicznie zastukał i drzwi stanęły otworem, zanim zdążył zawołać „proszę”.

- Przyszedłem po puste filiżanki, sir.

To był Keith Stringer, posterunkowy z biura administracji. Frost machnął ręką w stronę okna.

- Och, widzę, że jeszcze nie zdążył pan wypić herbaty, sir... - W głosie młodzieńca zabrzmiał lekki wyrzut.

W spojrzeniu Frosta kryło się zmęczenie.

- Wybacz, chłopcze, ale kiedy wróciłem do biura, była pieruńsko zimna. Zaczekaj chwilkę, dobrze? Postaw filiżanki... I zamknij drzwi.

Młody człowiek sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale zrobił, jak mu kazano. Frost kciukiem wskazał krzesło i posunął po blacie napoczętą paczkę papierosów.

- Usiądź i poczęstuj się.

- Nie palę, sir.

Inspektor mruknął coś pod nosem i wyjął papierosa dla siebie.

- Nazywasz się Keith, zgadza się? Keith Stringer?

- Tak jest, sir.

- Hmm...

Frost podrapał się po policzku, a potem zajął się układaniem dokumentów w zgrabny stosik. Na zewnątrz, na znajdującym się tuż pod oknem parkingu, ktoś zatrzasnął drzwiczki w samochodzie. Frost westchnął i ze smutkiem pokręcił głową.

- Przyznaj szczerze, synu, ile pieniędzy podebrałeś mi z szuflady... W zaokrągleniu do kilku funtów?

Stringer otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Przez moment patrzył w twarz inspektora, szukając na niej ukrytego uśmiechu... Oczywiście, to przecież musiał być żart. Ale

Frost spokojnie odwzajemniał jego spojrzenie, więc Stringer poderwał się z krzesła. Twarz płonąła mu z gniewu i nerwowo zagryzał wargi. Reakcją było uderzenie pięścią w blat biurka.

- Powiedziałem „siadaj” - warknął Frost. Młody funkcjonariusz opadł na krzesło. Dosłownie gotował się z wściekłości.

Inspektor wyciągnął z ust resztkę papierosa i odruchowo wepchnął niedopałek do kieszeni.

- Posłuchaj, synu. Pewnie uważasz mnie za bezużytecznego i zramolałego durnia, i być może masz rację, ale musiałbym być naprawdę niespełna rozumu, żeby nie rozwiązać tak prostej zagadki. Ktoś podbiera mi z biurka pieniądze... Pieniądze giną zwykle wtedy, gdy przynosisz mi herbatę...

Oczy młodego człowieka płonęły.

- Nie mam zamiaru siedzieć bezczynnie i słuchać pańskich obelg, sir. Natychmiast zgłaszam tę sprawę do Związku Zawodowego Policjantów, więc jeśli chce pan powiedzieć coś jeszcze...

Frost jednym zamachem strącił dłoń Stringera z klamki, złapał go za mundur i z powrotem popchnął na krzesło. Jego oczy wciąż miały łagodny i pełen wyrzutu wyraz, a głos nadal emanował spokojem.

- Sam zadzwonię do naszego komendanta, jeśli tego sobie życzysz, synu, i zażądam, żeby przeszukano ci kieszenie. Bo widzisz... Ja znałem te pieniądze...

Stringer wzdrygnął się i bez sił opadł na krzesło, jakby nagle uszło z niego powietrze. Cała krew odpłynęła mu z twarzy, a lekceważenie i opór znikły bez śladu. Teraz siedział cichy, skulony i uporczywie wpatrywał się w podłogę.

Drzwi uchylły się i do środka wsunęła się głowa sierżanta posterunkowego.

- Oni już są gotowi, Jack... - zdążył powiedzieć, ale zaraz potem wyczuł wiszące w powietrzu napięcie. Odwrócił się od bladego jak ściana posterunkowego w stronę postaci siedzącej sztywno za biurkiem. Frost z ponurą miną skubał bliznę na policzku.

- Dziękuję, sierżancie.

Wydawał się nie dostrzegać uniesionych w niemym pytaniu brwi, toteż sierżantowi nie pozostało nic innego, jak taktownie wycofać się i cichutko zamknąć za sobą drzwi. Inspektor przytknął zapalną do na wpół wypalonego papierosa i przysiadł na rogu biurka.

- Chodzi nie tylko o moje pieniądze, synu - oznajmił, wypuszczając nosem kłęby dymu. - Co powiesz o tym włóczędze, którego znaleźliśmy nieżywego? O tym biednym, starym skurwielu, któremu podebrałeś funta? Gdyby miał go przy sobie, być może znalazłby

jakieś schronienie na tamtą noc i wciąż by żył? Znaleźliśmy go na podłodze w drewnianej szopie, nie większej od trumny. Zamarzł na śmierć.

Policjant zakrył twarz rękoma.

Na ten widok Frost poczuł przyływ litości.

- Może to będzie dla ciebie pewnego rodzaju pocieszeniem, jeśli powiem, że nie wyobrażam sobie starego Sama, który marnuje cennego funta na takie głupstwa jak jedzenie czy spanie... Istnieją spore szanse, że wlał w siebie kilka butelek taniego wina i zapił się na śmierć, zanim mróz dobrał mu się do skóry, więc tak naprawdę jego zgon nie obciąża twojego sumienia... Natomiast obciąża je fakt, że Sam umarł, wiedząc, że został okradziony przez gliniarza, i że kiedy przyszedł do nas, żeby się poskarżyć, odesłaliśmy go do wszystkich diabłów, przy okazji solidnie znieważając... Mam nadzieję, że na myśl o tym czujesz się jak ostatnia świnia. Podobnie jak ja.

Stringer podniósł głowę.

- Co pan zamierza zrobić, sir?

Frost wyjął z ust niedopałek i jednym pstryknięciem posłał go do kosza na śmieci.

- To w znacznej mierze zależy od ciebie, synu. Lepiej opowiedz mi o wszystkim.

Telefon na biurku zadzwonił, więc Frost odebrał, rzucił do słuchawki krótkie „później” i odłożył ją na widelki. Młody mężczyzna nadal wpatrywał się w podłogę, a jego usta drżały ze zdenerwowania. Nie odezwał się ani słowem.

- Pomogę ci zacząć, synu... Wiesz, jestem beznadziejnym kierowcą. Zawsze kiedy prowadzę samochód, patrzę wszędzie, tylko nie na drogę. Widzę mnóstwo rzeczy, które w danym momencie nie mają żadnego znaczenia, ale upycham je gdzieś w zakamarkach mózgu na wypadek, gdy miały się przydać w przyszłości. Przynajmniej kilka razy zauważyłem, jak wychodziłeś z punktu przyjmowania zakładów należącego do Sammy'ego Jacobsa. Oczywiście nie ma nic złego w robieniu zakładów, naturalnie pod warunkiem, że wie się, kiedy przestać... i że przychodzi się tam w godzinach pracy. A ja widziałem, jak wychodziłeś stamtąd w czasie, gdy punkt był zamknięty.

- Jestem mu winien prawie czterysta funtów - wyszeptał Stringer ze wzrokiem wbitym w podłogę. Frost gwizdnał przeciągle.

- Cztery stowy! Zwrot długu zajmie ci cholernie dużo czasu, zakładając, że będziesz korzystał z tych marnych pensów zabranych z mojej szuflady i z nędznego funta, którego od czasu do czasu ukradniesz pijanemu lumpowi.

- Płacę mu dwadzieścia funtów tygodniowo, sir. Muszę dawać pieniądze mojej matce na utrzymanie, poza tym spłacam raty za samochód... Na własne wydatki zostaje mi jedynie parę funtów.

- Rozumiem. Każdy ukradziony drobiazg jest więc dla ciebie prawdziwym darem niebios... Wielka szkoda, synu, że nie przyszedłeś i nie opowiedziałeś mi o wszystkim. Mam na Sammy'ego Jacobsa więcej niż trzeba, żeby zamknąć mu gębę na kłódkę. Ale to chyba nie wszystko, prawda?

- Nie. - Stringer znowu opuścił głowę. - Jacobs powiedział mi, że dwie dychy na tydzień to za mało. Żądał większej sumy i zagroził, że w przeciwnym razie pójdzie do komendanta. Nie mam takiej forsy.

Frost pociągnął nosem.

- Przypuszczam, że zaproponował jakieś rozwiązanie?

- Tak jest, sir. Chciał otrzymać pewną informację. Powiedział, że jeśli ją dostarczę, mogę zapomnieć o długu.

Inspektor nagle poczuł, jak narożnik biurka zaczyna go uwierać w pośladek. Wstał i roztarł obolałe miejsce. - Jaką informację?

- Chciał wiedzieć, kiedy zamierzamy wycofać stójkowego z normalnej trasy, żeby obserwował wejście do banku Bennington. Jak pan wie, ma się to stać dzisiejszej nocy.

- Powiedziałeś mi o tym? - Tak.

Frost klasnął z uciechy i natychmiast wykręcił wewnętrzny numer detektywa sierżanta Hanlona.

- Cześć, Arthur! Tu Jack Frost. Mam dla ciebie niezbyt przyjemną wiadomość. Dzisiejszą noc będziesz musiał spędzić bez swej uroczej połowicy. To ostrzeżenie - chodzi o coś istotnego. Ta cała afera z bankiem Bennington miała być jedynie pułapką; chodziło o ściągnięcie naszego człowieka ze zwykłej trasy, żeby ktoś inny mógł bez przeszkód wykonać swoją robotę. Nie znam żadnych szczegółów, więc trzeba to mądrze rozegrać. Najlepiej udawać, że o niczym nie wiemy. Posterunkowy zatrzyma się przed bankiem, ale ty i paru twoich najlepszych ludzi przyczaicie się w miejscu, gdzie powinien być - powiedzmy - między drugą a trzecią w nocy... Arthurze, gdybym znał dokładny adres, to przecież bym ci go podał! Nawet ja nie jestem aż tak ograniczony! Nie, biorąc pod uwagę, że wciąż szukamy tego dzieciaka, nie mamy nikogo do odstąpienia... Trzymam kciuki, żeby wszystko poszło po waszej myśli. Będziemy w kontakcie.

Odwrócił telefon, ciągnąc za sznur, i postawił z powrotem na miejsce.

Kiedy spojrział, Stringer siedział już prosto. Najwyraźniej zdołał wziąć się w garść.

- Co teraz będzie, sir? Frost wzruszył ramionami.

- To całkowicie zależy od ciebie, synu. Ja i tak mam za dużo na głowie: zaginione dzieciaki, żądania okupu, rozmowy z duchami... Powiem bez ogródek. Jesteś cholernym durniem, że dałeś się przyłapać na gorącym uczynku takiemu staremu, tępemu kretynowi jak ja, co najlepiej świadczy, że nie grzeszysz nadmiarem rozumu, prawda? Jeśli chcesz uniknąć kłopotów, nigdy nie pozwól sobie na to, żeby taki kanciarz jak Sammy Jacobs mógł cię szantażować. Czy chcesz dalej pracować w policji?

- Tak, sir.

- No to skończ z tym i pamiętaj, że od dziś masz się zachowywać jak należy. A od czasu do czasu możesz zwrócić jakiś drobny pieniążek z tych, które zabrałeś. Górna szuflada po prawej stronie zawsze jest otwarta... Wszelkie datki będą mile widziane.

Telefon na biurku zabrzączał niecierpliwie. Dzwonił sierżant posterunkowy.

- Frost. Och, dzięki. Już idę. Co? Nie, to były prywatne sprawy... Nic, co dotyczyłoby kogokolwiek poza nim i mną... Dobrze, powiem mu.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na siedzącego przed nim młodzieńca.

- Lepiej wracaj do pracy, synu. Sierżant posterunkowy ma dla ciebie jakąś robotę.

- Tak jest, sir... Bardzo dziękuję...

Ale Frost zdążył już wyjść. Z korytarza dobiegało dudnienie jego kroków. Stringer drżącymi rękoma pozbierał filizanki. Czuł, że za chwilę jak ostatni gówniarz wybuchnie płaczem. Otwarta na oścież szuflada biurka gapiła się na niego oskarżycielsko, gdy ostrożnie skradał się w kierunku drzwi.

*

Van wpadał co chwila na przykryte śniegiem wyboje. Dwaj policjanci siedzący z tyłu i wyposażeni w łopaty i zwoje brezentu klęli ile wlezie, bo co chwila ślizgali się na siedzeniach albo zderzali głowami. Frost, uwięziony między kierowcą a młodym, wąsatym policjantem, mógł jedynie przy każdym szarpnięciu wydawać jednoznaczne chrząknięcia.

- Zaparkuj przy tamtych drzewach - powiedział. - Dalej pójdziemy pieszo.

Młody policjant z wąsami wyglądał lekko nieswojo.

- Co ci jest, synu? Zrobiło ci się niedobrze? Odpowiedziało mu energiczne kręcenie głową.

- Nie, sir... Chodzi o to, że nie bardzo podoba mi się pomysł odkopywania czyichś zwłok.

Frost prychnął z pogardą.

- Jest zima, synu, a nie upalne lato. Psiakrew, pamiętam mojego pierwszego umarlaka. Był w stanie zaawansowanego rozkładu i w dodatku nieźle nadgryziony... Połowa twarzy zeżarta przez szczury, a do tego to potworne, lepkie gorąco... Wtedy dałbym wszystko za jakieś miłe, świeżutkie zwłoki przy mroźnej, rześkiej pogodzie. Nawet nie wiesz, bracie, jakim jesteś szczęściarzem.

Brnęli przez zasy, zapadając się w śnieg powyżej kolan, zalegający całe Dead Man's Hollow. Frost klął teraz własną bezmyślność, że nie okazał się wystarczająco przewidujący, by zabrać buty z cholewami. Cała reszta towarzystwa, ubrana stosownie do okoliczności, ze stoickim spokojem posuwała się za swoim dowódcą.

- W porządku. Po pierwsze musimy usunąć cały śnieg. Śnieg był lekki i puszysty jak wata cukrowa, ale było go tak dużo, że praca - męcząca i przynosząca niewielką satysfakcję - wkrótce dała się im we znaki. Jednak w końcu śnieg został odgarnięty i spiętrzony w hałdach na brzegu kotliny.

- Co teraz, sir? - spytał kierowca. Oparł się o łopatę, z trudem łapiąc oddech.

- Nie patrz na mnie, synu, jakbym wszystko wiedział - warknął Frost. - Według mnie to cholerna strata czasu, ale nie powiem tego prosto w twarz naszemu ukochanemu komendantowi, bo nie zamierzam ryzykować, że pominie mnie przy wysyłaniu kartek z życzeniami. Jak tam wygląda ta ziemia?

Kierowca uderzył w ziemię ostrzem łopaty. Zadzźwięczała metalicznie. Kopanie w czymś tak twardym musiało być kurewsko ciężkim zadaniem.

Frost podciągnął szalik tuż pod oczy.

- Szturchnijcie w paru miejscach, chłopcy. Jeśli ktoś tu ostatnio kopał, musiał zostawić ślady.

Przez dziurę między fałdami szalika wsadził do ust papierosa i przyglądał się, jak funkcjonariusze pracują. Palce u stóp zmarzły tak bardzo, że zaczynały boleć.

Nagle usłyszał podekscytowany głos.

- Inspektorze!

Strumień światła z latarki wy dobył z mroku porwane podłoże... Świeża ziemia została zmieszana z na wpół zgniłymi liśćmi w miejscu, gdzie ktoś przewrócił górną warstwę gleby. Ten skrawek mógł mieć około osiemnastu cali kwadratowych. Kopacze zgromadzili się dookoła, żeby obejrzeć znalezisko.

- No dobra - warknął Frost, chowając ręce do kieszeni w poszukiwaniu odrobiny ciepła. - Na pewno nie zrobi się większa od tego, że będziecie się na nią gapić. Zabierajcie się do łopat.

- Za mało tu miejsca na grób - ośmielił się powiedzieć ten z wąsami.

- Rzeczywiście jest dość mały - zgodził się Frost. - Ale to wszystko, co mamy.

Policjant ostrożnie zaczął odgarniać ziemię, a strumień światła z latarki śledził każdy jego ruch, jak gdyby był jakimś cholernym artystą występującym na scenie.

Inspektor zupełnie stracił zainteresowanie dla sprawy.

- Przy naszym szczęściu zaraz okaże się, że to jakieś tymczasowe wysypisko śmieci. Jeśli tak, to możecie moją dolę podzielić między siebie.

Mróz znalazł drogę między zawojami szalika i teraz bezlitośnie szarpał szramę na policzku. Wiatr na nowo zaczął swój delikatny lament, szumiąc i pojękując wśród gałęzi.

- Trafiłem na coś! - zawołał kopacz, a po chwili dodał zupełnie innym tonem: - Sir...

Frost obrócił się dookoła własnej osi. Papieros wyleciał mu z ust.

Światło latarki wydobywało z mroku pewien kształt - poźółkły, pokryty warstwą zeskorupiałego brudu, lecz jednak niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek innym.

Nad ziemią sterczały kości ludzkiej ręki.

Frost pierwszy przerwał zatrwożoną ciszę.

- Niech to diabli! - zaklął pod nosem. - Tylko tego było nam trzeba!

Kierowca opadł na kolana, żeby z bliska obejrzyć znalezisko.

- To na pewno ludzkie kości, sir.

- No jasne, że ludzkie! Ktoś inny miałby tyle szczęścia, żeby znaleźć tu zdechłą krowę albo gnijącego konia, ale ja oczywiście musiałem trafić na ludzkie szczątki!

Gleba była zmarznięta do tego stopnia, że nie można jej było ruszyć łopatami, więc jeden z policjantów został wysłany do samochodu z poleceniem przyniesienia paru motyk i podania przez radio wiadomości do centrum operacyjnego, że jeśli chodzi o Tracey Uphill, to niestety duchy podały niewłaściwy trop.

Gdzieś z oddali doleciał odgłos zatrzymującego się samochodu, a potem coraz głośniejszy szmer czyjejs rozmowy. Jeden z głosów wyraźnie należał do kobiety, należało więc przypuszczać, że to detektyw posterunkowy Clive Barnard i szeregowka Hazel Page.

- Witam, sir... Czy coś udało się znaleźć? - spytał Clive.

- Rękę - odparł krótko Frost. - A czemu... Czemu pytasz? Zgubiłeś tu jakąś kończynę?

Kopacze usunęli się z drogi, żeby nowo przybyli mogli rzucić okiem na znalezisko.

- No dobrze, jak już skończycie podziwiać, to może powiecie, co tam słychać u drogiej ciotuni?

Clive milczał przez dłuższą chwilę, żeby podkreślić dramatyczny wydźwięk tego, co miał do powiedzenia.

- Farnham nie pokazywał się u ciotki przez ostatnie trzy tygodnie. Nie zajął tam również w zeszłą niedzielę.

Frost zapalił następnego papierosa.

- Gdy tylko go zobaczyłem, wiedziałem, że to cholerny kłamca. Nigdy nie należy ufać lubieżnikom! No i oczywiście trzeba unikać ich towarzystwa.

- Czy mam go wezwać na przesłuchanie, sir? Po krótkim namyśle Frost pokręcił głową.

- Nie, niech do jutra trochę się spoci. Bardziej interesuje mnie ta starucha, Martha Wendle. Skąd wiedziała, że w tym miejscu zakopane są czyjeś zwłoki?

- Ona przecież jest jasnovidzem, sir.

- Gdyby nie było z nami damy, powiedziałbym „kurwa mać” - odwarknął Frost. - Nie wierzę w żadne pieprzone duchy. W Świętego Mikołaja także nie. Ta cholerna baba doskonale się orientowała, co tu jest, a ja chcę wiedzieć skąd.

Nagle rozległ się jakiś hałas, a po nim usłyszeli wiązkę soczystych przekleństw. To policjant wracający z motykami poślizgnął się i upadł. Kuśtykając żałośnie, podszedł do nich, rozdzielił motyki i przekazał inspektorowi, że centrum przyśle za chwilę lekarza i ambulans.

- Lekarza? - Frost ze zdumienia o mało nie zgubił papierosa. - Och, tak! Przypuszczalnie nie potrafimy zorientować się, czy ten gość żyje, czy nie! Jesteśmy do tego stopnia tępi, że nie rozpoznajemy umarłaka, nawet kiedy widzimy go na własne oczy... W porządku, chłopcy, przykryjcie ciało. Być może pan doktor będzie chciał przebadać go stetoskopem.

Odkopywanie zwłok szło dość ciężko, nawet przy użyciu motyk, zwłaszcza że musieli posuwać się ostrożnie, żeby nie naruszyć ułożenia kości.

- Jak pan myśli, kto to był? - pytała Hazel.

- To pewnie jakiś cholerny lump, który wślizgnął się tutaj i umarł, co mogło nastąpić wiele lat temu. Nikt go nie szukał, nikt za nim nie tęsknił, ale my będziemy musieli zawracać sobie głowę, żeby ustalić jego tożsamość!

Hazel głębiej schowała twarz w kołnierz ciepłego płaszcza.

- Raczej trudno będzie teraz ustalić przyczynę zgonu, sir.

Frost skinął głową.

- Racja, kochanieńka. Policjny chirurg lubi mieć na kościach znacznie więcej mięsa niż tutaj widzimy. A to mi o czymś przypomina... Czy kiedykolwiek opowiadałem wam o tym, jak musieliśmy wynieść z domu pewną tłustawą damulkę, która umarła w kąpieli? Była całkiem nagusieńka i...

Clive postanowił przerwać, zanim Frost rozkręci się na dobre. Inspektor najwyraźniej zapomniał o obecności kobiety.

- Ale jeśli śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych, to kto go pochował i czemu w takim miejscu?

Coś miękkiego spłynęło z nieba i delikatnie musnęło kark inspektora. Znowu zaczął padać śnieg. Frost zaproponował Hazel, żeby wróciła do auta i skontaktowała się z centrum operacyjnym, prosząc o przysłanie tego samego namiotu, który rano został wykorzystany przez ekipę przeczesującą jezioro. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że nie odpowiedział na pytanie Clive'a.

- Pytasz, synu, kto go pochował. Nikt, jak sędzę. Liście i gleba w naturalny sposób utworzyły nad nim kopiec, a ponieważ rzadko kto zachodzi do tej części lasu... Ta kotlina cieszy się taką samą reputacją jak toalety na High Street.

- Ale przecież ktoś musiał tędy przechodzić - upierał się Clive. - Sam pan rozumie... Zwłoki...

- Tu, w Denton, nie jesteśmy tak wścibscy jak wy tam, w Londynie. Zresztą nie zapominaj, że po paru dniach musiał śmierdzieć gorzej niż skunks, a to wystarczyło, żeby skutecznie odstraszyć każdego, kto wcześniej zwalczył obawę przed zmijami. Ludzie pewnie myśleli, że to jakieś zdechłe zwierzę, i omijali go z daleka.

Rozorana motykami ziemia była teraz delikatnie odsuwana na bok. Nagły okrzyk posterunkowego sprawił, że Frost znów popędził w tamtą stronę.

- Co pan o tym sądzi, sir?

Frost nic nie sądził. Nadgarstek nieboszczyka otaczała metalowa opaska, do której przymocowany był kawał łańcucha. Drugi jego koniec nikał w ziemi i żadne uderzenia motyką nie mogły go oswobodzić.

A potem zdarzyło się coś jeszcze bardziej zadziwiającego. Zeskrobując ziemię, odsłaniali coraz dłuższy odcinek kości, ale gdy dotarli do łokcia, ręka nagle się skończyła.

W ziemi nie spoczywał kompletny ludzki szkielet, lecz zaledwie fragment przedramienia, przykuty do łańcucha metalową opaską...

Frost zdecydował, że jakieś zwierzę musiało oderwać ramię i zawlec gdzieś dalej, więc kopacze rozproszyli się po terenie w poszukiwaniu reszty zwłok.

Z nieba sypały się wielkie, miękkie płatki. Wkrótce cały obszar wykopalisk znów znajdzie się pod warstwą białego puchu. Gdzieś w dali trzasnęły drzwiczki samochodu i wszyscy mieli nadzieję, że to obiecany namiot. Jednak wkrótce okazało się, że podskakujące

w rytm kroków światło, które zbliżało się ścieżką, trzymane było przez doktora McKenziego, okrąglego jak beczułka policyjnego chirurga.

- Kto tu dowodzi? Och, to pan, inspektorze Frost... Powinienem był się domyślić. Jeśli już koniecznie chciał pan znaleźć zwłoki w tej zapomnianej przez Boga dziurze, to dlaczego musiało się to stać akurat podczas burzy śnieżnej?

Wytarł śnieg z grubych okularów, zerknął na odkopane ramię, a następnie pokręcił głową.

- Obawiam się, że za późno mnie wezwaliście... Parę minut wcześniej i mógłbym go uratować.

- Próbowaliśmy sztucznego oddychania, ale drań wsadził mi palec do nosa - odparł cierpko Frost. - No dobrze, doktorze, szkoda czasu. Przybliżony czas zgonu?

Doktor oblizał płatek śniegu, który przyczepił się mu do czubka nosa.

- Wiesz tak samo jak ja, Jack... Ładnych kilka lat temu. Dziesięć, może dwadzieścia, być może dłużej. Dokładnej odpowiedzi może udzielić jedynie patolog.

Frost złapał go za rękę i odprowadził na bok, żeby inni nie mogli ich usłyszeć.

- Czy naprawdę potrzebny jest patolog, doktorze? Czy nie może pan stwierdzić, że gość umarł z przyczyn naturalnych, i zostawić tę sprawę w spokoju? Prawdę mówiąc, mam teraz tyle na głowie, że mógłbym nie wychodzić z pracy przez miesiąc, nawet jeśli będę solidnie przykładął się do roboty, co raczej rzadko mi się zdarza. Ostatnią rzeczą, jakiej mi trzeba, to żeby ktoś suszył mi głowę z powodu faceta, który pewnie nie żyje od stu lat.

I jako łapówkę zaproponował doktorowi papierosa.

Z sąsiedztwa dobiegały posapywania i metaliczne odgłosy uderzeń motyką. Doktor wziął papierosa i zaciągnął się z prawdziwą przyjemnością.

- Jack, ja nie mogę stwierdzić, że zgon nastąpił z przyczyn naturalnych... Po pierwsze, w jaki sposób wytłumaczysz ten łańcuch na nadgarstku? Zresztą zanim wyda się jakąś opinię, trzeba zobaczyć coś więcej niż tylko połowę przedramienia. W tym wypadku będzie to wymagało wszelkiego rodzaju testów i gruntownych analiz. Twoi chłopcy z medycyny sądowej powinni bez problemu sobie z tym poradzić. Ja jestem tylko lekarzem ogólnym i jeśli mam do czynienia z czymś więcej niż złamana kość albo zatwardzenie, to sprawa mnie przerasta. Dam ci list do specjalisty, bo właśnie tego ci potrzeba - specjalisty.

Zaniósł się kaszlem, nie wypuszczając papierosa z ust, przez co obsypał inspektora gorącym popiołem.

- Jadę do domu. Dam ci znać, jak raport będzie gotowy.

- Jaki raport? - zdenerwował się Frost. - Przecież nawet go nie zbadałeś!

Ale doktor już wszedł na ścieżkę.

- Musisz tu ściągnąć patologa. Pada coraz mocniej, a poza tym on dostanie za to znacznie więcej forsy niż ja.

Frost sklął w duchu kumpla, który zostawia go na pastwę losu, uprzednio pozbawiwszy cennego papierosa. Wtedy zaczął krzyżeć ten z wąsami. Udało mu się znaleźć coś, co wyglądało na resztę szkieletu. Kości spoczywały mniej więcej w odległości ośmiu stóp od odciętej ręki. Clive biegiem wrócił do samochodu, żeby zażądać przysłania patologa, i w połowie drogi spotkał mężczyzn niosących namiot.

Zanim patolog oraz reszta zespołu z medycyny sądowej zjawili się na miejscu, namiot został ustawiony. Wiatr natychmiast skorzystał z okazji, by wyszukać najsłabsze punkty; brezent łopotał przy każdym mocniejszym uderzeniu, wydając przy tym dźwięki do złudzenia przypominające huk wystrzałów.

Patolog - wysoki mężczyzna w długim czarnym płaszczu, w którym przypominał raczej przedsiębiorcę pogrzebowego niż lekarza - przyprowadził swoją sekretarkę, przywiedłą piękność z podpuchniętymi oczyma, która rejestrowała wszystkie komentarze mistrza za pomocą skomplikowanych pętli i haczyków, zgodnie z zasadami stenografii ustalonymi przez sir Isaaca Pitmana. Patolog najwyraźniej uważał żelazną bransoletkę i łańcuch za coś znacznie bardziej interesującego niż szczątki jakiegoś tam człowieka.

- Chciałbym wiedzieć, inspektorze, co jest na drugim końcu łańcucha.

Pracowity specjalista z sądówki od razu zabrał się do roboty; wyćwiczonymi, precyzyjnymi ruchami czyścił szkielet, dopóki cały łańcuch nie został odsłonięty, co umożliwiło porządne uchwycenie go. Po solidnym szarpnięciu zmarznięty grunt wypuścił ze swych objęć następne trzy stopy żelastwa, zatrzymując całą resztę. Nastąpił kolejny etap żmudnego dłubania rydlem, a następnie wgrzyzania się w głąb ziemi za pomocą motyki.

Koniec łańcucha okazał się przymocowany do metalowej skrzyneczki o wymiarach dwa i sześć dziesiątych na jeden i sześć dziesiątych cala, i głębokości czterech cali.

Frost pociągnął patologa za rękaw. Wydawało mu się, że wie, co to jest.

- Doktorze, czy to możliwe, że ta skrzynka leży tu od czasu wojny?

Wielkolud skrzywił się, słysząc, jak ktoś zwraca się do niego per „doktorze”.

- Całkiem możliwe. Ale jeszcze nie miałem szansy przeprowadzenia testów, a bez nich trudno cokolwiek powiedzieć. Dlaczego pan pyta?

- Bo chyba wiem, do czego to służyło. To rodzaj takiej specjalnej walizeczki z metalu, których w czasie wojny używano do przesyłania poufnych dokumentów, a dla większego bezpieczeństwa przymocowywano do nadgarstka kuriera. W czasie Bitwy o Anglię w

okolicach Denton wydarzyło się kilka katastrof lotniczych, zarówno angielskich, jak i niemieckich maszyn. Może on został wypchnięty - albo po prostu wypadł - z samolotu, który eksplodował w powietrzu?

Patolog zagryzł dolną wargę i, głęboko zamyślony, ssał ją przez pewien czas.

- I znowu całkiem możliwe. Nie jest powiedziane, jak długo te zwłoki tutaj leżą.

Ukląkł na jedno kolano i spróbował zdrapać trochę brudu z żebra nieboszczyka.

- Gdyby faktycznie wypadł z samolotu, powinien mieć połamane kości, ale dopóki możemy zetrzeć trochę tej zeskorupiałej ziemi... - Wstał, wycierając starannie czubki palców.

- Kiedy będzie całkiem odkopany i sfotografowany, każę go zabrać do laboratorium na dokładne badanie. Wtedy będziemy mogli mówić o faktach, zamiast snuć jakieś teorie. Och, poza tym chciałbym, żebyście zebrali ziemię dookoła szkieletu i także przekazali do testów laboratoryjnych.

- Całą? - spytał niewinnie Frost.

- No cóż... Z tego miejsca, gdzie leżało przedramię i reszta ciała... Powiedzmy, do głębokości mniej więcej trzech stóp.

Resztką papierosa wypadła z ust inspektora.

- Czy wie pan, doktorze, że to oznacza cholernie dużo kopania?

- Owszem - przytaknął wysoki mężczyzna, naciągając rękawiczki. - Ale to nieodzowne. Aha, i proszę przedstawić mi kompletną listę katastrof lotniczych, jakie zdarzyły się w tych okolicach podczas wojny.

- Oczywiście, doktorze. - Frost już zastanawiał się, gdzie do jasnej cholery można uzyskać tak bezużyteczną informację. Wydał rozkazy ekipie kopaczy, a potem razem z Clive'em pospiesznie umknął gdzieś na bok, zanim patolog zdołał wymyślić im kolejne głupie zadania.

Wiatr zasypywał ich garściami śniegu, gdy z trudem posuwali się w stronę samochodu, gdzie czekała Hazel. Było mnóstwo telefonów do inspektora, zameldowała. Czy oddzwoni?

- Tu centrum operacyjne. Inspektorze, czy może pan od razu wracać na posterunek? Komendant pilnie życzy sobie pana widzieć.

Frost jęknął w duchu. Cholera jasna, pomyślał, czy znowu coś zrobiłem nie tak?

*

Mullett dosłownie gotował się z wściekłości. Nie poczekał nawet, aż Frost zamknie drzwi.

- Znalazłem to na pańskim biurku, inspektorze! - wrzasnął i wysoko podniósł białą kopertę zawierającą statystyki przestępstw. Frost popatrzył na nią z prawdziwym przerażeniem, a następnie ciężko opadł na krzesło. Klął w duchu samego siebie, a tym cichym przekleństwom towarzyszyły gwałtowne wrzaski Mulletta. Te cholerne statystyki! Wczoraj wieczorem w ekstazie zbierania do kupy wszystkich pieprzonych drobiazgów zupełnie zapomniał o wysłaniu listu. I oczywiście ten wścibski skurwiel musiał go znaleźć...

Mullett przechodził sam siebie. On, komendant posterunku, złożył solenną obietnicę w kwaterze głównej hrabstwa, osobiście poinstruował Frosta o konieczności jak najszybszego wysłania statystyk, a teraz musi znosić wstrętą, upokarzającą świadomość, że nie potrafi od podwładnych wyegzekwować wypełnienia rozkazów i że wszyscy o tym wiedzą.

Frost przymknął oczy i pozwolił, żeby ten potok gorzkich słów spływał po nim jak woda po gęsi. Czy ta cholerna kukła, która służy krawcom w charakterze manekina, nie ma nic lepszego do roboty, niż wsadzać swój wścibski nochal w papiery walające się po cudzych biurkach? A jeśli jest tak piekielnie sprytny, to jakim cudem nie zorientował się, kto rozwalil błotnik w jego nowiutkim samochodzie?

Nieśmiałe pukanie do drzwi przerwało w połowie szczególnie wyszukaną inwektywę; po chwili do gabinetu zajrzała panna Smith, żeby życzyć komendantowi dobrej nocy. Nie było potrzeby patrzeć na zegar - wiadomo, że wskazówki pokazywały właśnie dziesięć minut po godzinie szóstej. Wściekłym ruchem Mullett porwał z biurka kopertę i wręczył ją sekretarce.

- Panno Smith, inspektor Frost kolejny raz okazał się całkowicie niezdolny do wykonania nawet najprostszego rozkazu. Niech będzie pani łaskawa w drodze powrotnej do domu wrzucić to do którejś ze skrzynek pocztowych.

Frost za plecami komendanta przesłał jej całusa, więc spłonęła krwistym rumieńcem i pospiesznie wycofała się z gabinetu.

Wtedy Mullett przystąpił do ataku.

- Przypadkiem zauważyłem, inspektorze, że akta sprawy kradzieży elektroniki wciąż spoczywają na pańskim biurku. O ile mogłem się zorientować, nie poczynił pan w tej sprawie żadnych postępów.

Cholerny durniu, czy nie masz nic lepszego do roboty, jak tylko węszyć po cudzych biurkach, pomyślał Frost, ale głośno powiedział coś całkiem innego.

- Obiecuję, szefie, że zabiorę się do tego, jak tylko znajdę czas.

- Lepiej niech pan znajdzie, inspektorze, to dość pilne. A teraz proszę mi opowiedzieć, co pan odkrył w Dead Man's Hollow? Obiecałem zadzwonić do szefa policji.

Gdy dowiedział się o znalezieniu szkieletu, twarz pociemniała mu z gniewu.

- Tylko tego nam teraz trzeba - warknął, jakby to wszystko było wyłączną winą Frosta.

- Mogę go zakopać z powrotem, jeśli pan sobie życzy - zasugerował Frost. - Odkryjemy go jeszcze raz, kiedy zdarzy się zastój w interesach. Czy ma pan do mnie coś jeszcze? - dodał.

I żeby uprzedzić odpowiedź, odsunął krzesło.

- Jakież dalsze informacje na temat kidnapera?

- Jeszcze nie zdążyłem zajrzeć do centrum operacyjnego. Przyszedłem prosto tutaj, kiedy tylko dostałem pańską wiadomość, bo pomyślałem, że naprawdę chodzi o jakąś pilną sprawę.

Wyszedł, zanim oniemiały ze zdumienia Mullett zdążył obmyślić stosowną reprimendę.

W centrum operacyjnym panował spokój i idealny porządek. Dyżurny odbierał co chwila telefony, a z głośników płynął szmer rutynowych rozmów. Frost od razu skierował się do George'a Martina, który właśnie poprawiał plan na jutrzejszy dzień - na wypadek nagłego pogorszenia pogody.

- Wszędzie spokój, Jack. Kilka zespołów przeszukuje niedokończony sektor w Burghley Estate, ale na razie niczego nie znaleźli.

- To znaczy, że mają więcej szczęścia niż ja. - Frost westchnął. - A co z taśmą rejestrującą rozmowy telefoniczne?

- Głucha cisza.

- Czy tamta budka wciąż jest pod obserwacją? - Tak.

- Słyszałeś już o tym cholernym szkielecie?

Martin zaśmiał się. Oczywiście, że słyszał. Nagle odwrócił głowę, jakby przypomniał sobie o czymś kłopotliwym.

- Rozmawiałeś już z Jonniem Johnsonem?

- Nie... A czemu?

- Eee... Bo chciał się z tobą zobaczyć. I Frost już wiedział, że będą kłopoty.

Stał w kantine w kolejce po herbatę, gdy przy stoliku w kącie mignęła znajoma para podwiniętych wąsików. Zabrał z lady swoją filizankę i spokojnie ruszył w tamtą stronę.

- Cześć, Johnnie. - Witaj, Jack. Siadaj, proszę.

Tak, zdecydowanie szykowały się jakieś kłopoty... Sierżant uporczywie unikał jego wzroku i sporo czasu poświęcił na staranne rozmieszanie cukru.

- O co chodziło z tym małym Stringerem? - zapytał w końcu.

- Och... To była taka prywatna pogawędka, Johnnie, nic, co mogłoby cię interesować. Czy właśnie o tym chciałeś rozmawiać?

- Nie, Jack... - Johnnie odsunął na bok herbatę. - Powiedz mi, czy wysłałeś wczoraj do hrabstwa zestawienie przepracowanych nadgodzin?

Frost zamarł z filiżanką tuż przy ustach.

- O Boże...

- Na litość boską, Jack, mija już drugi miesiąc! Zadzwońłem dziś do hrabstwa, żeby to sprawdzić, ale powiedzieli, że nic nie przyszło. W zeszłym miesiącu zmuszeni byli podjąć specjalne kroki, żeby twoi ludzie dostali pieniądze na czas. Krótko mówiąc, zaangażowali kogoś, żeby o trzeciej nad ranem zrobił obliczenia i wstukał dane do komputera. Powiedzieli wtedy, że to ostatni raz.

Frost pełnym zmęczenia gestem przesunął rękoma po twarzy. Blizna znowu dawała mu się we znaki.

- Johnnie, wiesz przecież, jak dobry jestem w zajmowaniu się papierami. Kiedyś było inaczej. Wszystkie zgłoszenia dotyczące nadgodzin przekazywałem dalej bez żadnego sprawdzania, bo miałem zaufanie do swoich ludzi, ale potem ten głupi skunks z kwatery głównej, Davidson, odkrył cały mechanizm i dostałem po głowie. Teraz mam obowiązek sprawdzać wszystkich razem i każdego z osobna, a to zabiera sporo czasu.

Johnson wyciągnął woreczek z tytoniem.

- Ale ty miałeś dość czasu, Jack.

- W porządku. Tylko że nie znoszę takiej roboty. - Aż zakręciło mu się w głowie, gdy pomyślał o wielu innych zadaniach, których nie wykonał z tego samego powodu. - Przypuszczam, że nie będą chcieli dostać podwójnej doli w przyszłym miesiącu?

Johnnie Johnson zapalił skręconego ręcznie papierosa.

- Oczywiście, że nie, i nawet nie można ich za to winić. Ludzie i tak stracili już w tym roku pieniądze z dwóch miesięcy tylko dlatego, że zapomniałeś odesłać formularze. To nie w porządku, żeby ktoś cierpiał przez twoje brakoróbstwo. Chłopcy pracują na okrągło i nie robią tego z dobrego serca. Nawiasem mówiąc... - odwrócił spojrzenie - ...w tej sprawie została złożona oficjalna skarga.

Frost wzdrygnął się, jakby przed chwilą ktoś go uderzył.

- Do kogo?

- Do mnie, Jack. Zapomniałeś, że jestem przedstawicielem Związku Zawodowego Policjantów?

- Więc uważają mnie za takiego gnoja, że nikt nie przyszedł z tym do mnie? Johnnie pokręcił głową.

- Wręcz przeciwnie, Jack. Za bardzo cię lubią. Poza tym ty byś obrócił wszystko w żart, a oni zostaliby bez pieniędzy.

Papieros nie chciał się palić, więc Johnnie musiał kilka razy mocniej pociągnąć.

- Chciałem cię uprzedzić, że ponieważ skarga została złożona oficjalnie, jutro rano muszę przedstawić tę sprawę komendantowi - dodał, przyglądając się mizernym dekoracjom świątecznym, które wisiały pod sufitem.

Frost przemówił spokojnym tonem, w którym brzmiała ledwo dostrzegalna nutka błagania.

- Johnnie, spełnisz jego najskrytsze pragnienia. On tylko czeka na jakiś prawnie uzasadniony pretekst, żeby wywalić mnie stąd na zbity pysk.

Sierżant podniósł się z miejsca.

- Musiałem ci o tym powiedzieć, Jack. Nie mógłbym zrobić czegoś podobnego za twoimi plecami... - Przez moment zastanawiał się nad czymś, a potem mocno uściskał Frosta.

- Wybacz, stary... - powiedział jeszcze i wyszedł.

Frost zapiął płaszcz, bo w kantine było dość chłodno. Westchnął. Ostatnie dni przypominały żeglowanie od jednej klęski do drugiej. Gdzieś nad jego głową zaskrzeczał głośnik, prosząc inspektora Frosta o zgłoszenie się do najbliższego telefonu.

Clive Barnard, który siedział przy stoliku razem z Hazel, usłyszał komunikat i zauważył, jak inspektor wychodzi. Wcisnął dziewczynie do ręki klucz od swojej kwatery i wstał, żeby pójść za Frostem.

- Pewnie wrócę późno, ale zaczekaj na mnie. Obiecujesz?

Znalazł Frosta przy aparacie tuż obok drzwi do kantyny i poczekał, aż tamten skończy rozmawiać. Frost chrząkał, kreślił jakieś hieroglify na grzbiecie książki telefonicznej, aż wreszcie odwiesił słuchawkę.

- Dzwonili z laboratorium medycyny sądowej, synu. Przesiali ziemię w kraterze po wykopaniu zwłok i znaleźli tam trochę monet, które musiały pochodzić z kieszeni nieboszczyka. Najświeższe pochodziły z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku, więc możemy zapomnieć o teorii, że ten gość zginął podczas wojny. Poza tym w laboratorium rozcięto tę metalową skrzynkę przymocowaną do nadgarstka nieboszczyka i wiesz, co w niej było. Absolutnie nic. Co więc ten gość robił w środku lasu z pustą metalową skrzynką przytroczoną do nadgarstka?

- Być może dostarczył gdzieś zawartość skrzynki - zasugerował Clive.

- Być może, synu, ale nie sądzisz, że w takim wypadku by ją odczepili?

W zamyśleniu podrapał się po podbródku.

- Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty pierwszy... Festiwal Brytanii. Naprawdę stanęliśmy wtedy na wysokości zadania. Toalety były otwarte dodatkowo przez całe pół godziny dłużej, a maszt na ratuszu w każdym weekend świecił się jak choinka.

W jednej sekundzie przeskoczył od wspomnień do chwili obecnej.

- Kiedy ten pieprzony kidnaper zamierza zadzwonić? Chyba powinien wiedzieć, że czekanie doprowadza ludzi do szału.

Z tymi słowami odwrócił się i popędził po schodach w dół, do swojego biura. Clive musiał się nieźle natrudzić, żeby dotrzymać mu kroku.

Wpadłszy do gabinetu, rzucił się na krzesło i przetrząsnął papiery na biurku. Na samym wierzchu wałało się kilka kartek świątecznych; obok nich spoczywała teczka z dokumentacją kradzieży elektroniki oraz odręczna notatka Mulletta: „Proszę traktować tę sprawę jako pilną”. Pokopał głębiej i po chwili natrafił na raport z nadgodzinami. Szybko przejrzał jego zawartość, złożył swoją parafkę... Tylko po co? I tak było już za późno. Komputery w kwaterze głównej pracowały w systemie dobowym, wykonując głównie pracę na rzecz władz samorządowych hrabstwa, jednak w każdym miesiącu przez kilka godzin policja mogła wcisnąć się ze swoimi obliczeniami, a czas wyznaczony na płace przypadał dzisiejszego ranka. Na wszelki wypadek Frost włożył raport do koperty, którą wsunął do kieszeni. Po drodze wrzucił ją do najbliższej skrzynki. Co prawda i tak już jest za późno, ale przynajmniej pozbędzie się jej z biura. Myśl o jutrzejszym spotkaniu z Mullettem budziła w nim grozę.

- Wszystko, czego tylko się dotknę, idzie na nie tak, jak trzeba - poskarżył się Clive'owi, który zdziwił się, słysząc takie uzalenie się nad sobą z ust człowieka, który dotąd sprawiał wrażenie, że nic na tym świecie nie może go wpędzić w depresję. Clive przyjął ofiarowanego papierosa i zapalili.

- Powiem ci coś - kontynuował Frost poufnym tonem. - Coś, czego nikomu nie mówiłem. Ten medal... - Wyciągnął szufladę i wyjął z niej niebieskie pudełeczko. - Wiesz, czemu zdecydowałem się zaatakować tamtego chojraka? Bo chciałem, żeby mnie zabił. Właśnie dlatego. Nie miałem ochoty dłużej żyć. To nie żart, synu, tym razem jestem śmiertelnie poważny. Właśnie wówczas - dokładnie tego dnia - powiedziano mi, że moja żona ma raka... Ze to potrwa najwyżej kilka miesięcy i że czeka ją ciężka, bolesna śmierć. Ten półgłówek z pistoletem wydawał się odpowiedzią na moje modlitwy. Psiakrew, pomyślałem, nie zależy mi na życiu, więc przynajmniej odejdę jako bohater. Strzelił do mnie, ale

spudłował... Był takim samym nieudacznikiem jak ja... Bezwrotnie straciłem szansę, żeby zginąć jak bohater.

Wypuścił kłęb dymu i nagle fatalny humor rozwiął się bez śladu.

- Ale ze mnie niepoprawny łajdak, co? No chodź, synu, zajdziemy do centrum operacyjnego, żeby sprawdzić, co z naszym dzieciakiem.

Skręcając za róg na najwyższym piętrze, wpadli na policyjnego gońca, ubranego w kask, nieprzemakalny płaszcz i gogle oblepione mokrym śniegiem.

- Gdzie jest biuro waszego komendanta? - zapytał chłopak. - Mam odebrać pilną przesyłkę dla wydziału statystyki.

Frost wskazał mu drogę, a potem tknięty nagłą myślą dodał:

- Czy wracasz wieczorem do kwatery głównej?

- Tak jest, sir.

- Czy w związku z tym mogę cię prosić o przysługę? - Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął stamtąd kopertę. - Podrzuc to z łaski swojej do księgowości. To raport z zestawieniem nadgodzin... Powinien dotrzeć tam już dziś rano.

Goniec schował kopertę do skórzanej torby.

- Wszystko w porządku, inspektorze. Oni tam w księgowości mają straszne opóźnienie, bo połowa urzędników rozłożyła się na grypę. Na pewno nie zaczną liczyć pensji wcześniej niż jutro wieczorem.

Frost prawie się spocił, bo zalała go potężna fala ulgi.

- Być może chrzanię mnóstwo różnych spraw - powiedział potem do Clive'a. - Ale musisz przyznać, że mam więcej szczęścia, niż ktokolwiek by się spodziewał.

W centrum operacyjnym panował nastrój rezygnacji. Nadszedł czas, by zamknąć tę sprawę i posprzątać bałagan na biurkach. Zdjęcie Tracey zostało opublikowane w wiadomościach telewizyjnych i ludzie zaczęli dzwonić przez okrągły dzień, żeby donieść, że przed chwilą widzieli ją w Londynie, Kornwalii, Dover, w ciężarówce jadącej autostradą M1, w kawiarni w Leeds z jakimś Pakistańczykiem, przed kinem w Bromley... Słowem, wszędzie, tylko nie w Denton. Wszystkie informacje, przekazywane w dobrej wierze, lecz najpewniej całkowicie bezużyteczne, musiały zostać sprawdzone, na szczęście w większości przez inne jednostki policji, którym dalekopisem przesłano wszelkie szczegóły sprawy.

Zabręczał telefon. Po drugiej stronie odezwała się pani Uphill, zdenerwowana faktem, że rzekomy porywacz nie daje znaku życia. Frost starał się ją pocieszyć; jeszcze raz zwrócił uwagę, że linia powinna być wolna, żeby facet mógł swobodnie do niej zadzwonić. Pani Uphill natychmiast się rozłączyła. Wtedy Frostowi przyszło do głowy, że dwa tysiące

funtów leżące w domu samotnej kobiety mogą być łakomym kąskiem dla złodzieja i że jeśli ten człowiek nie ma w ręku Tracey, być może spróbuje się włamać i ukraść pieniądze. Zadzwoił do pani Uphill, żeby poprosić o dokładne zaryglowanie drzwi i okien i niewpuszczanie nikogo obcego.

- Jeśli uważa pan, że motywem szantażu może być zwykła kradzież, to czy nie powinniśmy wysłać kogoś do obserwacji domu? - spytał George Martin.

- Boję się go spłoszyć, na wypadek gdyby faktycznie chodziło o porwanie - odparł Frost. - Nie zapominaj, że zagroził zabiciem dzieciaka, jeśli pani Uphill skontaktuje się z policją.

Zadzwoniono z laboratorium. Czy inspektor Frost mógłby pofatygować się do nich, i to jak najszybciej? Właśnie znaleźli coś interesującego.

- Czy będzie pan pamiętał o włączeniu radia, sir, żebyśmy mogli się z panem kontaktować? - poprosił detektyw sierżant.

- Oczywiście - odparł Frost z udawanym zdumieniem. - Przecież zawsze tak robię.

W holu natknął się na Johnniego Johnsona, który właśnie spisywał dane z prawa jazdy i numer ubezpieczenia jakiegoś wojowniczego młodzieńca w brązowej kurtce skórzanej. Frost pochylił się nad nim, a następnie wyszeptał kilka słów na temat raportu o nadgodzinach.

Johnnie odłożył pióro i popatrzył na kolegę z pełnym niedowierzania rozbawieniem.

- Ty paskudny, stary skurczybyku... - powiedział po chwili.

*

Wizyta w laboratorium medycyny sądowej wymagała dziesięciu mil jazdy w zimnie i po śliskiej drodze. W ciągu ostatnich kilku godzin pogoda zdecydowanie się pogorszyła; po drodze minęli dwa porzucone pojazdy, które tkwiły w zaspach.

Laboratorium - nowoczesny, jednopiętrowy budynek, znajdujący się na zupełnym odludziu - powitało ich ciepłym powiewem powietrza o zapachu środków aseptycznych, który wydobywał się z systemu grzewczego. Rozdeptując na szarawej wykładzinie dywanowej zmieszanej ze śniegiem błoto, minęli opuszczoną recepcję, gdzie na mahoniowym blacie stały doniczki z roślinami. Na ścianach dostrzegli dobrych znajomych: plakat przedstawiający stonkę ziemniaczaną i drugi - z wykazem ograniczeń spowodowanych chorobą szalonych krów. Ten widok sprawił, że w tym obcym miejscu od razu poczuli się jak w domu.

Kiepsko oświetlony korytarz prowadził do wahadłowych drzwi, za którymi znajdowało się właściwe laboratorium. Lodowaty, niebiesko-biały blask lampy

fluorescencyjnej oświetlał sylwetkę patologa i trzech asystentów w białych fartuchach, którzy pochylali się nad długą ławą.

Na ich widok patolog kiwnął palcem, zapraszając do stołu okrytego grubym plastikiem, na którym spoczywał skompletowany szkielet. Szerokie oczodoły gapiły się niewidzącym spojrzeniem w oślepiający blask świetlówki.

- Ładnie go wyczyściliśmy, prawda? - zapytał z dumą, zdrapując jakąś resztkę brudu z zuchwy nieboszczyka.

- A teraz spójrzcie na to. - Podniósł pozostałości prawego przedramienia. - Nie zostało złamane ani odgryzione przez jakiegoś zwierzaka. Ktoś celowo je obciął. Chyba siekierą.

- Obciął? - powtórzył jak echo Frost.

- Właśnie. Co do tego nie ma wątpliwości.

- Przed śmiercią czy później?

Patolog z czułością pogłaskał jedną z kości.

- Możemy tylko się domyślać, ale ja osobiście zaryzykowałbym twierdzenie, że stało się to krótko po śmierci, zanim jeszcze zaczął się proces rozkładu. Oczywiście to tylko teoria, ale sądzę, że przedramię zostało odrąbane, żeby usunąć tę metalową skrzyneczkę przytwierdzoną łańcuchem do nadgarstka.

- Ale skrzyneczka wciąż znajdowała się na miejscu - zauważył Frost.

- No właśnie. Ktokolwiek to zrobił, uderzył za wysoko i nie dał rady ściągnąć przez kikut metalowej opaski zaciśniętej na nadgarstku. Ofiara prawdopodobnie była nieco tłustawa. Może pan spróbować i pociągnąć bransoletkę od zegarka w górę przedramienia. Sam pan zobaczy, że bransoletka utknie mniej więcej w połowie drogi.

- Po co odcinać przedramię, jeśli w grę wchodzi jedynie zamknięta, pusta skrzyneczka? - zastanawiał się Frost.

- To pan jest tu detektywem, nie ja - zaznaczył patolog, drapiąc się po podbródku kawałkiem odciętej kości, zanim z podziwu godną pieczołowitością odłożył ją na właściwe miejsce. - Ale przegapił pan najważniejszą rzecz. Proszę spojrzeć - dodał, wskazując czaszkę. Było oczywiste, że Frost za pierwszym razem po prostu tego nie zauważył, za to teraz obaj z Clive'em dostrzegli to jednocześnie.

- Wielki Boże!

W czaszce znajdował się trzeci otwór, dokładnie na środku czoła. Trzecie oko było nieduże, zgrabne i wywiercone z niezwykłą precyzją.

- A to jest przedmiot, który wybił tę dziurkę - rzekł patolog i wcisnął Frostowi do ręki małą, przezroczystą kopertę na dowody, w której schowany był spłaszczony kawałek metalu.

- To pocisk z pistoletu. Znaleźliśmy go wewnątrz czaszki, wymieszany z ziemią i błotem.

Frost podniósł kopertę do światła i pod wszystkimi kątami obejrzał odbarwiony krążek metalu.

- Jak pan sądzi, doktorze, czy właśnie to go zabiło?

Ale patolog nie zamierzał dać się sprowokować. Wyrażanie jakiejś jednoznacznej opinii zupełnie mu nie odpowiadało.

- Po tak długim czasie mogę jedynie orzec, że jeśli denat żył w chwili, gdy ktoś do niego strzelił, to z pewnością ten strzał był śmiertelny. Nie znalazłem niczego innego, co mogłoby okazać się przyczyną zgonu. Pobraliśmy próbki ziemi do analizy, ale po tylu latach... - Wzruszył ramionami na znak bezradności, a potem poprowadził ich do bocznego stołu, gdzie jakiś łysy mężczyzna czyścił z rdzy drobne metalowe przedmioty.

- Arnoldzie, pokaż inspektorowi, co jeszcze znaleźliśmy.

Arnold wydawał się bardziej niż szczęśliwy, mogąc wypełnić polecenie szefa.

- Obawiam się, że to nic szczególnego, panie Frost. Wszystko, co mogło ulec rozkładowi, dawno już zgniło, więc udało się odkopać tylko metalowe fragmenty odzieży. Na przykład te krążki to guziki do spodni. Nie znaleźliśmy żadnego suwaka - w latach pięćdziesiątych mężczyźni nie ufali takim wynalazkom.

- Ja osobiście w dalszym ciągu im nie ufam - odparł Frost. - Mam z nimi bardzo niefortunne doświadczenia. Więc pańskim zdaniem właśnie wtedy zginął? W latach pięćdziesiątych?

Arnold skinął głową.

- Robimy dalsze testy, ale wszystko wskazuje na ten okres.

Pogrzebał między resztkami dobytku nieboszczyka i znalazł płaski, okrągły przedmiot.

- Tyle zostało z jego zegarka. To taniocha, prawdopodobnie pochodząca jeszcze sprzed wojny. Tam leżą monety, o których już pan wie, a tu są...

Zagrzechotał pokrytym skorupą brudu kółkiem, na którym wisiały dwa mniejsze klucze od biurka, jeden większy i jeden yale. Wszystkie zachowały się w zaskakująco dobrym stanie. I tylko tyle znaleziono obok szkieletu.

- Nie ma kluczyków od samochodu - zauważył Clive. - W latach pięćdziesiątych prywatne auta nie były czymś tak powszechnym jak dzisiaj - odparł Arnold. - Wydaje mi się, że w tamtym okresie sprzedaż paliwa wciąż podlegała ograniczeniom.

Frost dostrzegł na stole mały stosik metalowych drobin.

- Co to jest?

- Resztki gwoździków z butów. Wtedy podbijano podeszwy metalowymi płytkami.

Z rękoma w kieszeniach inspektor przyglądał się przez dłuższą chwilę żalonym pozostałościom, a potem odwrócił się w stronę szkieletu spoczywającego na plastikowym podkładzie.

- Podsumujmy, co o nim wiemy - powiedział. - Został zastrzelony, miał w kieszeni trochę drobniaków, zapinał rozpiętkę na guziki i umarł ponad trzydzieści lat temu. Niewiele, jeśli chodzi o postępy w śledztwie. Czy znalazł pan, doktorze, jakieś szczególne cechy, dzięki którym łatwiej byłoby go zidentyfikować? Na przykład fiuta długości dziesięciu stóp albo po osiem palców u rąk?

Patolog wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Niewiele mogę panu pomóc, inspektorze. Facet miał od trzydziestu pięciu do czterdziestu lat i chyba przechodził właśnie intensywną kurację stomatologiczną...

- Ale wybrał miejsce do leczenia zębów - zauważył Frost, całkowicie ignorując miażdżące spojrzenie doktora, który nienawidził, gdy ktoś wpadał mu w słowo.

- Jeśli mogę kontynuować... Mniej więcej pięć lat przed śmiercią złamał lewą rękę. Jeśli przyjrzy się pan uważnie, zobaczy pan wyraźną rysę w miejscu, gdzie kość się zrosła. I to wszystko, co udało mi się na razie znaleźć.

- Skrzyneczka... - odpowiedział Arnold.

- Ach tak... Całkiem o niej zapomniałem. Sporo czasu poświęciliśmy na badania skrzyneczki, którą denat miał przypiętą do nadgarstka. W takich skrzyneczkach kasjerzy przewożą duże sumy pieniędzy. Była bardzo mocna i najwyraźniej specjalnie przeznaczona do tego celu. Udało nam się odczytać nazwę firmy umieszczoną na zamku. To Smith - Curtis. Zajmowali się produkcją sejfów, kas ogniotrwałych, kasetek i tego typu rzeczy.

- Zajmowali? - ostrożnie zapytał inspektor.

- Wycofali się z biznesu w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym, więc obawiam się, że z tej strony nie można spodziewać się żadnej pomocy. Nawiasem mówiąc, jak się miewa inspektor Allen? Bardzo się zmartwiłem na wieść o jego chorobie.

- Nawet w połowie nie tak bardzo jak ja teraz - mruknął Frost.

WTOREK (5)

WYGLĄDAŁO, JAKBY FACET STARAŁ SIĘ SPECJALNIE PROWOKOWAĆ jakąś reakcję z ich strony. W momencie gdy Frost wszedł do centrum operacyjnego, niemy dotąd głośnik, który

był podłączony do urządzenia monitorującego telefon pani Uphill, zakrzuszył się lekko i szpula w magnetofonie zaczęła się obracać. Ktoś wybierał jej numer.

- Trr... Trr... Trr... - Pani Uphill dobiegła do aparatu po trzecim sygnale.

- Pamiętasz mnie?

Wszyscy obecni w pokoju zeszywnieli, wstrzymując oddech. Frost syknął do Barnarda, żeby przez wewnętrzną linię połączył się z dyspozytornią i sprawdził, czy Charlie Alpha dwa widzi kogokolwiek.

- Tak - odpowiedziała pani Uphill. - Pamiętam pana. Jak się czuje Tracey?

- Obawiam się, że przeziębienie nieco się pogorszyło. Widzi pani, tam gdzie Tracey przebywa, nie ma ogrzewania, ale jestem pewien, że jeśli dziś wieczorem przywiezie ją pani do domu, to powinna przeżyć.

Charlie Alpha dwa widział budkę telefoniczną jak na dłoni. Niestety, była pusta.

- Psiakrew - warknął Frost. - Facet znalazł inny telefon. Miejmy nadzieję, że technicy wytropią go na czas.

- Proszę - dobiegło z głośnika. - Chcę ją dostać z powrotem. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Wystarczy, jeśli zrobi pani to, co powiem... Byłe dokładnie. Proszę słuchać uważnie, bo nie będę powtarzał. Włoży pani pieniądze do torby, a następnie wybierze się na spacer wzdłuż Bath Road w kierunku Exham.

- Mam samochód. Pojadę samochodem.

- Pójdzie pani pieszo... Zrozumiano? Będzie pani szła lewą stroną. Zaraz za sklepem z antykami jest budka telefoniczna. Tam pani zaczeka na mój telefon. Dopiero wtedy przekażę dalsze instrukcje.

Rozległo się kliknięcie, a potem głuchy sygnał centrali.

Na biurku zadzwonił wewnętrzny telefon z informacją od inżynierów. Bardzo przepraszają, ale nie udało się namierzyć miejsca, skąd facet dzwonił. Dostali polecenie, by natychmiast rozpoczęli monitorowanie aparatu przy sklepie z antykami. Frost wrzasnął do George'a Martina, żeby szybko połączył się z panią Uphill, zanim zdąży wyjść z domu, a potem zakręcił się jak fryga i rozkazał Clive'owi poprosić dyspozytornię o wysłanie Charliego Alpha dwa w pobliże wspomnianej budki, żeby czekał tam na przybycie pani Uphill. Gdy tylko pani Uphill dostanie od porywacza dalsze instrukcje, natychmiast mają przekazać je do centrum operacyjnego, powiedział.

Dopiero wtedy z uśmiechem zadowolenia oparł się wygodnie o zagłówek krzesła. To rozumiał, w tym najlepiej potrafił się odnaleźć. W akcji. Ale coś tutaj nie pasowało... George Martin postukiwał niecierpliwie palcami, przyciskając do ucha słuchawkę.

- Jack, pani Uphill nie odbiera telefonu.

- Jesteś pewien, że wybrałeś właściwy numer?

W odpowiedzi detektyw sierżant pochylił się i nastawił głośniej dźwięk. Cały pokój wypełnio drażniące dzwonienie. Po chwili odłożył słuchawkę i dzwonienie zmieniło się w ciągły sygnał wolnej linii.

- W porządku, możesz przyciszyć. Już mnie przekonałeś, że jej nie ma. No powiedzcie sami, czy ta głupia krowa nie mogła zaczekać nawet minuty?

Barnard, który siedział przygarbiony, przytrzymując ramieniem słuchawkę telefonu, zawołał z drugiego końca pokoju:

- Sir, wiadomość od Charlie Alpha dwa. Są już przy tej nowej budce i czekają na panią Uphill.

Frost skinął głową na znak, że słyszał. George Martin kciukiem ubijał w fajce tytoń.

- Powinniśmy kogoś za nią posłać, sir.

- Ona przecież idzie pieszo - odparował Frost. - Poza tym idzie wzdłuż Bath Road, która biegnie prosto jak w mordę strzelił. Każdy, kto próbowałby ją śledzić, byłby widoczny na milę i jeśli tamten koleś ją obserwuje, to tylko byśmy go wystraszyli. Poza tym, cholera, nie przemyślałem takiego posunięcia.

Ziewnął szeroko i puścił w obieg paczkę papierosów. Każdy z palaczy z wdzięcznością przyjął poczęstunek, bo papieros pomagał się odprężyć, więc w niedługim czasie w pokoju zrobiło się siwo od dymu. Nikt się nie odzywał, a w ciszy słychać było jedynie miarowe tykanie zegara. Oczy wszystkich kierowały się w stronę Barnarda, który czekał przy telefonie na potwierdzenie wiadomości od Charlie Alpha dwa, że pani Uphill dotarła na miejsce.

Frost nagle doszedł do wniosku, że siedzi na strasznie twardym krześle. Wstał, przeciągnął się ze znużeniem, a potem wyrzwał przez okno. Znow zaczął padać śnieg. Strząsnął popiół do kosza na śmieci i odwrócił się do Clive'a.

- Co to było? Dyspozytornia?

Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli na Clive'a. Powoli skinął głową, a potem odsunął słuchawkę od ucha.

- To Charlie Alpha dwa, sir. Nie mają nic do zameldowania.

- Powiedz im, żeby przestali udawać, że są tak cholernie kompetentni. Nie interesuje mnie brak informacji!

Wskazówka wiszącego w holu zegara przesunęła się o następną minutę.

W głowie inspektora zadźwięczał ostrzegawczy dzwonek.

- Stało się coś złego! - zawołał. - Pani Uphill już dawno powinna być na miejscu.

Martin próbował go uspokoić.

- W takim śniegu nie da się szybko chodzić, Jack. Zwłaszcza na obcasach.

- Ona na pewno ma gdzieś obcasy - warknął Frost. - Popędziłaby jak strzała, byle odzyskać swojego dzieciaka. Jak strzała...

Wielkimi krokami przechadzał się po pokoju, kopiąc wyimaginowane piłki. Wskazówka zegara nieubłaganie przesuwała się naprzód.

- Miała czas, żeby przejść tę pieprzoną Bath Road tam i z powrotem! Jesteś pewien, że te dwa orły czekają przy właściwej budce?

Clive powtórzył pytanie Frosta i po chwili z dyspozytorni nadeszła odpowiedź. Charlie Alpha dwa parkował w bocznej uliczce w pobliżu budki telefonicznej przy sklepie z antykami. Stamtąd widać niewielki odcinek Bath Road, ale nigdzie nie było śladu pani Uphill.

Frost ponownie wybrał numer jej domu. Całkiem możliwe, że wróciła po coś, że o czymś zapomniała... Trr... Trr... Z głośnika dobiegał smutny, przesiąknięty samotnością dźwięk, jaki wydobywają z siebie telefony, których nikt nie zamierza odebrać. Frost z irytacją rzucił słuchawkę na widełki.

- Pamiętam, jak raz zadzwoniłem do pewnej dziewczyny... Jednak ta anegdota miała pozostać nieopowiedziana.

Drzwi uchyliły się i pojawiła się w nich owłosiona twarz sierżanta posterunkowego.

- Przepraszam, że się wtrącam, inspektorze, ale czy to pan zarządził, żeby Charlie Alpha dwa stanął przy Bath Road?

- Tak jest, Johnnie. Dlaczego...?

- Bo właśnie zadzwonił do nas jakiś kierowca, który na poboczu drogi znalazł nieprzytomną kobietę. Wysyłamy ambulans, ale Charlie Alpha dwa może się tam znaleźć w ciągu kilku sekund, a ja chciałbym, żeby podali mi parę szczegółów.

Zapanowało napięcie. Każdy z obecnych myślał - obawiał się - tego samego.

- Tak. Powiedz w dyspozytorni, że się zgadzam i przekaz załodze Charlie Alpha dwa, że mają na mnie poczekać. Chodź, synu!

Clive chełpił się swoją znakomitą kondycją fizyczną, ale teraz musiał nieźle się natrudzić, żeby dotrzymać kroku starszemu mężczyźnie, który jak wichur pędził przez

zaśnieżony parking w stronę samochodu. Zanim Clive dotarł do auta, Frost zdążył włączyć silnik, ale zaraz przesunął się na fotel pasażera, pozostawiając kierowanie pojazdem w rękach detektywa posterunkowego.

- Którędy mam jechać, sir?

- Po prostu jedź za ambulansem.

Migające niebieskie światelko prowadziło ich przez ciemność jak szalony grajek z Hamelin. Z dziką prędkością brali zakręty, ignorowali sygnalizację na skrzyżowaniach... I nagle w dali mignęło drugie niebieskie światelko. Charlie Alpha. Clive zahamował ostro, wyrzucając spod kół fontanny śniegu; jakimś cudem udało im się uniknąć uderzenia w ambulans, który miał znacznie lepsze hamulce niż samochód Frosta. Pochylony nad leżącą na śniegu i przykrytą policyjnym płaszczem postacią posterunkowy wyprostował się, gdy sanitariusze z noszami i grubym kocem dobiegali na miejsce. Ruszali się tak zwinnie, że nosze zostały wsunięte na tył ambulansu, zanim Frost i Barnard wygrzebali się z samochodu. Inspektor krzyknął, żeby się zatrzymali, i podniósł skrawek prześcieradła. Tak, to była pani Uphill. Z zamkniętymi oczyma i białą jak kreda twarzą wyglądała na mniej więcej piętnaście lat.

- Jaki jest jej stan?

- Dostała paskudne uderzenie w głowę, ale czaszka chyba nie została naruszona. Dobrze się stało, że ten facet ją znalazł. Inaczej mogła zamarznąć na śmierć.

Jakiś mężczyzna w skórzanej kurtce do jazdy na motorze opierał się o żółtego escorta, cierpliwie odpowiadając na pytania policjanta.

Tylne drzwi ambulansu zamknęły się z trzaskiem i po chwili pulsujące niebieskie światelko znikło w głębi długiej, aż do znudzenia prostej ulicy o wdzięcznej nazwie Bath Road.

Clive schylił się i podniósł coś z ziemi. To była torebka pani Uphill. Frost otworzył ją i poświecił sobie latarką.

W środku znajdowały się zwykle damskie drobiazgi, ale portmonetka, która powinna tam być, rozplynęła się bez śladu. Clive dostał polecenie, aby poszukać w sąsiedztwie plastikowej torby z dwoma tysiącami funtów w środku, choć Frost nie miał wielkich nadziei, że jego misja zakończy się sukcesem.

Człowiek w skórzanej kurtce właśnie kończył szczegółowo opisywać zdarzenie, gdy Frost niespiesznym krokiem podszedł i przedstawił się.

- Czy naprawdę niczego pan nie widział? - zapytał, kiedy posterunkowy dopuścił go do głosu.

- Nie. Zobaczyłem, że ktoś leży, bo oświetliły ją reflektory mojego auta. Pomyślałem, że potrącił ją jakiś samochód, a kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Zadzwoiłem i poczekałem, aż przyjedziecie, ale prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że będę musiał stać tu tyle czasu i odpowiadać na te wszystkie pytania. Mam pilne spotkanie i już jestem mocno spóźniony.

Frost odniósł się do tego z pełnym współczuciem.

- Tak to zwykle jest, jak chce się komuś bezinteresownie pomóc. Tym bardziej jesteśmy wdzięczni, że pomimo wszystko społeczeństwo wciąż chce nam pomagać. Czy pana personalia zostały spisane? - zwrócił się do funkcjonariusza.

Policyjny kierowca bez słowa wręczył inspektorowi prawo jazdy należące do świadka. Frost obejrzał je pobieżnie; wszystko wydawało się w porządku. Tymczasem Barnard wrócił z poszukiwań i kciukiem skierowanym w dół powiadomił o ich wyniku.

- Jak przypuszczam, nie zauważył pan nigdzie takiej plastikowej torby na zakupy? - spytał od niechcienia Frost.

Mężczyzna energicznie pokręcił głową.

- Obawiam się, że chyba nie mogę już w niczym być pomocny.

Jego ręka powędrowała w stronę klamki drzwiczek samochodu.

- Zanim pan odjedzie... Czy będzie pan miał coś przeciwko temu, że zajrzemy do bagażnika pańskiego auta?

- Do bagażnika? Proszę mnie posłuchać! Zatrzymałem się, żeby zgłosić wypadek...

- Niech się pan nie denerwuje. Jak pan zapewne słyszał, zaginęła spora suma pieniędzy, a moi przełożeni uznaliby to za spore zaniedbanie, gdybym odstąpił od procedury i wypuścił pańskie auto bez przeszukania. Poproszę o kluczyki. - Wyciągnął otwartą dłoń, na którą po chwili upadły kluczyki samochodowe.

Frost otworzył bagażnik.

- To potrwa parę sekund... - powiedział. Włączył latarkę i zaniemówił z wrażenia. Bagażnik był wypełniony po brzegi drobnymi, kosztownymi częściami do kalkulatorów, dokładnie takiego typu, jakie zostały skradzione z Buskin Electronic. Właśnie to śledztwo dostał w spadku po inspektorze Allenie i właśnie tę sprawę Mullett nakazał traktować jako pilną. Wystarczyło krótkie połączenie przez radio z dyspozytornią, żeby dowiedzieć się, że numery seryjne się zgadzają.

Inspektor westchnął ciężko na myśl o tym, ile papierkowej roboty go czeka.

- Każdego innego dnia szalałbym z radości, że udało mi się pana przymknąć. Tylko dlaczego musiało to się stać dziś wieczorem?

- Co za cholerny, pieprzony pech - warknął mężczyzna. - Mogłem przejechać obok jak gdyby nigdy nic... Mogłem ją zostawić, żeby zamarzła na śmierć, a sam odjechać w siną dal.

- Nie, nie mógł pan - odparł łagodnie inspektor. - Nie należy pan do tego typu ludzi. Pan jest podobny do mnie. Obaj robimy, co do nas należy, i na własne życzenie pakujemy się w kłopoty... Czy przypadkiem ma pan na zbyciu papierosa, żeby mnie poczęstować?

*

Frost z całej siły przycisnął zszywacz; szczegóły dotyczące wieczornego aresztowania znajdowały się na samym wierzchu teczki opisanej jako „kradzież sprzętu elektronicznego”. Z dumą rzucił ją na blat świecącego pustkami biurka komendanta. Kiedy Mullett jutro rano pojawi się w pracy, ten widok powinien zetrzeć mu uśmiech z twarzy.

I co dalej zrobić z tak pięknie zapowiadającym się wieczorem? Barnard wciąż tkwił w szpitalu, czekając, aż pani Uphill odzyska przytomność; poza tym nie było z kim zamienić słowa, ponieważ wszyscy zajęli się sprzątaniami swoich biurów przed wieczorną zmianą, co miało nastąpić punktualnie o godzinie dwudziestej drugiej.

Z holu dobiegły odgłosy zamieszania, co obiecywało miłą odmianę. Frost ruszył w tamtą stronę, zwabiony soczystymi przekleństwami i chrząkaniem, od czasu do czasu przedzielonymi wołaniem o pomoc. Tuż za drzwiami prowadzącymi na posterunek młody Stringer toczył zaciętą walkę z tłustym i pijanym na umór Irlandczykiem, pracującym na pobliskim placu budowy. Gość najwidoczniej wytoczył się z pubu, poślizgnął na śniegu i złamał nogę, ale mimo to dał radę dowieść się przez na wpół roztopioną breję aż na posterunek. Teraz gromkim głosem żądał natychmiastowego sprowadzenia pomocy medycznej i walił na oślep każdego, kto ośmielił się podejść bliżej. Frost przybył akurat w momencie, gdy Irlandczyk rozłożył się na podłodze holu i złapał Singera za nogi, próbując go przewrócić.

Frost spokojnie podszedł i celnym kopnięciem odrzucił zaciśnięte ręce. Malutkie, okolone czerwonymi obwódkami świńskie oczka spojrzały na niego z nieukrywaną nienawiścią, a z zaślinionych ust wymknęła się spora dawka słów uważanych ogólnie za obraźliwe. Inspektor zapalił papierosa, patrząc w dół z nieukrywanym obrzydzeniem. Irlandczyk miał na sobie brudne i przemoczone ubranie, bo chyba w którymś momencie zwymiotował na własny płaszcz, a poza tym śmierdział na milę na wpół przetrawioną whisky, wymiocinami i ślepą nienawiścią. Udało mu się osiągnąć tak znaczny stopień upojenia alkoholem, że nie czuł bólu promieniującego ze złamanej kończyny, a nawet zdołał dźwignąć się na nogi, wykorzystując do tego celu nogawki spodni nieszczęsnego Stringera. Rzucając spode łba skruszone spojrzenia, nagle zacisnął wielkie jak bochny pięści i wystartował w

kierunku Frosta z takim impetem, że gdyby udało mu się trafić, inspektor bez wątpienia wyładowałby na podłodze. Ale Frost w porę zorientował się, co się święci. Błyskawicznie wysunął but i zahaczył nim o zdrową nogę napastnika; Irlandczyk zwałił się na podłogę, wrzeszcząc z bólu, co świadczyło o tym, że złamana noga doznała przy upadku pewnego uszczerbku.

- Czego tu chce ten wół? - spytał Frost Stringerà.

- Ja ci powiem! - wrzasnął Irlandczyk. - Ten śmierdziel podwędził mój portfel!

Och, nie, pomyślał w popłochu Frost. Tylko nie to. Odwrócił się do Stringerà, który z przerażoną miną w milczeniu kręcił głową.

- Tam było piętnaście funtów! Miałem piętnaście funtów, kiedy tu wszedłem!

- Zamknij się! - krzyknął Frost. Już zdążył wziąć się w garść. Powinien był przeszukać tego gościa, ale na samą myśl o przetrząsaniu kieszeni brudnego i zarzyganego płaszcza żołądek skręcał mu się z obrzydzenia. Nagle pożałował, że nie ma tu bratanka szefa policji, żeby mógł zlecić mu to niewdzięczne zadanie.

Zaszedł od tyłu leżącego na podłodze Irlandczyka, który mrużył swoje świńskie oczka, starając się nawet na moment nie spuścić go z oczu. Boże, co to za upiorny widok! Ogromnych rozmiarów zad rozlewał się na posadzce, a na szwie w spodniach ziała wielka dziura w miejscu, gdzie nic zrezygnowała z walki o utrzymanie w ryzach potężnego brzuszyska. Nagle Frost zmrużył oczy, bo w tylnej kieszeni dostrzegł podejrzaną wypukłość.

- Czy to twój portfel, ty irlandzki śmieciu?

Mężczyzna przez dłuższą chwilę przyglądał się brązowemu, skórzanemu przedmiotowi, który dyndał mu przed samym nosem, a potem odsłonił połamane resztki zębów w grymasie, który zapewne miał udawać uśmiech.

- No cóż... W jaki sposób mógł się tam znaleźć? Nigdy nie noszę go w tylnej kieszeni.

Inspektor otworzył portfel i szybko przeliczył cienki zwitek banknotów.

- Piętnaście... W porządku, pijany skurwielu, przelicz to.

- Nie ma potrzeby, jeśli pan mówi, że suma się zgadza... Frost ostrzegawczo wysunął nogę.

- Powiedziałem, śmierdzielu, że masz przeliczyć.

- Oczywiście, tak jest, wszystko w najlepszym porządku. Dziękuję panu, bardzo dziękuję...

Młody policjant westchnął z ulgą.

- Teraz, synu, dzwoń po ambulans i poproś, żeby jak najszybciej zabrali stąd tego cuchnącego szczura. Jeśli jeszcze raz pokaże tu swoją zawszoną mordę, trzeba będzie

pomyśleć o wsadzeniu go do ciupy i wniesieniu oskarżenia. W takim wypadku możesz liczyć na moje wsparcie.

Stringer kątem oka dostrzegł za plecami inspektora czyjś cień; w jego oczach błysnęło coś w rodzaju ostrzeżenia. Frost obejrzał się. W wejściu stał Mullett, olśniewający w swoim przepięknym mundurze i z białymi rękawiczkami w ręku.

- Co tu się dzieje? - zapytał lodowatym tonem.

Na ten widok przez twarz Irlandczyka przemknął chytry uśmieszek.

- Złamałem nogę na ulicy i chciałem prosić o pomoc, ale spotkały mnie tylko wyzwiska i obelgi. W dodatku przed chwilą ten facet mnie kopnął.

Frost napotkał spojrzenie Stringera i ruchem głowy wskazał mu telefon. Młody posterunkowy zrozumiał aluzję i wycofał się, żeby wezwać ambulans. Im szybciej pozbędą się stąd tego rozrabiaki, tym lepiej.

- Sir, dowiedzieliśmy się paru nowych szczegółów w sprawie tego szkieletu - zaczął Frost w nadziei, że uda mu się zmienić temat, ale Mullett, głęboko poruszony zarzutem brutalnego potraktowania przez policję biednego, rannego Irlandczyka, odsunął go na stronę i sam ruszył w stronę leżącego na podłodze nieszczęśnika. Z pełną współczucia miną pochylił się nad nim, żeby zadać kilka pytań, ale w tej samej chwili robotnik zrobił się bladozielony, czknął donośnie i na błyszczących butach Mulletta wylądowała spora porcja wymiocin.

Nagle Frost poczuł, jak budzą się w nim przyjazne, ciepłe, wręcz czułe uczucia. Natychmiast pożałował, że nie okazał się bardziej uprzejmy. Każdy z nas ma coś dobrego do zrobienia, pomyślał z satysfakcją, podczas gdy Mullett uciekł do łazienki, żeby się wyczyścić.

Rozrywka dobiegła końca, toteż Frost powędrował z powrotem do swojego biura, żeby tam w spokoju wypalić papierosa i dać upust rozpierającej go wesołości, ale wkrótce telefon wezwał go do stawienia się w jaskini lwa. Mullett już zdążył dowiedzieć się o ataku na panią Uphill i postanowił dać mu nauczkę. Jak tak doświadczony oficer jak Frost mógł wysłać bezbronną kobietę samą z torbą pełną pieniędzy? Jeśli takie postępowanie nie było proszeniem się o kłopoty, to...

W odpowiedzi Frost coraz częściej pociągał nosem, aż w końcu spoglądając wymownie na buty Mulletta, poprosił o pozwolenie na otwarcie okna. Ten skurczybyk w życiu nie pozwoli, żeby jakaś rana się zagoiła, dopóki on nie wciśnie do niej przynajmniej pół funta grubo tłuczonej soli. Oczywiście, powinien był wyznaczyć kogoś do ochrony pani Uphill, ale tego nie zrobił, bo nie potrafi myśleć o wszystkim naraz. Ostatecznie nie jest żadną gwiazdą Scotland Yardu, lecz zwykłym inspektorem Jackiem Frostem, który z wszawego

sierżanta został awansowany na jeszcze bardziej wszawego inspektora. I wcale nie dopraszał się o żaden awans.

Nie zdążył ubrać w słowa tych cichych myśli, bo właśnie zabręczał telefon. Mullett bez słowa wręczył mu słuchawkę. Clive Barnard dzwonił ze szpitala.

Pani Uphill odzyskała świadomość.

- W porządku, już tam jadę! - zawołał Frost, po czym odwrócił się do Mulletta. - Ach, byłbym zapomniał, sir... - dodał, starając się mówić całkiem normalnym tonem.

- Zostawiłem na pańskim biurku akta sprawy o kradzież elektroniki. Wczoraj wieczorem złapaliśmy złodzieja.

- Och, naprawdę? - Mullett tylko rzucił okiem na dokumenty i zaraz odłożył je na tackę z napisem „Załatwione”.

- Tę sprawę od początku prowadził inspektor Allen, zgadza się? Z wyjątkiem złapania złodzieja zdążył wszystko zrobić sam, zanim zachorował.

Frost cichutko zamknął drzwi, a gdy znalazł się na pustym korytarzu, kłął długo, głośno i całkiem bez sensu.

WTOREK (6)

GDY TYLKO PRZECISNAŁ SIĘ PRZEZ GŁÓWNE WEJŚCIE PROWADZĄCE do szpitala, wspomnienia wróciły ze zdwojoną siłą. Zapachy - rozgotowanego jedzenia i środków dezynfekcyjnych. Odgłosy - jęki, przytłumione łkania, pełne niepokoju rozmowy prowadzone szeptem. Wszystko to przeżywał osobiście dwa razy dziennie przez sześć długich miesięcy, w czasie których jego żona powoli umierała na raka. Wreszcie ostatnie łóżko z zasłonami i te znamienne słowa: „Panie Frost, może pan zostać, jak długo pan chce”.

Clive Barnard, zwinięty na niewygodnej drewnianej ławce, na jego widok wstał i poprowadził do położonej z boku sali, gdzie pani Uphill, z kredowobiałą twarzą i głową ukrytą w zwojach bandaży, leżała podparta stosami poduszek. Temperatura wciąż była lekko podwyższona, a puls odrobinę przyspieszony. Na szczęście obrażenia, jakich doznała, nie były zbyt ciężkie.

Frost posłał jej dodający otuchy uśmiech.

- Słyszałem, że jutro wraca pani do domu, pani Uphill. Zapadła głębiej w wykrochmaloną na sztywno biel.

- Chcę zaraz wracać. Muszę tam być, kiedy on znów zadzwoni.

Frost wyciągnął spod łóżka mały drewniany stołeczek i usiadł.

- A dlaczego pani sądzi, że on w ogóle ma zamiar zadzwonić?

- Dostał pieniądze, więc teraz musi mi powiedzieć, gdzie jest Tracey. Taka była umowa.

Próbowała się podnieść, a jej wzrok wyraźnie się ożywił.

- Być może nawet ona już wróciła do domu i czeka!

- Powoli, skarbie, powoli... - Delikatnie popchnął ją z powrotem na poduszki i szeptem wydał Clive'owi jakieś instrukcje. Pani Uphill nieświadomie zwróciła mu uwagę na coś, co Frost przeoczył. Istniała możliwość - prawie całkiem nieprawdopodobna - że rzekomy porywacz rzeczywiście miał w ręku Tracey i teraz będzie skłonny ją uwolnić. Barnard miał skontaktować się z oficerem dyżurnym na posterunku i upewnić się, czy telefon pani Uphill wciąż jest monitorowany, oraz zająć się zorganizowaniem całodobowego nadzoru jej domu.

Frost wrócił do rannej kobiety.

- Będziemy obserwować pani dom, monitorować telefon i odbierać ewentualne rozmowy, więc proszę się nie denerwować.

- Jeśli któryś z was odbierze telefon, to on wystraszy się na dobre.

- Nie, jeśli będzie to robiła któraś z policjantek. Z pewnością pomyśli, że to pani. A teraz proszę mi powiedzieć, co właściwie się wydarzyło.

Palce pani Uphill odruchowo szarpały brzeg prześcieradła.

- Zadzwoił do mnie. Powiedział...

- Wiemy, co powiedział - przerwał jej Frost. - Proszę zacząć od tego momentu.

- Włożyłam pieniądze do torby, tak jak kazał.

- Do jakiego rodzaju torby?

- Takiej z biało-niebieskiego plastiku, jakie dają w supermarkecie. Poszłam Vicarage Terrace, a następnie skrót do Bath Road.

- Czy zdawała sobie pani sprawę, że ktoś panią śledzi? Przez chwilę zastanawiała się, a potem pokręciła głową.

- Nie, nie sędzę. Myślałam tylko o tym, żeby jak najszybciej dotrzeć do tamtej budki telefonicznej. Bałam się, że on zadzwoni, zanim dojdę. Mniej więcej w połowie drogi usłyszałam za sobą jakiś szelest, a potem coś mnie uderzyło.

Poniosła rękę i dotknęła bandażu.

- Wiem jedynie, że później strasznie bolała mnie głowa i że nagle znalazłam się tutaj. Nie pamiętam, że byłam w karetce ani niczego po drodze.

Frost uśmiechnął się ze współczuciem.

- Czy miała pani z sobą portmonetkę?

- Tak. Zawsze noszę ją w torebce.

- Już nie. Najwyraźniej ten pan dał sobie radę również z pani torebką... Ile tam było?

- Mniej więcej dwadzieścia funtów gotówką, a oprócz tego klucze do domu i kluczyki samochodowe.

Pielęgniarka z wieczornej zmiany przyniosła tabletkę nasenną i szklankę wody. Obrzuciła Frosta piorunującym spojrzeniem, a on natychmiast zrozumiał, że najwyższy czas się stąd wynosić.

Barnard zdążył w tym czasie wykonać wszystkie telefony i teraz grzecznie czekał na zewnątrz. Idąc długim korytarzem w stronę głównego wyjścia, Frost opowiedział mu szczegółowo przebieg rozmowy.

- Ten gnojek okradł ją nawet z dwudziestu funtów, które miała w torebce. To nie jest żaden porywacz, synu. Mamy do czynienia ze zwykłym, małym oszustem, który bierze wszystko, co mu się nawinie.

Jakaś pielęgniarka o ponurej twarzy, niosąca strzykawkę w naczyniu w kształcie nerki, otarła się o nich i znikła za drzwiami prowadzącymi do pogrążonej w mroku szpitalnej sali, skąd dochodziły czyjeś jęki.

Frost odwrócił oczy i przyspieszył kroku.

- Moja żona leżała w tej samej sali, synu. Zawsze kiedy wychodziłem od niej, miałem wrażenie, że nie przeżyję bez małego drinka. Wiesz, tuż za rogiem jest nieduży, przytulny pub...

*

Pub okazał się uroczym, malutkim lokalem; ogień wesoło trzaskał w kominku, a mnóstwo błyszczących ozdóbek przypominało o nadchodzącym Bożym Narodzeniu. W środku był tylko jeden klient - niewysoki mężczyzna w ciężkim palcie, który sączył drinka przy stoliku w kącie. Frost z lubością grzał się przy kominku. Najwyraźniej przyjazna atmosfera tego miejsca pozwalała mu się odprężyć, podobnie jak niegdyś po koszmarnych wizytach w szpitalu, kiedy słyszał, że może zostać tak długo, jak ma ochotę. To znaczyło jedynie, że nie ma powodu, by skracać odwiedziny u żony. Musi tam siedzieć z fałszywym uśmiechem przylepionym do twarzy i w milczeniu dzielić z nią ból, i przyglądać się, jak ona umiera.

Clive wrócił z drinkami i resztą pieniędzy, którą od razu oddał Frostowi.

- To całkiem niezły pub, sir - zauważył. Ale Frost wcale go nie słuchał. Jak urzeczoną wpatrywał się w stojący w kącie stolik. Niewysoki mężczyzna zniknął, pozostawiając na blacie prawie nietkniętą szklankę z drinkiem. Frost ruszył w tamtą stronę.

- Widziałeś go?

- Kogo? - spytał Clive.

- Tego facecika, który przed chwilą tu siedział. Kiedy nas zobaczył, nagle zaczęło mu się strasznie spieszyć. Spójrz, nawet nie, wypił drinka. - Mówiąc to, podniósł szklaneczkę, powąchał jej zawartość, a następnie opróżnił jednym haustem. - Szkocka. Cholernie dobra rzecz. Zobacz, dokąd on poszedł, jeśli ci się uda.

Clive wyszedł z lokalu akurat w porę, by ujrzyć tylne światła odjeżdżającego samochodu. Wrócił i powiedział o tym Frostowi.

Inspektor wzruszył ramionami.

- Nie szkodzi, to pewnie nic istotnego. Posłuchaj, synu, mam dla ciebie zadanie.

- Tak? - zapytał ostrożnie Clive.

- Przeleć się do naszego samochodu i połącz przez radio z dyżurnym na posterunku. Chcę, żeby zaraz zdjęto ochronę domu pani Uphill.

Clive spojrział na niego z niedowierzaniem. - Chce pan zdjąć ochronę? Przecież niedawno kazał pan ją tam ustawić!

- Wiem - odparł Frost. - Powiedz im, że po prostu mam taką zachciankę. A teraz pospiesz się, zrób, o co cię proszę, a potem zaczekaj na mnie w samochodzie.

Dyżurny na posterunku wysłuchał polecenia z takim samym niedowierzaniem jak wcześniej Clive.

- Jesteś pewien, chłopcze, że właściwie zrozumiałeś rozkaz?

- Jasne, że zrozumiałem - parsknął Clive. - Inspektor Frost życzy sobie, żeby dom pani Uphill pozostał bez ochrony.

- Nie bierz tego do siebie, ale wolałbym usłyszeć to osobiście od inspektora - odparł dyżurny.

Drzwiczki samochodu otworzyły się i Frost wziął do ręki mikrofon.

- Tutaj Frost. Chcę, żeby natychmiast zdjęto wszelki nadzór nad domem pani Uphill. Teraz i zaraz, bez odbioru.

Oddał zestaw głośnomówiący Clive'owi i zatrzasnął drzwiczki.

- Uszy do góry, synu, i gaz do dechy. Jedziemy do słynnego przybytku pani Uphill.

W pobliżu Vicarage Terrace skierował Clive'a w płataninę bocznych uliczek, skąd w końcu wyjechali na zakręcie w takim miejscu, z którego można było obserwować dom pod numerem dwudziestym dziewiątym, samemu nie rzucając się w oczy. Wyłączyli światła i rozpoczęło się nudne oczekiwanie.

- Co właściwie tu robimy? - Clive ośmielił się zadać to pytanie po pięciu minutach gapienia się na pusty dom na kompletnie wyludnionej ulicy.

- No! Myślałem już, że wcale o to nie zapytasz! - odparł Frost. - Kiedy poszedłeś, żeby pogadać przez radio z dyżurnym na posterunku, wdepnąłem na moment do szpitala. Chciałem się dowiedzieć, czy ktokolwiek dzwonił bądź dowiadywał się o zdrowie twojej uroczej przyjaciółeczki, pani Uphill. I rzeczywiście ktoś o nią pytał. Zgadnij, kto?

- Poddaję się - wyjęczał Clive. Marzył o tym, żeby Frost od razu przeszedł do sedna sprawy.

- Ten mały chytrus w grubym palcie! Przyszedł do rejestracji nie dalej jak piętnaście minut temu i spytał, jak się miewa biedna pani Uphill i kiedy wychodzi do domu!

Na Barnardzie nie wywarło to żadnego wrażenia.

- No to co? Równie dobrze mógł to być któryś z jej sąsiadów.

- Albo klient, który zastanawia się, jak długo będzie musiał brać zimny prysznic... Ale to nie był sąsiad ani klient, synu. Do diabła, czy ktoś poza policją wiedział, że ona wylądowała w szpitalu? Nie, to był nasz mały krętacz z pubu. Ten, który zostawił ledwo napoczętą whisky. W rejestracji powiedzieli mu, że pani Uphill zostaje na noc, więc sobie poszedł.

- Ciągłe nie rozumiem... - zaczął Clive, ale Frost nie dał mu dokończyć.

- Synu, napaści na panią Uphill dokonał zwykły, drobny złodziejaszek. Zdobył jej portmonetkę i klucze do domu i wie, że dom stoi pusty przez całą noc, więc spokojnie może tam wejść i wziąć, co mu się będzie podobało.

- To dlaczego odesłał pan wóz patrolowy? - Ponieważ chcę złapać tego gnojka, a nie tylko go wystraszyć. Schowaj się, szybko! To chyba on!

Oświetlony na kolorowo samochód wolno wtoczył się w Vicarage Terrace, zawrócił, a potem ostrożnie pojechał tą samą trasą w przeciwnym kierunku. Kilka minut później znów się pojawił, przejechał obok domu pani Uphill, aż w końcu zatrzymał się trzy posesje dalej po przeciwnej stronie ulicy. Przez chwilę nic się nie działo; wreszcie z samochodu wysunął się mały człowieczek z wielką walizką, rozejrzał się po ulicy i żwawym krokiem ruszył w stronę domu oznaczonego numerem dwudziestym dziewiątym. Zazgrzytał obracany w zamku klucz, drzwi otworzyły się i cichutko zamknęły. Złodziej dostał się do środka.

Ręka Clive'a powędrowała w stronę klamki.

- Wejdziemy, żeby przyłapać go na gorącym uczynku?

Jednak Frost nie ruszył się z miejsca.

- Nie. Tak czy inaczej będzie musiał wrócić do swojego samochodu, więc tu na niego zaczekamy.

I czekali. Frost właśnie palił czwartego z kolei papierosa.

- Chyba coś tam wypatrzyłem, synu - powiedział w pewnej chwili.

Mały człowieczek opuszczał pogrążony w mroku dom. Ślizgając się po chodniku, sunął w stronę samochodu, a ogromna walizka zdawała się przytłaczać go swym ciężarem.

Skoczyli na niego, gdy schylił się, żeby odblokować drzwiczki auta. Okrzyk przerażenia postawił na nogi senną uliczkę. Psy rozszczękały się, a co bardziej nerwowi mieszkańcy czym prędzej wykręcili numer 999. Wóz patrolowy, który przyjechał, żeby sprawdzić, co się dzieje, został przez Frosta odesłany do wszystkich diabłów.

- Jedźcie i znajdźcie sobie własnego włamywacza!

Aresztant nie stawiał oporu, lecz gdy tylko odzyskał oddech, zaczął się żałośnie skarżyć.

- Myślałem, panie Frost, że wykituję z przerażenia. Co za głupota tak napadać na człowieka. Wie pan przecież, że mam słabe serce.

- Dopóki nie ma pan słabego pęcherza, wszystko w porządku - odpowiedział Frost. Uporczywie wpatrywał się w zatrzymanego, który najwyraźniej doskonale wiedział, z kim ma do czynienia.

- Patrzcie, patrzcie, kogo my tu mamy! Clive, oto Dapper Dawson - włamywacz, drobny oszust i kanciarz co się zowie. Co tam masz w tej walizce, Dapper?

- Encyklopedie, panie Frost. Zarabiam na studia w college'u.

W wypchanej walizce znajdowały się filtra, biżuteria i różne wartościowe drobiazgi skradzione z domu pani Uphill. Na tylnym siedzeniu auta Dappera stała biało-niebieska torba z supermarketu, wypchana używanymi banknotami o nominale pięciu funtów...

*

Dapper został zabrany na posterunek i umieszczony w pokoju przesłuchań; wcześniej Frost kazał poczęstować go filiżanką herbaty i zaproponował papierosa z własnych zapasów. Taka zachęta do współpracy okazała się całkowicie wystarczająca. Teraz musieli jedynie słuchać, a opowieść zdawała się trwać w nieskończoność, zajmując bite cztery strony maszynopisu. Zaczęło się od tego, że przeczytał gdzieś o sprawie Lindbergha i klasycznym przypadku uprowadzenia, gdzie facet otrzymał pieniądze z okupu, bo udawał, że przetrzymuje dziecko słynnego lotnika.

- Pomyślałem więc, że spróbuję tej samej sztuczki z panią Uphill. Zresztą ona jest tylko zwykłą kurwą. Co dla niej znaczą dwa tysiące funtów? Raz dwa zarobi je własnym tyłkiem. Nawet nie będzie musiała ruszać się z łóżka... Hej, co się stało temu gościowi ze złamanym nosem?

Frost spiorunował wzrokiem Clive'a. Ostatecznie powinien wiedzieć, jak należy reagować, kiedy podejrzany składa zeznania.

- Dzieciak? - mówił dalej Dapper. - Oczywiście, że nie mam tego dzieciaka. Porwania nie są w moim stylu, prawda, inspektorze? Możecie przeszukać mój dom, jeśli macie ochotę, ale jeśli traficie tam na jakiegoś bachora, to będzie znaczyło, że moja stara puściła się z mleczarzem.

Nikt nie spodziewał się, żeby Tracey przebywała w domu Dappera, ale na wszelki wypadek wóz patrolowy sprawdził tę możliwość. Jednak dziecka tam nie było. Ani teraz, ani przedtem.

Dapper podpisał zeznania, podziękował Frostowi za papierosa i powędrował do aresztu. Przypadkiem trafił do celi obok mężczyzny w skórzanej kurtce.

- Jak dalej będziesz miał takie szczęście, wkrótce zabraknie nam cel - skomentował sierżant posterunkowy.

Ku żalowi Frosta Mullett zdążył pojechać do domu i znowu nie był świadkiem małego triumfu inspektora.

- Gdyby chodziło o którąś z moich zwykłych wpadek, to jak nic byłby tutaj, żeby mnie wystawić na pośmiewisko - narzekał. Wrócił do biura, żeby poprzekładać z miejsca na miejsce sterty dokumentów, i znalazł tam Clive'a, który z nadzieją czekał na pozwolenie pójścia do domu. Hazel z pewnością od dawna siedziała w jego pokoju, z twarzą umytą z makijażu, a jej starannie złożony mundur leżał na stołeczku...

- Już jest piętnaście po jedenastej, sir - oznajmił, spoglądając na zegarek, i wymownie ziewnął.

- A to co takiego? - zapytał Frost na widok nabazgranej odręcznie notatki, która leżała na samym środku biurka. Dzwonił Sandy Lane, z „Echa” Denton. Prosił o pilny telefon.

Pod spodem ta sama ręka dopisała: Dzwonił jeszcze raz o dziesiątej trzydzieści. Sprawa bardzo pilna. Proszę zaraz oddzwonić.

- Mówiłeś, synu, że jest już piętnaście po jedenastej? W takim razie trzeba zadzwonić zaraz.

Wybrał numer biura gazety, zamienił kilka słów z Sandym, a potem rzucił słuchawkę na widełki i poderwał się z krzesła.

- Dawaj mój szalik, synu! Zdecydowanie mam dziś dobry dzień. Sandy twierdzi, że wie, czyj szkielet udało się nam znaleźć, więc chodź, zawieszysz mnie do niego do biura.

Clive włókł się za inspektorem przez parking, ze złością rozkopując zwały śniegu. Była zimna, ohydna, ciągnąca się w nieskończoność noc, a on myślał o swoim ciepłym,

przytulnym mieszkanku, o pykaniu gazowego piecyka i o Hazel, która zsuwa z bioder swoje mikroskopijne majteczki, zmysłowym ruchem gładząc szczupłutkie biodra... Na ten widok jęknął z rozpaczy, nie zważając na to, że właśnie przekręca kluczyk w stacyjce.

- Co się dzieje? - zaniepokoił się Frost. - Czyżbyś stęsknił się za czymś?

*

Sandy Lane wcisnął gości do swojego malutkiego biura, które tak naprawdę było kątem wydzielonym z otwartej przestrzeni i odgrodzonym od reszty pomieszczenia palisadą z zatłoczonych biurków, telefonów i faksów.

Frost musiał mówić podniesionym głosem, żeby w ogóle było go słyszeć w tym huku maszyn do pisania.

- No, Sandy, więc czyj jest ten szkielet?

- Poczytasz sobie o tym w jutrzejszym „Echu”, Jack - odparł reporter, rzucając przed nich poplamioną farbą drukarską szczotkę następnego wydania. Na pierwszej stronie rzucał się w oczy olbrzymi nagłówek: ZAGINIONY URZĘDNIK BANKOWY ODNALAZŁ SIĘ PO TRZYDZIESTU DWÓCH LATACH. Podtytuł głosił: „Echo kradzieży dwudziestu tysięcy funtów z banku Bennington”, a zaraz za nim następował kolejny: „Medium naprowadziło policję na tajemniczy grób w lesie”. Pod spodem znajdowała się fotografia Frosta z ustami amorka i nieco większą ilością włosów niż obecnie, podpisana: „Detektyw Jack Frost prowadzący śledztwo w tej sprawie”.

- Na tym zdjęciu wyglądam tak, jakby to mnie wykopano po trzydziestu dwóch latach - mruknął Frost.

Resztę pierwszej strony zajmowało powiększone zdjęcie smutnego mężczyzny z przeredzającymi się włosami, w wieku około trzydziestu pięciu lat. Podpisane było po prostu: „Timothy Fawcus”.

Frost zmarszczył brwi.

- Fawcus? - To nazwisko poruszyło w nim jakieś wspomnienia.

- To właśnie jego szkielet - wyjaśnił Sandy.

- Więc powiedz mu, żeby stawił się osobiście i zgłosił pretensje, bo my wcale go tu nie chcemy. - Frost otworzył drugą stronę, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, ale środek był jeszcze niezadrukowany. I wtedy zaskoczyło. Oczywiście, Timothy Fawcus! Inspektor odwrócił się do Clive'a.

- To zdarzyło się w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym, zanim jeszcze się urodziłeś - wyjaśnił. - Właśnie zaczynałem służbę w policji. Miałem osiemnaście lat, zdrowie jak byk i temperament jak sto diabłów. W tamtych czasach człowiek musiał się

nieźle natrudzić, żeby poderwać jakąś panienkę. Nie wpraszały się na kwatery ani nie czekały tam godzinami, aż się wróci ze służby.

Clive poczuł, jak krew napływa mu do twarzy. Skąd ten Frost wiedział, do jasnej cholery!

- Fawcus pracował jako kasjer w banku Bennington i przewoził dwadzieścia tysięcy funtów w kasetce przymocowanej do jego nadgarstka. Kiedy znikł razem z pieniędzmi, dosłownie wszyscy zostali odwołani od innych zadań i wciągnięci do poszukiwań. Szukaliśmy wszędzie... A on przez ten cały czas spoczywał pod warstwą ziemi w Dead Man's Hollow. - Odruchowo skubnął bliznę na policzku. - Ciekawe, czy po kolejnych trzydziestu iluś tam latach ktoś wykopie szkielet Tracey... Sandy pochylił się do przodu.

- Więc myślisz, Jack, że ona nie żyje?

Frost kiwnął głową w kierunku okna, za którym porywisty wiatr wył i uderzał w szyby, wzniesając śnieżne tumany.

- A ty co myślisz? - powiedział tylko i znów wrócił do dawno minionej przeszłości. - Pamiętasz, Sandy, tego gościa, który był odpowiedzialny za prowadzenie śledztwa w sprawie Fawcusa? Nazywał się Bottomley, był tłusty jak świnia i taszczył przed sobą ogromne brzuszysko. Musiał nosić spodnie szyte na miarę.

- A co zdarzyło się z Fawcusem? - dopytywał się Clive.

Historia była banalnie prosta. Dwudziestego szóstego lipca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku Fawcus opuścił Denton służbowym samochodem należącym do banku, za którego kierownicą siedział młody urzędnik, Rupert Garwood. Celem ich podróży był oddział w Exley, oddalony mniej więcej o siedem mil, dokąd mieli dostarczyć dwadzieścia tysięcy funtów, zamkniętych w pancерnej kasetce, która została przytwierdzona do nadgarstka Fawcusa. Jednak samochód nigdy nie dotarł do celu. Znalezione go później tego samego popołudnia na bocznej drodze, dość odległej od trasy, jaką powinni byli jechać. Młody urzędnik, Garwood, wisiał bezwładnie na kierownicy, straciwszy przytomność z powodu silnego uderzenia w tył głowy. Cios był tak mocny, że biedak stracił pamięć i nie potrafił wyjaśnić, co właściwie się wydarzyło. Nikt nigdy nie ujrzał już Fawcusa ani kasetki z dwudziestoma tysiącami funtów.

- Pisałem artykuł na ten temat - oznajmił z dumą Sandy. - Ukazał się nawet w londyńskich dziennikach.

- Biedny, stary Fawcus - ulitował się Frost. - Przez tyle lat niesłusznie go oskarżano, a on cały ten czas spokojnie leżał sobie w grobie. Miał jakąś rodzinę, prawda?

- Żonę - odparł reporter. - Ale nie wiem, co się z nią stało. Eee... W jaki sposób zginął?

- Od strzału. - Frost popukał się w czoło. - Od strzału w głowę.

Sandy z szybkością błyskawicy złapał za telefon i wcisnął klawisz oznaczony hasłem „drukarnia”.

- Mac, tu Sandy. Zatrzymaj wszystko. Musimy zerwać pierwszą stronę. Mam informację od policji, że Fawcus został zastrzelony.

Odłożył słuchawkę drżącą ręką, najwyraźniej nie mogąc się doczekać, kiedy ich stąd wyprowadzi i będzie mógł zacząć wszystko od nowa.

- Jack, dzięki tobie będę miał sensacyjną wiadomość, która znajdzie się tylko w naszej gazecie.

- Znasz mnie przecież - odparł skromnie Frost. - Jeden nędzny lunch i już mnie masz. Chodź, synu.

- Zaczekaj, Jack. Te pieniądze... Przypuszczam, że gdzieś się rozplynęły, prawda?

Frost uśmiechnął się słodko.

- Sandy, kochanie, być może jesteśmy bandą durniów, ale gdyby w tej kasetce było dwadzieścia tysięcy funtów, to chyba sami byśmy wpadli na to, czyje to zwłoki.

Podszedł do drzwi i sięgnął do klamki, ale drzwi w tej samej chwili otworzyły się i do środka wkroczył młody, energiczny adept dziennikarstwa.

- Panie Lane, przepraszam, że przeszkadzam, ale dyrektor banku odmawia złożenia oświadczenia, a w domu pana Garwooda nikt się nie zgłasza.

Frost nagle zatrzymał się.

- Garwood? Masz na myśli Ruperta Garwooda, tego dzieciaka, który prowadził tamten samochód?

- Tak - odpowiedział Sandy. - Wrócił do Denton, nie wiedziałeś o tym? Jest teraz wicedyrektorem banku Bennington.

WTOREK (7)

SIERŻANT TOM HENDERSON ODŁOŻYŁ DŁUGOPIS I ZIEWNAŁ jak hipopotam. Chyba nigdy się nie przyzwyczaję do pracy w nocy, pomyślał. Niezależnie od tego, jak długo spał podczas dnia, gdy tylko zbliżała się północ, jego ciało czuło się zmęczone i stanowczo domagało się wypoczynku. Nagle wzdrygnął się, bo przeszył go dreszcz. W holu było tak strasznie zimno, a za każdym razem, gdy ktoś otwierał te cholerne, spaczone drzwi...

Telefon na biurku zadzwonił.

Siedzący na twardej drewnianej ławie pod plakatem ze stonką młodzieniec w skórzanej kurtce skurczył się jeszcze bardziej, a jego twarz ściągnął lęk.

Henderson wysłuchał kogoś po drugiej stronie.

- Nie, jeszcze nie - odparł. Odłożył słuchawkę, a potem spojrzał na przerażonego chłopaka i pokręcił głową. Młody człowiek opadł bezwładnie na ławę i znów wpatrzył się bezmyślnym wzrokiem w pustą ścianę naprzeciwko.

Lodowaty podmuch przemknął przez hol, kiedy inspektor Frost i ten nowy typek ze złamanym nosem weszli do środka.

- Cześć, Jack!

- Cześć, Tom. Hej, bracie, chyba zapomniałeś się dziś ogolić, co?

Henderson uśmiechnął się od ucha do ucha i czule pogładził niewielką bródkę - efekt kilku tygodni wytrwałego zapuszczania, podczas których musiał wysłuchiwać niewybrednych komentarzy.

Frost kątem oka zauważył skulonego na ławie młodzieńca.

- Co jest? - zapytał krótko. Henderson pochylił się do przodu.

- Rozjechał na przejściu jakąś staruszkę - powiedział możliwie jak najciszej. - Zabrali ją do szpitala. Od razu trafiła na stół operacyjny, a on czeka na wynik. Lekarze mówili, że jej stan jest krytyczny.

- Och... - Frost przesunął wzrokiem po siedzącym na ławce dzieciaku. Na oko miał z osiemnaście lat i sprawiał wrażenie nieładnie zdenerwowanego. - To była jego wina, zgadza się?

Sierżant z powagą skinął głową.

- Nie patrzył, dokąd jedzie. Gapił się w lustro na kumpli siedzących z tyłu, którym akurat zachciało się wychylać przez okno. Nie zauważył jej, dopóki nie potrącił, a ona przechodziła przez jezdnię na przejściu dla pieszych.

- Biedny szczeniak - mruknął Frost. Na jego twarzy pojawił się rzadko widziany tam wyraz prawdziwego współczucia.

- Biedny? - powtórzył ze zdziwieniem Give.

- Tak, synu. Mnie też się zdarza od czasu do czasu, że niewiele brakuje, bym kogoś rozjechał... To tylko czysty przypadek, że nic podobnego dotąd mi się nie przytrafiło. Jemu po prostu zabrakło szczęścia.

- Tak samo jak tej starszej pani. Frost pociągnął nosem.

- Surowy jesteś, chłopcze, bardzo surowy... Owszem, bardzo mi jej żal, ale jego także.

Następny powiew zimnego powietrza zdmuchnął na podłogę leżące na biurku papiery i do środka wtargnął potężny mężczyzna o czerwonej z gniewu twarzy, ubrany w kurtkę z kapturem obszytym futrem, gotów do awantury z każdym, kto nosi mundur.

- Ty! Gdzie jest mój syn?!

- Tato...

Młody człowiek nawet nie odwrócił głowy w tamtym kierunku. Mówił w pustą przestrzeń.

- Chodź, synu. Jedziemy do domu.

Gniewne spojrzenie powędrowało w stronę sierżanta Hendersona.

- Zabieram go stąd, słyszysz? Nie macie prawa go przetrzymywać.

- Nikt go tu nie trzyma na siłę, proszę pana - cierpliwie wyjaśnił sierżant. - Pański syn może iść, dokąd chce. Złożył zeznanie, a my spisaliśmy wszystkie dane.

- Zeznanie?! - Teraz zażywny jegomość ze złością odwrócił się do chłopaka. - Ty cholerny kretynie! Trzeba im było nic nie mówić!

Odwrócił się z powrotem do sierżanta.

- To zeznanie jest nieważne! - wrzasnął. - Zostało złożone bez obecności prawnika. Będziemy wszystkiemu zaprzeczać!

Młodzieniec pochylił głowę w stronę ojca. Spokojnym tonem, jakby rozmawiał z kompletnym idiotą, zaczął tłumaczyć mu wszystko od początku.

- Tato, mam już osiemnaście lat. Nikt nie wymuszał tego zeznania, złożyłem je z własnej i nieprzymuszonej woli. Ja naprawdę nie patrzyłem na drogę... Uderzyłem w nią.

Na samo wspomnienie w jego oczach odmalował się szczery ból.

W odpowiedzi ojciec zaaplikował mu mocny policzek, który odbił się głośnym echem po całym holu.

- Trzymaj język za zębami, rozumiesz, durniu?! Sam ci powiem, co masz zeznawać!

I znowu zabrzączał telefon. Młodzieniec, gotów już do ostrej riposty, zamarł, kiedy Henderson podnosił słuchawkę.

- Tu sierżant Henderson. Och, rozumiem... Tak, bardzo dziękuję za wiadomość.

Starannie odłożył słuchawkę na widelki, a potem odezwał się cicho i spokojnie.

- Równie dobrze możesz już iść do domu, chłopcze. Umarła pięć minut temu.

Młody człowiek bez słowa gapił się na sierżanta. Z początku wydawało się, że nie rozumie, o co tamtemu chodzi. Potem zmarszczył brwi i pobałdł jak ściana, z wyjątkiem czerwonego śladu po uderzeniu na lewym policzku. Nagle usta mu zadrżały, twarz skurczyła

się, a ciałem wstrząsnęło bezgłośnie łkanie. Ten widok poruszył nawet rozwścieczonego ojca. Objął syna ramieniem i mocno przytulił.

- Już dobrze, synku, już w porządku. Chodź, pojedziemy do domu.

Wyprowadził szlochającego nastolatka prosto w zimną, śnieżną noc. Rozklekotane drzwi zamknęły się za nimi z trzaskiem.

- Zawsze powtarzam, że na tym cholernym świecie nie ma sprawiedliwości - oświadczył Frost, rozplątując mokry szalik. - Gdyby trzymał język za zębami albo zeznał, że babcia wylazła mu na drogę prosto pod koła, nie moglibyśmy nic mu zrobić. Ostatecznie jest jedynym świadkiem. Ale on chciał być uczciwy. Naprawdę przejął się tym, że przez jego nieuwagę ktoś zginął. A my prawdopodobnie będziemy musieli wnieść oskarżenie.

Ciągnąc za sobą szalik, pomaszerował ciemnym korytarzem prosto do swojego biura. Clive pomknął za nim, rzucając zdesperowane spojrzenie na zegar, którego większa wskazówka wskazywała dokładnie trzydzieści minut po północy.

*

- Cholera, ci kolesie w pięćdziesiątym pierwszym roku potrafili robić porządne supły - mruknął z podziwem Frost, łamiąc sobie paznokcie na zmumifikowanym sznurku, który ciasno opasywał akta zatytułowane „Kradzież gotówki z banku Bennington - lipiec 1951 roku”. Właśnie przed chwilą przyniesiono je z magazynu na piętrze, gdzie spoczywały od ponad trzydziestu lat. Nieoczekiwanie sznurek pękł i poźółkłe kartki rozsypały się na blat biurka, powiększając jeszcze panujący tam nieporządek. Frost zagarnął je wszystkie naraz, a przy okazji wygrzebał notatkę od Mulletta, w której szef przypominał podwładnym o ostatecznym terminie składania wniosków o zwrot kosztów, przy okazji podkreślając, że spóźnialscy muszą liczyć się ze wstrzymaniem wypłaty aż do następnego miesiąca.

Frost podał akta Clive'owi, a sam zaczął grzebać w szufladach w poszukiwaniu odpowiedniego formularza.

- Synku, znajdź rysopis Fawcusa. Zobaczmy, czy będzie pasował do naszego szkieletu. Gdyby przypadkiem okazało się, że facet miał jedną nogę, sprawa byłaby jasna.

Akta były dość opasłe, a zbutwiałe od przechowywania w nieogrzewanym pomieszczeniu wydzielaly przykrą woń stęchlizny. Na samym wierzchu znajdowała się fotografia młodego mężczyzny w wojskowym mundurze, z furażerką wciśniętą zawadiacko na czubek głowy. Jego gęste, falujące włosy lśniły od nadmiaru brylantyny. Z tyłu widniała odręczna dedykacja: „Mojej ukochanej Rose z wielką miłością - Tim”, a za nią rząd uśmiechniętych serduszek. Wydrukowana na maszynie do pisania policyjna nalepka głosiła: „Timothy Fawcus. Zdjęcie sprzed paru lat. Teraz ma o wiele mniej włosów”.

Clive odwrócił zdjęcie i wpatrzył się w uśmiechniętą, beztroską twarz. Czy to możliwe, że ta sama, pokryta skorupą brudu czaszka została wydarta zamrzniętej ziemi w Dead Man's Hollow?

Pokazał zdjęcie Frostowi.

- Och, kiedyś też miałem takie włosy, synu... Mówię ci, dziewczyny dosłownie wariowały, żeby tylko ich dotknąć. No tak. - Przeczytał napis na odwrocie. - Teraz mamy o wiele mniej włosów. I on, i ja... A kto to jest ta Rose? Jego żona?

- Jeszcze do tego nie doszedłem, sir.

Nieco głębiej Clive natrafił na następne zdjęcie - to samo, którego odbitkę widzieli wcześniej na pierwszej stronie „Echa”. Z tyłu znajdował się pełny rysopis zaginionego: „Timothy Fawcus, lat trzydzieści osiem, wzrost pięć stóp i jedenaście cali, waga sto siedemdziesiąt dwa funty, ziemista cera, lekko łysiejący od czoła, ciemne włosy, delikatne rysy twarzy. Blizna po usunięciu wyrostka robaczkowego. Tatuaż na prawym nadgarstku - słowo *Rose* w czerwonym serduszkach”.

Frost wydał wargi.

- Hmm... Wszechobecna Rose... Mam nadzieję, że nie okaże się, że to jakieś cholerne sianie czy coś podobnego, jak w tym filmie Orsona Wellesa.

- Ma pan na myśli *Obywatela Kane'a*, sir? Tamte nazywały się „Rosebud”.

Inspektor wcisnął mu do ręki swój formularz z zestawieniem wydatków, żeby Clive sprawdził obliczenia.

- Ten rysopis w swoim czasie mógł mieć pewne znaczenie, ale jeśli twój podejrzany gnije w ziemi od ponad trzydziestu lat, to informacje o tatuażu albo cofającej się linii włosów niewiele mogą pomóc. Mimo to oddamy ten opis do laboratorium sądowego i zobaczymy, co z tego będzie im pasowało.

- A może warto sprawdzić to złamane ramię, sir? I oczywiście kartę stomatologiczną, jeśli ją znajdziemy. Będzie można ją porównać z uzębieniem w czaszce.

- Olśniewasz mnie swoją wiedzą, synu. Ale tym zajmiemy się dopiero jutro. Spróbujesz wytropić lekarza domowego i dentystę, którzy leczyli Fawcusa. A teraz pokaż, co jeszcze znalazłeś?

Clive trzymał w ręku fotografię młodej kobiety z fryzurą w stylu Judy Garland. Podpis głosił, że to Rose Fawcus, żona zaginionego, obecnie zamieszkała w Denton przy Longley Road pod numerem sto siedemdziesiątym drugim.

- Już tam nie mieszka - odparł Frost. - Ten budynek został rozebrany, żeby na jego miejscu postawić nową bibliotekę publiczną.

Następna fotografia przedstawiała kilkunastoletniego chłopaka o pogodnych oczach. Na odwrocie znajdował się napis: „Ruppert Garwood, młodszy urzędnik banku Bennington”. Do zdjęcia dołączony był raport ze szpitala, zaświadczający, że na skutek uderzenia czaszka młodego człowieka pękła, ale to pęknięcie wyglądało niegroźnie i wkrótce powinno się zagoić. Garwood był teraz wicedyrektorem banku Bennington, przypomniał sobie Frost i postanowił, że z samego rana złoży mu wizytę.

A potem przyszło mu do głowy, że oto traci cenny czas, zajmując się dawno zapomnianą sprawą, która nie miała nic wspólnego ze zniknięciem w niedzielę Tracey Uphill. Pod wpływem tej myśli zbliżył się do okna i wyrzwał na zewnątrz. Jakaś opatulona postać posuwała się przez parking, ostrożnie stawiając każdy krok. Nie pozostawiała po sobie żadnych śladów, gdyż śnieg przypominał teraz wypolerowane lustro z lodu. Frost zadrżał. Jutro będą kontynuować poszukiwania, a jeśli nie znajdą sztywnego, zamarznętego na kość ciała, to być może natrafią na nie następnego dnia.

Miał już stanowczo dość. Bez namysłu owinął szyję szalikiem i włożył płaszcz.

- Zbieraj te papiery, synu. Idziemy do domu. Clive'owi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zatrzasnął teczkę z aktami, wepchnął ją do szuflady, a zaraz potem zderzył się z Frostem, który jak posąg stał przy drzwiach.

- Wielki Boże, synu! Czy uwierzysz, że dopiero teraz przyszło mi to do głowy?! Nic dziwnego, że dziś dopisywało mi szczęście. Wiesz, jaki dzień jest dzisiaj? Dziś są moje urodziny!

Albo raczej były... Były, dopóki nie wybiła północ. Nikt o nich nie pamiętał, nikt nie wysłał mu kartki z życzeniami.

- W takim razie wszystkiego najlepszego - powiedział Clive. Miał cichą nadzieję, że to nie oznacza późniejszego powrotu do domu.

Ale Frost już pędził przed siebie, a odgłos jego kroków odbijał się echem po pustym korytarzu. W pewnym momencie zatrzymał się, żeby zamienić kilka słów z oficerem dyżurnym.

- Jeśli sierżant Hanlon będzie chciał się ze mną skontaktować, przełączcie go na moje prywatne radio. Idę do domu.

W holu Henderson spisywał właśnie dane pewnego mężczyzny, któremu skradziono samochód. Nie przerywając pracy, machnął im ręką na pożegnanie.

Na zewnątrz noc była tak paskudnie zimna, że aż odbierało dech. Frost usiadł na miejscu kierowcy, zawrócił szerokim łukiem, a potem zaczął powoli sunąć po błyszczącym lodzie w kierunku głównej ulicy.

- Jeszcze tylko maleńki objazd, chłopcze, a zaraz potem podrzucę cię do domu.

Serce Clive'a na parę sekund przestało bić, gdyż dokładnie wiedział, co dla inspektora Frosta oznacza określenie „maleńki objazd”. Ale tym razem rzeczywiście nie pojechali daleko. Kilkoma bocznymi uliczkami dotarli do High Street, a potem skręcili w przecznicę, przy której nie świeciła się żadna latarnia, żeby w końcu zatrzymać się przed ciemnym rzędem segmentów o czarnych oknach.

- To jest Longley Road - oznajmił Frost.

To tutaj mieszkał Fawcus w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku. Clive przyjrzał się uważnie ciemnym domom i nagle zorientował się, że wszystkie od dawna są opuszczone. Arkusze porzewiałej blachy zasłaniały pozbawione szyb okna, a na drzwiach przybite były deski z tajemniczymi napisami: „Brak gazu” „Brak wody” „Brak prądu”.

Frost wszedł po ospylających się schodkach prowadzących do segmentu oznaczonego numerem sto siedemdziesiątym drugim. Przez otwór w skrzynce na listy zerknął w panującą wewnątrz nieprzeniknioną ciemność, która śmierdziała mokrym tynkiem i przemoczonymi materacami.

- Wiesz, synu, chyba nikogo nie ma w domu. Ale nic nie szkodzi, przecież mamy klucze.

Wyciągnął z kieszeni kółko z kluczami znalezionymi w ziemi obok szkieletu, wsadził jeden z nich do zamka i obrócił. Rozległo się ciche kliknięcie. Mechanizm zaskoczył, lecz mimo to drzwi nie ustąpiły, przytrzymywane przez gwoździe długości sześciu cali.

- Pasują! - zawołał Clive, starając się udawać, że zrobiło to na nim wrażenie.

Inspektor odpowiedział mu szerokim uśmiechem. Widać było, że jest z siebie dumny.

- Na to wygląda, synu, co? Właśnie tu nasz nieboszczyk mieszkał przed swoim tragicznym zgonem w pięćdziesiątym pierwszym roku.

Rozejrzał się po zapuszczonej, zaniedbanej ulicy.

- A teraz jest martwy, podobnie jak ta cała cholerna okolica. Zresztą ten, kto przestrzelił mu mózg i odrąbał rękę, też już prawdopodobnie nie żyje. - Mówiąc to, wruszył ramionami i zszedł ze schodków. - Kiedyś tam na rogu stał mały kiosk, gdzie jako dziecko kupowałem komiksy. Teraz sam wyglądam jak postać z jakiegoś pieprzonego komiksu.

Wysadził Barnarda pod jego kwaterą krótko po drugiej piętnaście w nocy.

- Możesz sobie trochę poleniuchować, synu - powiedział mu na pożegnanie. - Nie będę u ciebie wcześniej niż o ósmej rano.

Clive zachwiał się w drodze do drzwi, a w jego nieprzytomnej ze zmęczenia głowie zakołatała myśl, że oznacza to mniej niż pięć i pół godziny snu, a i to jeśli dopisze mu

szczęście. Prawdę mówiąc, dziś miał zamiar być bardzo szczęśliwy i spać o wiele krócej, niż zakładały podstawowe wyliczenia. Gdy tylko rozległ się trzask samochodowych drzwiczek, Frost kątem oka dostrzegł poruszenie zasłon w sypialni Clive'a i w przelocie mignęły mu kasztanowe włosy oraz skrawek nagiego ciała.

Westchnął ciężko. Na niego nikt nie czekał, nikt nie niecierpliwił się, kiedy wreszcie wróci. Jego dom był równie pusty i martwy jak Longley Road. Brak gazu, brak elektryczności, brak nagich kobiet. Nagle przypomniał sobie, że powinien otrzymać wiadomość od detektywa sierżanta Hanlona w sprawie rzekomego włamania do banku, więc połączył się przez radio z dyspozytornią, ale tam okazało się, że nie ma dla niego żadnych informacji. Tymczasem w oknie kwatery Barnarda zapaliło się światło. Czuł się jak ostatni zboczeniec, ale nie oderwał wzroku, dopóki nie zobaczył na zasłonie odbicia dwóch złączonych pocałunkiem postaci. Zaraz potem w pokoju zapadła ciemność. I wtedy podjął decyzję. Ostatecznie dziś są moje urodziny, powiedział sobie, wrzucając pierwszy bieg. Z rykiem silnika pomknął na wschód, w kierunku Bath Road, którą ostatnio rada miasta kazała obficie posypać solą. Kiedy znalazł się na prostym odcinku, wcisnął gaz do oporu. Samochód skoczył żwawo do przodu, mijając w dzikim pędzie stojące wzdłuż drogi słupy telegraficzne, a wskazówka prędkościomierza przesunęła się w okolice górnej granicy. Masz rację, chłopie, pomyślał. Zabij się w te swoje pieprzone urodziny.

Niewiele brakowało i minąłby właściwy skręt. Samochód co chwila stawał dęba na wyboistej dróżce, wpadając w dziury i koleiny. Mniej więcej w połowie drogi Frost zatrzymał się i wyłączył silnik. Z miejsca, gdzie droga skręcała, tamten dom wydawał się czarną bryłą, lecz pomimo późnej pory w pokoju na dole połyskiwało obiecujące światełko.

Przez moment wahał się, ale po chwili był już na zewnątrz i brnął w głębokim do kostek śniegu, chyląc głowę przez gryzącymi podmuchami lodowatego wichru. Brama wryła na białej połaci ozdobne wgłębienia, kiedy popchnął ją i wkroczył na teren posesji. Przy każdym kroku zostawiał za sobą głębokie ślady. Wreszcie dotarł do drzwi i niecierpliwym ruchem nacisnął dzwonek. Cisza. Potem kobiecy głos zawołał:

- Kto tam? - Jack Frost. - Wielkie nieba!

Czyjaś ręka odsunęła rygle i drzwi otworzyły się szeroko. Stojąca w nich kobieta miała na sobie szlafrok, a w rękę trzymała opróżnioną do połowy szklankę z drinkiem.

- Do diabła, czego tu chcesz?

- Po prostu wpadłem powiedzieć ci „cześć” - odparł niewinnie.

- Co takiego? O wpół do trzeciej nad ranem? No cóż, już powiedziałeś, co miałeś do powiedzenia, więc równie dobrze możesz się zbierać do domu.

- Och. - Frost sprawiał wrażenie całkiem zbitego z tropu.

- No dobrze, jeśli chcesz, to możesz wejść. Tylko szybko, zanim zamarznię na śmierć.

Z ulgą przestąpił próg i wszedł do ciepłego pomieszczenia. Drzwi zatrzasnęły się za nim, odcinając go od Tracey, Mulletta, szkieletu i całego zewnętrznego świata.

Poprowadziła go do niewielkiego salonu, zalanego przytulnym, przyćmionym światłem. Ze stojącego w kącie zestawu hi-fi sączyła się muzyka, a miękka kanapa w ciepłym, brązowym kolorze wchłaniała ciepło z piecyka gazowego.

- Skoro już zdecydowałeś się złożyć mi wizytę, to równie dobrze możesz się rozebrać.

Zrzucił z ramion mokry płaszcz, wsadził szalik do kieszeni i powędrował w stronę niewielkiej szafy w przedpokoju. Kiedy wrócił, siedziała na kanapie i przyglądała mu się z lekko przechyloną na bok głową.

- Nalałam ci drinka.

Klapanął blisko niej i wziął ze stoliczka napełnioną po brzegi szklankę.

- Za nas, Jack.

Przelknęła jednym haustem resztę płynu, ale on powoli sączył swoją porcję, delektując się każdym łykiem. Uważnym spojrzeniem mierzył postać gospodyni. Wciąż wyglądała całkiem nieźle, nawet jeśli jej figura pozostawiała sporo do życzenia. Ostatecznie miała na karku przynajmniej czterdziestkę, a i to przy najbardziej uprzejmych kalkulacjach.

- No więc co takiego wypadło ci w zeszłą środę? - zapytała znienacka.

- Środę? - Zmarszczył brwi, a potem jęknął głucho. - Do diabła, czy przypadkiem nie byliśmy umówieni na randkę?

- Zgadza się, ty płomienny amancie. Mieliśmy pójść na kolację, żeby mi wynagrodzić stracony poniedziałek, kiedy także o wszystkim zapomniałeś.

- Och, Shirl, tak mi przykro. Zobaczysz, jakoś ci to zrekompensuję. Masz na to moje słowo.

- Przykro? Zawsze jest ci cholernie przykro! Czekałam godzinami... Godzinami! A teraz zjawiasz się jak gdyby nigdy nic o wpół do trzeciej rano i spodziewasz się, że wpuszczę cię do łóżka?!

- Już dawno minęło wpół do trzeciej - odparł z uśmiechem.

Leżała na plecach na rozkładanej kanapie, przyglądając się, jak Frost zdejmuje z siebie resztę odzienia i rzuca je na zwinięty na podłodze szlafrok. Posunęła się, żeby zrobić mu miejsce. Wyciągnął do niej obie ręce, kiedy nagle odezwał się męski głos.

- Inspektor Frost! Dyspozytornia do inspektora Frosta.

- Co to jest? - spytała ochryplym głosem.

W odpowiedzi położył palec na ustach i sięgnął po radio. Delikatnie gładziła jego plecy opuszkami palców, podczas gdy on starał się zachować zimną krew.

- Tu Frost. Co się dzieje?

- Sir, nadeszła wiadomość od sierżanta Hanlona. Było włamanie do zakładu jubilerskiego na High Street. Zginęła biżuteria warta mniej więcej dwadzieścia pięć tysięcy funtów.

Jej palce znów wystukiwały jakiś zawikłany rytm w pewnym szczególnym miejscu u podstawy kręgosłupa... Frost z całej siły starał się mówić spokojnie i beznamiętnie.

- Czy kogoś udało się złapać na gorącym uczynku?

- Nie, inspektorze. Byliśmy na miejscu dosłownie w ciągu kilku sekund, ale włamywacze zdążyli się ulotnić. Czy pańskim zdaniem należy ustawić blokady na drogach?

- Zapomnijcie o blokadach. To tylko cholerna strata czasu. Powiedźcie Hanlonowi, że chcę, żeby postawił paru ludzi od frontu i przy tylnym wejściu do punktu przyjmowania zakładów Sammy'ego Jacobsa. Niech się nie rzucają w oczy, ale mają zatrzymać każdego, kto będzie próbował stamtąd wyjść. Zrozumiano?

- Tak jest, sir.

- Ja postaram się tam dotrzeć mniej więcej za...

Shirley przywarła do niego całym ciałem. Czuł na ramieniu jej ciężki, gorący oddech.

- ...mniej więcej za pół godziny, może trochę później. Bez odbioru.

Wyłączył nadajnik i upuścił go na kosztowny, puszysty dywan. Ogień grzał tak przyjemnie, kanapa okazała się nadzwyczaj wygodna, Shirley zaś... Shirley była wręcz niewiarygodnie wspaniała. Gdzieś z daleka, z leżącego na podłodze radia dobiegało bezmyślne mamrotanie o porozbijanych samochodach, pijanych awanturkach, podejrzanych szmerach...

*

Była dokładnie trzecia dwadzieścia pięć. Silnik auta wydawał słodkie pomruki jak zadowolony z życia kot, a Frost z ukontentowaniem mruczał do siebie, rozkoszując się cygarem, które dostał od Shirley jako ekstra prezent urodzinowy. Nie zauważył wcześniej, jak przepiękna była dzisiejsza noc, ze śniegiem połyskującym w świetle księżyca jak czyste srebro. Zaparkował w pewnej odległości od punktu przyjmowania zakładów i dalej poszedł pieszo, skradając się w mroku jak złodziej. Po drodze przyszło mu do głowy, że choć wiatr wieje z taką samą siłą jak wcześniej, to jego płaszcz wydaje się stanowczo grubszy niż zazwyczaj. Przy wejściu do jakiegoś sklepu zamajaczyła czyjaś sylwetka.

- Jack!

Okrągłutki jak baryłka w swoim tweedowym paltociku i filcowym kapeluszu Arthur Hanlon, z zaczerwienionym z zimna nosem i lekko fioletowymi policzkami, machnął ręką w kierunku punktu przyjmowania zakładów.

- Nikt tam nie wchodził ani stamtąd nie wychodził, Jack.

- To dobrze - mruknął Frost. - A teraz wprowadź mnie w szczegóły sprawy.

Hanlon opowiedział całą historię. Właściciel sklepu jubilerskiego mieszkał w tym samym budynku. O godzinie drugiej czterdzieści pięć obudziło go uporczywe stukanie do drzwi. Wyjrzał przez okno na piętrze i ujrzał stójkowego, który poinformował go, że na posterunku włączył się sygnał alarmu antywłamaniowego, i poprosił, żeby w związku z tym zechciał pofatygować się na dół i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Jubiler pośpiesznie włożył na siebie szlafrok i popędził schodami na parter, po czym wyłączył alarm i otworzył drzwi. Wtedy rzekomy stójkowy ogłuszył go pałąką, a następnie spokojnie splądrował sklep.

- W porządku - odparł Frost. - W takim razie trzeba sprawdzić, czy Sammy wciąż ma otwarte.

Przeszli na ukos przez ulicę w kierunku zakładu Sammy'ego Jacobsa, bukmachera miejscowych rzezimieszków. Frost bez żenady oparł się o dzwonek.

- Dlaczego akurat tutaj? - wyszeptał Hanlon. - Dostałeś jakieś ostrzeżenie?

- Powiedzmy, że to intuicja - wymamrotał Frost i z całej siły kopnął w drzwi, żeby wspomóc działanie dzwonka.

Wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Z wnętrza zakładu dobiegło jakieś poruszenie, potem trzasnęły drzwi, aż wreszcie rozległy się odgłosy szamotaniny. Najwyraźniej ktoś próbował się wymknąć tylnym wyjściem, ale tam wpadł prosto na czekającego pod drzwiami policjanta.

- Och, nie! Nie!

Frost przycisnął twarz do szyby w drzwiach wejściowych i ujrzał, jak człowiek w mundurze popycha przed sobą jakiegoś opierającego się osobnika. Funkcjonariusz bez pardonowo wepchnął go do środka i odblokował główne drzwi.

- Złapałem go, jak próbował się stąd wyslizgnąć, sir. Strumień światła z latarki Hanlona omiółł posępną twarz zatrzymanego.

- Sid Sexton! - zawołał triumfalnie sierżant. - Co ty tutaj robisz?

Sid odpowiedział wiązką soczystych przekleństw. Hanlon złapał naprawdę grubą rybę. Sid Sexton był specjalistą od włamań i miał na koncie pięć wyroków za rabunek z użyciem przemocy, a rejestr jego dokonań ciągnął się przez ładnych kilka stron.

- A gdzie się podziewa nasz przyjaciel Sammy? - zapytał Frost, kołyszając się na obcasach i pykając cygaro.

Jakby w odpowiedzi na to pytanie drzwi na szczycie schodów stanęły otworem i strumień światła przeciął ciemność. W jasnym prostokącie pojawiła się sylwetka przysadzistego, łysego mężczyzny w kosztownym szlafroku, uzbrojonego w pogrzebacz. Wytężał wzrok, żeby dojrzeć cokolwiek w panującym na dole mroku.

- Kto tam?

- Policja, panie Jacobs! - odkrzyknął Frost. - Tym razem prawdziwa policja.

Sammy opuścił pogrzebacz i wnet na schodach zadudniły jego kroki.

- Pan Frost! - zawołał ze zdziwieniem. - Czemu zawdzięczam pańską wizytę?

- Czy poznaje pan tego człowieka, sir?

Strumień światła z latarki skierował się na twarz doświadczonego włamywacza. Sammy przez chwilę udawał, że przygląda się jej z wielkim skupieniem, a następnie niechętnie pokręcił głową.

- Nigdy w życiu go nie widziałem. A dlaczego pan pyta?

- Ponieważ schwytaliśmy go kilka minut temu, jak w pośpiechu opuszczał pański lokal. Wygląda więc na to, że musiał się tu włamać.

Sammy zmarszczył brwi.

- Włamać? Niemożliwe.

- Wybiegł stąd w wielkim pośpiechu, prosto w objęcia policjanta - upierał się Hanlon.

Sammy pogrzebał w obszernej kieszeni szlafroka i znalazł tam olbrzymie cygaro - tak wielkie, że cygaro Frosta powinno spalić się ze wstydu - i z namaszczaniem przytknął do niego płonąca zapalkę.

- No cóż, wydaje się, że nic nie zginęło...

- Tego nie możemy być pewni. Lepiej będzie, jeśli trochę się rozejrzemy.

Bukmacher napotkał spojrzenie włamywacza. Obaj wyraźnie zeszywnieli.

- Nie! Nie ma takiej potrzeby.

Ale Frost zdążył już dotrzeć do połowy schodów.

- Panie Jacobs, czy tam, na górze, znajduje się pańskie prywatne mieszkanie?

- Tak. Proszę rzucić okiem, jeśli ma pan ochotę.

Ulga w głosie Jacobsa zabrzmiała z taką wyrazistością, że Frost natychmiast zawrócił i skinął głową w kierunku kantorku znajdującego się za kontuarem.

- A co trzymasz w biurze, Sammy? On mógł coś stamtąd zwędzić.

Tłuste ramiona Sammyego zatrzęsły się od tłumionego śmiechu.

- Kilka ołówków i parę kartek papieru, na których zapisuję stawki zakładów. Jeśli je zabrał, to niech mu będzie na zdrowie!

- Jesteś bardzo miłosiernym człowiekiem, Sammy... Lecz mimo to wolałbym tam zajrzeć, tak na wszelki wypadek. Jesteśmy ci to winni jako sumiennemu płatnikowi podatków i uczciwemu obywatelowi.

Pomalowany na szaro sejf został wmurowany w jedną ze ścian. Sammy sprawdził rączkę.

- Nikt go nie dotykał, jestem pewien. Zresztą bez kluczy nie można się tam dostać. Niech pan posłucha, panie Frost - jest dość późno. Proszę wypuścić tego faceta. Nie mam zamiaru wnosić oskarżenia.

- Ale to nikomu nie zaszkodzi, jeśli zerkniemy, co tam jest - mruknął Frost.

Jednak takie rozwiązanie wcale nie odpowiadało właścicielowi sejfu. Klucze są gdzieś na górze, właściwie nie wiadomo gdzie. Poza tym jest strasznie późno. Może panowie zechcą pofatygować się rano...

- Sammy, bądź dobrym chłopcem. Skocz na górę i przynieś te klucze.

Bukmacher wyjął z ust cygaro i z zainteresowaniem obserwował żarzący się koniuszek.

- Nie muszę pana słuchać.

- Nie musi pan - przytaknął Frost ochoczo. - To przywilej każdego obywatela. Może pan kazać się nam wynosić do diabła, ale to oznacza, że będziemy musieli zadać sobie masę trudu i ponieść dodatkowe koszty, i postarać się o sądowy nakaz rewizji. Jak zapewne pan wie, pieniądze na tego typu sprawy pochodzą z naszych podatków, które i tak są wystarczająco wysokie.

Sammy wymownie wzruszył ramionami.

- No to co? Ja płacę swoje podatki. Musi się pan postarać o nakaz.

- Rób, jak uważasz, Sammy. Będę musiał zostawić tutaj paru moich ludzi, żeby mieli oko na sejf, dopóki nie wrócimy. I chyba będzie to nieco denerwujące, jeśli będzie panu wolno pójść wyłącznie do toalety. Jesteśmy zdecydowani przekonać się, co jest wewnątrz sejfu, więc po co przedłużać tę udrękę?

Cygaro pofrunęło na podłogę i zakończyło żywot pod podeszwą pantofla.

- Ty wszawy skurwysynu! Świetnie wiesz, co tam jest! Frost promieniał. Teraz był uosobieniem grzeczności.

- Obawiam się, że ma pan rację, panie Jacobs. Dziś zdarzył się jeden z nielicznych dni, kiedy nie przytrafiła mi się żadna wpadka. Moim zdaniem klucze do sejfu znajdują się w pańskiej prawej kieszeni.

I tak było. Z pochylonymi w geście poddania ramionami Sammy potulnie ruszył w stronę sejfu, ale Frost go powstrzymał.

- Wstrzymaj się przez moment, Sammy.

Potem odwrócił się do Hanlona i posterunkowego, i poprosił, żeby razem z aresztantem poczekali na zewnątrz.

- Muszę zamienić z panem Jacobsem słówko na osobności.

Hanlon rzucił mu badawcze spojrzenie, ale posłusznie zamknął za sobą drzwi kantorku.

- O co chodzi? - spytał bukmacher, wsadzając klucz do zamka.

Frost wetknął ręce do kieszeni, a potem spojrzał na sufit.

- Korumpowanie młodych funkcjonariuszy policji to bardzo poważny zarzut, Sammy. Możesz za to dostać przynajmniej dwa razy wyższy wyrok, niż mógłbyś się spodziewać za zwykły napad. Jednak dziś są moje urodziny, a poza tym zbliża się Boże Narodzenie, więc postanowiłem być łaskawy. Będziesz trzymał swoją tłustą gębę na kłódkę, jeśli chodzi o pewnego młodego policjanta z Denton, a ja nie pisnę ani słówka w sprawie oskarżenia o korupcję i łapownictwo. Jak to wygląda z twojego punktu widzenia?

- Cholernie się troszczysz o tych swoich dupków - warknął Sammy. - Zresztą i tak nie mam nic do stracenia - dodał, wzruszając ramionami. - Umowa to umowa, Jack.

- W takim razie oddaj mi jego weksel.

Drzwi sejfu zostały otwarte na całą szerokość i Sammy wsadził łapę do środka. Ominął kosztowności i stos zegarków leżących na starannie złożonym policyjnym mundurze, i z samego końca wyciągnął białą kopertę, którą wręczył Frostowi. Inspektor sprawdził jej zawartość, wyjął zapalniczkę i przytknął płomień do brzegu kartki. Kiedy został z niej tylko popiół, zawołał pozostałych.

Gdy wsiadał do swojego samochodu, zegar na wieży kościelnej właśnie wybijał czwartą rano. Wycofał się na wstecznym biegu z bocznej uliczki i ruszył w stronę domu. Poradził detektywowi sierżantowi Hanlonowi, żeby całkowicie przejął śledztwo w tej sprawie.

- Powiedzmy, Arthurze, że wcale mnie tam nie było. Dziś wieczorem udało mi się wsadzić za kratki dwa cenne ptaszki, więc i tak spadnie na mnie więcej chwały, niż da radę pomieścić moja biedna głowa tudzież nasze formularze. A ty oburącz trzymaj się tej sprawy.

Masz dzieciaki i tłuste brzuszysko do nakarmienia. Po prostu powiesz, że przyjąłeś taką linię postępowania ze względu na pewne informacje, które do ciebie dotarły. Sammy na pewno ani słówkiem o mnie nie wspomni.

Nagle szarpnął głową i zamrugał. Boże, omal nie zasnął za kierownicą. Nigdy dotąd mu się to nie zdarzyło. Gdzie właściwie był? Z niedowierzaniem gapił się przez przednią szybę na własny dom. Jechał tu jak w transie, skręcając, mijając kolejne skrzyżowania i nawet nie wiedział, że to robi. Gdyby ktokolwiek znalazł się na drodze... Zadrżał, bo pomyślał o tym biednym osiemnastolatku, którego dziś wieczorem napotkał w holu na posterunku. Powoli opuścił szybę w oknie, żeby zimne powietrze go otrzeźwiło. Biedny dzieciak, pomyślał raz jeszcze. Po prostu zabrakło mu szczęścia.

Wyłączywszy silnik, powłókł się do drzwi frontowych. Nie pamiętał, kiedy ani gdzie się rozebrał. Ledwie jego głowa dotknęła poduszki, zapadł w kamienny sen. Mogły mu śnić się koszmary o śmierci i rozkładzie, lecz w sennych marzeniach widział wyłącznie Shirley.

Następnego ranka przekonał się, że zostawił otwarty samochód, z opuszczoną szybą i kluczykami tkwiącymi w stacyjce. Każdy mógł go ukraść, ale widocznie szczęście dopisywało inspektorowi nieco dłużej, niż się tego spodziewał.

ŚRODA

ŚRODA (1)

W ŚRODĘ O GODZINIE ÓSMEJ ZERO PIĘĆ SIERŻANT POSTERUNKOWY Bill Wells stał pochylony nad biurkiem i z zapalonym studium poranną gazetę, a jego mina sugerowała, że jest czymś głęboko poruszony.

- O co chodzi? - zapytał Frost, zatrzymując się w drodze do własnego biura, dokąd właśnie szedł razem z Clive'em.

Wells ze smutkiem pokręcił głową i kciukiem szturchnął jakieś zdjęcie na pierwszej stronie.

- Jack, w swoim czasie widziałem naprawdę paskudne rzeczy, ale to coś wręcz niewyobrażalnego. Biedny człowiek... Uważam, że w dobie operacji plastycznych powinni jakoś mu pomóc.

Frost porwał gazetę i ujrzał własną podobiznę. Zdjęcie zostało zrobione w czasie, kiedy w pałacu wręczano mu medal za odwagę.

- Boże, co to za przystojniak! - zawołał. - Któż to jest? Errol Flynn?

Nagłówek na pierwszej stronie krzyczał wielkimi literami: PO TRZYDZIESTU DWÓCH LATACH ODNALEZIONO SZKIELET ZASTRZELONEGO RABUSIA! Na

samym dole umieszczono zamazaną fotografię Tracey z podpisem: „Nadzieja na odnalezienie dziewczynki maleje z każdym dniem”. Frost zadrżał. Śnieg przestał padać i za chwilę ekipy poszukiwawcze w pełnym składzie przystąpią do pracy. Czy to właśnie dziś przypadnie mu w udziale okropne zadanie zawiezienia matki do kostnicy?

- Słyszałeś o tych cwaniaczkach, których zeszłej nocy aresztował Arthur Hanlon? - zapytał Wells.

- Tak - warknął Frost ze złością, idąc w stronę korytarza. - To dobry gliniarz. Nie traci czasu na czytanie durnych gazet.

Zaczęli dość wcześnie i szybko zagrzebali się po uszy w aktach dotyczących kradzieży pieniędzy należących do banku Bennington, kiedy nagle Frost jęknął z przejęciem i przypomniał Clive'owi, że od dziesięciu minut powinni być na odprawie. Mullett patrzył na nich z dezaprobatą, kiedy zarumienieni ze wstydu przepychali się na wyznaczone miejsca, mrużąc pod nosem jakieś usprawiedliwienia.

- Dla dobra spóźnialskich chyba trzeba będzie powtórzyć wszystko od początku... Mówiłem o tym, że moim zdaniem należy rozszerzyć obszar poszukiwań.

- Nie ma sensu rozszerzać obszaru poszukiwań, dopóki nie dostaniemy z zewnątrz dodatkowych ludzi - oznajmił Frost. - Jest ich za mało, żeby przeszukać nawet najbardziej prawdopodobne miejsca tak dokładnie, jak by należało.

- Zgadza się - mruknął Mullett. - Ale gdyby był pan tutaj, kiedy zaczynaliśmy odprawę, wiedziałby pan, że zamierzam poprosić szefa policji o pomoc.

Trafiony, zatopiony, pomyślał Frost. Nie odezwał się już słowem, dopóki komendant nie opuścił sali, i dopiero wtedy prychnął z pogardą, patrząc w kierunku zamkniętych drzwi. Okazawszy w ten sposób należny przełożonemu szacunek, podniósł się z miejsca i przesiadł na krzesło obok detektywa sierżanta Martina.

- Nie potrzebujesz mnie dzisiaj, prawda? Wybieram się do banku, a potem muszę zająć się naszą czaszką z trzema oczodołami. Daj mi znać przez radio, jeśli zdarzy się coś ekscytującego.

Na moment zatrzymał się przy drzwiach, jakby o czymś sobie przypomniał.

- Och, jeszcze jedno... Pani Uphill obudzi się dziś w obcym łóżku, nad którym na suficie nie ma lustra. Trzeba wysłać którąś z policjantek, żeby zawiozła ją do domu. Jak ma na imię ta mała z pieprzykiem na brzuszku?

- Hazel - odpowiedzieli jednocześnie George Martin i Clive.

Hudson, szef miejscowego oddziału banku Bennington, był zażywnym, ciemnowłosym jegomościem o niebieskawym zarostcie. Na powitanie wyciągnął wielką jak patelnia, ciepłą dłoń, zaprosił gości na miękkie, wyściełane pluszem fotele i oznajmił, że jego sekretarka zaraz poda kawę.

- Chodzi o ten szkielet, prawda? Czytałem artykuł w porannej gazecie.

- Tak jest, proszę pana. Wygląda na to, że to dawno zaginiony kasjer z waszego banku. Liczymy na to, że będzie pan mógł nam podać szczegóły dotyczące osób, które pracowały tutaj w pięćdziesiątym pierwszym roku.

Hudson wziął do ręki pękate, ozdobione złotym paskiem pióro i naskrobał parę słów w notesie.

- Wszelkie dane osobowe są przechowywane w dziale personalnym, który mieści się w głównym oddziale. Będę musiał poprosić, żeby przesłali do nas interesujące panów informacje. To oczywiście zdarzyło się, zanim tutaj przyszedłem, ale czemu panowie nie porozmawiają z naszym wicedyrektorem, Ruppertem Garwoodem? - zasugerował z uśmiechem. - Pracował tutaj we wspomnianym okresie... Prawdę mówiąc, siedział za kierownicą tamtego samochodu i w nagrodę za swój trud otrzymał cios pałką w głowę, przynajmniej tak mi się wydaje.

- To dobry pomysł, sir - ucieszył się Frost. - Czy możemy się z nim zobaczyć?

Z niewymuszonym wdziękiem Hudson ujął elegancką, szarą słuchawkę.

- Brenda? Tu dyrektor Hudson. Czy mogłabyś poprosić do mojego biura pana Garwooda? Co? - Spojrzenie Hudsona powędrowało w stronę wiszącego na ścianie zegara. - To dość niezwykle, prawda? Nie zadzwonił, żeby powiedzieć co się stało? Och, mam nadzieję, że nie zachorował. Poproś pana Foksa, żeby go zastąpił.

Ze zmarszczonym czołem odłożył słuchawkę i zwrócił się do Frosta z przeprosinami.

- Proszę mi wybaczyć, ale obawiam się, że nastąpiło coś nieprzewidzianego. Pan Garwood nie pojawił się dzisiaj w pracy. Brenda dzwoniła do niego do domu, ale nikt się nie zgłasza... To bardzo dziwne. I całkiem do niego niepodobne.

Pospiesznie zapisał coś w notatniku. Dwaj detektywi wymienili spojrzenia.

- Proszę nam podać jego adres - powiedział Frost. - Zajrzemy tam w drodze powrotnej. Jeśli przypadkiem się miniemy, a tymczasem pan Garwood zjawi się tutaj, proszę przekazać, żeby zadzwonił do mnie na posterunek. Gdzieś tu powinienem mieć wizytówkę...

Wreszcie brudny, pognieciony kartonik został wydobyty z przepastnych głębin kieszeni płaszcza. Hudson z niepewną miną ujął wizytówkę dwoma palcami i już miał przyczepić ją do podkładki, ale w ostatniej chwili zdecydował, że mniej będzie rzucała się w

oczy pod pudełkiem ze spinaczami, z którego - jak zauważył z pewną irytacją - Frost zrobił sobie popielniczkę.

Dom pod numerem trzydziestym ósmym przy Priestly Court, w którym mieszkał Garwood, był rezydencją z tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku, wykończoną tynkiem kamyczkowym. Po śladach pozostawionych przez mleczarza poszli pokrytą śniegiem dróżką aż do ganku, gdzie stała dostarczona tu rano butelka mleka. Zasłony we wszystkich oknach były zaciągnięte. Frost nacisnął dzwonek. Słyszeli dobiegający ze środka przenikliwy dźwięk, a potem zapadła głucha cisza. Frost zadzwonił ponownie, a potem załomotał w skrzynkę na listy, wskutek czego poranna gazeta wysunęła się i upadła na wycieraczkę.

- Wygląda to dość nieciekawie, synu - przyznał Frost. - W dodatku sąsiadka z domu obok gapi się przez firankę, co tu się dzieje. Wygląda na wścibskie, stare krówsko... Czekaj, zobaczmy, czy ma nam coś ciekawego do powiedzenia.

Kobieta miała na głowie wałki do loków, a na sobie gruby, pikowany szlafrok i dosłownie buzia się jej nie zamykała. Jeśli chcą się zobaczyć z panem Garwoodem, to o tej godzinie powinien być w banku. Nie, pan Garwood nie jest żonaty. Mieszka sam, z Royem. Oczywiście, że nie! On nie należy do tego typu mężczyzn. Roy to golden retriever. To trochę dziwne, że panowie nie słyszeli szczekania, kiedy rozległ się dzwonek. Zwykle Roy hałasuje jak diabli.

Kiwając głową na znak podziękowania, Frost wycofał się, pozostawiając kobiecinę wciąż gadającą jak najęta, i popędził do samochodu, gdzie czekał Clive.

- Wcale mi się to nie podoba, synu... Połącz się przez radio z dyspozytornią i powiedz, żeby skontaktowali się z bankiem. Jeśli Garwooda wciąż tam nie ma, to lepiej będzie, jeśli szybko sprawdzą księgi. Być może dał nogę, zabierając ze wszystkich szuflad drobne na herbatę.

Przez chwilę patrzył, jak Clive szuka czegoś na desce rozdzielczej.

- O co chodzi, synu?

- Nie mogę znaleźć pańskiego radia, sir.

Chryste Panie, pomyślał Frost. Natychmiast przypomniał sobie, gdzie jest jego radio. Zostało na rozkładanej kanapie w salonie Shirley.

- Wiesz co, chłopcze, zastanowiłem się. Zrobimy inaczej. Podjedź z drugiej strony, być może tylne drzwi są otwarte.

Po drodze zatrzymali się przy garażu należącym do Garwooda. Brama była zamknięta na kłódkę, ale udało się ją siłą odemknąć na tyle, by poświecić do środka latarką. Strumień

światła zatrzymał się na chłodnicy szarego hillmana avengera. Dokądkolwiek Garwood się udał, zostawił swój samochód.

Drzwi prowadzące do ogrodu również były zamknięte na głucho, a szczelnie zasunięte żaluzje uniemożliwiały zajrzenie do kuchni. Niewielkie patio znajdowało się mniej więcej dziesięć stóp od ściany domu, a potem gładko przechodziło w rozległy trawnik. Gruba, zaskorupiała pokrywa śniegu wydawała się jednolicie gładka, z wyjątkiem jednego, podłużnego i dziwnie zaokrąglonego pagórka. Frost na próbę wsadził tam czubek buta.

Rozległ się suchy trzask cienkiej skorupy lodowej. Ciekawość inspektora wzrosła, więc schylił się i ręką w rękawiczkę zaczął wybierać śnieg, wołając Clive'a do pomocy. Nieco głębiej śnieg stawał się różowawy, a jeszcze niżej ciemnoczerwony. Pod nim kryła się warstwa zabarwionego na czerwono lodu, która oblepiała coś sztywnego, złotawego i najeżonego jak szczotka. Futro zwierzęcia. Przed nimi leżał Roy, należący do Garwooda golden retriever, z łbem poczerniałym od zamarznętej krwi, jego brązowe oczy spoglądały z wyrzutem na czubki niewypolerowanych butów inspektora.

Frost odwrócił spojrzenie. Ciało Tracey będzie wyglądało tak samo. Będzie sztywne i lodowato zimne, z niemym oskarżeniem rzucanym przez niewidzące oczy.

Przycupnęli przy tylnych drzwiach. Frost właśnie próbował, czy któryś w wytrychów okaże się przydatny, kiedy zniemacka skoczyło na nich dwóch mężczyzn. Ktoś chwycił rękę Frosta i wykręcił ją boleśnie aż na plecy, a głowa Clive'a z głuchym łoskotem uderzyła w drewnianą framugę. Frost odwzajemnił się mocnym kopnięciem. Ktoś krzyknął z bólu i zaskoczenia, a wtedy Frost odwrócił głowę i ujrzał za sobą policyjne mundury.

- Ty cholerny skurwysynu! - Policjant nie zwalniał uścisku, choć z bólu zaciskał zęby. Nagle zamarł i powoli się odsunął. - Inspektor Frost?

- A myślałeś, że kto, ty durniu?! Kuba Rozpruwacz?!

Posterunkowy z głupią miną rozcierał bolącą nogę, a Frost kilka razy rozprostował rękę, żeby złagodzić skurcz. Clive przyłożył do nosa chusteczkę, by zatrzymać sączącą się krew.

- Czy nic ci się nie stało, synu?

Clive skinął głową i wycisnął chustkę. Na śnieg spadło kilka czerwonych kropli.

- Prosimy o wybaczenie, ale ktoś zadzwonił pod dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, że w okolicy kręcą się dwa podejrzane typy... - powiedział drugi z policjantów.

- Mielicie szczęście, że nie trafiliście na prawdziwych włamywaczy, bo inaczej złożyliby skargę na brutalność policji. Popatrzcie tylko, co zrobiliście temu biedakowi! Ma całkiem skrzywiony nos!

Clive rzucił znad zakrwawionej chustki piorunujące spojrzenie.

- Próbujemy dostać się do środka - wyjaśnił Frost. - Jak waszym zdaniem najłatwiej to zrobić?

- Przez zsyp do węgla - zasugerował pierwszy z policjantów i pokuśtykał dookoła domu, żeby pokazać, gdzie to jest.

W czasie letnich miesięcy, kiedy gospodarze wyjeżdżali na wakacje, w okolicy zdarzyło się kilka podobnych włamań. Złodzieje dostawali się do domów przez zsypy, które zwykle znajdowały się tuż przy drzwiach wejściowych. Większość okradzionych posesji miała solidne zabezpieczenia antywłamaniowe przy głównych drzwiach, ale zsypy zamykane były na zwykle kłódki, bo kto chciałby połaszczyć się na kilka węgielków. Jednak po znalezieniu się w zsypie włamywacz przez piwnicę i wewnętrzne drzwi bez przeszkód dostawał się do wnętrza domu.

Bez kłopotu otworzyli wejście do piwnicy, jednak wówczas okazało się, że dostępu do wewnętrznych drzwi broni olbrzymi stos antracytu.

- To będzie straszna robota... Trzeba odwalić to wszystko - mruknął jeden z policjantów.

Frost z zadowoleniem odwrócił się w stronę Clive'a.

- Na szczęście jest w naszym gronie bratanek szefa policji. Przykro mi, synu, ale zadania tego typu to przywilej każdego nowego funkcjonariusza... Tylko postaraj się nie zabrudzić krwią tego ślicznego, nowego węgla.

Z kamienną twarzą Clive ześlizgnął się po zapiaszczonej pochylni i wylądował w węglu sięgającym mu do połowy łydki, który przy każdym poruszeniu wydzieliał chmurę czarnego pyłu. Ten pył wciskał się za kołnierz, drażnił oczy i przywierał do zakrwawionego nosa. Clive starał się wejść na szczyt hałdy, ale węgiel nieubłaganie osuwał mu się spod stóp. Przypominało to podciąganie na siłę zjeżdżającej na dół windy, jednak w końcu, kiedy obficie spływający pot wyrzeźbił na czarnej od pyłu twarzy białe ścieżki, Clive osiągnął cel. Wewnętrzne drzwi nie miały od środka klamki. Przypuszczalnie od strony domu oddzielała je solidna kłódka. Garwood musiał słyszeć o włamaniach przez piwnice.

- Kopnij mocno, synu - poradził Frost.

Pierwsza próba sprawiła, że stracił równowagę i runął jak długi, ale przy drugim kopnięciu drzwi ustąpiły z trzaskiem i Clive wylądował w holu. Brudne buty zostawiały paskudne ślady na puszystym dywanie w kolorze złamanej bieli. Na palcach podsunął się w kierunku drzwi frontowych, które okazały się niezaryglowane, i otworzył je na oścież, żeby

wpuścić inspektora. Frost wręczył mu swój kapelusz i butelkę mleka, jednocześnie dając do zrozumienia, żeby obaj posterunkowi poczekali na zewnątrz.

- Ten dżentelmen nie będzie zadowolony, że zdeptujecie jego śliczną podłogę swoimi brudnymi buciorami - oświadczył i wszedł do środka.

Pierwsze drzwi prowadziły do salonu. Frost gwizdnął z podziwem. Wewnątrz panował straszny bałagan, bo szuflady były pootwierane, a ich zawartość wyrzucona na środek pokoju, jakby ktoś w popłochu czegoś szukał. Przelotnie rzucili okiem na leżące na środku rzeczy i ruszyli dalej. Za następnymi drzwiami znajdowała się kuchnia, teraz pograżona w mroku, ponieważ zasunięte żaluzje skutecznie blokowały dostęp światła. Frost przesunął ręką dookoła framugi, aż w końcu trafił na włącznik. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyli w tym niewielkim pomieszczeniu, był kosztowny blat z formiki i mnóstwa nierdzewnej stali. Zaraz potem zauważyli coś jeszcze. Na środku, na podłodze wyłożonej żółtymi i niebieskimi płytkami, leżał mężczyzna.

Mężczyzna miał na sobie niebieski szlafrok w tureckie wzory, a pod spodem szarą nylonową piżamę. Leżał na wznak z otwartymi ustami, jakby morderca zdołał go zaskoczyć. Lewe oko ze zdumieniem wpatrywało się w sufit, a miejsce, gdzie powinno znajdować się prawe, było teraz jamą wypełnioną przez ściętą krew. Krew pociekła po jednym policzku, tworząc na żółto-niebieskiej kracie czerwoną kałużę.

Roztrzaskane oko zatrzymało spojrzenie Clive'a w ohydny, hipnotyzującym uścisku. Nie chciał patrzeć, a jednocześnie nie potrafił oderwać wzroku. Chwilę później żołądek odmówił mu posłuszeństwa i Clive na miękkich nogach wytoczył się na korytarz. Frost słyszał odgłosy wymiotowania. Miał nadzieję, że młodszy kolega zdołał dotrzeć poza puszysty dywan.

Przeczuwając, że stało się coś niedobrego, dwaj funkcjonariusze zajrzeli do środka, lecz na widok bałaganu w salonie cofnęli się do drzwi. Frost machnął ręką, żeby nie wchodzili. Kuchnia i tak była dość ciasna, a nieboszczyk zajmował sporo miejsca.

- Hej, chłopcy! Lepiej połączcie się przez radio z dyspozytornią. Niech ściągną tu zespół z medycyny sądowej. Powiedźcie im, że ktoś zastrzelił Ruperta Garwooda.

ŚRODA (2)

POTEM, JAK ZWYKLE W TAKICH WYPADKACH, NASTĄPIŁ ZORGANIZOWANY CHAOS. Specjaliści z wszelkich dziedzin kryminalistyki krążyli po całym domu, przeprowadzając pomiary, pobierając próbki do badań, robiąc fotografie i posypując różne miejsca proszkiem do wykrywania odcisków palców. Patolog razem ze swoją asystentką zamknęli się w kuchni,

w której wciąż leżały zwłoki, kiedy tylko inspektor zapewnił, że w tym wypadku na nieboszczyku znajdą znacznie więcej miękkich tkanek niż ostatnim razem.

Frost nie znosił ekspertów. Mówili językiem, którego nie rozumiał - językiem precyzyjnym i pełnym dokładnych określeń, w ich świecie intuicja, domysł i zwykły ślepy traf zupełnie się nie liczyły. Inspektor starał się więc schodzić wszystkim z drogi. Siedział na schodach i palił jak smok, strząsając popiół na grubą osłonę z poliestru, która miała chronić przed zabrudzeniem cenny dywan firmy Wilton, stanowiący własność nieboszczyka.

Clive chwiejnym krokiem wrócił z ogrodu, a jego twarz pod warstwą węglowego miału była biała jak kreda. Ciężko usiadł na najniższym schodku, gotów natychmiast wybiec na zewnątrz, gdyby znów zaszła taka potrzeba.

- No i jak się czujesz, synu? Lepiej? Clive skinął głową.

- Strasznie przepraszam za tamto, sir. Kiedy zobaczyłem jego oko...

- Nie przepraszaj, synu. To dobrze o tobie świadczy, że zachowałeś jeszcze trochę zwykłej ludzkiej wrażliwości. Założę się, że za parę tygodni będziesz patrzył na takie rzeczy bez mrugnięcia okiem, tak samo jak każdy z nas.

Clive siedział w milczeniu, marząc o tym, żeby jego żołądek wreszcie się uspokoił, więc Frost wziął na siebie ciężar konwersacji. Chyba chodziło mu o to, żeby trochę rozruszać młodszego kolegę.

- Patolog i jego dziewczyna siedzą teraz w kuchni i rozkoszują się widokiem rozpryśniętego mózgu. Pamiętam takiego pierwszorzędnego umarlaka, którego znaleziono akurat wtedy, kiedy miałem obchód. Facet wyglądał tak, jakby autobus przejechał mu dokładnie po głowie.

Clive podziękował losowi, że właśnie w tym momencie do domu wkroczyli dwaj sanitariusze z noszami, co odwróciło uwagę inspektora. Ściskany w zębach papierosem wskazał im drogę do kuchni, skąd natychmiast ich odprawiono. Widocznie patolog jeszcze nie był gotów do oddania denata w cudze ręce.

Spec od zbierania odcisków palców wynurzył się z głębi domu, z ukontentowaniem mruczając coś pod nosem.

- Jeśli skończyłeś w kuchni, to teraz idź do salonu - polecił mu Frost. - Ktoś wywrócił tam wszystko do góry nogami.

- W porządku. - Ekspert się rozpromienił. - Miejmy nadzieję, że morderca miał zwyczaj od czasu do czasu zdejmować rękawiczki. W kuchni nie ściągnął ich ani razu.

- Jak mnie wkurzają takie małe, wiecznie uśmiechnięte gnojki - mruknął Frost. Po chwili drzwi od kuchni uchyliły się i przez szparę przecisnął się fotograf, taszcząc z sobą cały

sprzęt. Frost poprosił go o zrobienie trzech dużych zdjęć przestrzelonego oka, koniecznie w kolorze, bo chciał je wysłać znajomym w charakterze kartek świątecznych, a następnie razem z Clive'em poszedł do kuchni, żeby zamienić kilka słów z patologiem.

Kiedy Frost wsadził głowę do środka, lekarz właśnie dyktował asystentce swoje spostrzeżenia. Zwłoki już wcześniej zostały nakryte prześcieradłem. Wyglądały teraz jak przedmiot, który wszystkim zawadza, więc Frost po prostu przeszedł nad nimi.

- Doktorze, pies denata leży na zewnątrz, tak samo sztywny jak jego pan. Może warto rzucić na niego okiem, kiedy już pan tutaj skończy? - Czubkiem buta trącił przykryte szczelnie ciało. - No i jak wypadła ocena naszego jednookiego gogusia?

Patolog skrzywił się, wyraźnie urażony takim brakiem szacunku dla nieboszczyka.

- No cóż, wygląda na to, że ktoś strzelił do niego z małej odległości. Pocisk trafił dokładnie w oko i ugrzązł gdzieś wewnątrz czaszki. Znajdę go dla pana, inspektorze, podczas sekcji. Siła wystrzału była tak potężna, że denat stracił równowagę. Upadł na plecy i roztrzaskał sobie głowę o terakotę, ale tego z pewnością już nie poczuł. Umarł, zanim jego ciało zdążyło dotknąć podłogi.

- Niektórzy to mają szczęście... - zauważył Frost z odrobiną zazdrości. - O której go dopadł?

Patolog podrapał się po podbródku.

- No tak, w tym momencie wkroczyliśmy do królestwa domysłów. Precyzyjne określenie czasu zgonu przypomina zgadywanke, ale z moich wstępnych kalkulacji wynika, że śmierć nastąpiła wczoraj pomiędzy dziesiątą wieczorem a północą. Dokładniej będę mógł powiedzieć po sekcji zwłok.

Wreszcie sanitariusze uzyskali zezwolenie na zabranie ciała, a Frost zaprowadził patologa do nieruchomego wzgórką na patio. Obaj przykucnęli i lekarz ostrożnie zanurzył palce w przesiąkniętej wilgocią sierści.

- Ależ to był piękny zwierzak... - mruknął beznamiętnie, a potem wstał i energicznie otrzepał ręce. - Wygląda, że nasz przyjaciel walnął go w tył łba jakimś tępym narzędziem. To paskudne uderzenie, ale chyba nie miało na celu zabić zwierzęcia. Pies został ogłuszony, a ta okropna pogoda dokończyła dzieła. Zamarzał na śmierć.

Frost wyrównał brzegi szalika.

- Dzięki Bogu, że nie musimy zadawać się z takimi świniami, które z zimną krwią zabijają niewinne zwierzę

- oświadczył z oburzeniem. - Moim zdaniem parlament powinien przywrócić za to karę śmierci przez powieszenie. O której wykitował wierny Fido?

Patolog zdusił nieszczery śmiech.

- Inspektorze, zadaje pan coraz trudniejsze pytania. Ten pies jest zamrożony na kość. Równie dobrze mógłby pan wyjąć kawałek mięsa z zamrażarki i zapytać, kiedy zwierzę trafiło do uboju. Przypuszczam, że stało się to o dowolnej godzinie zeszłego wieczora.

- Doktorze, to przecież jasne jak słońce. - Frost parsknął.

- Pan Garwood był kulturalnym człowiekiem i nie zniósłby, żeby martwy pies leżał na patio przez cały dzień. Z pewnością wrzuciłby go do pojemnika ze śmieciami. Obaj musieli zginąć mniej więcej w tym samym czasie, ale interesuje mnie, kto pierwszy powędrował do nieba - Warko Hau czy jego właściciel?

- Jeśli to takie ważne, to mogę wykonać także sekcję psa.

- Lekarz prychnął z pogardą. Zawołał jednego z sanitariuszy i poprosił, żeby poszukał plastikowego worka na zwłoki i włożył do niego zwierzaka.

Sanitariusz popatrzył na golden retrievera i w jego oku zakręciła się łza.

- Biedny futrzak... Jakim trzeba być skurwielem, żeby zrobić coś takiego zwykłemu psu?

- Muszę się postarać o psa, który będzie najbardziej parszywym, nędznym i śmierdzącym stworzeniem na całym ziemskim padole - oświadczył Frost. - To tak na wszelki wypadek, gdybym kiedykolwiek miał zostać zamordowany. Wtedy przynajmniej będę pewny, że to mnie będziecie żałować, a nie jakiegoś pchlarza.

*

Czarny daimler benz z cichym pomrukiem silnika uwiózł w dal patologa i jego asystentkę, a zaraz za nimi wyruszył w drogę ambulans z doczesnymi szczątkami Garwooda i Roya. W domu znowu zapadła głucha cisza.

Frost zapalił trzydziestego tego dnia papierosa i spokojnym krokiem skierował się do kuchni, gdzie na błyszczących blatach pozostały ślady proszku do wykrywania odcisków palców, a obrysowany białą kredą kształt na podłodze przypominał nieporadne, dziecięce rysunki. Podeszedł do zawieszzonego w kącie bojlera, otworzył drzwiczki i zajrzał do środka. Wewnątrz było pełno popiołu i czarnych, niedopalonych węgielków.

- Ciekawe, czemu pozwolił, żeby ogień wygasł? - zastanowił się na głos. - Można się spodziewać, że w zimie piec powinien grzać z pełną mocą dzień i noc.

- Może zginął, zanim zdążył go załadować? - zasugerował Clive, starając się, by nie wypadło to zbyt protekcyjnie.

- Zadowolony jestem, że to mówisz, synu, bo dzięki temu mam jedną z rzadkich okazji do zabłyśnięcia swoją wątpliwą inteligencją. Nieboszczyk miał na sobie szlafrok i

piżamę - wszystko świeżutkie i pachnące, prosto z pralni. Taki skrupulatny gość jak Garwood na pewno wcześniej dorzuciłby do ognia, a dopiero potem umył się i przebrał. Clive przemyślał sprawę jeszcze raz.

- Może więc zamierzał w najbliższym czasie przeczyścić piec? Co kilka tygodni trzeba wygasić ogień, żeby wygarnąć popiół, bo w przeciwnym razie palenisko oblepi się brudem.

Frost uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Kupuję twoją wersję, synu. Możemy wykreślić bojler z listy rzeczy, które nas niepokoją. Dzięki Bogu, bo i bez tego mamy dość cholernych tajemnic. Powiedz, czy wybierasz się na bal bożonarodzeniowy?

- Bal, sir? - Clive zmarszczył czoło, nie mogąc nadążyć za tak szybkimi zmianami tematu.

- Mam na myśli doroczny bal policjantów w Denton. Przypada w następną sobotę. Oczywiście udział jest całkowicie dobrowolny, ale jeśli się tam nie zjawisz, nie dostaniesz awansu. Możesz wziąć mój bilet.

Otworzył pierwszą z brzegu szufladę i zaraz ją zamknął.

- W tym domu czuć śmierć, zgadzasz się ze mną, synu? Czuć pustkę i ostateczność. Wiesz, co mam na myśli?

Clive nie miał pojęcia, o co chodzi temu staremu durniowi, więc na wszelki wypadek niezobowiązująco kiwnął głową. Było jasne, że inspektor nie ma najmniejszego pojęcia, co powinni robić dalej. Z pewnością komisarz nie pozwoli, żeby ktoś taki jak Frost prowadził śledztwo w sprawie morderstwa.

- Jaki będzie nasz następny ruch, sir?

Frost zerknął na zegarek, żeby sprawdzić, która godzina.

- Za wcześnie na lunch, nawet gdyby widok zalanego krwią Garwooda nie odebrał mi apetytu. Wiesz, synu, kiedy umarła moja żona, nasz dom wyglądał zupełnie tak samo - milczący, cichy, boleśnie pusty... To było coś przerażającego. Ona ostatnie dziewięć tygodni spędziła w szpitalu. Ani razu nie przywiozłem jej do domu, więc dlaczego jej śmierć tak go odmieniła?

- Być może ta zmiana dokonała się w panu, sir, a dom nie miał z tym nic wspólnego.

- To bardziej niż prawdopodobne, synu. - Nastrój inspektora poprawił się w okamgnieniu. - Czy masz pojęcie, że ostatnio każdego dnia odnajduję jakieś zwłoki? Nawet więcej niż jedno, jeśli liczyć również psy. Ta obfitość wprawia mnie w zakłopotanie. Jaka jest

twoja teoria, jeśli chodzi o ostatnie morderstwo? Osobiście zakładam, że to pies zastrzelił Garwooda, a potem popełnił samobójstwo, ale jestem otwarty na inne propozycje.

- Garwood zaskoczył włamywacza, a ten od razu sięgnął po broń.

Frost zastanowił się przez moment, a potem niechętnie pokręcił głową.

- Przykro mi tak brutalnie pozbawić cię złudzeń i olać twoje sugestie, ale czy zajrzałeś do sypialni gospodarza? Tego wieczora w łóżku nikt nie spał, więc przypuszczalnie Garwood nie zdążył się położyć, a światła w domu były włączone, kiedy nastąpił atak. Każdy włamywacz, nawet tak głupi jak ja, poczekałby, aż gość pójdzie do łóżka, i dopiero wtedy zabrał się do roboty.

Cholera, chociaż raz muszę przyznać mu rację, zadumał się Clive.

- Sir! - zawołał nagle na cały głos. - Mam!

Skacząc jak pasikonik po całej kuchni, wyjaśniał swoją teorię, Frost zaś palił papierosa i pilnie słuchał.

- Garwood trzymał tutaj klucze do piwnicy banku. To właśnie tego szukał włamywacz. Garwood musiał zrobić jakiś fałszywy ruch, więc tamten go zastrzelił.

Frost przycisnął dłoń do policzka i wypuścił okrągłe kółeczko dymu.

- Więc twoim zdaniem chodziło o bank? Co w takim razie zrobił włamywacz po zastrzeleniu Garwooda?

- Zaczął szukać kluczy na własną rękę. To dlatego w salonie wszystko poprzewracane jest do góry nogami.

- Reszta domu jest w idealnym stanie. - Frost dumał, wolno wypuszczając dym. - Z tego wynika, że znalazł to, czego szukał, no, chyba że ktoś mu przeszkodził... A jeśli znalazł klucze, to czemu nie obrabował banku?

- Bo akurat tej nocy stójkowy pilnował wejścia... Pamięta pan?

- Taaak... To wszystko układa się w całość - przyznał Frost niechętnie. - Być może przecucie mnie zawiodło, ale nie mogę wymyślić niczego lepszego... Co to za cholerny dupek!

Frost stracił cierpliwość, bo dzwonek do drzwi od kilku chwil dosłownie się urywał.

- Zobacz, synu, kogo tam diabli przynieśli... Jeśli to piekarz, powiedz, że dziś nie potrzeba chleba; jeśli rzeźnik od kotów, to niech się dowie, że stracił klienta.

Za drzwiami stał Mullett, oszłamiająco elegancki w nowym, szytym na miarę płaszczu.

- Mam wrażenie, że kłopoty chodzą za panem krok w krok, inspektorze - oznajmił, przyglądając się narysowanemu kredą konturowi ciała.

- Robię tylko to, szefie, co do mnie należy - odparł Frost, który całkowicie mylnie zrozumiał intencje Mulletta. Złe przeczucia osiągnęły apogeum, kiedy zobaczył, jak Mullett schyla się do Clive'a i prosi, żeby na moment zostawił go sam na sam z inspektorem Frostem.

Jak nic dowiedział się, że to ja rozbiłem zderzak w jego pieprzonym samochodzie, pomyślał Frost w popłochu, szybko rozważając wszelkie możliwe tłumaczenie.

Nastąpił moment straszliwej ciszy, kiedy komisarz zdawał się ćwiczyć w myślach to, co miał do powiedzenia. Wreszcie wyjął z kieszeni nienapoczętą paczkę senior service.

- Eee... Jack... Masz ochotę na papierosa?

Frost poczuł na karku nieprzyjemne mrowienie. Ani chybi nie wróżyło to nic dobrego. Sposób, w jaki Mullett zaproponował mu papierosa, za bardzo przypominał zachowanie naczelnika więzienia, który musi przekazać skazańcowi nieprzyjemną wiadomość typu: „Obawiam się, że pańska prośba o odroczenie wykonania wyroku została odrzucona”.

Z potulną miną wziął papierosa i czekał, aż ostrze gilotyny spadnie mu na kark.

- To morderstwo, Jack... Eee... Moim zdaniem powinniśmy wezwać Yard.

- Pieprzyć to! - warknął Frost, prawie dusząc się z obrazy. - My odwalimy czarną robotę, a Yard zbierze pochwały! Wielkie dzięki!

Ze złością wyrzucił z siebie kłęb dymu i wpatrzył się w ścianę.

- W porządku. - Mullett podejrzanie łatwo zrezygnował z pomysłu. - Będę musiał powiedzieć szefowi policji, że gwałtownie zaprotestowałeś przeciw takiemu rozwiązaniu. Ale dasz sobie radę? To znaczy, czy poradzisz sobie, jednocześnie prowadząc poszukiwania tej dziewczynki?

- Oczywiście, że tak, jeśli dostanę dodatkowych ludzi do pomocy, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Wystarczy tylko poprosić, Joe... To znaczy, Jack... Dobrze, rozumiem więc, że wszystko ustalone. Zresztą i tak to tylko parę dni.

Frost natychmiast poderwał głowę.

- Parę dni? - spytał ostrożnie.

- Eee... No tak. Inspektor Allen powinien w tym czasie wyjść ze szpitala. Będzie mógł z powrotem przejąć oba śledztwa.

Ty zasrany gnojku, pomyślał Frost. To stąd się wzięła ta nagła serdeczność i poczęstunek pieprzonym papierosem! Teraz wszystko było jasne. Mullett nie życzył sobie obecności chłopców z Yardu tak samo jak Frost. Wolał, żeby cała chwała przypadła w udziale posterunkowi w Denton, jednak udało mu się tak pokierować sprawą, żeby odsunąć od siebie odpowiedzialność za ewentualne niepowodzenie. Jeśli coś pójdzie źle, spokojnie będzie mógł

oskarżyć Frosta, że to on nie chciał dopuścić Yardu do udziału w śledztwie. Ale gdy wszystko zakończy się pomyślnie, to właśnie Allen i Mullett zbiorą pochwały.

Przynajmniej lajdak miał w sobie tyle przyzwoitości, żeby teraz unikać spojrzenia Frosta.

Pod wpływem tych myśli inspektor wyjął z ust papierosa, którego dostał od Mulletta, obejrzał go podejrzliwie i zaczął kasłać.

- Jakim cudem znalazł pan fajki jeszcze tańsze niż weightsy? - zapytał niewinnie, ale Mullett go nie usłyszał. Już był w drodze do swojego przytulnego gniazdka.

Clive wrócił do kuchni natychmiast, gdy tylko odprowadził komisarza do drzwi. Ten facet miał w sobie wszystko, czego brakowało Frostowi - godność i powagę.

- Co teraz, sir?

- Połącz się z dyspozytornią, niech przyślą paru ludzi do pomocy. Trzeba przesłuchać sąsiadów, na wypadek gdyby ktoś coś zauważył zeszłej nocy. Istnieje niewielka szansa, że w telewizji właśnie nie było niczego ciekawego.

Nagle zatrzymał się w pół kroku i otwartą dłonią palnął się w czoło.

- Psiakrew!

- O co chodzi, sir?

- Czy zauważyłeś, synu, mój rozmyślny błąd? Chodzi mi o te cholerne zwłoki! Zwróciłeś uwagę, że nie zidentyfikowałem ciała? To przecież mógł być jakiś Tom, Dick czy Harry, którego przyodziano w szarą pizamę. Wyjdziemy na ostatnich idiotów, jeśli okaże się, że to nie Garwood! Zresztą nie ma o czym mówić, trzeba ściągnąć dyrektora Hudsona, żeby rzucił okiem na zwłoki. Zaniesiemy mu smutną wieść, że zwolniło mu się miejsce w zespole, a potem sprytnie zasugerujemy, żeby pojechał z nami do kostnicy i potwierdził tożsamość denata.

*

W pierwszej chwili wydawało się, że Hudson nie zrozumiał, o co chodzi. Gapił się na Frosta, jakby ten powiedział coś obrzydliwego, a potem ciężko opadł na krzesło i ściągnął okulary.

- Nie żyje? Ruppert Garwood nie żyje?

- Niestety tak.

Hudson wydmuchał nos, a następnie przytknął chusteczkę do kącików oczu.

- Garwood był dla mnie bardzo dobry. Bez zawiści pomagał mi, kiedy zostałem dyrektorem oddziału, choć pewnie miał nadzieję, że to on będzie tu szefem.

Znów głośno wytarł nos.

Co za szczęście, że nie powiedziałem mu o psie, pomyślał Frost. Jak nic wypląkałby sobie oczy. Ostrożnie podsunął teorię Clive'a, że włamywacz poszukiwał kluczy, żeby dostać się do podziemi pod bankiem, ale Hudson stanowczo zaprzeczył takiej możliwości.

- Garwood nie miał kluczy, inspektorze. Są tylko dwa zestawy, które otwierają podziemia. Jeden zawsze noszę przy sobie, drugi kolejno przekazują sobie starsi członkowie załogi. Pan Garwood nie nosił kluczy jeszcze z innego... - W tym momencie usta Hudsona zdrząły. - Na pewno nigdy nie dostałby ich ponownie.

- Obawiam się, chłopcze, że twoje mądrości zdały się psu na budę - mruknął drwiąco Frost, odwracając się do Clive'a. Clive zacisnął wargi. Czy naprawdę Frost koniecznie musiał być tak dziecinnie złośliwy?

W końcu Hudson wziął się w garść.

- Te akta, o które pan prosił, inspektorze... Nasz oddział główny wysłał je dziś rano pociągiem Red Star, a my odbieramy je z dworca o drugiej trzydzieści.

- To właśnie nazywam prawdziwą współpracą! - zawołał Frost. - Proszę przyjąć podziękowanie i wyrazy uznania.

Odpowiedzią był wytworny uśmiech. - Jeśli mogę być jeszcze w czymś przydatny... W czymkolwiek...

Trafiony, zatopiony, pomyślał Frost.

- Prawdę mówiąc, sir, przydałaby nam się pańska pomoc...

- Och. - Mina Hudsona świadczyła o pełnej gotowości.

- To tylko zwykła formalność, sir. Nie potrwa długo. Chcielibyśmy prosić, żeby zidentyfikował pan ciało.

Cała krew odpłynęła z twarzy Hudsona. Wyraźnie się skurczył.

- Och... Czy to konieczne? Rozumie pan, nigdy w życiu nie widziałem nieboszczyka...

- W takim razie będzie to dla pana nowe doświadczenie. - Frost się rozpromienił. - Zresztą to nic wielkiego. Szybciutko zajrzy pan pod prześcieradło, a potem podrzucimy pana do banku, prosto na wysmienity obiad.

*

Kostnica znajdowała się na olbrzymim terenie należącym do szpitala Denton, tuż obok smukłego komina pieca krematoryjnego, który wyrzucał w niebo obłoki czarnego, lepkiego dymu.

- No, tędy górą wyszło już parę rąk i nóg. - Frost z werwą skomentował ten widok na użytek drżącej postaci, skulonej na tylnym siedzeniu auta.

W niedużym przedsionku panował upał nie do wytrzymania, ale Frost poradził Hudsonowi, żeby nie zdejmował wierzchniego okrycia. W sali, gdzie leży ciało - przechowalni sztywniaków, jak to określił - jest zimno jak diabli.

Napis na ścianie głosił: „Wszyscy właściciele zakładów pogrzebowych przed zabraniem zwłok są zobowiązani zgłosić się do dyżurnego”. Zgodnie z zaleceniem zgłosili się więc do dyżurnego i tu nastąpiło małe nieporozumienie, ponieważ żaden Garwood nie figurował w księdze przyjęć, a to znaczyło, że wciąż przebywa na stole sekcyjnym. Dla podkreślenia swoich racji dyżurny dziabnął śmierdzącym środkami dezynfekcyjnymi paluchem w odpowiednią stronę w opasłej księdze, gdzie wyraźnie było napisane, że nie przyjęto ciała żadnego Garwooda. Ostatnie zarejestrowane zwłoki należały do jakiegoś włóczęgi, który zamarł na śmierć i został znaleziony w lesie poprzedniego ranka.

- Proszę chwilę zaczekać, panie Hudson - oświadczył Frost z miną człowieka, który ma zamiar wszystko doprowadzić do porządku. Spojrzenie Hudsona wciąż błędziło w okolicy drzwi wyjściowych, więc Clive przesunął się nieznacznie w tamtym kierunku, żeby uniemożliwić mu ucieczkę.

Jasno oświetlony napis nad jednymi z drzwi wskazywał, że za nimi mieści się prosektorium. Inspektor bez ceregieli wpakował się do środka. Nagły podmuch zimniejszego od lodu powietrza wtargnął do holu i przez ułamek sekundy Hudson widział leżącą na stole woskową figurę nakrytą prześcieradłem, spod którego wystawały nagie stopy.

I wtedy podjął decyzję, że koniecznie musi wyjaśnić swoje stanowisko. Nie da rady tam wejść, stanowczo oświadczył Clive'owi. Bardzo mu przykro, ale tak jest. Pewnych rzeczy nie da się przeskoczyć i to właśnie jest jedna z nich. Clive zaczął go uspokajać, choć dobiegający z wnętrza sali operacyjnej głos Frosta wcale nie ułatwiał mu zadania.

- Mam nadzieję, że jeszcze nie odciął mu pan piłą czubka głowy, co, doktorze? Przyprowadziłem jednego gościa, który pomoże nam go zidentyfikować.

Chwilę później drzwi do tego straszliwego pomieszczenia stanęły otworem i Frost kiwnął palcem. Clive mocno ujął Hudsona za ramię i na wpół ciągnąc, na wpół sterując jego krokami, zdołał wepchnąć go za próg. Nieodparcie nasuwało mu się skojarzenie ze skazańcem, którego prowadzą na szafot.

Wewnątrz było mnóstwo białych płytek, furek, węży z wodą i jakichś urządzeń, które pluły czymś i zawzięcie bulgotały. Patolog, zdenerwowany, że ktoś przeszkadza mu w najbardziej interesującym momencie, wytarł ręce w fartuch z czerwonej gumy i odsunął się od stołu.

Frost wypchnął Hudsona do przodu. W pierwszej chwili nieszczęśnik widział tylko stół z nierdzewnej blachy o przerażająco określonym kształcie, perforowany i wyposażony w specjalne rurki, które w każdym rogu odprowadzały prosto do kanalizacji płyny gromadzące się na blacie. Dopiero wówczas pozwolił sobie rzucić okiem na nieruchome ciało, które na tej ogromnej płaszczyźnie zajmowało tak niewiele miejsca. Jak nieskazitelnie wyglądał Garwood w oślepiającym blasku lamp, który padał na jego nagą skórę, z ręcznikiem skromnie zakrywającym intymne rejony i sterczącymi ohydnie palcami stóp.

Czekali w milczeniu. Z węża do polewania podłogi kapłała zabarwiona czymś woda. Hudson uzbroidł się w męstwo, wziął głęboki oddech i powędrował wzrokiem ku twarzy nieboszczyka. Szybko odwrócił spojrzenie, bo poraził go widok przestrelonego oka i elektrycznej piły do cięcia kości, która podłączona do kontaktu czekała na sąsiednim stole.

Inspektor kazał mu dokładnie przyjrzeć się twarzy zmarłego. Dlaczego jestem mokry od potu, skoro tu tak zimno? - pomyślał Hudson? Szybko popatrzę, a potem spojrzę gdzie indziej. Nagle wypełniony krwią oczodół przesłonił mu cały świat, a potem z hukiem uciekł gdzieś na bok. Zastąpiły go pełne niepokoju twarze, patrzące na niego z góry. Sam nie wiedział, kiedy uderzył plecami o podłogę i kiedy zgasło nad nim światło.

Ocknął się z powrotem na korytarzu; oczy miał zalane łzami i ze wstrętem odwracał się od piekących oparów amoniaku, który ktoś uparcie podsuwał mu pod nos.

- Bardzo mi przykro, inspektorze, naprawdę. Ja po prostu...

- Wszystko w porządku - uspokajał go Frost. - Świetnie pana rozumiem. Pamiętam własną reakcję, kiedy zobaczyłem pierwsze ciało w mojej karierze. To był taki stary włóczęga...

Clive zakasłał ostrzegawczo. Zważywszy na stan dyrektora, słynna opowieść inspektora była chyba ostatnią rzeczą, jakiej powinien teraz słuchać.

- Jak sądzę, potwierdza pan, że to ciało pana Garwooda?

Hudson zdobył się na kiwnięcie głową. Natychmiast przypomniało mu się tamto oko. Zza drzwi dobiegło zawodzenie elektrycznej piły i inspektor z Clive'em zdołali złapać go w ostatniej chwili, zanim znów uderzył o podłogę.

Sekretarka Hudsona patrzyła szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma, jak dwaj detektywi wprowadzają do banku jej szefa. Widać było, że nogi się pod nim uginają, a spocona twarz przybrała niepokojąco zielonkawą barwę.

- Co się stało panu Hudsonowi? - zapytała szeptem. Clive wyjaśnił, co zaszło.

Dziewczyna pokręciła głową i wróciła do pisania na maszynie.

- Strasznie mi szkoda pana Garwooda. Wcale nie był jeszcze taki stary.

- Jego pies także zginął - dopowiedział Frost, wprowadzając Hudsona do jego gabinetu.

Twarz sekretarki pociemniała z gniewu, a jej oczy wyraźnie zwilgotniały.

- To był taki piękny golden retriever... Jakim trzeba być łajdakiem, żeby...

- Proszę nam zrobić kawę - powiedział Frost.

ŚRODA (3)

ŻOŁĄDEK SIERŻANTA DETEKTYWA HANLONA ZABURCZAŁ i zaskowyczał w żalonym proteście, kiedy jego właściciel pędem wbiegł po schodach, po drodze mijając kantinę, skąd rozchodził się czarowny zapach środowego lunchu

- pasztetu i gotowanego na parze puddingu z czarnych porzeczek. Jednak Hanlon musiał najpierw zameldować inspektorowi Frostowi o przebiegu rozmowy z kierownikiem szkoły, a dopiero potem mógł spokojnie zasiąść do jedzenia. Załomotał w drzwi i po chwili znalazł się w wilgotnym cieple i gęstej chmurze dymu z papierosów. Frost siedział za biurkiem, przekładając papiery. Na widok gościa wyraźnie się rozpromienił, jakby bardzo tęsknił za jakąś rozrywką.

- A oto nasz tłuściutki Miś o Bardzo Małym Rozumku!

- zawołał z entuzjazmem. - Weź sobie krzesło.

Hanlon przysiadł ostrożnie na rozchybotanym fotelu zarezerwowanym dla odwiedzających. Najpierw podziękował za kartkę z życzeniami świątecznymi.

- I co, jest jakaś szansa, że wpadniesz do nas w któryś z wolnych dni?

Frost pokręcił głową.

- Mam służbę w pierwszy i drugi dzień Bożego Narodzenia, Arthurze. Przypadło mi w udziale zaszczytne zadanie pilnowania ładu i porządku w naszym rejonie.

Na twarzy Hanlona pojawił się smutek i lekki niepokój, więc Frost pospieszył z wyjaśnieniami.

- Sam się zgłosiłem, na ochotnika. W domu nie mam co robić, a tu zawsze spotka człowieka coś miłego. Na przykład jakiś pijany gość zarzyga całą podłogę w holu tym, co zeżarł podczas Wigilii, ale przecież podczas Bożego Narodzenia głównie chodzi o to, żeby się napchać pod korek, prawda? Poza tym ukochany komendant zwykle dzwoni, żeby dać nam swoje błogosławieństwo, więc czegoż więcej można chcieć od życia? Oczywiście z wyjątkiem babeczki z nadzieniem z suszonych owoców i odrobiny kontaktów z drugim człowiekiem.

Hanlon trząśnął się ze śmiechu, jakby całe jego ciało cieszyło się z dowcipów Frosta.

- Wiesz, Jack, widziałem się z tym typem Farnhamem - wykrztusił, kiedy tylko zdołał się jako tako uspokoić.

- Do diabła, kto to jest Farnham?

- Kierownik szkoły.

- No tak. - Frost pstryknął palcami. - Brodaty klient pani Uphill. Podobno ostatniej niedzieli po wyjściu z jej lokalu udał się chwiejnym krokiem do ciotuni na herbatkę, ale ciocia zeznała, że nie pojawiał się u niej od ładnych paru tygodni... Co wymyślił tym razem?

Hanlon wyciągnął z kieszeni notes, na co Frost zareagował pogardliwym prychnięciem.

- Chyba nie masz zamiaru odczytywać mi jego zeznań jak jakiegoś pieprzonego poematu, co? Przecież byłeś u niego kilka minut temu.

Ale Hanlon miał własne metody, więc skorzystał z zapisków w notesie.

- Pan Farnham twierdzi, że skłamał, rozmawiając z tobą, i że bardzo tego żałuje. Wcale nie poszedł do swojej ciotki.

- Ślicznie czytasz, Arthurze.

-Więc mi nie przerywaj. Zeznał, że szedł na stację, kiedy zagadnęła go jakaś kobieta w futrze udającym skórę lamparta.

Skóra lamparta, pomyślał Frost, a jego ręka natychmiast powędrowała w stronę blizny na policzku. Czekał, gdzie ja ją...?

- Jawnogrzesznicza Cynthia! - wykrzyknął z radością, a widząc zdumienie Hanlona, dodał: - Mam na myśli Cynthię Collard, Arthurze. Chyba ją pamiętasz, co? To ta z cyckami jak dwa świąteczne puddingi.

Odwołanie się do kulinarnych skojarzeń od razu odświeżyło Arthurowi pamięć.

- Nie wiedziałem, że ona wróciła do Denton.

- Mimo to spodziewam się, że poradziłeś sobie... Zresztą, czytaj dalej. Czy kiedy go zaczepiła, powiedział grzecznie: „Nie, w niedzielę takie świństwa mnie nie interesują”? Mam rację?

Hanlon poczekał cierpliwie, aż Frost przestanie sobie stroić żarty, a następnie mówił dalej.

- Farnham pojechał z Cynthią do jej mieszkania. - Więc ona ma własne mieszkanie? - mruknął Frost ze zdziwieniem. - Widocznie korytarzyk przed sklepem rzeźnika już jej nie wystarcza.

Pstryknął kilka razy długopisem, a w końcu podrapał się nim w ucho.

- Z tego wynika, że Farnham jednego dnia spał z dwiema kobietami... Musiał się bardzo wstydzić i dlatego na wszelki wypadek nie powiedział nam o tej drugiej, żebyśmy nie pomyśleli, że jest nienasyconym lubieżnikiem. No cóż, zobaczymy, czy Cynthia potwierdzi tę historyjkę. Jadłeś już lunch, Arthurze?

Na te słowa żołądek Arthura obudził się i warknął ostrzegawczo jak podenerwowany pies. Pasztet i podwójne frytki...

- Jeszcze nie.

- To dobrze, bo w takim razie zjesz coś w „Crown”. Ona właśnie tam poluje na klientów.

Żołądek Hanlona kategorycznie zaprotestował. Jedzenie w „Crown” cieszyło się zasłużoną sławą najgorszego zarcia w całym mieście.

- Problem polega na tym, że nie bardzo wiem, jak ona teraz wygląda, Jack.

- Będziesz musiał wykazać pewną delikatność w działaniu, Arthurze. Po prostu usiądź w kącie i wyjmij fiuta, to sama do ciebie przyjdzie. A teraz żarty na bok - Cynthia ma tlenione włosy, nosi płaszcz udający skórę lamparta, a na brzuchu wytatowała sobie motto: „Niezależnie od okoliczności nie zwracam pieniędzy”.

Clive wrócił z umywalni, gdzie przez ostatnie pół godziny usiłował doczyścić szczoteczką ręce uwalone węglowym pyłem. Wciąż czuł ból w plecach i nieznośne swędzenie, a garnitur wydawał mu się mocno nieświeży. Będzie musiał oddać go do pralni; jutro włoży to okropieństwo kupione na Carnaby Street, przez co znów narazi się na kpiny. Ciepło powitał tłusciutkiego detektywa, który zeszłej nocy wykonał tak wspaniałą robotę, zatrzymując na gorącym uczynku rabusiów okradających sklep jubilera. Szkoda, że Frost nawet w połowie nie jest tak skuteczny.

Kiedy Frost opowiadał Clive’owi o bohaterskich wyczynach Farnhama, Hanlon podniósł się z fotela, zdecydowany powalczyć z jedzeniem podawanym w „Crown”. - Wpadniesz tam po lunchu, Jack?

- Bardzo wątpię. Prawdopodobnie zajrzę do banku. Słyszałeś, że dziś znalazłem następne zwłoki? Tym razem był to Ruppert Garwood, wicedyrektor banku.

Hanlon był tak wstrząśnięty, że musiał mocno chwycić oparcie krzesła, żeby nie stracić równowagi.

- Garwood? Znałem tego gościa. Załatwił mi pożyczkę na kupno domu.

- Przykro mi, stary. Ktoś strzelił mu prosto w głowę - kontynuował Frost. - W sumie mam na koncie dwa trupy wczoraj i jednego dzisiaj. - Wzruszył ramionami. - Z tego wynika, że jutro powinienem mieć spokój.

Zadzwoił telefon na biurku. Po drugiej stronie odezwał się ktoś z laboratorium. Frost słuchał ze zmarszczonymi brwiami, potem gwizdnął cichutko i pospiesznie naskrobał parę słów na notce od Mulletta. Potem odłożył słuchawkę i przez ładnych kilka chwil gapił się na nią z niedowierzaniem.

- To był spec od balistyki. Podobno pocisk, który zabił Garwooda, został wystrzelony z tej samej broni, z której przed trzydziestoma dwoma laty zastrzelono Fawcusa. Ich zdaniem to istotna informacja.

Clive gapił się na inspektora.

- Więc obaj zostali zamordowani przez tego samego człowieka?

- Na to wygląda, synu - odparł Frost. - To oznacza, że możemy wyeliminować z kręgu podejrzanych wszystkich, którzy mają mniej niż trzydzieści dwa lata... A teraz pospiesz się, Arthurze, bo w „Crown” zabraknie sznycli w sosie curry.

Hudson nie mógł patrzeć na lunch. Ostrożnie wychylił malutką szklaneczkę sherry, a następnie skubnął kęs kanapki z szynką, ale zbyt bliski kontakt z zimnym mięsem rozstroił mu żołądek. Wrócił do biura wcześniej niż zazwyczaj; teraz siedział spokojnie, starając się wymazać z pamięci wspomnienia tego okropnego poranka i uspokoić zbuntowany układ trawienny. Brzęczenie telefonu przywiodło mu na myśl dźwięk piły do cięcia kości, która rozdzierała czaszkę biednego Garwooda. Z trudem podniósł słuchawkę i wychrypiął swoje nazwisko. Sekretarka powiedziała, że dwaj panowie z policji właśnie wrócili po akta pracowników.

Za chwilę byli już w środku - parszywy niechluj w brudnym szaliku i ten drugi, ze złamanym nosem i paznokciami czarnymi jak święta ziemia. Inspektor zgarnął akta, kiwając głową na znak wdzięczności, i zapytał, czy mógłby przesłuchać resztę pracowników banku, a przy okazji rzucić okiem na biurko Garwooda.

Hudson, szczęśliwy, że ma szansę się go pozbyć, zgodził się skwapliwie na wszystko; poprowadził obu detektywów do ścianki działowej w oliwkowym kolorze i przez drzwi z matowego szkła, na których wisiała tabliczka „R. Garwood - wicedyrektor”, wpuścił do gabinetu swojego zastępcy.

Frost od razu usiadł ciężko na obrotowym krześle przy biurku i ściągnął szalik.

- Czy pan Garwood miał jakichś krewnych?

- Nie - odpowiedział Hudson. - Absolutnie nikogo. Wydaje się, że był na świecie sam jak palec.

Z tymi słowami wycofał się i wrócił do siebie, uśmiechając się dzielnie, dopóki drzwi się za nim nie zamknęły.

- Podzielimy się jego biurkiem po połowie - zarządził Frost, wysypując spinacze z pudełka, które zamierzał wykorzystać w charakterze popielniczki. Potem wyciągnął pierwszą szufladę. - Jest coś paskudnego w przeglądaniu biurek innych ludzi, prawda, synu? Czuję się winny jak diabli za każdym razem, gdy podczas świątecznego dyżuru szperam w biurku Mulletta.

Szuflady nie kryły nic specjalnego - karty członkowskie jakichś klubów, ściereczkę, ręcznik i kopertę ciężką od monet, które, jak się okazało, zostały zebrane na zakup prezentu bożonarodzeniowego dla pani parzącej herbatę. Po jakimś czasie zadzwonili pod wewnętrzny numer Hudsona z informacją, że mogą już rozpocząć przesłuchiwanie pracowników. Wkrótce zaczęli wchodzić jeden po drugim, w kolejności starszeństwa, począwszy od najwyższego rangą.

Podobnie jak we wszystkim, co robił, Frost na początku przykładał się do pracy, ale w miarę upływu czasu zaczynał się straszliwie nudzić. Żaden z urzędników nie powiedział nic, co mogłoby im pomóc. Śmierć kolegi wywarła na nich ogromne wrażenie, więc po kolei wygłaszali peany na cześć zmarłego. Można pomyśleć, że Garwood był kimś niemalże świętym - człowiekiem bez skazy i pełnym życzliwości dla każdej żyjącej istoty. Wkrótce stało się jasne, że z nikim nie dzielił się wspomnieniami na temat wydarzeń z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku ani nie opowiadał o swoim życiu prywatnym.

W końcu Frost pomyślał, że jeśli ten facet choć w połowie był tak nudny, za jakiego uchodził, to słusznie należała mu się kulka w łeb. Bez żalu wepchnął na swoje miejsce detektywa posterunkowego, żeby prowadził dalsze przesłuchania, podczas gdy sam zajął się paleniem papierosa za papierosem, kręceniem się na obrotowym krześle i zerkaniem od czasu do czasu na zegarek, czemu nieuchronnie towarzyszyło głębokie westchnienie.

Clive rozmawiał kolejno z urzędnikami coraz niższego szczebla i teraz przesłuchiwał siedemnastoletnią maszynistkę, szczebioczącą jak dziecko, za to obdarzoną oszałamiającą figurą. Frost napisał coś na kawałku papieru i podsunął w stronę Clive'a. Clive przeprosił dziewczynę na moment. „Ona nie ma cyckonosza”, przeczytał i przez resztę przesłuchania niewiele uwagi zwracał na to, co dziewczyna ma do powiedzenia, bo wzrokiem przenikał jej opięty na biuście sweterek, żeby przekonać się, czy przełożony ma rację.

Wreszcie pozwolił jej odejść. Znikła za drzwiami, pozostawiając po sobie ulotną smugę perfum i piękne wspomnienie.

Frost wykonał pełny obrót na fotelu Garwooda.

- Chyba ten gość rzeczywiście był jakimś świętym, co? Założę się, że jeśli wrócimy tu za tydzień, dowiemy się, że to kompletny łajdak i nicpoń. Idziemy, synu.

Kiedy wkroczyli na posterunek, taszcząc zabrane z banku akta pracowników, Johnnie Johnson zawołał Frosta i kiwnął palcem, żeby podszedł bliżej. W rękę trzymał radio.

- Jakaś dama przyniosła to dla pana, inspektorze.

- Dama? - spytał ostrożnie Frost.

- Tak. Powiedziała, że zostawił to pan w jej mieszkaniu.

- Och, tak. Wielkie dzięki. - Z wszystkich sił starał się mówić obojętnym tonem.

- Bardzo interesująca osoba. Trochę przypominała zakonnice albo nauczycielkę ze szkółki niedzielnej, albo kogoś w tym rodzaju. - Sierżant był w tej chwili uosobieniem niewinności, ale Frost nie dał się zwieść.

- Czy sierżant Hanlon już wrócił? - spytał oschle oficjalnym tonem i wsadził radio do kieszeni.

- Jest w swoim biurze. - Dzięki bujnym wąsom sierżant posterunkowy zdołał ukryć uśmiech.

Ciekawe, o co im chodzi? - pomyślał Clive.

Hanlon właśnie mieszał łyżeczką wodę w szklance, do której przed chwilą wrzucił tabletkę alka seltzer. Przełknął jednym długim haustem pełen bąbelków płyn i czekał, aż lekarstwo zacznie toczyć bitwę ze zbuntowanym układem pokarmowym.

- Arthurze, wiesz chyba, że na kiłę nie ma lekarstwa - odezwał się Frost z autentycznym niepokojem.

Małe oczka popatrzyły na niego z nieukrywaną irytacją.

- Wysłał mnie pan do pierwszorzędnej knajpy, inspektorze Frost. Mięso, które mi podano, było zdecydowanie nieświeże. Do diabła, w jaki sposób mięso mogło się zepsuć przy takiej pogodzie? - W ostatniej chwili zdławił donośne beknięcie.

- I jak, znalazłeś seksowną Cynthię?

- Owszem. Potwierdziła zeznania Farnhama. Był u niej aż do szóstej wieczorem.

- Dziękuję, Arthurze. Teraz idź i zdezynfekuj ręce fenolem, a potem wracaj do swojej roboty.

Dopiero w upalnym zaciszu własnego biura Frost mógł w spokoju rozciąć sznurek, którym związane były teczki personalne pracowników banku Bennington. Clive z coraz bardziej markotną miną obserwował jego poczynania. Zaczynał czuć się całkiem bezużyteczny; chodził za Frostem zupełnie jak oswojony pies, który drepcze za swoim panem. Bardzo chciał zrobić coś na własny rachunek.

- Czy pana zdaniem, sir, nie powinienem zacząć obchodu gabinetów lekarskich i dentystycznych?

- Nie, synu, to może poczekać. Jestem absolutnie przekonany, że znaleźliśmy szkielet Fawcusa. Nie potrzebuję więcej dowodów. Kiedy już się dowiemy, kto ukatrupił jego i Garwooda - że nie wspomnę o wiernym psie - będziemy mogli tracić nasz cenny czas na takie rzeczy jak karty stomatologiczne. Lepiej pomóż mi przekopać się przez tę stertę makulatury.

Mówiąc to, rozłożył teczki na biurku. Było ich dokładnie dziesięć, bo akurat tyle osób pracowało pilnie w oddziale banku Bennington w Denton w pamiętnym lipcu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku. Przynajmniej dwie z nich nie żyły, zakończywszy swoją ziemską wędrówkę z pociskiem w głowie.

- Zaczniemy od najwyższych rangą - oznajmił Frost. - Najpierw sam szef.

W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku dyrektorem oddziału był niejaki John Aubrey Powell, wówczas czterdziestopięcioletni. Odszedł na emeryturę w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym, dokładnie w swoje sześćdziesiąte piąte urodziny. Sądząc z corocznych ocen, które zostały dołączone do akt, wydawał się wzorem urzędnika bankowego. Co prawda ocena z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego nawiązywała do niefortunnego zdarzenia z lipca poprzedniego roku, kiedy kasjer oddziału zniknął razem z dwudziestoma tysiącami funtów, ale sam Powell został oczyszczony z wszelkich zarzutów. Ostatnim dokumentem była kopia pisma od administratora Pracowniczego Funduszu Emerytalnego, stanowiąca odpowiedź na podanie pana Powella o jednorazową wypłatę większej sumy ze zgromadzonego kapitału, co znacząco zmniejszało miesięczną kwotę emerytury.

- Ciekawe, na co potrzebne mu były te pieniądze - mruknął Frost i zadzwonił w tej sprawie do Hudsona.

Najwyraźniej takie postępowanie nie stanowiło nic niezwykłego. Wiele osób życzyło sobie jednorazowych wypłat. Być może chcieli zacząć własną działalność gospodarczą albo kupić lepszy dom... W wieku sześćdziesięciu pięciu lat raczej trudno liczyć na uzyskanie nowego kredytu pod hipotekę nieruchomości...

Frost odsunął słuchawkę, nie słuchając dłużej paplaniny szefa oddziału.

- Szkoda, że zapytałem - mruknął do Clive'a. - Teraz muszę wysłuchiwać bzdurnego wykładu.

Nagle mocniej przycisnął słuchawkę do ucha, bo coś zwróciło jego uwagę.

- Przepraszam, panie Hudson, co pan powiedział?

- Powiedziałem, że nie wiem dokładnie, dlaczego pan Powell wziął jednorazową wypłatę, ale przecież może pan sam go o to zapytać.

- Zapytać? Czy to znaczy, że on wciąż mieszka w Denton?

- Ma pan w aktach jego adres - z rozdrażnieniem zwrócił mu uwagę Hudson. Głowa pękała mu z bólu i bardzo chciał iść do domu, a tymczasem inspektor krzychał coś do słuchawki.

Frost w pośpiechu przerzucił parę stron.

- Nie widzę tu żadnego adresu.

Clive pochylił się ponad ramieniem Frosta i popukał palcem w paragraf zatytułowany: „Aktualne miejsce zamieszkania”.

- Och, wszystko w porządku, panie Hudson. Znalazłem adres. Po prostu był wpisany w niewłaściwą rubrykę.

Clive zanotował go na karteczce i obaj zagłębili się w akta dotyczące zastępcy Powella, który obecnie prowadził oddział banku w Glasgow. Tamtejsza jednostka policji otrzymała dalekopisem prośbę o zadanie mu kilku pytań na interesujący Frosta temat.

Następny w kolejności był Timothy Fawcus. Cieszył się opinią dobrego, pracowitego urzędnika, rekomendowanego do wczesnego awansu. Medyczny raport dla Funduszu Emerytalnego nie wspominał nawet jednym słowem o złamanej ręce. Akta zamykała lakoniczna notatka: „Odszedł z pracy w czerwcu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku - szczegóły w osobnej tecze”.

Frost wyciągnął akta Ruperta Garwooda. Na dość niedawno zrobionej fotografii, która została przypięta do wewnętrznej części teczki, nie brakowało mu oka. W czasie, gdy dokonano słynnego rabunku - w lipcu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku - zarabiał trzy funty i dwa szylingi na tydzień, pracował przez pięć i pół dnia, wliczając w to również sobotnie poranki. Po napadzie, w którym doznał pęknięcia czaszki, przez trzy miesiące przebywał na zwolnieniu lekarskim i w zamian za zaświadczenie o niezdolności do pracy przy przekazach pieniężnych bywał wysyłany do domu już w piątek po południu, wciąż za te same trzy funty i dwa szylingi. W poufnej notce od prezesa zarządu pytano dyrektora Powella, czy jego zdaniem chłopak mógł w jakikolwiek sposób być zamieszany w zniknięcie Fawcusa i gotówki, ale Powell szybko opowiedział zarządowi, że jego zdaniem taka możliwość w ogóle nie wchodziła w grę. W późniejszym okresie tego samego roku Garwood został awansowany i jego pensja wzrosła do trzech funtów piętnastu szylingów na tydzień, wypłacanych raz w miesiącu.

Dossier kolejnych czterech osób okazały się niemal identyczne - nudne i kompletnie bezużyteczne. Frost miał już serdecznie dosyć.

- Głowa mi pęka, kiedy patrzę na to gówno - poskarżył się Clive'owi, wyglądając na zaśnieżony, ponury parking. - Zaczyna się robić ciemno. Zaraz powinni odwołać ekipy poszukujące Tracey... Hej, ta teczka ma całkiem inny kolor!

Kolor teczki był inny, ponieważ na początku lat pięćdziesiątych sztywna struktura społeczna banku wymagała, aby akta dozorców i pracowników fizycznych wyraźnie różniły się od teczek elity finansowej. Frost miał przed sobą akta Alberta Barrowa, dozorca, który porzucił pracę pod koniec tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku. Zrobił to nagle i bez uprzedzenia. Po prostu pewnego wieczora wyszedł po zmianie i nigdy więcej się nie pojawił. W końcu bank wysłał mu jego dokumenty i formularze podatkowe, ale koperta wróciła z adnotacją: „Adresat wyjechał. Obecne miejsce pobytu nieznane”.

Frost zdusił ziewnięcie i ze złością potargał starannie przyczesane włosy.

- Wiesz, synu, to zaczyna być za bardzo skomplikowane jak na mój gust. Chyba tylko jedno mogłoby nam pomóc - żeby sprawca sam się zgłosił i przyznał do wszystkiego.

Na biurku została jedna teczka. Wydawała się tak samo nieciekawa i potencjalnie bezużyteczna jak pozostałe. Frost zdecydował się ją odłożyć, bo miał ochotę skoczyć do kantyny na filiżankę mocnej herbaty. Już podnosił się z krzesła, gdy jego słynna intuicja szepnęła mu coś do ucha. Co prawda, zew kantyny był głośniejszy niż szept intuicji, lecz mimo to Frost odwrócił okładkę i niechętnie zerknął na pierwszą stronę...

- Chryste!

Clive aż podskoczył z wrażenia.

- Co się stało, sir?

- Od początku wiedziałem, że ta stara krowa ma z tym coś wspólnego. Nie wolno lekceważyć intuicji starego Frosta.

Clive odwrócił teczkę i przysunął do siebie. Twarz na wewnętrznej stronie okładki wydawała się dziwnie znajoma. Nieładna dziewczyna z wąskimi, zaciśniętymi ustami i zakrzywionym nosem... Nie wierzył własnym oczom, ale podpis pod zdjęciem był jednoznaczny. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku w banku pracowała Martha Wendle - czarownica z lasu, miłośniczka kotów i słynna spirytystka, która pomogła odnaleźć szkielet. Od maja do lipca pracowała jako telefonistka, lecz dziesiątego lipca została zwolniona. Jako powód podano „podśluchiwanie prywatnych rozmów, naganny stosunek do klientów, nieusprawiedliwione nieobecności w pracy, niesubordynację, brak umiejętności pracy w zespole itd., itp.”.

- Założę, się, że po trzech miesiącach pracy tutaj miała ich wszystkich w garści - zauważył Frost z niechętnym podziwem. Założył na szyję rdzawoczerwony szalik i zaplątał w ścisły węzeł. - Pospiesz się, synu, włączaj silnik. Musimy złożyć kotom wizytę.

*

Morris 1100 cicho warczał, przedzierając się przez drogę między falistymi, okrytymi białym puchem polami. Nagle Frost chwycił Clive'a za ramię.

- Zatrzymaj się, synu!

Clive posłusznie zahamował; jego spojrzenie powędrowało za wzrokiem inspektora. Daleko przed nimi wolno przesuwała się jakaś grupa ludzi, którzy oświetlali sobie drogę latarkami.

- To chyba nasi koledzy - powiedział Frost, podnosząc do oczu lornetkę. Dopasował ostrość i nagle zamazane kształty zmieniły się ludzi w mundurach, którzy zważym krokiem szli przed siebie, wskazując coś i prowadząc między sobą ożywioną dyskusję. Żeby do nich dołączyć, trzeba by brnąć przez zaśnieżone pole, więc Frost porozumiał się przez radio z dyspozytornią. Oficer dyżurny sprawiał wrażenie mocno podekscytowanego.

- Dostaliśmy wskazówkę, sir. Helikopter zauważył na śniegu jakąś niedużą postać, więc wysłaliśmy ludzi, żeby zbadali, o co chodzi.

Serce Frosta zaczęło mocniej bić. Może faktycznie to była Tracey... A on już spisał ją na straty! Znów chwycił lornetkę. Policjanci zatrzymali się wokół jakiegoś pagórka; schylali się, brali coś na ręce...

- Chyba ją znaleźli, synu! - zawołał. Jakimś cudem udało mu się zachować spokój. Wręczył Clive'owi lornetkę, a sam połączył się z posterunkiem, żeby usłyszeć ostatni raport. Jednak w dyspozytorni nikt się nie zgłaszał, w radiu coś trzeszczało, a ręka inspektora drżała z podniecenia.

Clive niskim, gardłowym głosem komentował to, co działo się na polu.

- Tak, sir... Zdecydowanie tam coś jest. Podnoszą ją... Nie widzę wyraźnie...

Wreszcie radio zabrzęczało, bo ktoś na posterunku wziął do ręki mikrofon.

- Tu dyspozytornia. Przykro mi, inspektorze, ale to był fałszywy ślad. Okazało się, że to owca.

- To owca - powiedział jednocześnie Clive. - Musiała uwięznąć w zaspie.

Frost opadł na fotel, jakby rozczarowanie odebrało mu resztkę sił i chęci do życia; machnął ręką, żeby Clive jechał dalej.

- Ciekawe, czemu tak się podekscytowałem? - powiedział ze znużeniem. - Ten dzieciak nie żyje, a ja o tym wiem. Są rzeczy, które człowiek po prostu czuje. Wiesz, tak jak

wtedy, gdy zatelefonowano ze szpitala, żeby powiedzieć, że moja żona umarła... Nie musiałem nawet odbierać telefonu. Kiedy zadzwonił, od razu wiedziałem, o co chodzi.

Clive wtoczył się na znajome miejsce na skraju lasu i we dwóch ruszyli oblodzoną ścieżką w długą wędrówkę do ukrytego w gęstwinie domku.

- Masz służbę w czasie świąt?! - wrzasnął Frost, żeby przekrzyczeć ryk wiatru.

- Jeszcze nie sprawdziłem w wykazie, sir.

- Pewnie dołożą wszelkich starań, żeby nie okazywać specjalnych względów bratankowi szefa policji, więc jeśli znajdziesz tam swoje nazwisko, daj mi znać. Może uda mi się coś podmienić.

Nie rozmawiali więcej aż do momentu, gdy za zasłoną z drzew zamajaczył niewyraźny zarys chaty. We wszystkich oknach było ciemno, a na pukanie nikt nie reagował. Clive zerknął przez szparę w skrzynce na listy. W mroku iskrzyły się dziesiątki małych szmaragdów. Wrażenie było tak niesamowite, że Clive aż krzyknął, a wtedy szmaragdy rozplynęły się w ciemności.

Komórka, w której zwykle stał stary samochód Marthy Wendle, świeciła pustkami. Ślady opon prowadziły w stronę prywatnej drogi.

- Tej starej krowie udało się zwiać! - Frost jęknął. - Dlaczego od razu nie wpakowałem jej do ciupy, kiedy tylko znaleźliśmy ten przeklęty szkielet?!

Clive nic nie odpowiedział. Ponad ramieniem inspektora gapił się na znajdujący się z tyłu domu ogród, skąd spod śniegu wystawało coś krzywego. Po bliższych oględzinach okazało się, że to krzyż, zбитy byle jak z dwóch wygiętych deseczek. Przed nim stał wazon z bukietem drogich chryzantem zakupionych w kwaciarni.

Frost galopem pobiegł w tamtą stronę i butem odgarnął wierzchnią warstwę śniegu. W tym miejscu śnieg był dość głęboki, ale ziemia pod spodem nosiła ślady kopania, a prostokątny kształt kojarzył się tylko z jednym...

- To jest grób, synu - oznajmił Frost zaskakująco spokojnie. - Myślę, że znaleźliśmy Tracey.

Clive pobiegł do samochodu, żeby przez radio wezwać zespół z medycyny sądowej, poprosić o przysłanie paru ludzi do kopania i nakazać pościg za Marthą Wendle. Frost został na straży i paląc jednego papierosa za drugim, przestępował z nogi na nogę, żeby przywrócić krążenie w zziębniętych stopach. Przyczajony w chaszczech wiatr w końcu zwrócił na niego uwagę i natychmiast zaatakował. Rozszarpywał ubranie, gryzł przez materiał i drapał lodowatymi pazurami bliznę na policzku. Frost z niechęcią myślał o oddaleniu się od grobu, ale wreszcie poszukał schronienia w małej szopie na narzędzia. W środku stał szpadel i widły.

W jednej chwili zdecydował, że nie ma co beczynnie czekać na ekipę kopaczy, i czym prędzej zabrał się do pracy. W tego typu robocie nie można się spieszyć, więc inspektor ostrożnie wbijał widły, w obawie, żeby nie zagłębić ich w ciele nieżywego dziecka. Właśnie odkrobywał kolejną warstwę gruntu, kiedy podskakujące między drzewami światła oznajmiły o przybyciu zespołu z medycyny sądowej. Wtedy opadły go wątpliwości. Jeśli rzeczywiście miał przed sobą grób, to najwyraźniej pusty. Upadł na kolana i gołymi rękoma darł ziemię, podczas gdy ludzie z sądówki stanęli dookoła, oświetlając to miejsce światłem mocnych latarek. I wtedy znalazł ciało... Małe, sztywne i białe jak śnieg. Ale nie było to ciało Tracey. W grobie spoczywał malutki kociak o białym futerku, z groteskowo spłaszczonym pod ciężarem ziemi łebkiem. Poza nim nie było tam nikogo.

Nikt się nie roześmiał, nikt nie powiedział ani słowa, ale cisza z każdą sekundą stawała się coraz bardziej miazdząca i uciążliwa. Frost nagle zapragnął, żeby ziemia otworzyła się pod nim i wchłonęła go tak samo łatwo jak nieszczęsnego kociaka. Powoli wyprostował się, jednocześnie wycierając dłonie o brzeg płaszczka.

- Możecie jechać do domów, chłopcy. Właśnie byliście świadkami czegoś, co można nazwać pieprzoną wpadką.

Bez komentarza ruszyli w mozolną drogę powrotną, zostawiając na placu boju Frosta i Clive'a, którzy wsypali ziemię na miejsce i dokładnie ją udeptali. To był naprawdę przesadnie wielki grób dla tak małego stworzenia, więc pomyłka wydawała się uzasadniona, pomyślał Clive. Z całych sił starał się wymyślić coś pocieszającego, ale nie zdążył, bo nagle przez świst wiatru doleciał do nich przeraźliwy krzyk kobiety.

Dochodził z wnętrza domu, więc bez wątpienia krzyczącą kobietą była Martha Wendle. Nie słyszeli, kiedy wróciła, ale ona od razu zauważyła obcych mężczyzn myszkujejących w jej ogrodzie, więc wrzasnęła z przerażenia i natychmiast zablokowała wszystkie drzwi.

Przez dłuższy czas błagali ją, żeby zechciała z nimi porozmawiać i jako dowód uczciwych zamiarów przez szparę pod drzwiami wepchnęli swoje legitymacje służbowe; dopiero wówczas wpuściła ich do środka, wciąż drżąc ze strachu jak osika. Nawet wszędobylskie koty pochowały się gdzieś w ciemnych kątach.

- Przepraszam, inspektorze - powiedziała, gdy tylko nieco się uspokoiła. - Nie przyszło mi do głowy, że to pan naruszył prywatność mojej posesji.

- Najpierw zapukałem - odparł, krzywiąc nos w obronie przez wszechobecnym smrodem. - Ale potem zaświtała mi myśl, że duchy informują panią na bieżąco.

- Łatwo się panu śmiać - odburknęła, przeciskając się obok, żeby przynieść z kuchni wielki brązowy rondel. Zdjęła pokrywkę i wyrzuciła na przygotowane uprzednio talerze rozgotowane rybie łby, które roztaczały dookoła niepowtarzalny zapach. Na podłodze zaroilo się od kotów. Pluły, gryzły i chrzęściły ośmi, a Clive wykorzystał zamieszanie, żeby wślizgnąć się na moment do sąsiadującego z kuchnią pokoju. Napotkawszy spojrzenie Frosta, pokręcił głową - nie znalazł nic interesującego. Frost już wcześniej poprosił go, żeby się tu rozejrzał, bo wielkość kociego grobu wciąż nie dawała mu spokoju.

Inspektor podciągnął szalik i zakrył nos w nadziei, że ta operacja powstrzyma choć część aromatu atakującego bezpardonowo jego narząd węchu.

- Chciałbym zapytać o ten szkielet, do którego była pani uprzejma wskazać nam drogę... Zdaje się, że kiedy doszło do tamtego zabójstwa, akurat pracowała pani w banku Bennington, zgadza się?

Nagle wpatrzyła się w niego intensywnie i znacząco.

- Proszę mi powiedzieć, inspektorze... Bardzo tęskni pan za swoją żoną, mam rację?

Give nigdy dotąd nie widział, żeby Frost do tego stopnia dał się ponieść wściekłości. Dosłownie trząśł się od tłumionego gniewu.

- Ty stara wiedźmo, wsadź sobie w dupę tę swoją cholerną gadkę!

Przełknął kilka razy ślinę, powoli odzyskując panowanie nad sobą.

- Przepraszam, ale to raczej bolesny temat. Wróćmy do lipca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku. Proszę mi opowiedzieć o tamtym zdarzeniu.

Wytarła ręce w lepiącą się od brudu ścierkę do naczyń.

- Oskarżono mnie, że nie przekazałam wiadomości najwyższej wagi. Prawda wyglądała tak, że ta wiadomość wcale do mnie nie dotarła, ale to nikogo nie interesowało.

- A o co chodziło? - zaciekawiał się Frost.

- Wszystko znajdzie pan w moich aktach.

To znaczy, ty flądro, że będę musiał przeczytać je od deski do deski, pomyślał Frost, a Give, żeby jakoś przerwać niezręczną ciszę, zapytał:

- Czy właśnie z tego powodu dostała pani wymówienie, panno Wendle? Bo nie przekazała pani informacji o kluczowym znaczeniu?

- Przynajmniej takiej wymówki użyli moi przełożeni

- wyjaśniła z goryczą, spoglądając na młodego detektywa.

- Naprawdę chodziło o to, że za dużo wiedziałam o moim dyrektorze i jego cholernych sprawach.

- Sprawach? - zachęcił ją Clive.

- Tak. Nic nie poradzę na to, że człowiek słyszy urywki różnych rozmów, kiedy pracuje w centrali telefonicznej. Ten jego synalek wydzwaniał po kilka razy dziennie.

- Tak? W jakiej sprawie?

- W sprawie pieniędzy. Wciąż słyszę ten jego przymilny głosik. „Tatusiu, musisz mi pomóc - próbowała imitować jego ton. - Najpóźniej dziś wieczorem są mi potrzebne pieniądze”. I skończyło się na tym, że szef oskarżył mnie o podsłuchiwanie jego rozmów. Ale został ukarany za swoje okrucieństwo - dodała z pełnym satysfakcji uśmiechem.

Jeden z bardziej sparszywiałych kotów odkrył nogę Frosta i z zapalem zaczął się o nią ocierać.

- W jaki sposób został ukarany? - dopytywał się Clive. Oczy Marthy Wendle pociemniały na samo wspomnienie, jakby wciąż rozkoszowała się tym, co się stało.

- Ukochany synalek popełnił samobójstwo. Nie wiedzieliście o tym?

W tym momencie spojrzała w dół i zauważyła, że Frost już rozhuśtał nogę. W oka mgnieniu jej twarz wykrzywiła się w paskudnym grymasie.

- Nie waż się go skrzywdzić, ty bydlaku! - wrzasnęła i porwała kota z podłogi, a następnie przycisnęła go do piersi. - Jestem szczęśliwa, że twoja żona umarła - dorzuciła z nienawiścią. - A teraz wynoście się stąd!

Frost spojrzał na nią z pogardą.

- Ty wstrętna suko! - rzucił na odchodnym.

- Precz! - krzyknęła i ścisnęła kota tak mocno, że aż pisnął.

*

Przez całą mozolną drogę powrotną do samochodu wiatr odganiał od nich smród ryb, kotów i nienawiści.

- Skąd ona wiedziała o pańskiej żonie? - dopytywał się Clive.

- Na pewno nie od cholernych duchów, synu, to pewne. Pisali o tym we wszystkich miejscowych gazetach. „Bohaterski policjant stracił ukochaną żonę. Zdjęcia z pogrzebu na ósmej stronie”. Pewnie owinęła tą gazetą rybnie łby.

Przez moment szedł w milczeniu.

- Kiedy się poznaliśmy, moja żona była prześliczną kobietą - dodał nieoczekiwanie. - Ja zresztą też wtedy nie wyglądałem tak paskudnie jak teraz... Nie byłem wstrętnym, starym dziadem... - Ręka inspektora odruchowo powędrowała do policzka.

Przez całą drogę powrotną wydawał się głęboko pogrążony w myślach i tylko od czasu do czasu skubał nieszczęsny policzek. Kiedy koła auta załomotały o bruk na Market Square, Frost odwrócił się do Clive'a.

- Powiedz mi coś, synu, tylko szczerze. Czy przez tę bliznę bardzo źle wyglądam?

- Prawie nie zwróciłem na nią uwagi, sir - odparł Clive, nie odrywając wzroku od drogi.

Frost nie wydawał się przekonany. Jego palec przez cały czas krążył dookoła zniekształconego policzka.

- Nie mogę się opanować i cały czas ją skubię. Lekarze namawiają mnie na operację plastyczną, ale między nami mówiąc, jestem za dużym tchórzem, żeby się na to zdecydować. Szpitale budzą we mnie grozę. Czasami śni mi się koszmar, że wiozą mnie na salę operacyjną, gdzie już czeka chirurg w zakrwawionym fartuchu. Próbuję się poruszyć, ale jestem mocno przypięty pasami. Widzę te wszystkie noże, haczyki i inne instrumenty, ułożone starannie w miseczce w kształcie nerki. Zaczynam szarpać się i wrzeszczeć, i zawsze wtedy budzę się zlany zimnym potem.

Nagle radio zatrzeszczało i dobiegł z niego głos oficera dyżurnego.

- Inspektor Frost jest proszony o pilne zgłoszenie się do komendanta. Powtarzam...

Frost westchnął ciężko.

- Nic dziwnego, że dziś w nocy śniły mi się kosmary. Co tym razem zrobiłem nie tak?

ŚRODA (4)

KOMISARZ MULLETT Z NARASTAJĄCĄ IRYTACJĄ BĘBNIŁ PALCAMI po blacie mahoniowego biurka. Jak długo jeszcze ten dureń każe mu czekać? Inni oficerowie traktowali wezwanie komendanta z szacunkiem należnym cesarskiemu dekretowi; natychmiast porzucali wszelkie sprawy, aby gorliwie wypełnić rozkaz, ale inspektor Frost...

Ktoś szturchnął drzwi. Nareszcie! Cholera, nawet to pukanie sprawiało wrażenie niechlujnego...

Mullett odruchowo przesunął księgę aresztowań na skraj biurka i obciągnął mundur ozdobiony srebrnymi guzikami, przywracając tym samym jego pierwotny, nieskazitelny wygląd.

- Wejść!

Frost ociężale wsunął się do gabinetu. Jak zwykle ciągnął za sobą skołtuniony wełniany szalik, podarty na jednym końcu, a jego buty pozostawiały na czystym dywanie paskudne, wilgotne ślady.

Mullett pełnym wzgardy gestem wskazał mu krzesło i inspektor lęklonie przycupnął na samym brzeżku.

- Właśnie przed chwilą skończyłem rozmawiać z szefem zakładu medycyny sądowej - warknął Mullett.

- Och? - odezwał się Frost całkiem niewinnie, choć wiedział już, co się szykuje. Ten obleśny typ z sądówki nie tracił czasu, tylko od razu zadzwonił do Mulletta, żeby sobie ponarzekać.

- Czy wie pan, inspektorze, ile kosztuje wysłanie w teren w pełni wyposażonego zespołu?

Nawet jeśli nie wiem, to jestem pewien, że zaraz mi powiesz, pomyślał Frost. Przywołał na twarz wyraz zainteresowania zmieszanego z niepokojem i wsadził rękę do kieszeni spodni, żeby pobawić się w ulubioną grę. Polegała ona na odgadywaniu nominału drobnych pieniędzy na podstawie samego dotyku. Dzięki temu mógł się czymś zająć, zanim komisarz skończy lamentować.

- ...i wtedy ogarnęła pana panika, i popełnił pan zasadniczy błąd. Nawet zupełny nowicjusz wpadłby na pomysł, że najpierw należy sprawdzić samemu, a dopiero potem wzywać zespół ludzi z medycyny sądowej, żeby sobie popatrzyli na zdechłego kota!

Pięćdziesiąt trzy pency, policzył Frost. A teraz sprawdźmy, czy uda się je ułożyć wszystkie reszkami w dół.

- ...jeszcze nie byłoby najgorzej, gdyby te hańbiące dowody pańskiej niekompetencji udało się zatrzymać tylko do naszej wiadomości, ale już dobrała się do nas prasa. Wpadł tu jakiś reporter z „Echa” z prośbą o podanie szczegółów całej operacji. Przez tę nieszczęsną sprawę staniemy się przedmiotem drwin. Jutro każdy w tym kraju będzie mógł sobie o tym przeczytać, a jeśli artykuł wpadnie w ręce szefa policji...

...to diabli wezmą twój awans, pomyślał Frost, ale na głos powiedział coś całkiem innego.

- Sandy Lane jest moim kumplem, szefie. Jeśli historia z kotem tak bardzo pana irytuje, to poproszę go, żeby zdjął to z jutrzejszego wydania gazety.

Mullett był tak zadowolony, że zapomniał zbesztać inspektora za zwrócenie się do niego per „szefie”.

- Doskonale. A ja powinienem dać sobie radę z naczelnikiem zakładu medycyny sądowej... Należymy do tego samego klubu.

Udobruchany do reszty wstał, żeby pokazać, że rozmowa dobiegła końca.

- Wszyscy popełniamy błędy, ale cały sekret polega na tym, żeby umieć je naprawiać. Zgadza się pan ze mną?

Frost powłókł się w stronę drzwi. Był zmęczony jak diabli, a mokre spodnie nieprzyjemnie kleiły się do nóg. Marzył, żeby wreszcie dostać się do swojego biura.

- Och! - zawołał za nim Mullett, jakby w ostatniej chwili coś jeszcze przyszło mu do głowy. - Mam jeszcze jedną dobrą wiadomość... eee... Jack...

Frost czekał, na wszelki wypadek nic nie mówiąc.

- Inspektor Allen wraca jutro do pracy, więc z powrotem przejmie obydwie sprawy. To... eee... To chyba całkiem niezły pomysł, żebyś trochę sobie odpuścił. Będziesz miał czas skoncentrować się na nadrobieniu zaległości w dokumentach. Przypadkiem rzuciłem okiem do twojego biura i powiem szczerze... To, co tam zobaczyłem, wzbudziło we mnie trwogę. Być może trzeba to będzie załatwić w nadgodzinach, ale ostatecznie taka sytuacja nie zdarza się często, a ja wiem, że inspektor Allen doceni twoje starania, jeśli zostanie wszystko we wzorowym porządku.

Nagle uśmiech Mulletta zmienił się w groźnego marsa, kiedy Frost odwrócił się na pięcie i bez słowa wyszedł, celowo zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Westchnął z ulgą. Co za nieokrzesany gbur! Musi być jakiś sposób, żeby gdzieś go stąd przenieść.

Frost ciężkim krokiem szedł wzdłuż korytarza. Po drodze zajrzał do centrum operacyjnego.

-Jakieś postępy w sprawie owcy? Martin uśmiechnął się szeroko.

- Było parę fałszywych alarmów, ale mam wrażenie, że zaczyna nam brakować rozpedu... Jeśli pogoda się utrzyma, jutro zaczniemy szukać na bardziej oddalonych terenach. Coś mi się zdaje, że wszystkie urlopy na okoliczność Bożego Narodzenia zostaną wstrzymane.

- Jutro wszystko się skończy - rzucił Frost cynicznie. - Jutro wróci inspektor Allen, co oznacza, że dziewczynka odnajdzie się w cudowny sposób, cała i zdrowa, a morderca Garwooda, psa i tego gościa, którego szkielet odnaleźliśmy, sam zgłosi się na posterunek, przyzna do winy i wręczy nam skradzione dwadzieścia tysięcy funtów. Śnieg stopnieje, ubóstwo zniknie i jak ziemia długa i szeroka wszędzie zapanuje błogosławiony spokój. Ale do tego czasu musicie znosić kretyńskie wpadki waszego uhonorowanego medalami bohatera.

Kiedy znalazł się z powrotem w swoim biurze, ściągnął płaszcz przeciwdeszczowy i cisnął go w kierunku wieszaka, ale oczywiście nie trafił. Kopnął go więc gdzieś w kąt i usiadł na rozgrzanym kaloryferze, żeby wysuszyć spodnie, jednocześnie starając się wzbudzić w sobie entuzjazm do energicznej pracy przy biurku, na które od jego ostatniej bytności w biurze dostarczono świeży ładunek papierzysek. Sprawy, które dostał w spadku po Allenie,

traktował tak samo jak własne, to znaczy zupełnie zaniedbywał prowadzenie dokumentacji. Jęknął z rozpaczą. Do diabła, gdzie się podziewał Barnard? No jasne, nigdy go nie ma w pobliżu, kiedy Frost akurat potrzebuje na kogoś wrzasnąć. Ze złością zeskoczył z kaloryfera. Kiedy już zabiorą mu oba śledztwa, nie pozostanie mu nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość i zacząć zajmować prostymi, przyziemnymi sprawami.

Właśnie próbował odcyfrować to, co nabazgrał na jakimś rachunku kasowym, kiedy drzwi otworzyły się z rozmachem i do środka wkroczył Clive, niosąc przed sobą dwie parujące filiżanki herbaty.

Frost z wdzięcznością przyjął jedną z nich.

- Niech cię Bóg błogosławi, synu. Jesteś dla mnie kwintesencją Bożego Narodzenia, gwiazdką na mojej choince. Widziałeś może po drodze tę policjantkę, Hazel Jak-Jej-Tam?

- Właśnie była w kantynie. - Clive znów miał się na baczności. Przed chwilą zdążył się umówić na kolejną randkę dziś wieczorem. - Dlaczego pan pyta?

Frost energicznie zamieszał herbatę, przy okazji wylewając parę kropli na marynarkę.

- Po prostu chciałem się dowiedzieć, jak się miewa pani Uphill.

- Och, bardzo przepraszam, sir! Hazel mówiła mi o niej. Przywiozła ją ze szpitala do domu. Pani Uphill wciąż jest w szoku, ale pod innymi względami doszła do siebie. Nie życzyła sobie, żeby Hazel z nią została.

- Tak też sądziłem. W tym biznesie nie ma roboty dla dwóch jednocześnie.

Clive grzmotnął filiżanką w talerzyk.

- To wcale nie było zabawne, sir. Frost natychmiast się wycofał.

- Wybacz mi, synu, ale nie jestem dziś w najlepszym nastroju. Właśnie dowiedziałem się, że odbierają mi śledztwo. Inspektor Allen jutro powstaje z martwych i dostałem oficjalne polecenie, żeby przekazać mu obie sprawy.

Co prawda wymagało to trochę wysiłku, jednak Clive zdołał przybrać oburzoną minę, jakby uważał takie rozwiązanie za straszną niesprawiedliwość. Tymczasem Frost mówił dalej:

- Nasz ukochany komisarz był uprzejmy zasugerować, że powinienem sterczeć tu do późnej nocy i wypruć sobie flaki, porządkując te cholerne papierzyska. Gdybym sądził, że zrobię tym komuś przykrość, ustąpiłbym, ale tak nie mam zamiaru harować jak wół, żeby Mullett dostał ode mnie prezent na święta.

Znów zaczął szarpać bliznę na policzku, ale chyba doszedł do wniosku, że za bardzo się nad sobą rozczuła, bo zły nastrój ulotnił się w jednej sekundzie.

- Pieprzyć to, ostatecznie są święta, czemu mam być nieszczęśliwy? Gdyby Allen umarł, musiałbym jeszcze wysupłać co najmniej pięć pensów na wieniec dla niego... On i tak

nie pojawi się tutaj przed jutrzejszym porankiem, więc ciągle mam szansę rozwiązać w nocy obie zagadki i rano sprezentować mu je z pełnym uszanowania salutem! Przysuń sobie krzesło, chłopcze, przejrzymy jeszcze raz akta z banku Bennington.

Podzielili teczki między siebie, zapalili papierosy i odtąd jedynym dźwiękiem, jaki przenikał gęstą chmurę błękitnawego dymu, był szelest kartek. Aż do chwili gdy...

- Sir! - Clive podskoczył z podekscytowania i podsunął inspektorowi pod nos jakieś papiery. Był to zwitek fotokopii wyjętych z rejestrów pracowników zatrudnionych w firmie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku. Na samym wierzchu znajdowała się kopia raportu medycznego dotyczącego stanu zdrowia Alberta Barrowa, dozorca, który zniknął krótko po dokonaniu rabunku. Lekarz potwierdzał, że złamanie lewej ręki dziewiętnaście miesięcy wcześniej całkowicie się zagoiło i nie ma powodów przypuszczać, że będzie w jakikolwiek sposób wpływać na normalne wypełnianie obowiązków służbowych.

Frost dwukrotnie przeczytał orzeczenie, a następnie spojrzał zaintrygowany na Clive'a.

- Chodzi mi o to, że to lewa ręka, sir! Ta sama, która była złamana w odnalezionym szkielecie! Czy nie rozumie pan, że być może to nie jest szkielet Fawcusa? To może być ten Barrow!

Frost namyślał się przez moment. Potem splótł ręce na blacie biurka i schował w nich głowę, ale po kilku sekundach wyprostował się, przyglądając zmierzwiłone włosy.

- Rozważyłem twoją teorię, synu, lecz obawiam się, że w związku z tym, że inspektor Allen wraca jutro do pracy, nie mamy czasu się zastanawiać, czy to Fawcus, czy ktoś inny.

- Ale istnieje taka ewentualność, sir.

- Ewentualność, bez której świetnie można się obejść. Jeśli to nie Fawcus, to równie dobrze możemy pakować manatki i wracać do domu. Niech gość, który od początku był odpowiedzialny za prowadzenie sprawy, sam rozwiązuje sobie tę zagadkę. Przypuszczam, że zajmie mu to najwyżej parę sekund.

Mówiąc to, wstał i odsunął krzesło pod ścianę.

- Chodź, synu. Pojedziemy na małą przejażdżkę.

Clive jęknął w duchu. Czy ten cholerny kretyn nie potrafi się skupić na jednej sprawie choćby przez pięć minut? - Jeszcze nie skończyliśmy przeglądać akt, sir. Frost podniósł z podłogi zmiętoszony płaszcz.

- Zebranie tych papierów trwało ładnych kilka miesięcy, chłopcze, więc raczej nie uda nam się przyswoić ich zawartości w jedną noc, prawda? Chcę trochę pogadać z tym

emerytowanym dyrektorem oddziału, jak mu tam, Powellem. Masz jego adres? Przypuszczam, że od niego dowiemy się znacznie więcej niż z setki akt.

Zadrzał, bo właśnie wiatr powiał śniegiem prosto w okno.

- Popatrz tylko, co za cholerna pogoda! Najwyraźniej wie, że chcemy wyjść na zewnątrz.

Jeden z guzików przy płaszczu urwał się, więc Frost wcisnął go do kieszeni.

- Żałuję, że nie udało nam się odnaleźć tej dziewczynki. To martwi mnie bardziej niż cokolwiek innego.

Clive zepchnął swoją część akt na jedną stronę biurka i włożył płaszcz.

- Powinniśmy zajrzeć na plebanię, sir. Jestem pewien, że pastor jest w jakiś sposób w to zamieszany.

Frost uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Uwziąłeś się na tego biednego drania, co? Będę musiał zamienić z nim kilka słów na temat jego małego, nieszkodliwego hobby.

- Nieszkodliwego?! - Clive kipiał z oburzenia. - Uważa pan za nieszkodliwe robienie zdjęć nagiej nieletniej uczennicy?

- Co prawda świadectwo urodzenia tej małej upiera się, że ona jest jeszcze dzieckiem, ale jej ciało twierdzi, że ma przynajmniej dziewiętnaście lat, a ja już wiem, komu wolę wierzyć.

Ciężko stawiając kroki, energicznie szedł wzdłuż korytarza, Clive zaś deptał mu po piętach.

- Wiem, synu, że pastor jest w porządku. Czuję to w kościach.

- Z Marthą Wendle też pan czuł, sir.

- I na razie wygląda na to, że się pomyliłem. - Frost popchnął wahadłowe drzwi i obaj z Clive'em skulili się, żeby odeprzeć atak wiatru.

Samochód minął Market Square, gdzie pozamykano już sklepy i tylko kilku najbardziej zagorzałych fanów przedświątecznych zakupów zmykało na przystanek autobusowy.

- Ciekawe, czy ta pogoda ma jakiś wpływ na płynność w biznesie pani Uphill? - zadumał się Frost. Wyjął z pudełka dwa papierosy i wetknął jednego Clive'owi w usta. - Nawet filizanka wysmienitej herbaty, którą częstuje swoich gości na pożegnanie, nie skłoniłaby mnie do wyjścia z domu.

Kostki na dłoniach Clive'a pobielały, tak mocno zacisnął palce na kierownicy.

- Wiem, że nie powinienem tego mówić, sir, ale pańskie bezwstydne drwiny budzą we mnie sprzeciw. Być może ta kobieta jest kurwą, ale to nie znaczy, że jest złą matką. I jak dobrze wiemy, to właśnie jej dziecka nie udało się panu odnaleźć.

Auto zanurzało się w nieprzerwany, skręcony sznur białych płatków, a Clive wstrzymał oddech. Bał się spojrzeć na inspektora.

Kółko z dymu uderzyło o przednią szybę i powoli rozpląnęło się w powietrzu.

- Gdyby ta pani była dobrą matką, synu, nie byłaby prostytutką. Dla dobrej matki dziecko jest zawsze na pierwszym miejscu. Powiedz mi, w jakim domu wychowywała się ta dziewczynka! Lustra na sufitach, obcy mężczyźni, którzy włączają do sypialni o każdej godzinie dnia i nocy... Gdyby pani Uphill troszczyła się o córkę, wysłaby po nią do szkółki niedzielnej, nawet gdyby to znaczyło odprawienie z kwitkiem stałego klienta, który regularnie przynosił jej trzydzieści funtów. - Zamilkł na chwilę, a potem wzruszył ramionami. - Ale masz rację, synu, powinienem jej współczuć. Na przyszłość muszę swoje prostackie opinie zatrzymywać dla siebie. Chyba jesteśmy na miejscu, przynajmniej tak mi się wydaje...

Bungalow Powella pochodził jeszcze sprzed wojny. Widać było, że od początku został zbudowany dość tandetnie, jako tanie miejsce weekendowego wypoczynku dla mieszczuchów, którzy prawdopodobnie zapłacili za domek mniej niż sto funtów i nie najlepiej wyszli na tym interesie. Drewniane deszczułki popękały i wypaczyły się, farba na ścianach odłaziła wielkimi płatami, a cała konstrukcja znajdowała się w pożałowania godnym stanie i wymagała pilnego remontu. Posępne, odizolowane od reszty świata mieszkanie, pomyślał Frost. Emerytowanego dyrektora banku powinno być stać na coś znacznie lepszego. Powinien móc spędzić jesień życia w godziwych warunkach.

Frost zapukał. Odpowiedział mu ostry, podejrzliwy głos.

- Kto tam?

- Policja, panie Powell. Czy możemy zamienić z panem kilka słów?

Powell zażądał okazania dokumentów. Nowiutka legitymacja Clive'a znów miała okazję odetchnąć świeżym powietrzem, kiedy wysunięta przez szparę między drzwiami a futryną ręka sięgnęła po nią, żeby właściciel domu mógł ją starannie obejrzeć. Najwyraźniej wzbudziła jego zaufanie, bo po chwili rozległo się skrzypienie łańcucha i drzwi otworzyły się na oścież. Stał w nich wysoki mężczyzna z krzaczastymi brwiami i bujnym siwym zarostem. W jego głosie wciąż pobrzmiwało echo dawnego przyzwyczajenia do wydawania rozkazów. Dopiero po chwili zauważyli, że stał pochylony na jedną stronę, opierając ciężar ciała na lasce - lasce, którą łatwo można roztrzaskać łeb golden retrievera, pomyślał Frost ponuro.

- Proszę nie stać w wejściu. Zapraszam do środka - warknął Powell i pokuśtykał w głąb mrocznego korytarza, gdzie słaba żarówka w antycznym żyrandolu bezskutecznie walczyła z ciemnym, przygnębiającym kolorem brązowej tapety.

Z głębi domu doleciał piskliwy głosik kobiety. - John, kto przyszedł?

- Dwaj panowie z policji, kochanie. Przypuszczam, że chodzi o Fawcusa. Usiądziemy w salonie, a ty zrób nam kawę, dobrze?

Opierając się na lasce, otworzył jakieś boczne drzwi, skąd wypłynęło chłodne, przepojone wilgocią powietrze, podobne do mgły unoszącej się nad bagnami. Gospodarz wprowadził ich do nędznego pokoju o splewiatych ścianach, z mokrymi plamami na suficie, i zaprosił na kanapę pokrytą zniszczoną, brązową skórą. Mebel skrzypiał żałośnie i śmierdział stęchlizną.

Powell z wyraźnym wysiłkiem schylił się i przekręcił włącznik na niewielkim, elektrycznym grzejniku.

- Nieczęsto korzystamy z żoną z tego pokoju - oznajmił tonem usprawiedliwienia. - Dlatego w pierwszej chwili mogą panowie odnieść wrażenie, że tu jest chłodno.

Sztywno opuścił się na pasujący do kanapy fotel, który stał dokładnie naprzeciwko, a następnie, zacisnąwszy dłonie na gałce laski, zmierzył gości zimnym, władczym spojrzeniem.

- A więc o co chodzi?

- Wiemy, że już pan słyszał od odnalezieniu Timothyego Fawcusa, panie Powell... - zaczął Frost.

Stary człowiek potwierdził skinieniem głowy.

- Czytałem o tym w dzisiejszej porannej gazecie. To straszny szok. Przez cały dzień spodziewałem się wizyty panów.

- Przykro mi, panie Powell, ale dla nas to także był szok. Przeczytał pan, że Fawcus został zastrzelony?

Następnie skinienie głową.

- Wszyscy sądzili, że on uciekł z tymi pieniędzmi. Ja jednak, mimo wszelkich dowodów, nigdy nie uważałem go za złodzieja. To był miły chłopak i naprawdę dobry kolega.

- Schylił głowę i głęboko wciągnął powietrze. - Pomyśleć, że przez trzydzieści lat z okładem leżał w nieoznakowanym grobie, obciążony krzywdzącymi zarzutami...

Poszukał w kieszeni chusteczki i głośno wytarł nos.

- To rzeczywiście bardzo przykra sprawa - zgodził się Frost. - Czy przypadkiem ma pan w domu rewolwer, panie Powell?

Powell spojrzał na niego z nieukrywanym gniewem.

- Oczywiście, że nie! - warknął.

W odpowiedzi Frost posłał mu grzeczny uśmiech.

- Czy dobrze pamięta pan dzień, w którym dokonano rabunku?

Powell przesunął palcami po lasce i uśmiechnął się słabo.

- Nigdy go nie zapomnę, inspektorze. Niektórzy ludzie pamiętają tylko przyjemne dni.

Moje wspomnienia koncentrują się na tych najgorszych...

Jakaś chmura przemknęła przez jego twarz i pogrążył się w ponurym milczeniu.

- Bardzo by nam pan pomógł, gdyby zechciał się pan podzielić swoimi wspomnieniami... - powiedział Frost.

Powell powoli podniósł głowę.

- Ta sprawa tak naprawdę zaczęła się poprzedniego wieczora.

Clive sprawdził notatki, które zrobił w trakcie przeglądania akt różnych osób.

- Zapewne ma pan na myśli dwudziesty piąty lipca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku?

- Zgadza się, panie posterunkowy. To był dokładnie ten dzień. Mieszkaliśmy wówczas w Peacock Crescent, w uroczym domu, na którego tyłach znajdowało się pole golfowe.

- Wiem - przytaknął Frost. - To bardzo ekskluzywne miejsce.

Powell pozwolił sobie na ironiczny uśmiezek.

- Właśnie. Całkiem odmienne od tego, prawda? Rozglądając się po tym żalonym pokoju, skrzywił się z niesmakiem.

- Tego dnia wróciłem z banku około szóstej wieczorem. Ledwo zdążyłem wejść, gdy zadzwonił telefon. Dzwonił Stephen Harrington, kierownik oddziału w Exley. Pytał, czy możemy mu pomóc w zgromadzeniu sporej gotówki, którą musiał mieć do dyspozycji następnego dnia.

- Jak sporej? - chciał wiedzieć Frost. Powell westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Chodzi o dwadzieścia tysięcy funtów, inspektorze. Mówimy o pieniądzach, które potem zostały skradzione. Zakładam, że panowie znają podstawowe fakty.

- Ja znam, ale mój młodszy kolega bywa czasami nieprzytomny. Pytam ze względu na niego. Dlaczego szef oddziału w Exley chciał w takim pośpiechu dostać tak dużą sumę?

- Chodziło o wypłaty w fabrykach. Większość zakładów w Exley zamykano w tamten weekend na coroczną przerwę wakacyjną i pracownicy spodziewali się, że dostaną od razu trzytygodniowe zarobki plus dodatek wakacyjny. Harrington na śmierć o tym zapomniał i nie zebrał na czas odpowiedniego zapasu gotówki. Cholerny nieudacznik. Gdybym mu odmówił,

dostałby zasłużoną nauczkę, bo jak nic miałby poważne kłopoty z wytłumaczeniem się przed zarządem naszego banku.

Frost przesunął się trochę na kanapie, bo wystająca sprężyna zaczęła na dobre dawać mu się we znaki.

- Dwadzieścia tysięcy funtów to ogromna suma, jeśli chodzi o płace. Trzeba przy tym pamiętać, że mówimy o roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym.

- Trzytygodniowe wypłaty dla sześciuset pracowników... Proszę, inspektorze, niech pan sam przeliczy.

Frost zapatrzył się w przestrzeń, a jego usta poruszały się bezgłośnie, jakby faktycznie robił w myśli jakieś obliczenia.

- Oczywiście, ma pan rację. - Entuzjastycznie skinął głową, w nadziei że Powell nie zapyta, jak do tego doszedł.

Ale Powell wrócił do opowiadania swojej historii.

- Nie ma w tym nic niezwykłego, że jeden oddział pomaga drugiemu w transferze gotówki, ale raczej rzadko zdarza się, żeby chodziło o tak dużą sumę. Ale chyba może pan sobie wyobrazić, jaki wrzask by się podniósł, gdyby w fabrykach powiedziano robotnikom, że nie dostaną przed wakacjami obiecanej wypłaty.

- Z pewnością ten pana koleś, Harrington, sporo ryzykował - zdecydował Frost. - Mam na myśli dzwonienie do pana o szóstej wieczorem z prośbą o przygotowanie pieniędzy na następny dzień. Załóżmy, że miałby pan w bankowych sejfach funta i osiem pensów. Co wtedy?

- Pewnie spróbowałby w innych bankach, leżących nieco dalej na uboczu. Każdy z wielkiej piątki by mu pomógł, ale potem nasz zarząd zostałby poinformowany o sprawie i byłaby to ostatnia rzecz, o jaką Harrington miałby okazję poprosić.

Frost prychnął z pogardą.

- Z tego, co pan mówi, był dość kiepskim menedżerem.

- No cóż - odparł Powell z uśmiechem dezaprobaty. - Pracownicy tamtego oddziału raczej go lubili, ale być może dlatego, że tam nie było żadnej dyscypliny. Harrington po prostu nie potrafił sobie poradzić z przygotowaniem czegokolwiek na czas. Pewnie zna pan ten typ.

- Eee... Tak - przyznał Frost, unikając spojrzenia Clive'a. - Znam.

W tym momencie rozległo się dyskretne pukanie do drzwi, zagrzechotała porcelana i do pokoju weszła pani Powell, trzymając w drżących rękach drewnianą tacę z trzema

filizankami z kawą i talerzem pełnym biskwitów. Panowie podnieśli się z miejsc, a Powell odłożył laskę i pokuśtykał ku niej, żeby uwolnić ją od ciężaru.

- Panowie, oto moja żona.

Pani Powell była siwowłosą kobietą o wiecznie zatroskanej twarzy. Kręciła się niespokojnie, gdy goście mieszali kawę. Frost skosztował jeden łyk i o mały włos się nie zadławił. W filiżance znajdowały się ledwie podgrzane popłuczyny po wcześniejszym parzeniu. Wypił kawę jednym haustem, tak jak się wypija lekarstwo, po czym natychmiast pożałował, że nie ma czym splukać paskudnego smaku.

- Czy smakuje panu? - zatroszczyła się pani Powell.

- Och, tak. Jakie piękne filiżanki!

Najwyraźniej trafił w dziesiątkę, bo pani Powell od razu się rozpromieniła.

- To jedna z nielicznych rzeczy, jakie zabraliśmy ze sobą ze starego domu - moją prześliczną porcelanę i samochód. - Odruchowo zaczęła skubać materiał sukienki. - Dzięki Bogu, że mamy samochód. Bez niego chyba bym zwariowała w tym przeklętym miejscu.

Spojrzenie męża przywołało ją do porządku. Zagryzając dolną wargę, odwróciła wzrok i szybko się pożegnała, tłumacząc to domowymi obowiązkami.

Powell uparcie przyglądał się swojej prawej nodze. Odmówił przyjęcia papierosa, którego zaproponował mu Frost.

- No dobrze, inspektorze. Wróćmy do dnia napadu, czyli dwudziestego szóstego lipca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku.

Frost wypuścił trzy idealnie okrągłe kółeczka dymu i z dumą patrzył, jak w idealnym porządku szybują w stronę Powella.

- Zanim wróci pan do opowiadania, proszę mi wyjaśnić, dlaczego nie powiadomił pan policji, że ma zamiar wysłać samochodem dwadzieścia tysięcy funtów.

Powell z irytacją rozgonił rząd trzech kółeczek.

- Proszę pamiętać, inspektorze, że to wszystko działo się w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym. Nie było wówczas opancerzonych vanów, uzbrojonych po zęby strażników ani bandytów ze strzelbami. Żyliśmy w cywilizowanym społeczeństwie. Obowiązywała kara śmierci, a życie było znacznie bezpieczniejsze dla tych, którzy przestrzegali prawa.

- A jednak okazało się niezbyt bezpieczne dla tego biedaka, którego szkielet znaleźliśmy - mruknął Frost.

Długie palce Powella ugniatały teraz mięśnie uda.

- Dziękuję panu. Miałem trzydzieści dwa lata, żeby sobie robić wyrzuty z tego powodu. W tamtym czasie sądziłem, że im mniej osób będzie wiedziało o przewożonych pieniądzech, tym lepiej. Wszystko było ustalane dosłownie w ostatniej chwili, samochód miał przed sobą dość krótki dystans do przejechania, a poza tym było kilka tras, którymi mógł się poruszać. Nie ustaliłem nawet godziny rozpoczęcia operacji - zainteresowane osoby zostały powiadomione pół godziny wcześniej. Wydaje mi się, że nie dałem przestępcom żadnej szansy.

- Ale oni wykorzystali okazję pomimo pańskiej zapobiegliwości, prawda?

Twarz starego człowieka stężała.

- Nie wziąłem pod uwagę, że złodziejem może być ktoś z mojego zespołu... Przynajmniej tak myśleliśmy przez minione trzy dekady. Jeśli to nie był Fawcus, to dalej nie wiem, co poszło nie tak jak powinno.

Panujące w pokoju zimno coraz bardziej dawało się wszystkim we znaki. Frost ciałniej otulił się szalikiem.

- Poza panem i menedżerem oddziału w Exley kto jeszcze wiedział o transferze?

- Nikt, dopóki nie powiadomiłem Fawcusa i Garwooda.

- A pracownicy banku w Exley?

- Nie mam pojęcia. Harrington podkreślał za każdym razem, że absolutnie nikt o tym nie wiedział, ale... - Zacisnął wargi i wymownie rozłożył przy tym ręce. - Proszę się poczęstować biskwitem, inspektorze.

Frost posłusznie wziął ciasteczko. Biskwit był zatęchły i przesycony wilgocią, dzięki czemu stanowił wspaniałe uzupełnienie kawy. Inspektor ukrył go w kieszeni, żeby nie urazić gospodarza, po czym udał, że strząsa z ust wymaginowane okruszki.

- Znakomity. Proszę sobie nie przeszkadzać.

- Wróćmy do dwudziestego szóstego lipca. To był piekielnie upalny dzień, niebo błękitne, bez jednej chmurki, czasami powiał leciutki wiaterek. Zdaje się, że teraz nie zdarzają się już takie dni... - Zatrzymał się na moment, podczas gdy w pamięci odbywał długą podróż w odległą przeszłość. - Wezwałem na odprawę Fawcusa i Garwooda i kazałem przygotować pieniądze. Przynieśli je do mojego biura kilka minut po jedenastej. Zamknąłem i zablokowałem drzwi, opuściłem żaluzje, następnie dwukrotnie przeliczyłem pieniądze i patrzyłem, jak ładują je do podróżnego sejfów.

- Chodzi o tę kasetkę, którą znaleźliśmy przymocowaną do nadgarstka szkieletu? - upewnił się Frost.

Powell skrzywił się, że ktoś mu przerywa.

- Oczywiście. Sam zamknąłem ten sejf i dwukrotnie sprawdziłem zamki.

- Ile zestawów kluczy miał bank?

- Dwa. Jeden miałem ja, drugi Harrington w Exley. Zdecydowałem, że nasz służbowy wóz nie wyruszy przed dwunastą trzydzieści, ale jako dodatkowe zabezpieczenie postanowiłem, że poinformujemy Exley o ich odjeździe jakieś pięć minut po fakcie. Potem zatrzasnąłem łańcuch na nadgarstku Fawcusa i wydałem im polecenie, że mają poczekać w moim biurze punktualnie do dwunastej trzydzieści. Następnie wyszedłem na umówione spotkanie.

Frost zgasił niedopałek w resztkach kawy, uprzedzając tym samym o ułamek sekundy gest Powella, który właśnie podsuwał mu popielniczkę.

- Na jakie spotkanie?

Przez twarz starszego mężczyzny przemknął wyraz rozdrażnienia.

- To wszystko ma pan w aktach, inspektorze! Pańscy koledzy w swoim czasie sprawdzali to niejednemu raz! Musiałem pojechać na pogrzeb.

- Czyj pogrzeb?

- Starej pani Kingsley. Była jedną z naszych starych klientek, a na dodatek bardzo się przyjaźniliśmy. Gdyby nie to, z pewnością zostałbym w banku, żeby nadzorować wyjazd, ale po prostu musiałem wyjść. Zresztą wcześniej sprawdziłem, że wszystko dopięte jest na ostatni guzik. Poleciałem naszej telefonistce... Boże, jak ona się nazywała? Okropna kobieta.

- Może Martha Wendle? - zasugerował Frost.

- Oczywiście, Wendle. Pierwszorzędna intrygantka. Miała zadzwonić do Exley pięć minut po tym, jak Fawcus i Garwood wyjadą z pieniędzmi. Gdyby wypełniła instrukcje co do joty, być może sprawy potoczyłyby się inaczej... Już po wszystkim zaklinała się na wszystkie świętości, że nie wydałem jej żadnego polecenia. Wróciłem z pogrzebu krótko po godzinie drugiej. Oczywiście po powrocie od razu spytałem, o której wyruszył transport. Jeden z moich urzędników poinformował mnie, że samochód odjechał dokładnie o dwunastej trzydzieści, ale koledzy jeszcze nie wrócili.

- Czy to pana zaniepokoiło?

- Nie. Dlaczego miałem się niepokoić? Wyjechali zaledwie półtorej godziny wcześniej. Poza tym mieli prawo do godzinnej przerwy na lunch, więc pomyślałem, że pewnie zatrzymali się w Exley, żeby coś zjeść, zanim ruszą w drogę powrotną. Niemniej kazałem tej Wendle zadzwonić i spytać, czy bez przeszkód dotarli na miejsce. Właśnie wybierała numer, kiedy Harrington skorzystał z innej linii i zadzwonił. Chciał się zorientować, w jakiej fazie są nasze przygotowania; mówił, że czas nagli, bo księgowi z

fabryki mają się zjawić o trzeciej. Wtedy dowiedziałem się, że wbrew moim instrukcjom, Martha Wendle nie poinformowała oddziału w Exley, że transport już wyruszył. Jednak bardziej zaniepokoił mnie fakt, że do tej pory nie dojechali na miejsce.

Wyraz twarzy Powella świadczył o tym, że na nowo przeżywa dawno miniony horror.

- Pamiętam, że zrobiło mi się zimno ze strachu. Na zewnątrz był słoneczny, upalny dzień, a ja trząsałem się jak liść, słysząc, jak po drugiej stronie Harrington wołał do słuchawki: „Halo? Halo?”.

Wyciągnął ręce do słabo żarzącej się spirali piecyka elektrycznego.

- Przypominam sobie ze wstydem, jak łudziłem się nadzieją, że przytrafił im się jakiś drobny wypadek, ale że pieniądze są bezpieczne. Zadzwoiłem na policję, a oni od razu zaczęli poszukiwania. Znaleźli samochód na poboczu mało uczęszczanej Denton Road. Młody Garwood bez przytomności leżał na kierownicy, a Fawcus znikł razem z pieniędzmi. Policja poprosiła, żebym sprawdził, czy nadal mam klucze do pancерnej kasetki, w której przewożono pieniądze; otworzyłem sejf, gdzie schowałem je przed wyjściem z biura. Nie było ich.

Clive sprawdził coś w swoim notesie.

- Fawcus mógł otworzyć sejf w biurze, prawda?

Przeczytał akta sprawy nieco staranniej niż jego inspektor, który teraz z mądrą miną kiwał głową, jakby sam miał zamiar zadać to pytanie.

Starszy mężczyzna zacisnął zęby i z wysiłkiem przesunął prawą nogę, chwytając ją oburącz.

- Tak, miał własne klucze.

- Co się dzieje z pańską nogą? - zainteresował się Frost. Powell zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

- Chyba wie pan, że trzy lata temu miałem wylew. Przez pewien czas w ogóle nie mogłem chodzić.

- Och - powiedział Frost. - Przez moment myślałem, że może pies pana ugryzł. Jeśli już o tym mówimy, miał pan dozorcę... Synku, jak on się nazywał?

- Albert Barrow - odpowiedział Clive.

- Tak jest, Barrow. Mój kolega zastanawiał się, czy fakt, że Barrow znikł wkrótce po napadzie, mógł mieć jakieś znaczenie?

Powell zastanawiał się przez moment.

- Pamiętam go - taki łyсы cwaniaczek. Zaraz po jego odejściu sprawdziliśmy magazyny. Okazało się, że zginęło Bóg jeden wie ile paczek herbaty, ręczników, papieru

toaletowego, i tak dalej. Trzeba przyznać, że potrafił sobie radzić. Zresztą od jakiegoś czasu mieliśmy co do niego pewne podejrzenia. Facet okazał się na tyle bezczelny, że pół roku później załatwił sobie pracę w innym oddziale naszego banku. Zresztą im także wyczyścił zapasy.

- Dokładnie to samo mówiłem mojemu koledze. - Frost rozpromienił się, spoglądając na Clive'a.

Powell wygrzebał z kieszeni staromodny zegarek i popatrzył na niego znacząco.

- Jeśli to wszystko, inspektorze, to proszę wybaczyć, ale...

- Obawiam się, że niestety nie wszystko. - Frost znowu poskubał bliznę na policzku. - Zostało nam dość delikatne pytanie. Jeśli to nie Fawcus ukradł pieniądze, to kto to zrobił? Kto go zastrzelił i odrąbał mu rękę? Kto miał taką możliwość i kto miał motyw? - Odchrząknął i mówił dalej. - Z wyjątkiem pana niewiele osób wiedziało o transferze, nie wspominając o tym, że nikt nie znał szczegółów całej operacji...

Zamilkł na chwilę. Stary człowiek w ogóle się nie odezwał. Jego nieruchoma twarz nie wyrażała żadnych uczuć, a oczy patrzyły twardo wprost przed siebie. Niezniechęcony tym Frost postanowił rzucić się na głęboką wodę.

- Na przykład pan. Pan miał możliwość...

Nie zdążył powiedzieć niczego więcej. Powell oparł się na lasce i dźwignął z miejsca, a teraz stał nad inspektorem, dygocząc z wściekłości.

- Wynoście się! - Wyciągnął rękę w kierunku drzwi. - Słyszysz mnie pan? Wynoście się z mojego domu!

Frost nawet nie drgnął. Spokojnie zapalił papierosa, wygodnie oparł się o zagłówek i czekał. Wysilek związany z nagłym poderwaniem się z krzesła wkrótce dał o sobie znać, bo ciało Powella przekrzywiło się i gospodarz opadł na fotel, ciężko dysząc.

- Musiałem zadać to pytanie, niezależnie od tego, czy nas pan wyrzuci, czy nie. Pan miał okazję, prawda?

Powell znużonym ruchem zatoczył ręką krąg, jakby chciał zwrócić uwagę na nędzę pomieszczenia, w którym przebywali.

- Niech się pan rozejrzy, inspektorze. Niech pan popatrzy na ten marny, żaloszny pokój. Czy sądzi pan, że mieszkałbym dziś w takim chlewie, gdybym ukradł tamte dwadzieścia tysięcy funtów?

Frost opuścił wzrok i z zainteresowaniem zaczął studiować nazwę firmy umieszczoną na papierosie.

- A więc przejdźmy do motywu. Być może nie potrzebował pan tych pieniędzy dla siebie, ale, jak rozumiem, miał pan syna.

Wiatr z rykiem wpadł do komina i poruszył zgniecionymi papierami, które leżały na palenisku. Powell przygryzł dolną wargę, a następnie podciągnął się do starego dębowego sekretarzyka, stojącego w kącie pokoju. Kluczykiem przypiętym do łańcuszka przy zegarku otworzył zamek i spomiędzy pliku papierów upchniętych w przegródkach wyciągnął fotografię, którą podał inspektorowi. Zdjęcie przedstawiało młodego mężczyznę w mundurze RAF-u, w czapce z daszkiem zawadiacko zatkniętej na czubku głowy, która częściowo zasłaniała niespokojne oczy o złym spojrzeniu, i z cienkimi wąsikami w stylu Errola Flynna.

- To mój syn, Frank - powiedział z trudem Powell. - To jedyna fotografia, jaka mi została. Trzymam ją pod kluczem. Moja żona... jest zupełnie wytrącona z równowagi.

Clive wziął do ręki zdjęcie i przyjrzał się wstążce przy medalu.

- To odznaczenie za odwagę przyznawane oficerom lotnictwa?

- Tak. - Oczy Powella zabłyszczały. Wyprostował się, jakby zamierzał stanąć na baczność. - Byliśmy tacy dumni z niego. Pojechaliśmy do pałacu Buckingham, żeby zobaczyć, jak król wręcza mu medal. Cóż to był za wspaniały dzień!

- Na pewno - zgodził się Frost. - A czemu pańska żona jest wytrącona z równowagi?

Powell odłożył fotografię na miejsce, przekręcił kluczyk i sprawdził, czy kłapa sekretarzyka na pewno jest zamknięta.

- Nasz syn popełnił samobójstwo. - Chwiejnym krokiem dotarł do fotela i opadł ciężko na poduszkę. - Zaraz po wojnie założył własną firmę. Sfinansował ją ze środków, jakie dostał przy odprawie, i z pewnych oszczędności, którymi mogłem go wspomóc. Niestety, wszystko stracił. Od czasu do czasu dawaliśmy mu drobne sumy, ale to było jak wlewanie wody w wiadro bez dna. Wreszcie wszystko zważyło mu się na głowę. Wtedy się załamał i skoczył pod pociąg w londyńskim metrze. Jego matka nigdy tego nie przeboleła. Dla niej zawsze był czysty jak łąka. Po prostu nie mógł zrobić nic niewłaściwego.

Teraz jedynym dźwiękiem w pokoju było skrzypienie pióra, kiedy Clive pośpiesznie robił notatki. Stary człowiek wpatrywał się w podłogę, ale jego oczy wciąż błyszczały.

Być może przypominało to kopanie leżącego, ale Frost brnął dalej.

- Jak już mówiłem, panie Powell, miał pan całkiem sensowny motyw, żeby ukraść te pieniądze - na przykład chciał je pan wpompować w podupadającą firmę pańskiego syna.

Powell powoli odwrócił głowę. Jego usta wygięły się w pogardliwym uśmiechu.

- Chyba nie odrobił pan pracy domowej, inspektorze... Pieniądze zostały skradzione w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym, a mój syn popełnił samobójstwo w tysiąc

dziewięćset czterdziestym dziewiątym - dwa lata wcześniej. Czy teraz będą panowie łaskawi stąd wyjść? Moja żona nie lubi być tak długo sama.

Frost machnął ręką na Clive'a, który od razu odłożył notes. Dwaj detektywi wstali.

- Przykro mi, że pana zdenerwowałem, panie Powell, ale musiałem zadać te pytania.

Powell szorstko skinął głową i odprowadził ich do drzwi. W korytarzu Frost zatrzymał się, jakby w ostatniej chwili coś przyszło mu do głowy, i uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- Mam pamięć jak sito... Zapomniałem spytać, czy wychodził pan gdzieś wczoraj w nocy?

- Nie - odparł Powell. - Dlaczego?

- Bo wczoraj ktoś zastrzelił Rupperta Garwooda. Rozwalił mu oko na kawałki... No ale jeśli pan nie ma pistoletu i nigdzie pan nie wychodził, to będę się musiał rozejrzeć za innym podejrzanym. Proszę podziękować żonie za wyśmienitą kawę i przyjąć najlepsze życzenia z okazji świąt, na wypadek gdybyśmy się mieli wcześniej nie zobaczyć.

*

- No i jak, synu? - spytał Frost, kiedy usiedli w ciepłym wnętrzu auta, żeby nieco odtajać. Samochód z trudem torował sobie drogę pośród śnieżnej zamieci.

- On sprawia wrażenie całkiem przyzwoitego staruszka, sir. Strasznie mi go żal. Oszczędności całego życia wpakował w firmę syna i teraz musi jakoś przeżyć za niewielką emeryturę.

Frost zastanowił się.

- Muszę przyznać, że jego opowiadanie robi wrażenie. Nie pamiętam już, kiedy mi się tak chciało płakać od czasu, gdy w Coronation Street spaliła się buda z frytkami.

- Uważa pan, że on kłamie?

- Trudno byłoby to dowieść, nawet jeśli to prawda. - Frost wzruszył ramionami. - Miał trzydzieści lat z okładem, żeby w najdrobniejszych szczegółach dopracować swoją historyjkę - i teraz jest to prawdziwy wyciskacz łez, jak słusznie oceniłeś. Syn bohater wojenny, uczciwi rodzice, którzy żyją w niedostatku, byle tylko chronić dobre imię potomka, i na dodatek ta niesprawna noga... Ale on też kłamie jak pies, przynajmniej tak mi mówi moje przeczucie.

Samochód pędził przez wypełnione bielą pustkowie, które dla Clive'a stanowiło kwintesencję tego, czym tak naprawdę była dla niego Denton - jałową pustynią bez żadnych widoków na przyszłość. W tej lodowej pustce jedynie Hazel była oazą ciepła. Kątem oka zerknął na zegarek. Dochodziła ósma, a Frost wyraźnie stracił ochotę do dalszego działania. Dobrze. Może choć raz uda się skończyć pracę o przyzwoitej porze. Być może nawet zdąży zabrać Hazel gdzieś na kolację.

Na sąsiednim fotelu Frost wiercił się niecierpliwie.

- Dręczy mnie uczucie, że coś przegapiłem... Na pewno coś, co nie dotyczy mnie bezpośrednio, więc cóż to może być? Psiakrew! Tak jest! Skręć tutaj w lewo, synu. Musimy zajrzeć do redakcji „Echa”. Nasz dzielny Harry w okularach w rogowej oprawie nie życzy sobie, żeby historyjka o ekshumacji kocich zwłok ukazała się w jutrzejszej prasie. Wdepnij mocniej gaz.

Clive posłusznie wykonał polecenie i po chwili biała pustynia znikła. Wciąż istniała szansa na spotkanie z Hazel o przyzwoitej porze, rzecz jasna jeśli Frost nie wymyśli kolejnego zadania...

W jego myśli wdarł się głos przełożonego.

- Przypuszczam, że od jutra przydzielą cię do inspektora Allena, chłopcze. Nie sądzę, żeby nasz ukochany komendant zostawił cię pod moją zgubną opieką choćby minutę dłużej, niż to będzie absolutnie konieczne. Dostanie szalu, kiedy zobaczy, że nawet nie tknąłem tej cholernej papierkowej roboty. Ale i tak wiem, co powie: „Zdaję sobie sprawę, inspektorze Frost, że musimy wziąć pod uwagę ciężkie przeżycia, jakie w ostatnim czasie stały się pana udziałem”. - Zaśmiał się niewesoło i wytrząsnął z paczki ostatniego papierosa. - W związku z tym, że mnie opuszczasz, synu, powiem ci coś, czego nie powiedziałem dotąd nikomu innemu. Moje małżeństwo już na samym początku okazało się zupełną klęską. To było dwadzieścia lat prawdziwej męczarni. Zona mną gardziła. Była ambitna jak cholera; chciała mieć kogoś, kim mogłaby się szczycić, ale los okazał się złośliwy i biedaczka dostała mnie... Nienawidziła mnie za to, że byłem, jaki byłem. Skończyło się na tym, że perspektywa powrotu do domu budziła we mnie przerażenie. Wreszcie podjąłem decyzję o rozstaniu; w moim życiu pojawiła się inna kobieta, z którą chciałem zamieszkać... Ale właśnie tego wieczora, kiedy miałem zakomunikować żonie tę nowinę, na posterunek zadzwonił jej lekarz. Okazało się, że wysłał ją wcześniej do specjalisty, który zrobił zdjęcia rentgenowskie. Teraz mieli w ręku wyniki... Okazało się, że to rak, i to już nieoperacyjny. Miała przed sobą sześć miesięcy życia, i to naprawdę paskudnych. Lekarze uważali, że najlepiej będzie o niczym jej nie mówić. Zmieniłem więc plany i dalej znosiłem poniżenia. Kilka dni później ten młody szaleniec wystrzelił mi dziurę w twarzy, a ja nieszczególnie troszczyłem się o to, czy umrę, czy będę żył. Moja żona była kretyńsko szczęśliwa, kiedy wręczano mi ten pieprzony medal, a gdy dostałem awans na inspektora, o mało nie pękła z dumy. Była to jedyna rzecz, którą w jej mniemaniu zrobiłem jak należy. Nawet przestała mi dokuczać. Muszę przyznać, że była twardą kobietą, ale jej umieranie okazało się wyjątkowo ciężkie... Zresztą dla każdego byłoby ciężkie.

Zdusił niedopałek w popielniczce i wpatrzył się w sufit.

- Chcę powiedzieć, synu, że nie przez śmierć żony po kolei chrzanię wszystkie sprawy... Po prostu taką mam naturę i nic na świecie tego nie zmieni.

Clive nie miał pojęcia, jak powinien zareagować na tak osobiste wynurzenia. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Milczenie wydawało się najlepszym wyjściem z sytuacji. Samochód zwolnił przed redakcją „Echa”, a Frost wyskoczył, prosząc Clive’a, żeby na niego zaczekał.

Sandy właśnie rozmawiał przez dwa telefony równocześnie i zapisywał coś w notesie, sprawnie stenografując, więc Frost poczekał, aż odłoży słuchawki na widełki.

- Wybacz, Jack, ale właśnie zrobiło się straszne zamieszanie. Chcesz ze mną pogadać?

- Tak - odparł Frost. - Po pierwsze chcę powiedzieć, że postanowiłem ci wybaczyć zaproszenie na ten paskudny lunch. Rzygałem tylko trzy razy, a uderzenia gorąca wyraźnie zelżały.

- Och, tak? - zapytał Sandy ostrożnie, jakby wyczuwał, że zaraz zostanie poproszony o jakąś przysługę.

- Po drugie mam kłopoty przez tę historię ze zdechłym kociakiem, Sandy. Chcę cię prosić, żebyś usunął to z jutrzejszej gazety.

Sandy ułożył papierzyska piętrzące się na biurku w zgrabny stosik.

- Za późno, Jack. Jutrzejsze wydanie już poszło do druku. Przykro mi... Wiesz chyba, że bym to zrobił, gdybym mógł.

Frost pochylił się w jego stronę.

- A gdybym ci zaproponował coś lepszego? - spytał, niszcząc głos do konspiracyjnego szeptu.

Sandy zmarszczył nos, ale udał, że go to niewiele obchodzi.

- Na przykład?

- Możesz mi wierzyć, nawet ci z Fleet Street byliby zainteresowani. Mówiąc krótko, nasze biuro prasowe powinno to wysłać prosto do agencji, ale sam rozumiesz... Jeśli ma się przyjaciół, którzy gotowi są wydać dwanaście pensów, żeby człowieka uraczyć świetnym żarciem...

Reporter przez chwilę studiował z uwagą fizjonomię Frosta, a potem chyba się namyślił, bo sięgnął po wewnętrzny telefon.

- Słuchaj, George - powiedział do mikrofonu. - Zdejmij z pierwszej strony ten artykuł o policji, która zajmuje się ekshumacją zdechłego kota. Zastąpimy to czymś lepszym.

Odwiesił słuchawkę i odwrócił się do Frosta.

- Lepiej, Jack, żeby to naprawdę było coś wystrzałowego.

Wtedy Frost powiedział, że broń, z której zabito Fawcusa w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku, była tą samą bronią, która zeszłej nocy położyła kres życiu Rupperta Garwooda. Sandy'emu najpierw opadła szczęka, ale zdumienie szybko zamieniło się w uśmiech szeroki od ucha do ucha.

- Być może jesteś cholernym draniem, Jack, ale ja naprawdę cię lubię! - zawołał i chwycił za słuchawkę, żeby podyktować maszynistce nowy tekst. Jego tytuł brzmiał: „Morderca z 1951 roku uderza po raz drugi... - zdumiewająca historia”.

Różne fakty i liczby, którymi operował bez wahania, stanowiły najlepszy dowód jego znakomitej pamięci. Skończywszy, okręcił się na krześle, żeby znów znaleźć się twarzą w twarz z inspektorem.

- Jack, jakie są szanse na szybkie aresztowanie tego drania?

- Sprawdzamy kilka śladów - wyznał Frost, choć tak naprawdę próbował wymyślić chociaż jeden.

- Jutro, Jack, umówimy się na przyzwoity lunch. Możesz sobie wybrać dowolnie drogą knajpę, zapłacę za twój obiad nawet dziesięć funciaków. A teraz powiedz mi, oczywiście tak całkiem prywatnie, w którą stronę kierują się podejrzenia.

- Psiakrew! - zawołał Frost. - Chyba trochę przesadziłeś, bracie. Daruj sobie ten lunch, ale w zamian chcę pewną informację. Pamiętasz takiego gościa o nazwisku Powell, który w pięćdziesiątym pierwszym roku był szefem tutejszego oddziału banku Bennington?

- Owszem, to taki zarozumiały dupek - odparł od razu Sandy. - Jego syn popełnił samobójstwo.

Frost rozdarł celofan na świeżej paczce papierosów i poczęstował kolegę.

- Opowiedz mi co nieco o tym synu.

Sandy pociągnął się za ucho, głęboko nad czymś rozmyślając.

- Podczas wojny podobno był bohaterem, ale zaraz po niej okazał się zwykłym oszustem. Założył podejrzaną firmę zajmującą się inwestowaniem kapitału, a potem przepuścił większość pieniędzy swoich klientów na konie i kobiety. Niewiele brakowało, a wniesiono by przeciw niemu oskarżenie, ale wówczas w sprawę wmieszał się tatuś. Zaspokoił roszczenia poszkodowanych, choć w związku z tym musiał sprzedać dom. Teraz razem z żoną mieszkają w drewnianej chacie przy Denton Road.

Popiół spadł z papierosa prosto na płaszcz inspektora. Chciał go strzepnąć, ale skończyło się na tym, że tylko rozmazał go na większej powierzchni.

- I co, mimo poświęceń staruszka synalek odebrał sobie życie?

- Tak. Skoczył pod pociąg metra. Podobno musieli go zdrapywać z szyn. Wciąż był winien klientom parę tysięcy funtów, ale tatuś sięgnął głębiej do kieszeni i wkrótce wszyscy wierzyciele zostali spłaceni... - Podniósł głowę i nagle zmienił temat. - Hej, skądś znam tego chłoptasia ze złamanym nosem. To chyba twój asystent.

Rzeczywiście, Clive brnął w ich kierunku, lawirując między biurkami, a wyraz jego twarzy świadczył o niezwykłym podekscytowaniu. Frost przeprosił Sandy'ego i wyszedł mu na spotkanie.

- O co chodzi, synu?

Dopiero wtedy zauważył nurtujący Clive'a gniew.

- Nie tutaj, sir. Na zewnątrz.

Z tymi słowami Clive odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi, a Frost z szacunkiem podążał za nim. Znalazłszy się na ulicy, młody człowiek zatrzymał się i niewiele brakowało, a obrzuciłby przełożonego stekiem wyzwisk.

- Te pańskie cholerne przeczucia! Niech się pan nimi wypcha!

Frost zamarł. Kędy zadzwonili do niego ze szpitala w sprawie żony - wiedział... Wiedział, zanim jeszcze podniósł słuchawkę. Tak samo było teraz. Wstrzymał oddech, żeby choć trochę uciszyć głośnie bicie serca.

- O co chodzi, synu?

- O Tracey Uphill. Znaleźli ją. Ona nie żyje. Wiatr zawył przeraźliwie, a potem żałośnie załkał. Wiedział, gdzie ją znaleźli, ale mimo to musiał zapytać.

- Gdzie?

- A jak pan myśli, do diabła?! Na plebanii. Leżała wepchnięta do tego kufra razem z tamtymi ohydnyymi książkami i zdjęciami pornograficznymi!

ŚRODA (5)

SAMOCHÓD Z PISKIEM OPON WZIĄŁ ZAKRĘT I ZATRZYMAŁ SIĘ przed głównym wejściem na plebanie, gdzie parkowały już inne auta, między innymi błękitny jaguar z uszkodzonym tylnym błotnikiem, własność komendanta posterunku.

Umundurowany policjant stojący przed drzwiami zasalutował.

- Drugie piętro, inspektorze. Pierwsze drzwi. Przeskakując po dwa stopnie naraz, dotarli na górę i wepchnęli się do studia fotograficznego, między grupę mężczyzn stojących w milczeniu nad otwartym kufrem. Frost przecisnął się pierwszy i spojrzał w dół - w nieruchome, pełne przerażenia oczy ośmioletniej Tracey Uphill, która nie była już ani trochę ładna. Spuchnięty język wystawał sprośnie z otwartych ust, wykrzywionych w paskudnym grymasie. Wciąż miała na sobie ciepły niebieski płaszczyk, choć już nie było jej dane zaznać

ciepła. Frost dotknął czubkiem palca białej jak marmur skóry. Ciało wydawało się miękkie. Gdzieś z tyłu dostrzegł lekarza i odwrócił się ku niemu z milczącym pytaniem.

- Tak jest, Jack. Stężenie pośmiertne już ustąpiło, więc zakładam, że dziecko nie żyje od niedzieli. Będzie potrzebna sekcja, żeby ustalić dokładny czas zgonu. Patolog powinien tu dotrzeć lada chwila. Musieliśmy go wyciągnąć z balu bożonarodzeniowego.

Frost znów opuścił wzrok na wymęczoną, białą twarzyczkę.

- Czy wiesz już, w jaki sposób została zamordowana?

- Udużono ją gołymi rękami. - Doktor lekko odchylił głowę dziewczynki, żeby pokazać ślady na jej szyi. - O ile zdążyłem się zorientować, nie ma obrażeń świadczących o wykorzystywaniu seksualnym, choć prawdę mówiąc, nie chciałem jej za bardzo ruszać. Wiesz przecież, jak potwornie upierdliwy potrafi być ten cholerny gość z sądówki.

Jakiś mężczyzna w mundurze zakasłał znacząco, żeby przyciągnąć uwagę inspektora.

- Sir, w tej szafie w kącie znaleźliśmy także inne rzeczy...

- Wskazał ułożone w stos książki o dość nieprzyzwoitej treści i fotografie roznegliżowanych dziewcząt. - Chyba zostały wyjęte z kufra, żeby znalazło się miejsce dla zwłok.

Frost obrzucił je przelotnym spojrzeniem i chrząknął.

- To własność pastora - oznajmił głośno Mullett. Widocznie doszedł do wniosku, że najwyższy czas ujawnić swoją obecność. - Teraz wszyscy wiemy, z jakiego typu osobą mamy do czynienia.

- Tak - warknął Frost, nie odrywając wzroku od nieżywej dziewczynki. - Z taką samą jak reszta z nas.

Machnął ręką, co wyraźnie uraziło posterunkowego; przypuszczał, że inspektor zwróci uwagę na ich patologiczny charakter.

- Tam są zdjęcia rozebranych młodych dziewcząt, sir... Miejscowych dziewcząt.

- Wiem - parsknął Frost z wyraźnym zniecierpliwieniem.

- Widziałem je, kiedy przeszukiwaliśmy plebanię.

Widocznie zrobiliśmy to nie dość dokładnie, zreflektował się, przypominając sobie, jak poganiał Clive'a. Ciało dziewczynki musiało tu być przez cały czas. Nagle zorientował się, że Mullett coś mówi do niego.

- Czy dobrze zrozumiałem, inspektorze, że widział pan te książki i fotografie?! - Mullett wydawał się głęboko zaszokowany. - Ani słowem nie wspomniał pan o tym w swoim raporcie... No, powiedzmy, że to coś, co mi pan dostarczył, zasługiwało na miano raportu.

Frost wzruszył ramionami i zapalił papierosa.

- Nie, sir. Wtedy sądziłem, że to nieistotne. Głos Mulletta zmienił się w przeraźliwy pisk.

- Widział pan te brudy i sądził, że są nieistotne? - zawołał z niedowierzaniem.

Ale Frost pograżył się w myślach. Machnął ręką w taki sposób, w jaki odgania się uciążliwą muchę.

- Później, sir, później...

Wszyscy obecni zdrętwieli. Niewiele brakowało, a Mullett wpadłby w szal, ale jakimś cudem udało mu się nad sobą zapanować. Kilka razy odetchnął głęboko. Wolał nie robić sceny w obecności podwładnych. Kiedy tylko wrócą na posterunek, wezwie Frosta do gabinetu i wówczas...

- Kto znalazł ciało? - spytał Frost, zupełnie nieświadomy wiszącego w powietrzu napięcia.

Kierowca wozu patrolowego, który odebrał wezwanie na 999, wystąpił naprzód.

- Zona pastora, sir. Przyszła tu po zapasowe śpiewniki z kolędami, które potrzebne były na wieczorne nabożeństwo, ale w szafie znalazła tylko nieprzyzwoite książki, a na podłodze stos fotografii z gołymi dziewczętami. Pomyślała, że pewnie ktoś wyjął je z kufra, więc otworzyła go i znalazła nieżywe dziecko.

Mullett znów zabrał głos.

- Pastor siedzi na dole w swoim gabinecie, Frost, a jego żona w salonie. Jest całkowicie wytrącona z równowagi, więc doszedłem do wniosku, że na tym etapie lepiej będzie trzymać ich osobno.

- Czy pastor zeznał cokolwiek? Kierowca radiowozu wyciągnął notatnik.

- Następnym z dziurawą pamięcią - parsknął Frost, ale niezniechęcony tym posterunkowy wertował kartki, aż natrafił na właściwą stronę. Chrząknął i odczytał zapiski z przesłuchania.

- Pastor twierdzi, że nie ma pojęcia, w jaki sposób ciało dziecka znalazło się w kufrze. Ostatni raz był w tym pokoju mniej więcej tydzień temu, natomiast Tracey nie widział od niedzielnego popołudnia, gdy wyszła ze szkoły. Jego żona, pani Bell, wpadła w histerię i niewiele można było z niej wyciągnąć poza tym, że powtarzała w kółko... - w tym miejscu podniósł notatnik wyżej, żeby odczytać dokładne słowa - „...wiedziałam, że któregoś dnia to się wydarzy. Po prostu o tym wiedziałam”.

Zatrzasnął notatnik i schował go z powrotem do kieszeni na piersi.

Frost nie ruszył się z miejsca.

- No cóż, inspektorze - oświadczył Mullett z wymuszoną serdecznością. - Spodziewam się, że niezwłocznie przesłucha pan pastora. My zaczekamy tutaj, dopóki nie przyjedzie patolog.

Frost zupełnie go zignorował. Nie zważając na nieme protesty, ukląkł obok kufra, a następnie ostrożnie odwrócił ciało na bok. Potem wyszarpnął coś spod niebieskiego płaszczyka i gwałtownym ruchem odwrócił głowę w kierunku Clive'a.

- Chodź tutaj, synu. Chciałeś faktów, prawda? Masz swoje pieprzone fakty!

Dopiero teraz popatrzył na Mulletta. - Nie muszę rozmawiać z pastorem, sir. Tak samo nie potrzebuję czekać na patologa, żeby wiedzieć, kto zamordował to dziecko.

Delikatnie ułożył drobne ciało w poprzedniej pozycji i spojrzał na Clive'a, który z ponurą miną skinął głową. Trudno było mieć wątpliwości. Przez cały dzień obaj oskubywali ubrania, żeby pozbyć się tej cholernej sierści, a płaszczyk dziewczynki wydawał się dosłownie w niej unurzany. Czarne, brązowe, białe i bure włosy pochodziły z futer wielu zmizerowanych, liniejących kotów...

- Idziemy, synu - rzucił Frost i szybko skierował się ku drzwiom.

- Dokąd się pan wybiera, inspektorze? - Mullett zmarszczył brwi.

- Jadę aresztować Marthe Wendle za popełnienie morderstwa - odparł Frost i zbiegł ze schodów, zanim Mullett wpadł na pomysł, żeby zadać mu kolejne głupie pytanie.

*

Jechali stanowczo za szybko, ale szczęśliwym trafem o tej porze ulice świeciły pustkami. Frost stanowczo odmówił maszerowania przez las. Szkoda czasu, powiedział.

- Wjedź w tę prywatną drogę, synu - polecił. - Czemu zwalniasz?

- Bo zaraz znajdziemy się przy bramie - wyjaśnił Clive. - Zamkniętej.

- To przejedź przez nią.

- Uszkodzimy samochód! - wykrzyknął z przerażeniem młody detektyw.

- Pieprzyć samochód. Rozwał w kawałki to cholerne gówno. To od razu poprawi mi humor.

Clive zacisnął zęby i mocno wdepnął na gaz. Brama rosła w oczach w zastraszającym tempie, aż w końcu wypełniła sobą całą przednią szybę i z ogłuszającym hukiem uderzyła w samochód. Rozległ się trzask rozłupującego się drewna, coś poszybowało w powietrzu i łomotnęło o dach, ale dalej był już tylko śnieg i droga.

- Przynajmniej zaoszczędziliśmy wszystkim zawracania sobie głowy z kluczami - mruknął Frost, rzucając przez ramię pełne satysfakcji spojrzenie. Wkrótce z mroku wyłonił

się przycupnięty wśród drzew dom i Frost wyskoczył z auta, zanim jeszcze Clive zdążył porządnie zahamować.

Nigdzie ani śladu światła. Załomotał parę razy w drzwi. Cisza. Pędem okrążył dom, dopadł tylnego wyjścia i ruszył klamką. Zamknięte, ale ze środka dobiegał odgłos ostrożnych poruszeń. Z całej siły napał na drzwi i wysadził je z zawiasów, boleśnie przy tym tłukąc ramię. Clive przyszedł z pomocą; tak jak go uczono, kopnął w skrzydło w okolicach zamka i drzwi otwarły się z trzaskiem. We dwóch wpadli do kuchni, wypełnionej zapachem gotowanej ryby i smrodem kocich odchodów.

Martha Wendle siedziała w ciemności. Czekala na nich. Na wysokości jej kolan połyskiwały zielone, nieruchome oczy.

- Jedziemy prosto z plebanii - powiedział Frost.

- Tak - odparła. Nie musiała pytać o nic więcej. Clive przyniósł z sąsiedniego pokoju lampę naftową.

Słabe światło wydobyło z mroku jej smutną i zrezygnowaną twarz.

- Nie przypuszczałam, że ktokolwiek zagłąda do tamtych pokojów...

- Słowem, spieprzyłaś sprawę... - mruknął Frost. - To zupełnie jak ja. Ja też zwykle chrzańię wszystko, czego tylko się dotknę. Po prostu wybrałaś niewłaściwe pomieszczenie. To było studio fotograficzne pastora. Gdybyś położyła ją gdziekolwiek indziej, nigdy byśmy jej nie znaleźli.

Poinformował Marthę o przysługujących jej prawach i spytał, czy ma coś do powiedzenia.

Bez protestu wstała, a kot zeskoczył z kolan.

- Chyba możecie chwilę zaczekać, żebym jeszcze dała im rybę - poprosiła.

Odwinęte z gazety rybie łby wylądowały w rondlu i rozpoczął się rytuał gotowania.

- Dzieciaki bez przerwy przyłaziły tutaj i zamęczały mnie. Rzucały kamieniami... Tłukły szyby w oknach... Nazywały mnie czarownicą...

Zwinęła poplamioną gazetę i wrzuciła do zniszczonego emaliowanego wiadra.

- W ostatnią niedzielę przysła tu ta dziewczucha, Tracey Uphill. Najpierw waliła w drzwi, a kiedy otworzyłam, uciekła, wykrzykując na cały głos ohydne przezwiska... Skąd dzieci znają takie słowa?

Woda zagotowała się, więc zmniejszyła płomień pod garnkiem.

- Już nieraz przekonałam się, że najlepiej nie zwracać uwagi na te przeklęte bachory, bo wtedy szybko im się nudzi i odchodzą, ale ta dziewczucha wciąż wracała i wracała... A potem zaczęła rzucać kamieniami. Mój kociak był na zewnątrz. Mój ukochany, biały kociak...

- Ten, którego wykopaliliśmy w ogrodzie? - spytał Frost.

Martha skinęła głową.

- Trafiła w niego kamieniem... Złamała mu kręgosłup... Kociak strasznie wrzeszczał z bólu... Musiałam go dobić, żeby nie cierpiał... Ta mała odwróciła się, żeby uciec, ale poślizgnęła się i upadła... Byłam nieprzytomna z wściekłości... W ogóle nie myślałam... Chwyciłam ją za gardło i zaczęłam potrząsać...

Kurczowo zacisnęła palce swoich wielkich, silnych dłoni, a potem nagle schowała je pod fartuch.

- Potrząsałam nią i potrząsałam... A potem zobaczyłam, że ona nie żyje.

Gotujące się rybie łby grzechotały delikatnie o ścianki rondla. Pióro Give 'a ze skrzypieniem poruszało się żwawo po stronach notatnika.

- Kiedy przekonałam się, co się stało, ogarnęło mnie przerażenie. Musiałam ukryć ciało. W pierwszej chwili chciałam je pogrzebać razem z kociakiem, ale to wydawało się zbyt oczywiste. A potem pomyślałam o Dead Man's Hollow. Nikt nigdy tam nie zagląda. Kiedy zrobiło się ciemno, wzięłam łopatę i zaczęłam kopać. To było jak jakiś makabryczny żart, bo miejsce, które wybrałam... Tam już coś było. Ludzkie szczątki!

Zadrżała, jakby na samo wspomnienie przeszył ją dreszcz przerażenia.

- Wykopałaś odcięte ramię szkieletu, tak? - zapytał Frost.

- Tak. Chyba zaczęłam wrzeszczeć, jakbym postradała zmysły. Ale potem wzięłam się w garść, zakopałam tę rękę i wróciłam do domu.

- To stąd duchy wiedziały, że tam znajdują się czyjeś zwłoki?

- Tak. Kiedy przyjechaliście pierwszy raz, ciało dziewczynki leżało w sąsiednim pokoju. Musiałam jakoś zbić pana z tropu.

- Panno Wendle, pani nie zbiła mnie z tropu. Pani tylko maksymalnie zagmatwała i tak trudną sytuację. Ale kiedy po południu przeszukaliśmy dom, Tracey już tu nie było.

- Zjawiliście się trochę za późno. Już zdążyłam ją zawieźć na plebanię i właśnie stamtąd wracałam.

- Za późno! W tych dwóch słowach mieści się cała historia mojego życia! - zawołał Frost. - Dlaczego wybrała pani akurat plebanię?

- Bo bywałam tam wcześniej podczas moich spotkań z fanami spirytyzmu i wiedziałam, że jest tam mnóstwo pomieszczeń, do których nikt nie zagląda. Zresztą zamówiłam już salę na następne spotkanie i miałam tam dziś pojechać, żeby dopilnować ostatnich przygotowań. Ciało dziecka włożyłam do samochodu. Nikt mnie nie widział, kiedy niosłam ją na górę po schodach do pogrążonego w ciemnościach pokoju. Stał tam stary kufer

przykryty białym prześcieradłem. Pomyślałam, że to idealne miejsce. Co prawda wydawał się zamknięty na kłódkę, ale kłódka upadła na podłogę, gdy tylko jej dotknęłam. Otworzyłam wieko. W środku było mnóstwo starych książek, więc wyjęłam je i na ich miejsce włożyłam dziecko. Nie wpadło mi do głowy, że ktokolwiek może ją tam znaleźć.

Wyłączyła gaz pod rondlem i rozłożyła jego zawartość na kilka przygotowanych wcześniej talerzy. Na podłodze kłębiło się od kotów, mruczących w radosnym oczekiwaniu... Kotów, których sierść ją zdradziła.

Frost wynurzył się z gabinetu Mulletta, pałac olbrzymie cygaro w czerwono-złotej opasce, którym przed chwilą poczęstował go uszczęśliwiony dowódca. Zostało wyjęte ze specjalnej skrzyneczki, przeznaczonej dla najbardziej dostojnych gości, co chyba najdobitniej świadczyło o dobrym humorze szefa. Było tak grube i ciężkie, że Frost nie mógł zamknąć ust i musiał się pilnować, żeby trzymać głowę prosto. Ten cholerny Mullett dosłownie skakał z radości, zupełnie jakby znaleźli tę dziewczynkę całą i zdrową... Co prawda wszystkie dowody wskazywało na to, iż mała zginęła, zanim powiadomiono policję, więc absolutnie nie można było mieć zastrzeżeń do posterunku w Denton za przeprowadzenie akcji poszukiwawczej. Mullett nie posiadał się ze szczęścia, że Frost uzyskał pisemne zeznanie tej Wendle, dzięki któremu wszystkie nitki zostały powiązane w całość, ale pewnie nawet to nie skłoniłoby go do otwarcia cennej skrzyneczki, gdyby nie telefon z pochwałami od samego szefa policji.

I tak, ściskając w ustach dowód uznania komendanta, Frost ciężkim krokiem zmierzał korytarzem w stronę swojego biura. Czuł się kompletnie wypompowany i nieprzytomny ze zmęczenia, a obraz Mulletta paplającego jak podekscytowana panienska mieszał mu się z widokiem martwego dziecka spoczywającego w kufrze podróżnym. Czuł się w obowiązku osobiście powiadomić nieszczęsną matkę. Pani Uphill nie załamała się. Już wcześniej wylała wszystkie łzy, więc teraz tylko podziękowała bezbarwnym, pozbawionym emocji głosem, a następnie naląła sobie dużego drinka i skuliła się na krześle. Frost posiedział z nią mniej więcej dziesięć minut, ale zachowywała się tak, jakby go tam wcale nie było, więc po prostu wstał i wyszedł. A potem Mullett uraczył go tym cygarem.

Drzwi do centrum operacyjnego stały otworem, więc zajrzał do środka. Po raz pierwszy od poniedziałku rano było tam cicho i pusto. Na ścianie wciąż wisiał plakat z podobizną Tracey - Czy ktoś widział tę dziewczynkę? Tak, widział ją dzisiaj... I zobaczy ją jutro na stole w prosektorium, kiedy patolog będzie ciął, rozrywał i pobierał próbki.

Młody Barnard czekał na niego w biurze.

- Jednak miał pan rację co do tej kobiety, sir.

Frost wyjął z ust rozmiękle cygaro i roztarł je na popielniczce na brązową papkę.

- Tak, synu, z jakiegoś pieprzonego powodu okazało się, że miałem rację. Ale jeśli zamierzasz wychwalać mnie pod niebiosa, to błagam, daj sobie spokój. Rzygać mi się chce od nadmiaru komplementów, jakimi uraczył mnie nasz niezrównany dowódca. Jak człowiek słyszał, co on pieprzył, to mógł pomyśleć, że właśnie zakończyło się największe śledztwo od czasów „Pułapki na myszy”.

Znalazł w szufladzie jakieś pudełko z papierosami, wytrząsnął jednego na rękę Clive’a i sam także zapalił.

- Jak zwykle wszystko spieprzyłem. Podejrzewałem tę biedną wariatkę częściowo dlatego, że nienawidziłem jej parszywych kotów, a częściowo z powodu tego szkieletu, a teraz okazało się, że nie miała nic wspólnego z zabójstwem Fawcusa.

Clive stanowczo zaprotestował.

- To pan zauważył sierść kotów na płaszczyku Tracey - upierał się.

- Po prostu tak się złożyło, że zauważyłem to pierwszy. Gdybym nie spojrział, specje z laboratorium zrobiliby to za mnie, a potem przeprowadzili stosowne analizy poszczególnych włosów i rozrysowali drzewa genealogiczne tych śmierdzieli... - Poglądził bliznę i ziewnął jak hipopotam. - Dochodzi zaledwie dziesiąta, a już czuję się padnięty. To chyba starość.

Która godzina? Clive zerknął na zegarek.

- Eee... Czy będę jeszcze potrzebny dziś wieczorem, sir?

- Nie. Dziś możesz urwać się wcześniej. Mullett mówił, że jutro masz się zgłosić do inspektora Allena, więc powinienesz wyspać się na zapas. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że wrócisz do domu na piechotę? Ja muszę jeszcze zostać tu przez chwilę i być może będę potrzebował samochodu.

Kiedy Clive wyszedł, wcześniejszy ponury nastrój inspektora nieco się poprawił. Siedząc przy biurku, wypuszczał nosem kłęby dymu i przekładał z miejsca na miejsce sterty papierów, aż w końcu zanucił pod nosem parodię pewnej piosenki, którą kiedyś tak pięknie śpiewał Frank Sinatra.

Być może ona wciąż czeka,

Spluwając niekiedy

Na swoją starą, znoszoną sukienkę.

ŚRODA (6)

ZEGAR NA WIEŻY KOŚCIELNEJ ZAZGRZYTAŁ, WPRAWIŁ W RUCH wskazówki i wyrzucił na śpiące miasto salwę złożoną z jedenastu uderzeń.

Martha Wendle leżała z otwartymi oczyma na leżance w celi przeznaczonej dla kobiet. Uderzenia zegara dotarły do niej w postaci odległych, niewyraźnych dźwięków, które prawie

nie przeszkodziły galopującym przez głowę myślom. Kociak... Ukochany, bielutki kociak ze strzaskaną główką, zalany krwią, która sączyła się z nosa... I to dziecko... Dlaczego ta mała nie uciekła za pierwszym razem, kiedy tylko na nią wrzasnęła? Czemu stała w miejscu, rzucając z furią kamienie? Gdyby Tracey uciekła, nie zginęłaby w tak okropny sposób, a życie nadal toczyłoby się swoim torem. A teraz dziecko nie żyło, koty wkrótce poumierają, a bezwstydnymi bachory będą wybijać szyby w opuszczonym domu... Gdyby jakimś cudem mogła cofnąć czas, na nowo przeżyć tamte chwile, z pewnością znalazłaby jakiś sposób, żeby zmusić Tracey do ucieczki.

Zona przewielebnego Jamesa Bella słuchała uderzeń zegara, leżąc sztywno na szerokim, małżeńskim łożu. Położyła się na samym brzeżku, jak najdalej od męża, gotowa w każdej chwili cofnąć się, byle uniknąć przyprowadzającego ją o mdłości kontaktu cielesnego. Te książki, te bezwstydnymi książki... I tamte zdjęcia. W dodatku robił je własnoręcznie, naprawdę patrzył na rozebrane dziewczęta... Jego wzrok ślizgał się pożądliwie po ich nagich ciałach.

Pastor skulił się w pozycji embrionalnej na drugim końcu łóżka i nie słyszał niczego poza własnym, bezdźwięcznym mamrotaniem. Błagając Boga o wybaczenie, obiecywał, że jeśli uda się uniknąć skandalu - to znaczy, jeśli biskup o niczym się nie dowie - to on natychmiast zaprzestanie tych zgubnych praktyk. Żadnych zdjęć, żadnych zakazanych lektur. Obiecuję Ci, Panie Boże. Uroczyste przyrzekam.

W drukarni codziennej gazety „Echo” nikt niczego nie słyszał poza hukami i grzechotaniem prasy drukarskiej. Musieli całkowicie zmienić układ pierwszej strony. Teraz widniało na niej olbrzymie zdjęcie Tracey, opatrzone wymownym tytułem: ZNALEZIONO TRACEY - DZIEWCZYNIKA NIE ŻYJE. Trzeba było także nieznacznie zmienić ostatnią stronę, na której krótką wzmiankę „Trwają poszukiwania zaginionej dziewczynki” zastąpiono równie niewielką notką „Morderca z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku atakuje po raz kolejny”. Wystarczy jedna sensacja, aby zaspokoić apetyt publiczności.

Na Vicarage Terrace pani Uphill spała głębokim, wyczerpującym snem. Na dole dzwonił telefon.

Clive Barnard słyszał uderzenia i odruchowo liczył. Jedenaście. Tak wcześnie udało mu się wylądować w łóżku po raz pierwszy od... od niedzieli. Miał wrażenie, że od tamtej pory upłynęły całe wieki. Obok niego leżała Hazel - chłodna i gorąca, twarda i miękka. Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować, i po chwili poczuł, jak na jego piersi rozkwitają rozkoszne pączki jej sutków... Jego ręce ześlizgnęły się po jej pośladkach i...

I wtedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Synu, jesteś tam?

Znów ten głupi, cholerny, pieprzony Frost.

Hazel przywarła do niego. Czuł na skórze chłodny dotyk jej rąk i kusilo go, żeby się nie odzywać, żeby pozwolić Frostowi stać tak długo, jak ma ochotę, aż w końcu da za wygraną i odejdzie.

- Otwórz, synu... Proszę!

W tym „proszę” było coś do głębi poruszającego. Clive wywinął się delikatnie z objęć Hazel i postawił stopy na podłodze. Czuł, że jest wściekła.

- Nie wpuszczaj go tutaj - syknęła, otulając się szczelniej kołdrą, a potem wzruszyła ramionami i pokazała mu plecy.

- Proszę zaczekać, sir... Za minutkę będę gotowy.

Szybko się ubierał. Na zewnątrz łóżka, z dala od Hazel, było chyba poniżej zera. Zabrał z wieszaka najgrubszy płaszcz, otworzył cichutko drzwi i wyslizgnął się na zewnątrz.

Frost stał zaraz za progiem w swoim starym, zniszczonym płaszczu i zawilgoconym szaliku, i spoglądał na Clive'a z zażenowanym, przeprasającym uśmiechem. W ułamku sekundy, gdy Clive zamykał drzwi, zauważył przykryte kołdrą wybrzuszenie.

- Wybacz mi, synu. Obiecuję, że po dzisiejszej nocy już nikt nie będzie cię niepokoił. Po prostu potrzebna mi jest twoja pomoc.

Zastanawiając się, czy Hazel wciąż będzie w łóżku, kiedy on wróci, Clive na palcach zszedł ze schodów w ślad za inspektorem. Nawet nie zadał sobie trudu, by spytać, o co chodzi; i tak musiał wziąć w tym udział. Jutro, jak wspomniał Frost, do pracy wróci inspektor Allen, a to oznacza schludność, wydajność, określone godziny zajęć, a po służbie niezakłócony niczym seks.

Śnieg padał nieprzerwanie. Samochód Frosta stał na ulicy tuż przed drzwiami. Frost cofnął się o krok, żeby wpuścić Clive'a na fotel kierowcy.

- Dokąd jedziemy, sir?

Silnik zaskoczył za pierwszym razem.

- Nie powiedziałem ci, synu? Do Meadow Cottage. Clive zamrugał z niedowierzaniem. Chyba się przesłyszał.

W Meadow Cottage mieszkał stary Powell z żoną. Zanim tam dotrą, będzie dochodziło wpół do dwunastej w nocy.

- Myśli pan, że oni jeszcze nie śpią?

- Chryste, mam nadzieję, że śpią jak susły! - zawołał Frost. - W przeciwnym razie istnieje poważne niebezpieczeństwo, że pani Powell znów poczęstuje nas tą paskudną kawą!

Potem zapalił dwa papierosy i wetknąwszy jednego w usta kierowcy, mówił dalej:

- Czy uważasz, synu, że jestem kompletnie stuknięty? Clive pokręcił głową. W nozdrzach wciąż czuł zapach mocnych perfum Hazel, które ciepło samochodu wydobyło z zakamarków jego ciała.

- No cóż, za minutę będziesz tak uważał... Mam zamiar włamać się do domu Powella.

Clive nacisnął klakson i pijany przechodzień uskoczył na chodnik. Znalazszy się w bezpiecznym miejscu, obrzucił przejeżdżający samochód stekiem wyzwisk.

- Niewiele brakowało, żebyś go stuknął - zauważył Frost. Clive z trudem przełknął ślinę.

- Proszę mi wybaczyć, sir, ale nie chcę brać udziału we włamaniu - powiedział cicho, nie patrząc na przełożonego.

Frost westchnął.

- W porządku, chłopcze. Prawie cię rozumiem. W takim razie lepiej będzie, jeśli zawrócimy.

- A dlaczego chce pan tam wejść po kryjomu? - spytał Clive. Właśnie minęli skrzyżowanie, na którym można było zawrócić. Meadow Cottage z każdą chwilą było coraz bliżej.

- Kiedy wyszedłeś, synu, zadzwoniłem do Sandy'ego Lane'a, bo coś nie dawało mi spokoju. Pamiętasz, kiedy wczorajszego wieczora wychodziliśmy z biura Sandy'ego, zajrzał tam młody reporter i poskarżył się, że dzwonił do kierownika oddziału, by porozmawiać na temat odnalezionego szkieletu, ale tamten nie chciał złożyć oświadczenia? Wtedy sądziłem, że chodziło mu o obecnego szefa oddziału, pana Hudsona, ale okazało się, że chłopak miał na myśli dawnego kierownika - Powella. Tak więc zeszłej nocy Powell był jedną z nielicznych osób, które wiedziały, że wykopaliśmy resztki Fawcusa. Tak samo jest jedną z dwóch osób mieszkających w Denton, które w jakiś sposób były zamieszane w kradzież z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku.

- Oprócz Garwooda, sir.

- Tak, synu, ale Garwood został zastrzelony, więc, jak sam rozumiesz, musiałem zaryzykować i wykreślić go z mojej dość ograniczonej listy podejrzanych... To sprawiło, że został mi tylko Powell. Na początku rozmowy powiedział nam, że o odnalezieniu Fawcusa dowiedział się z porannej gazety. Skłamał, a człowiek, którego stać na kłamstwo, może bez trudu zdobyć się na to, żeby palnąć w łeb sympatycznego golden retrievera... Ta myśl nieuchronnie prowadziła do konkluzji, że to Powell zastrzelił Garwooda.

Papieros Clive'a zdążył się wypalić aż do filtra i wylądował w popielniczce obok innych resztek.

- Z całym szacunkiem, sir, ale według mnie pańska teoria jest dość naciągana.

Niezrażony krytyką Frost poluzował szalik. - To dlatego, że stosuję inne kryteria oceny. Znacznie niższe.

- Ale w jaki sposób włamanie do domu Powella może panu pomóc? - Clive podziękował za następnego papierosa.

- Cholernie nie podobała mi się staranność, z jaką Powell zamykał ten stary, zniszczony sekretarzyk. Chyba nie trzyma tam żadnych kosztowności, skoro dom nie jest zabezpieczony przed złodziejami.

- Może trzymać tam polisy z ubezpieczalni albo papiery wartościowe.

- Być może, synu, ale na jego miejscu tego typu rzeczy przechowywałbym w sejfie bankowym. Zresztą, ponieważ jest jedynym podejrzanym na mojej liście, mam nadzieję, że zachował się przyzwoicie i zabił tego biednego Garwooda, a następnie splądrował jego salon, szukając czegoś. Znalazł to i teraz trzyma zamknięte w swoim sekretarzyku. Sam więc rozumiesz, że muszę tam zajrzeć. Nikomu nie stanie się przez to krzywda, nawet jeśli niczego nie znajdę.

Do diabła, musi być jakiś sposób, żeby odwieść go od tego szalonego pomysłu, pomyślał Clive. Za kilka minut znajdą się obok Meadow Cottage.

- Sir! - wykrzyknął nagle. - Ale jeśli Powell zabił Garwooda, to musiał także zabić Fawcusa! Wiemy przecież, że za jednym i drugim razem strzelano z tej samej broni. W takim razie co pańskim zdaniem zrobił z tymi dwudziestoma tysiącami funtów, zakładając, że w tamtych czasach były one o wiele więcej warte niż dzisiaj?

- Właśnie w tym miejscu trafiłeś w jeden ze słabych punktów mojej teorii. Trzydzieści dwa lata temu mogłeś pojechać do miasta, wziąć sobie kobietę, zamówić talerz z małżami i filiżankę herbaty, i wciąż mieć sporo reszty z tych dwudziestu tysięcy... Może to coś, co Powell ukrył w biurku, wyjaśni tę zagadkę, bo ja nie potrafię. Zaparkuj tutaj, synu. Ich dom jest zaraz za następnym zakrętem.

Samochód zwolnił, aż wreszcie się zatrzymał. Clive zgasił silnik. Przez moment słychać było jedynie wycie wiatru.

- Jaki dokładnie ma pan plan, sir?

- Ty zostaniesz w samochodzie, synu. Gdyby zdarzyły się jakieś kłopoty, o niczym nie wiesz. Zakładam, że uda mi się otworzyć okno w salonie za pomocą scyzoryka, a kiedy już dostanę się do środka, któryś z zestawu wytrychów powinien pasować do zameczka w sekretarzyku... Szybko przejrzę zawartość, niczego nie ruszając, żeby Powell się nie zorientował, a potem wszystko pozamykam i wrócę po ciebie. Jeśli trafię na coś ciekawego,

złożymy Powellowi oficjalną wizytę via frontowe drzwi i zażądamy, żeby pokazał nam zawartość sekretarzyka... Ale jeśli niczego tam nie znajdę, to zaknę jak szewc i pojedziemy do domu.

- Moim zdaniem to szalony plan - odparł Clive.

- Jest zwariowany i niebezpieczny, ale to jedyne, co przyszło mi do głowy. A teraz zachlap błotem numery rejestracyjne, zawróć samochód i czekaj z włączonym silnikiem. Jeśli jak zwykle uda mi się coś spieprzyć, być może będziemy musieli szybko się stąd ewakuować.

Potem drzwi samochodu otworzyły się i zamknęły, i Frost odszedł, znikając w śnieżnej zamieci. Clive zawrócił, wyłączył reflektory i czekał, nasłuchując delikatnego pykania silnika.

*

Frost robił stanowczo za dużo hałasu. Zardzewiałe zawiasy zazgrzytały przeraźliwie, kiedy starał się bezszelestnie uchylić bramę, a świeży śnieg zalegający na ścieżce skrzypiał przy każdym ostrożnym kroku. Niechcący kopnął butelkę na mleko, która zdawała się bez końca toczyć po trawniku, aż wreszcie zakończyła wędrówkę w jakiejś zaspie. Wzdłuż bocznej ściany domu panowały istic egipskie ciemności, ale Frost nie ośmielił się użyć latarki. Tylko tego brakowało, żeby jakiś praworządny obywatel zadzwonił pod 999 z informacją o włamaniu... Dzielny Harry w okularach w rogowej oprawie znów dostałby szału. Po omacku przesunął ręką po ścianie, aż trafił na parapet okna salonu. Wtedy zębami ściągnął rękawiczkę i zanurzył rękę w kieszeni, szukając wśród licznie zgromadzonych tam przedmiotów scyzoryka. Do diabła, gdzie on się podział? Och... Palcami trafił na rozmiękły biskwit, którego wmusił w niego Powell. Wreszcie znalazł nóż i natychmiast upuścił na ziemię, a miękki śnieg wchłonął go jak lotny piasek na pustyni. Upłynęło pięć długich, paralizujących minut, zanim Frostowi udało się trafić palcami na rękojeść. Do tego czasu zimno pozbawiło jego dłonie wszelkiego czucia, musiał więc ogrzać palce pod pachą, zanim ośmielił się im zaufać i na nowo powierzyć nóż.

Zatrzask okienny stanowczo odmówił współpracy. Frost wpychał nóż w szczelinę dopóty, dopóki nie zyskał pewności, że ostrze zaczepiło o uparty haczyk. Zęby rozboleły go od ciągłego zaciskania, a po nosie już ciekły krople potu wywołujące swędzenie, kiedy nagle rozległo się obiecujące pstryknięcie i zatrzask ustąpił. Zrobione, pomyślał. Teraz należało tylko wsunąć palce pod ramę okna i dźwignąć ją jak najwyżej. Piekielny hałas przetoczył się przez pokój i rozszedł echem po uspionym domu. Niemożliwe, żeby nikt tego nie usłyszał. Frost przycupnął pod oknem, wysuwając głowę, gotów do natychmiastowej ucieczki. Wstrzymywał oddech tak długo, aż zaczęło go boleć w piersiach, jednak znikąd nie dobiegał

żaden odgłos ani nie zapaliły się żadne światła. W końcu podciągnął się na rękach, oparł kolano na parapecie, przełożył jedną nogę i po chwili już był w środku ociekającego wilgocią, smutnego salonu. Za jego plecami zasłony łopotały w powiewach wiatru. Ostrożnym krokiem zbliżał się do biurka, drżącą ręką wyciągając z kieszeni zestaw wytrychów, które w tej ciszy dzwoniły równie donośnie jak kościelne dzwony, i nagle... Co to było?!

Gdzieś nad jego głową skrzypnęła deska podłogowa. Zamarł, wstrzymując oddech, i wyczerzył słuch, ale słyszał jedynie głuche, szybkie uderzenia własnego serca. Wszędzie cisza. Tylko to jedno, jedyne skrzypnięcie. Powoli wypuścił powietrze i wziął oddech. Uważaj... Uważaj... - powtarzał raz za razem cichy głosik, a otwarte okno błagało, żeby je wykorzystał. Wynoś się stąd jak najprędzej, biegnij do samochodu i wracaj do łóżka. Niech inspektor Allen rozwiąże tę sprawę. Niech to jemu przypadnie w udziale sława, uścisk dłoni i grubaśne cygareto od Mulletta. Serce powoli wracało do własnego rytmu, uprzejmy głosik wciąż nie dawał za wygraną, ale Frost całkowicie go zignorował. Zaszedł już tak daleko. Włamał się do czyjegoś domu. Jeśli mają go wyrzucić z policji na zbity pysk, to przynajmniej niech zrobią to z jakiegoś szczególnego powodu, a nie dlatego, że zapomniał o przygotowaniu na czas bzdurnych statystyk przestępstw.

Bez wahania wsadził wytrych do zameczka. Rozległ się suchy trzask przypominający wystrzał z pistoletu i sekretarzyk stanął otworem. Frost ustawił latarkę na brzegu kłapy, żeby pogrzebać w leżących w środku papierach - wyciągnął zawartość pierwszej z brzegu przegródki i przekonał się, że trzyma w ręku stare domowe rachunki, najwyraźniej starannie sprawdzane, jakby każdy pens miał znaczenie. Wytarł spocone ręce o brzeg płaszcza. Do diabła, w jaki sposób ma znaleźć cokolwiek w tym bałaganie, skoro nawet nie wiedział dokładnie, czego szukać? Było tu tyle papierzysk, że przejrzanie wszystkich musiało zabrać ładnych kilka godzin. Wyciągnął następny plik, związany elastyczną gumką. Stare wyciągi bankowe i drobiazgowo rozliczenia robione na koniec każdego miesiąca... Ktoś bardzo starał się związać koniec z końcem, zanim nadejdzie kolejna wypłata emerytury. Nie wróżyło to nic dobrego. Znalezienie igły w stogu siana wydawało się łatwiejszym zadaniem niż przebrnięcie przez zawartość kilku przegródek. No cóż, przynajmniej próbował. Teraz należało tylko wepchnąć wszystko na miejsce i wracać do domu.

I wtedy włoski na karku stanęły mu dęba. Wyraźnie poczuł, że już nie jest sam w pokoju.

Nagle ciemność przestała istnieć, bo czyjaś ręka przekręciła włącznik światła. Frost gwałtownie zmrużył oczy. W wejściu, wsparty na lasce, stał Powell, ubrany w gruby szary

szlafrok narzucony na piżamę w czerwone prążki. Jego twarz wyrażała urazę połączoną z oburzeniem.

- Do diabła, co pan robi w moim domu?!

Frost skurczył się w sobie, jakby chciał zniknąć w fałdach własnego płaszcza. Jak ostatni dureń dał się przyłapać na gorącym uczynku. Otwarte okno świadczyło o włamaniu, kłapa sekretarzyka była opuszczona, a on sam trzymał w ręku prywatne dokumenty należące do gospodarza. Postanowił nie czekać, aż Powell złoży skargę; jeszcze dziś w nocy napisze rezygnację i jutro z samego rana wręczy ją Mullettowi. Komendant nie będzie musiał udawać, że spełnia to życzenie niechętnie i z wielkim żalem.

Ale wówczas zobaczył coś, na widok czego serce na moment przestało mu bić, a przytomność umysłu wróciła w mgnieniu oka.

Powell w lewym ręku trzymał automatyczny pistolet Luger. Obaj, Fawcus i Garwood, zginęli zastrzeleni z dokładnie takiej samej broni, w dodatku z małej odległości.

- Nie wiedziałem, że ma pan w domu pistolet... Powell zaśmiał się głucho.

- Chodzi o tę pukawkę? No wie pan, wydawało mi się, że w domu jest włamywacz... Ten pistolet wygląda na prawdziwy, ale tak naprawdę to tylko zręcznie zrobiona imitacja - powiedział i schował broń do kieszeni szlafroka, po czym skierował spojrzenie na otwartą kłapę sekretarzyka. - Inspektorze, czekam na pańskie wyjaśnienia.

Frost powinien jak najszybciej się stamtąd wynosić - wymyślić byle jakie usprawiedliwienie i zmykać, bo tutaj zdecydowanie nie było bezpiecznie. Jednak był już zmęczony i zziębnięty, i chciał jak najszybciej mieć to za sobą.

- Czy mogę rzucić okiem na tę pańską zabawkę? - spytał, wyciągając rękę.

- Nie! - warknął Powell.

- Moim zdaniem, to ten sam pistolet, z którego zastrzelił pan dwóch ludzi.

Starszy mężczyzna spojrzał na niego z takim niedowierzaniem, że Frost przez chwilę sądził, że się pomylił. Ale broń znów znalazła się w dłoni Powella. Teraz wycelowana była w głowę Frosta i okazało się, że to prawdziwa broń, nie imitacja, tak samo jak prawdziwy był wyraz chłodnego opanowania, który zagościł na twarzy Powella.

- Inspektorze, nie jest pan tak głupi, na jakiego pan wygląda. To ta kasetka naprowadziła pana na mój ślad, prawda? Albo raczej fakt, że była pusta.

Kasetka? Pusta? - pomyślał Frost. Cały czas zastanawiał się, czy zdąży wytrącić pistolet z ręki Powella, zanim tamten naciśnie spust, jednak wciąż towarzyszyło mu niewyraźne przeczucie, że Powell wcale nie jest taki powolny ani zniedołężniały, za jakiego pragnie uchodzić.

- Czy ma pan na myśli tamtą skrzyneczkę przypiętą łańcuchem do ręki szkieletu? Ten przenośny sejf?

Ręka trzymająca pistolet wydawała się niewzruszona jak skała, a kostki opartego na spuście palca białeły pod napiętą skórą.

- Tak. Dopóki leżał w ziemi, wiedziałem, że jestem bezpieczny. Ale kiedy został wydobyty... Sprawa wydawała się zbyt oczywista, nawet po upływie trzydziestu dwóch lat.

Dla mnie za cholerę nie była oczywista, pomyślał Frost beznamiętnie, ale na głos powiedział coś całkiem innego.

- Co pan zrobił z tymi pieniędzmi? - Mówiąc to, rozejrzał się dookoła. - Na pierwszy rzut oka widać, że nie wydawał ich pan na zbędne luksusy.

Powell zacisnął usta.

- Nie zabrałem ich dla siebie, inspektorze. Wziąłem je dla mojego syna. Wiedziałem, że ma słaby charakter. Wiedziałem, że jest oszustem. Ale był również bohaterem wojennym, który został odznaczony medalem za odwagę. Oboje z żoną byliśmy z niego dumni. Dlatego wszystko mu wybaczyłem.

Mówiąc to, wyprostował się z godnością i wysunął dumnie podbródek, ale pistolet, który ścisnął w rękę, nie przesunął się nawet o ułamek cala.

- Ja też dostałem medal za odwagę - pochwalił się Frost w nadziei, że to wyznanie zrobi wrażenie na starszym panu, ale Powell chyba go nie słyszał.

- Mój syn sądził, że jest mądry, ale gnoje, z którymi się zadawał, okazali się o wiele mądrzejsi od niego. Naciągnęli go na ładnych kilka tysięcy. Nie chcę wdawać się w szczegóły, więc powiem tylko, że syn, chcąc się wykaraskać z kłopotów, podrobił podpisy i sprzeniewierzył piętnaście tysięcy funtów, które należały do jego klientów.

Frost gwizdnął z szacunkiem, nawet na moment nie odrywając wzroku od pistoletu.

- To faktycznie ładna sumka, zwłaszcza w tamtych czasach.

- Inspektorze, to była prawdziwa fortuna. Przyszedł z tym do mnie. Błagał, żeby mu pomóc. Jak mogłem odmówić własnemu dziecku, które było krwią z mojej krwi i kością z mojej kości?

- Miał pan tak wielkie pieniądze?

- Nie. Sprzedałem obligacje i udziały, wyjąłem z konta wszystkie oszczędności, zaciągnąłem drugi kredyt hipoteczny pod dom... Ale nawet wówczas udało mi się zgromadzić jedynie dziesięć tysięcy.

- To musiało być strasznie przykre dla pana - zauważył Frost. - Czy mogę usiąść?

- Nie ruszaj się - warknął Powell i Frost stanął jak wryty. Powell spokojnie kontynuował swoją opowieść. - Nasz bank prowadził konto pewnej starszej damy o nazwisku Kingsley. Miała osiemdziesiąt kilka lat i forsy jak lodu. Była przykuta do łóżka i nie mogła przychodzić osobiście do oddziału, toteż ja prowadziłem jej sprawy. Ufała mi bez zastrzeżeń.

- Cierpiała na uwiad starczy? - dopytywał się Frost.

- Ależ skąd. Jeśli trzeba było zapłacić jakieś rachunki, wypełniałem czek, a ona podpisywała go bez pytania. Na jej rachunku znajdowało się prawie ćwierć miliona funtów... Zabranie z nich pięciu tysięcy dla mojego syna nie było trudnym zadaniem.

- Ale nie było także honorowym wyjściem z sytuacji, zgadza się pan ze mną?

- Mojemu synowi groziło więzienie. Nie mogłem na to pozwolić.

- Oczywiście, że nie mógł pan. Więc pomajstrował pan przy rachunku drogiej, starej przyjaciółki, która bezgranicznie panu ufała?

- Po prostu pożyczyłem te pieniądze. Miałem zamiar oddać je co do pensa. Mój syn był pewien, że kiedy uda mu się wypłatać z tamtej afery, postawi swoją firmę na nogi, wypracuje jakiś zysk i zwróci mi wyłożone pieniądze. - Zaśmiał się z goryczą. - W ciągu miesiąca zgłosił się po więcej. Drobnym błędem w obliczeniach, powiedział. Kolejny dług, który po prostu przeoczył. Tym razem potrzebował trzech tysięcy w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- I, jak sądzę, stara pani Kingsley znów oddała mu przysługę?

- Tak. Obiecał mi, że tym razem to już ostatni, naprawdę ostatni raz.

- I tak było?

- Miesiąc później znów przyszedł. Okazało się, że żaden z długów nie został spłacony, ponieważ on przepuścił większość pieniędzy na jakiś kompletnie szalony projekt, który miał mu przynieść fortunę. Tym razem odmówiłem. Błagał. Ale czy to miało jakiś sens? Wciąż wracałby po więcej i więcej. Powiedziałem stanowczo, że nie mogę mu pomóc. Odparł, żeby się nie martwił... Ze jest pewien sposób, dzięki któremu wszystko da się naprawić. Wrócił do Londynu, napisał do mnie pożegnalny list, a potem skoczył pod pociąg metra... Powinienem być dać mu te pieniądze.

- To nie były pańskie pieniądze, żeby mógł je pan dawać. Już wtedy zasługiwał pan na miano złodzieja... Ile tego w sumie było, osiem tysięcy?

- Tak. I nie miałem pojęcia, w jaki sposób je zwrócić. Dopóki pani Kingsley żyła, mogłem przynajmniej spokojnie oddychać. Przez dwa lata skąpiłem i oszczędzałem, na czym tylko się dało, ale i tak zdołałem wpłacić z powrotem jedynie kilkaset funtów... Zwrocenie

pełnej kwoty zabrałoby mi kilka lat. A potem, jeden po drugim, otrzymałem dwa potężne ciosy.

- Czy mogę zamknąć okno? - spytał Frost. - Zrobiło się cholernie zimno.

- Nie - odparł szorstko Powell. - Chcę, żeby było otwarte. Na czym skończyłem?

- Na tym, że dostał pan dwa potężne ciosy - odpowiedział Frost.

- Właśnie. Najpierw pewnego wieczora, kiedy wszyscy pracownicy poszli już do domu, do mojego biura wkroczył Fawcus. Nie musiał niczego mówić. Wystarczyło, że spojrzałem mu w twarz i już było jasne, że odkrył sprawę pieniędzy... Zagroził, że będzie mnie szantażował. Frost ze zdumienia unióśł brwi.

- Szantażował? Chryste Panie! Czy w pańskim oddziale pracowali sami krętacze i złodzieje? Pan, Fawcus...

Powell przeniósł nieco ciężar ciała, żeby odciążyć niesprawną nogę, ale ręka z pistoletem nawet nie drgnęła. Broń nadal wycelowana była prosto w głowę inspektora.

- Swoje milczenie wycenił na dziesięć tysięcy funtów.

- To chyba nie powinno być problemem. Jeśli dobrze zrozumiałem, stara dama nadal bezgranicznie panu ufała?

Stary człowiek zeszywniał i przez jeden straszny moment wydawało się, że Frost przeholował, bo palec spoczywający na spuście wyraźnie miał ochotę go nacisnąć. Jednak Powell wolno wypuścił oddech i kontynuował:

- Dokładnie następnego dnia los udowodnił, że ma niesamowity talent do zadawania najcięższych ciosów wtedy, kiedy człowiek akurat znajduje się w dołku. Telefon na moim biurku zadzwonił, a nowiny, jakie mi przekazano, były wręcz przerażające.

- Starsza pani umarła?

- Tak. Doradcy prawni pani Kingsley natychmiast wsiedli mi na głowę, żądając szczegółowych rozliczeń jej konta bankowego, a Urząd Skarbowy zdecydował, że przyśle kogoś, by wziął pod lupę operacje finansowe przeprowadzane na jej rachunku. Pewnie chodziło o to, żeby wyciągnąć od spadkobierców jak największy podatek. Moje fałszerstwa nie były na tyle zręczne, żeby nie wyszły na jaw przy dokładnym badaniu. W ciągu kilku godzin odkryją deficyt, myślałem. Odkryją, że brakuje ośmiu tysięcy funtów.

- Rozumiem, że jeszcze nie zdążył pan zapłacić Fawcusowi?

- Nie. Powiedziałem mu, że na razie nie ma na to najmniejszych szans. Uśmiechnął się fałszywie i oświadczył, że w takim razie zostawia sprawę w zawieszeniu. Był pewien, że skądś wytrzasnę te pieniądze, zakładając oczywiście, że w tym czasie nikt nie odkryje prawdy. I tak żyłem z dnia na dzień, modląc się o cud. Każde pukanie do drzwi, każdy telefon

wywoływały we mnie dreszcz przerażenia, że to dżentelmeni z Urzędu Skarbowego... - Powell wstrząsnął się na samo wspomnienie. - Ale mijały kolejne dni, praca w banku biegła zwykłym trybem i tylko Fawcus od czasu do czasu rzucał mi ukradkowe spojrzenia. Zacząłem myśleć, że rozwiązanie, jakie wybrał mój syn, było w istocie najlepszym wyjściem z sytuacji. I wtedy, dokładnie dzień przed pogrzebem, zadzwonił Harrington w sprawie transferu pieniędzy. Jeszcze nie zdążyłem poinformować Fawcusa, że to właśnie jego wyznaczam do przewiezienia pieniędzy, kiedy wystąpił ze swoim błyskotliwym planem.

- Swoim planem? - zdziwił się Frost, nieznacznie przesuając się w kierunku Powella.

- Trzeba przyznać, że chłopak szybko kombinował i miał złodziejski spryt. Natychmiast zorientował się, że oto może dostać swoje dziesięć tysięcy plus dwa tysiące ekstra. W dodatku łaskawie się zgodził, żebym zatrzymał osiem tysięcy i pokrył deficyt. To była niezwykle kusząca propozycja.

- O co chodziło w tym planie?

- O fałszywy napad. Fawcus i Garwood mieli wyjechać do Exley z pieniędzmi zamkniętymi w kasetce, która była przytwierdzona łańcuchem do nadgarstka Fawcusa. Nie dotarliby na miejsce. Postawiona na nogi policja odnalazłaby samochód w połowie drogi między Denton a Exley. W środku byłiby dwaj nieprzytomni mężczyźni, natomiast nie byłoby kasetki z pieniędzmi.

- I jak to miało według pana zadziałać? - Frost znów przysunął się odrobinę bliżej.

W istocie plan Fawcusa był dziecinnie prosty, wyjaśnił Powell. Młody Garwood - urzędnik bankowy, który prowadził samochód - nie był wtajemniczony, więc trzeba było go przekonać, że napad rzeczywiście się wydarzył. Na odludnym odcinku drogi miały stać drewniane skrzynie. Nic podejrzanego, ale ich obecność powinna zmusić Garwooda do zatrzymania się w celu usunięcia przeszkody. Wtedy Fawcus miał wskazać ręką na coś za jego plecami i wrzasnąć: „Uważaj! On ma broń!”. Jak tylko głowa Garwooda odwróci się we wskazanym kierunku, Fawcus zada cios. Powell nie chciał zaakceptować tej części planu, lecz Fawcus wyśmiał jego obiekcje. „Nie uderzę go mocno, ale za to kiedy się ocknie, uwierzy w każde moje słowo”.

Kiedy Garwood odzyska przytomność, ujrzy leżącego obok Fawcusa - posiniaczonego i bez czucia. Zobaczy, że przednia szyba auta rozbita jest w drobny mak, a kasetka z pieniędzmi znikła. A kiedy Fawcus dojdzie do siebie, opowie zgrabną historyjkę o zamaskowanym mężczyźnie, który na nich napadł.

- A co wydarzyło się naprawdę? - spytał Frost. Gdyby tylko starszy pan na ułamek sekundy odwrócił wzrok, Frost bez trudu chwyciłby pistolet. Niestety, nic nie wskazywało na to, żeby miał zamiar to zrobić.

- Najpierw powiem panu, inspektorze, co powinno było się wydarzyć. Jak wyglądał pierwotny plan i co by się stało, gdyby nic się nie spieszyło. Ja miałem wziąć udział w nabożeństwie żałobnym i upewnić się, że wszyscy mnie tam widzieli i zapamiętali. Po mszy kondukt z ciałem pani Kingsley powinien ruszyć do krematorium; niektórzy uczestnicy pogrzebu, podobnie jak ja, jechaliby za nim własnymi samochodami. Celowo miałem trzymać się z tyłu i stopniowo jechać coraz wolniej, aż zostanę na szarym końcu, a potem wdepnąć gaz i popędzić na umówione wcześniej miejsce, gdzie czekał Fawcus z nieprzytomnym Garwoodem. Wszystko, co należało zrobić, to otworzyć łańcuch, zabrać kasetkę, wypalić z lugera w przednią szybę auta, a potem własnym samochodem jak najszybciej wrócić na tył orszaku, jakbym w ogóle nigdzie się nie oddalał. Po drodze miałem wyrzucić gdzieś w lesie pistolet i otwartą, pustą kasetkę, żeby później znalazła ją policja. Tak więc nawet gdyby gliniarze dotarli na miejsce w ciągu kilku sekund, nie znaleźliby tam nic, co mogło mnie obciążać.

- Z wyjątkiem pieniędzy - powiedział Frost. - Z wyjątkiem dwudziestu tysięcy funtów. Powell popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Ależ inspektorze, z pewnością pan mnie zrozumiał. Pieniądze przez cały czas znajdowały się w miejscu, w którym nikt nie powinien ich szukać. Na tym polegał urok tego błyskotliwego planu. Wciąż leżały w banku i ani na moment stamtąd nie wyjechały. Kasetka od początku była pusta. Policja miała szukać uzbrojonego bandziora i skradzionych pieniędzy... Ale jak mogli cokolwiek znaleźć, skoro ich wcale nie było? Ten plan był tak mądrze pomyślany, że powinien się udać.

- Ale jeśli kasetkę otwierały dwa zestawy kluczy, to policja w pierwszej kolejności podejrzewałaby właśnie pana. Nie wszyscy są tak głupi jak ja.

I znów niezauważalnie przesunął się naprzód.

- Dlaczego miałiby mnie podejrzewać? Klucze przez cały czas nosiłem przy sobie - przed, w trakcie i po nabożeństwie. Zgodnie z wersją wydarzeń przedstawioną przez Fawcusa do napadu doszło w czasie, gdy ja byłem w kościele i wiele osób mogło to potwierdzić. Moja sytuacja wydawała się jasna w stu procentach, podczas gdy biedny Harrington z Exley był znany ze swojego zamiłowania do alkoholu i z niedbalstwa. To właśnie tam policja powinna skierować podejrzenia w sprawie kluczy.

Frost z aprobatą pokiwał głową. Fawcus dobrze to wymyślił. Nawet superdetektyw Allen mógłby zostać wystrychnięty na dudka. Gdyby udało się podsunąć jeszcze trochę bliżej...

- Ale coś poszło niezgodnie z planem, mam rację?

Powell chyba zauważył te nieznaczące poruszenia, bo nagle w pokoju rozległ się złowieszczy trzask świadczący o tym, że broń została odbezpieczona. Frost ze smutkiem cofnął się na poprzednie miejsce.

- Tak - odparł Powell. - Coś poszło źle.

Przed wyjściem z biura na ceremonię pogrzebową zmienił ubranie na ciemny garnitur. W kościele było chłodno i spokojnie i Powell miał nadzieję, że nikt ze znajomych, których witał skinieniem głowy, nie dostrzeże zamętu, jaki panował w jego umyśle. Upewnił się, że wszyscy go widzą, ale starał się trzymać na uboczu. Gdyby jakiś dureń przyczepił się do niego, cały misterny plan spaliłby na panewce.

Kiedy kondukt wyruszył do krematorium, on zgodnie z ustaleniami włókł się coraz wolniej, aż został na szarym końcu. Wtedy szybko skręcił w boczną uliczkę i po pięciu minutach szaleńczej jazdy znalazł się przy służbowym samochodzie. Młody Garwood leżał bezwładnie na kierownicy, a z jego głowy sączyła się krew.

- Nic mu nie jest - warknął Fawcus. - Wszystko będzie wyglądało bardziej prawdopodobnie, jeśli mnie zwiążesz. To zajmie najwyżej minutę. Sznur jest w bagażniku.

Ale to zajęło o wiele więcej czasu. Upał, zdenerwowanie i ciężki garnitur sprawiły, że Powell pocił się jak szczur, a jego ruchy straciły zwykłą zręczność. W końcu się udało i Fawcus leżał związany jak kurczak.

- A teraz odczep łańcuch.

I wtedy zaczął się koszmar.

- Na litość boską, szybciej! - wrzasnął Fawcus, kiedy Powell nerwowo przetrząsał wszystkie kieszenie po kolei, wyciągając na zewnątrz podszewkę. Czuł, jak pot przesiąka przez grube ubranie, bo już wtedy wiedział, że nie ma przy sobie tych pieprzonych kluczy. Położył je na szafce w gabinecie, kiedy zmieniał ubranie. Ciągle tam leżały, a on nie mógł otworzyć łańcucha. Lada chwila koledzy z Exley podniosą alarm, że pieniądze nie dojechały. Policja zacznie przeszukiwać drogi i znajdzie samochód, a w środku nieprzytomnego Garwooda, zwiazanego Fawcusa i pustą kasetkę na pieniądze, wciąż zamkniętą na podwójny zamek.

- O co chodzi, do jasnej cholery? - syknął Fawcus. Powell wyjaśnił, co się stało z kluczami.

- Ty durniu! Ty cholerny, pieprzony durniu! Rozwiąż mnie, ale już!

Powell nie mógł poradzić sobie z więzami. Potrzebny był nóż, a w samochodzie nie było noża.

Z fotela kierowcy dobiegł słaby jęk. Garwood powoli odzyskiwał przytomność.

Czy to była panika, czy Powell nagle doszedł do wniosku, że wie, jak rozwiązać swoje problemy? Fawcus zawsze będzie zagrożeniem. Podobnie jak jego syn wciąż będzie wracał po więcej i więcej. Poza tym żadne wyjaśnienia nie wydadzą się wiarygodne, skoro kasetka okaże się pusta, a zamki nienaruszone. Teraz należało działać szybko. Nie było czasu na zastanawianie się nad pobudkami.

Wyciągnął z kieszeni lugera - drobny upominek, który syn przywiózł, wracając z Niemiec - wycelował w głowę współnika i pociągnął za spust. Wrzask Fawcusa utonął w huku eksplozji. To było jedyne sensowne wyjście. Powell nie mógł pozwolić, żeby policja znalazła pustą kasetkę przypiętą łańcuchem do nadgarstka Fawcusa. Musiał go poświęcić, żeby ratować siebie.

Garwood znów jęknął. Rękojeść pistoletu uderzyła w tył czaszki chłopca i rozległ się przyprawiający o mdłości trzask.

Boże, co on najlepszego zrobił? Dzieciak chyba przestał oddychać. Czy będzie miał na sumieniu również to drugie życie? Nie! Nagle żebra chłopca rozszerzyły się lekko i wciągnął do płuc powietrze. Garwood wciąż żył. Ale Powell nie miał żadnych wątpliwości, że Fawcus jest martwy. Dookoła pełno było krwi, a on sam zastygłym, przerażonym wzrokiem wpatrywał się w niebo. Jak na ironię dopiero później Powell dowiedział się, że miał mnóstwo czasu, żeby wrócić do banku i przywieźć klucze. Ta kretynka Wendle zapomniała zadzwonić do oddziału w Exley z informacją, że transport pieniędzy właśnie ruszył w drogę. Zamiast przyznać się do błędu, wołała kłamać, że wcale nie wydał jej takiego polecenia.

Nawet teraz, po trzydziestu kilku latach, drżał na wspomnienie szoku, jakiego doznał, wracając z krematorium do banku. Z mocno bijącym sercem wszedł do środka po to, żeby przekonać się, że wszędzie panuje spokój i że nikt nie wszczął alarmu. W tym czasie wciąż jeszcze ciepłe ciało Fawcusa leżało w bagażniku, starannie owinięte brezentem.

- Sporo pan ryzykował, zostawiając go w samochodzie - zauważył Frost. Wyteżył słuch, bo wydawało mu się, że zza okna dobiega jakiś szelest, ale po chwili okazało się, że to z dachu osunął się śnieg.

- A gdzie miałem go zostawić? Zresztą policja nie szukała zwłok, tylko mężczyzny, który uciekł z pieniędzmi. Poszedłem do swojego gabinetu. Wszystko zastałem tak, jak

zostawiłem, włącznie z kluczami leżącymi na szafce na dokumenty. Prosiłem Boga, żeby okazało się, że nikt nie wchodził do środka i ich tam nie zauważył. Tego wieczora podczas jazdy do domu wrzuciłem je do studzienki kanalizacyjnej. Powinienem był je zatrzymać i otworzyć tę przeklętą kasetkę, ale wówczas nie myślałem trzeźwo. Po prostu chciałem jak najszybciej się ich pozbyć, żeby ludzie myśleli, że zabrał je Fawcus. Później, kiedy zrobiło się już ciemno, zawiozłem Fawcusa do Dead Man's Hollow. Wówczas tamta prywatna droga jeszcze nie była zamknięta. To trwało prawie do białego rana, ale jakimś cudem udało mi się go pochować.

- Miał odciętą rękę... - przypomniał Frost łagodnym tonem.

Twarz Powella wyglądała upiornie.

- Próbowałem wyrzucić to z pamięci... Przez cały tydzień policja szukała Fawcusa. Mnie nikt nie podejrzewał, ale mimo to wciąż się niepokoiłem, że ktoś w końcu znajdzie ciało. A kiedy zobaczą zamkniętą kasetkę... - Wzdrygnął się na samą myśl o takiej ewentualności. - No więc, wytrzymałem tak parę dni, i w końcu wróciłem do Dead Man's Hollow. Zabrałem łopatę i siekiere. Robiło mi się niedobrze, bo ciało było już mocno spuchnięte... Te cholerne upały... Nie udało mi się ściągnąć łańcucha. Wykopałem więc następną dziurę, żeby pochować odciętą rękę. Po powrocie do domu skrobałem dłonie tak długo, aż zaczęła z nich kapać krew... Wciąż jeszcze śnią mi się koszmary...

Wyglądał tak, jakby za chwilę miał się załamać, ale zaciśnięta na pistolecie dłoń sprawiała wrażenie całkiem opanowanej.

- Potem okazało się, że niepotrzebnie zawracałem sobie głowę. Nikt go nie znalazł. Przez trzydzieści dwa lata nikt nie natrafił na jego zwłoki. A potem pan wykopał tę rękę... Gdybym wtedy zostawił ciało w spokoju...

- Mimo wszystko dysponował pan niezłą sumką. Mógł pan pokryć deficyt na koncie.

- Miałem za dużo pieniędzy - odparł Powell. - Za dużo o dwanaście tysięcy funtów. Takiego nadmiaru gotówki nie da się długo ukrywać. Musiałem je jakoś zniszczyć, więc po prostu je spaliłem. Co wieczór schodziłem do piwnicy i paliłem banknoty w piecu. Dwanaście tysięcy poszło z dymem... Potem, kiedy wyszło na jaw, jak olbrzymie długi pozostawił mój syn i ilu ludzi oszukał, pomyślałem, że mogłem uregulować tamte rachunki, ale już było za późno. Pieniądze spłonęły.

- Moim zdaniem to najsmutniejsze w całej tej historii. Czyli dłużnicy pańskiego syna nie zostali spłaceni?

- Och, wręcz przeciwnie. Zwróciłem wszystko, do ostatniego pensa. Musiałem zaciągnąć na ten cel wysoko oprocentowane pożyczki. Wciąż jeszcze nie pozbyłem się

długów, dlatego mieszkam w tak okropnym domu... - Szybkim spojrzeniem omiół lodowato zimny pokój.

- Proszę jeszcze powiedzieć, dlaczego zabił pan Garwooda - spytał Frost. Doszedł do wniosku, że musi jakoś podtrzymać konwersację, bo kiedy temat się wyczerpie, to...

- W usilnym dążeniu do przekonania policji, że pieniądze faktycznie wyjechały z banku, powiedziałem na przesłuchaniu, że wszyscy trzej - Fawcus, Garwood i ja - sprawdziliśmy zawartość kasetki, zanim została zamknięta. Niepotrzebnie się pośpieszyłem, bo w przeciwnym razie wcale by nie podejrzewali, że coś takiego zrobiliśmy. Odwiedziłem w szpitalu Garwooda i poprosiłem, żeby podtrzymywał moją wersję. Dałem mu do zrozumienia, że kierownictwo naszego banku wymaga, żeby każde pieniądze przed transferem były kontrolowane przez trzy osoby, a ja o tym zupełnie zapomniałem. Zgodził się mnie popierać, gdyby policja o to pytała, ale okazało się, że ta sprawa zupełnie nie wzbudziła ich zainteresowania. Powinienem był trzymać język za zębami, a tak zaplątałem się w niepotrzebne kłamstwa. I teraz, kiedy znalazł pan to, co zostało z Fawcusa, oraz pustą kasetkę, byłem pewien, że natychmiast zorientujecie się, jakie to ważne. Gdyby wpadł pan na pomysł, żeby porozmawiać z Garwoodem, on mógłby sobie przypomnieć, jak prosiłem, żeby skłamał dla mnie... Nie mogłem ryzykować. Zresztą kiedy już zabije się człowieka, następnym razem jest znacznie łatwiej.

- Ogólnie rzecz biorąc, od początku do końca był to jeden ciąg głupich wpadek, zgadza się pan ze mną? - spytał Frost. - W domu Garwooda wyrzucił pan z szuflad wszystkie rzeczy. Czego pan szukał?

- Niczego. - Powell zmarszczył brwi. - Po prostu chciałem sprawić wrażenie, że ktoś tam się włamał i że Garwood zaskoczył włamywacza, który go zabił.

- Och... - Frost właśnie doszedł do wniosku, że sekretarzyk nie krył żadnych tajemnic i że podejrzewał Powella o zupełnie niewłaściwe rzeczy. - Trzeba przyznać, że faktycznie spieprzył pan wszystko, co było można spieprzyć... - Uśmiechnął się najpiękniej, jak potrafił.

- A teraz, kiedy wreszcie zdobył się pan na powiedzenie prawdy, może pojedziemy na posterunek, żeby spokojnie spisać pańskie zeznania?

Starął się mówić swobodnym tonem, ale wyraz oczu Powella nie dawał mu spokoju.

- Przykro mi, inspektorze. - Stary człowiek z niezmiernym smutkiem potrząsnął głową. - Chyba słyszał pan, jak mówiłem, że kiedy zabije się raz, następny przychodzi obrzydliwie łatwo.

Frost spojrzął na Powella i ujrzał śmierć. W ostatniej chwili starał się schylić głowę. Teraz miał wrażenie, że wszystko działo się w zwolnionym tempie - Powell nacisnął spust,

pistolet w jego rękę podskoczył, a on sam, Frost, wciąż próbował wykonać jakiś ruch. A potem gdzieś w głębi mózgu poczuł czerwoną od krwi eksplozję. Ból. Czarną pustkę.

Powell przestąpił leżące na ziemi ciało i kopnął na bok rdzawo czerwony szalik, który zaplątał mu się dookoła nogi. Podniósł słuchawkę telefonu stojącego na biurku i wybrał numer 999, a gdy się odezwał, jego głos był drżący i ledwo słyszalny.

- Policja? Nazywam się Powell i dzwonię z Mead Cottage przy Exley Road. Na litość boską, jak najszybciej przyślijcie tu kogoś... W moim domu jest włamywacz...

I wtedy z szeptu przeszedł w krzyk. - Nie! Proszę, nie!

Z całej siły uderzył laską o podłogę, jednocześnie szarpiąc za przewód, żeby wyrwać go z gniazdka. Jak na człowieka w swoim wieku cieszył się zdumiewająco dobrą kondycją fizyczną.

Przewrócił kilka krzeseł, rozsypał po pokoju wyjęte z przegródek dokumenty, a następnie skulił się na kanapie i czekał. Przez otwarte okno dobiegało coraz bliższe zawodzenie policyjnych syren.

Na podłodze, wśród rozrzuconych papierów, inspektor Jack Frost wyglądał jeszcze bardziej niechlujnie niż zwykle.

CZWARTEK

PANI UPHILL ODEBRAŁA TELEFON. TO BYŁ FARNHAM.

- Tak - odrzekła. - W niedzielę, o tej samej porze co zwykle. Ale teraz będzie to pana kosztowało czterdzieści funtów.

Odłożyła słuchawkę i zapaliła papierosa. Życie musiało toczyć się dalej. Przez panoramiczne okno w salonie widziała dom po drugiej stronie ulicy i migające na choince lampki.

Na plebanii wielebny James Bell i jego żona unikali patrzenia sobie w oczy. Miłość, która niegdyś ich łączyła, gdy razem uśmiechali się radośnie, patrząc w obiektyw aparatu, teraz znikła. Kiedy tylko miną święta Bożego Narodzenia, pani Bell opuści dom męża.

Samochód wiozący Marthę Wendle do sądu miejskiego jechał skrajem lasu. Przycisnęła twarz do szyby, starając się dostrzec między drzewami swój dom, ale z drogi nie miała szans go zobaczyć.

Clive pracował z detektywem Allenem. We dwóch zgarnęli wszystkie dokumenty z biurka inspektora Frosta, które wyglądało teraz wręcz nieprzyzwoicie nago, i przenieśli do gabinetu Allena. Od czasu do czasu Allen cmokał nerwowo, bo trafiał na jakąś pilną sprawę niezalutwioną na czas. Clive wciąż nie mógł skoncentrować się na pracy. Za każdym razem,

gdy dzwonił telefon, pędził, żeby go odebrać, bo miał nadzieję usłyszeć nowiny ze szpitala. Życie Frosta wisiało na włosku i właśnie operowano go, żeby usunąć pocisk.

Powell trafił do aresztu i czekał, aż Allen znajdzie czas, żeby go przesłuchać. Przeoczył dość istotny fakt, że znów strzelał z lugera. Kiedy lekarze wyjmą pocisk z czaszki Frosta, zostanie on wysłany do laboratorium w celu porównania z pociskiem, który zabił Garwooda... i z tym znalezionym w czaszce szkieletu.

Mullett spędzał czas w towarzystwie szefa policji i w związku z tym czuł się absolutnie szczęśliwy. Właśnie dowiedział się, że powierzono mu dowództwo nowego, powiększonego posterunku policji w Denton i że dziś jeszcze z kwatery głównej ma przyjechać ktoś, kto zastąpi inspektora Frosta. Oczywiście szkoda biednego Frosta, ale sprawy nie mogły ułożyć się lepiej.

W tym czasie Frost przeżywał senny koszmar - koszmar, który widział już wiele razy. Był w szpitalu i wiezono go na wózku na salę operacyjną, gdzie już czekała zamaskowana postać w fartuchu. Dookoła na zielonych obrusach leżały instrumenty chirurgiczne - skalpele i piły do cięcia kości - wszystkie lśniące, ostre i budzące przerażenie. Zwykle w tym momencie budził się, ale tym razem koszmar trwał. Lekarze dawali mu mniej niż pięćdziesiąt procent szans na przeżycie i wszyscy spodziewali się, że Frost umrze.

Ale Frost nigdy nie był dobry w obliczeniach ani nie robił tego, czego inni się po nim spodziewali.

Do Bożego Narodzenia zostało sześć dni. Na dworze znów zaczął prószyć śnieg.